WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY DO SYBERJI,
POBYTU W BEREZOWIE
I W SARATOWIE;

spisane

PRZEZ

Ewę Felińskę.

Tom I.

Wilno.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1853.

WSPOMNIENIA

Z PODROŻY DO SYBERJI,

POBYTU W BEREZOWIE I W SARATOWIE.

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY DO SYBERJI,
POBYTU W BEREZOWIE I W SARATOWIE;

spisane

PRZEZ

Ewę Felińskę.

Tom I.



WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1852.

Przedrukować pozwolono, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 16 Maja 1852 r.
Cenzor Paweł Kukolnik.

Podróż z Kijowa do Tobolska.

Roku 1839 d. 11 Marca, według starego stylu, opuściłam Kijów. Mimo promienie słońca rzucane z wysoka, mróz trzymał, żadne poznaki nie zdradzały zbliżającéj się wiosny; po lodzie zatém Dniepr przebywszy, gościńcem przez Oreł, saniami puściłam się w daleką podróż.

Skorośmy rzekę przebyli, konie poleciały czwałem. Spójrzałam po za siebie raz, drugi, trzeci. Już zniknął Kijów, już nic nie widać, nic nie słychać. Tylko ciągłe tętnienie dzwonka pocztowego, tylko rzucanie sań wpadających co chwila w jamy powybijane w głębokim śniegu, w różnych kierunkach oddziaływały cokolwiek na duszę. W końcu, i to dzwonienie i to rzucanie ciągłe, jednostajne, zaczęły sprawiać uczucie podobne do tego, jakiego się doświadcza, podczas snu niepokojonego, kiedy zmysły na wpół uśpione, czują dolęgliwość, a nie mogą zdać sprawy przed rozumem z przyczyny.

Zatrzymanie się przed domem pocztowym, dla przemiany koni, lub wywrót, przywoływały na chwilę uwagę na rzeczy zewnętrzne; wtenczas, ból głowy, ból członków wyraźniéj czuć się dawały, lecz krótkie chwile przeprzęgów, nie zostawiały dość czasu wolnego, na opamiętywanie się, bo gdy tętnienie dzwonka dało hasło, sanie zaczynały lecieć, nanowo zagłębiając się, to wyskakując z owych śniegowych przepaści, bez oddechu, bez zwolnienia kroku, i tak coraz daléj, daléj, daléj.... Dzień podawał nocy, a noc dniowi, owe tętnienie dzwonka.

Piérwsze dni podróży wydawały się nieznośne dla mnie, która nie umiem spać jadąc; znużenie dochodziło do ostatniego kresu, tak, że godzin kilka snu, stało się koniecznie potrzebném. Po dwóch dobach podróży, wysiadłszy z sani podczas przeprzęgu, weszłam do izby domu pocztowego i padłam na ławkę, aby użyć snu, choćby przez parę godzin; nie usnęłam, bo umysł czuwał mimowolnie podbudzany niespokojnością, ale ciało wpadło w otrętwienie najdoskonalsze.

Próżno mój przewodnik stojąc nade mną nalegał, aby jechać, utrzymując, że w saniach wyśpię się wybornie; jak koń znarowiony nie chciałam, czy też nie mogłam ruszyć się z miejsca.

Dozorca poczty, Rossjanin, odstawny oficer, widząc mój stan zniemożenia, kazał memu przewodnikowi pokazać sobie instrukcye, z których się pokazało, że ponaglania przewodnika były nadużyciem z jego strony. Zwierzchność bowiem, mając wyrozumienie dla płci i wieku, ograniczyła fantazje przewodnika, złagadzając przepisy, i wchodząc w różne wypadki. Odstawny oficer czytał instrukcyę w mojéj przytomności, a tak nadal wiedziałam moje prawa, równie jak obowiązki.

Odtąd podróż była nierównie znośniejszą; zatrzymywałam się dla snu, skoro uczułam mocne znużenie.

W początku podróży, gdy po przebytéj dobie utrudzającéj drogi, spójrzało się za siebie i przed siebie, i porównało jak droga zrobiona, była cząstką drobną, w miarę téj, która zostawała do przebycia, odwaga upadała; wszakże człowiek łatwo przywyka do wszystkiego, ze wszystkiém się zżyje. Po upływie tygodnia wyobraźnia się oswoiła, ciało przywykło, podróż wydała się jakby stanem normalnym: siadało się do powozu bez niecierpliwości, bez żądzy, bez wstrętu, jak się przystępuje do codziennych zatrudnień życia.

Niecierpliwość, ciekawość, żądza przybycia; usposobienia, które zawsze grają w podróżach rolę mniéj więcéj czynną, przedłużają onę. W mojém położeniu były one skazane na nieczynność; nic mię naprzód nie popychało, nie obudzało ani zajęcia, ani ciekawości; żądza przybycia nie wyprzedzała ruchów powozu, moje godziny mogły sobie upływać jak chcą, bez żadnego uczestnictwa woli: posuwanie się zatém na przód, było ruchem leżącym za obrębem mojéj myśli.

Tak przebywszy część gubernji Czernichowskiéj, miasto gubernskie Oreł, obszérnemi stepami wijąc się po nad Oką, przybyłam do Tuły.

W czasie przeprzęgu wysiadłam, weszłam do domu pocztowego, dla ogrzania się i posiłku.

Znalazłam na téj stacyi żołnierza odstawnego z półku piechotnego Mińskiego, który w czasie służby kwaterował w naszéj okolicy, a nawet, jak się z rozmowy

okazało, przebywał czas niejaki w naszéj wiosce. Ta okoliczność postawiła nas na stopie prawie dawnéj znajomości. Mieliśmy wspólne wspomnienia, co wiele znaczy, gdy się znajduje w stronie obcéj, wśród nieznajomych. Rozmawiałam z nim chwil kilka.

W tejże izbie pocztowéj, piękny magazynik wyrobów żelaznych fabryki miejscowéj, lśniący przecudnym blaskiem, był rozłożony na ponętę podróżnym. I mnie téż znęcił. Chciało mi się wywieźć jakąś pamiątkę z téj stoliby fabrykacyi żelaznych rossyjskich, tém bardziéj, że nic nie wioząc z sobą, jadąc do kraju niebardzo słynącego rękodziełami, potrzebowałam zaopatrzyć się w główne narzędzia majsterstw kobiécych. Nożyk, nożyczki, pieczątka ze znajomą dewizą drzewa jodłowego, i jeszcze kilka fraszek, było wybranych, zgodzonych i zapłaconych.

Kiedy się rozpatruję w mojém kupnie, czuję, że mię ktoś trąca z tyłu i zwiertek papieru wciska się w moję rękę.

Oglądam się i postrzegam mego żołnierza, stojącego już opodal i rzucającego na mnie ukradkiem wzrok porozumienia.

—To przecie coś zakrawa na tajemnicę, pomyślałam sobie.

A wiadomo, że nic tak nie zaostrza ciekawości, jak tajemnica. Zręcznie wcisnęłam zwiertek papieru do kieszeni, i szukałam stosownéj pory do przeczytania, bez skompromitowania tego, co mi ją podał.

Szukałam, i wkrótce znalazłam.

Skoro mi się nadarzyła chwila samotności, korzystam z niéj, rozwijam karteczkę i znajduję następujących

słów kilka, napisanych ruskim charakterem nieforemnym, ale wyraźnym.

»*Oszukują was, tu kurs pieniędzy zupełnie inny.*
»*Zapłaciliście dwa ruble nadto. Abyście nie ulegali*
»*więcéj podobnym oszukaństwom, przyłączam tablicę*
»*kursu monet.*"

Po przeczytaniu, podziękowałam oczyma życzliwemu opiekunowi; wszakże ciekawość mię wzięła, jakim sposobem mogłam się oszukać, zrobiwszy zgodę na monetę miedną assygnacyjną, i płacąc temiż assygnatami.

Aby tę trudność objaśnić, po upływie pewnego czasu, zbliżyłam się do mego żołnierza, i wszczęłam rozmowę o kursie monet. Rzeczywiście rachunek był tak dziwny, że bez tablicy, lub machinalnéj wprawy, logika znajomość arytmetyki, na nicby się nie zdała.

Żadna zgoła moneta, ani papierowa, ani srébrna, ani miedziana nie miała wartości normalnéj; a choć się wszystkie rachunki redukowały na assygnacye miedne, wszakże, jeżeli się mówiło dwanaście, tąż monetą płaciło się dziesięć, i warunek umowy dopełniony. Dla czego? tego dotąd nie pojmuję.

Sztuki monety srébrnéj, miały wówczas bieg tylko odnośny do miednéj papierowéj, i tak zwikłany urojoną redukcyą kopiejek, że bez pomocy tablicy, lub wielkiéj wprawy, rozplątać go było niepodobieństwem.

Nie mogąc więc własną głową objąć objawionéj mądrości, a wiedząc jak mi potrzebne jéj posiadanie, z pokorą pochyliłam czoło i z uszanowaniem schowałam tabliczkę do kieszeni, uciekając się do niéj, wiele razy własna głowa nie mogła wystarczyć potrzebie.

Wprawdzie nabyta wiadomość nie pomogła do odzy-

skania nadpłaconych pieniędzy, bo przedający zniknął mi z oczu, skoro złapał assygnatkę do kieszeni; ale w dalszym ciągu podróży życzliwa przestroga żołnierza i jego tabliczka mocno mi były przydatne.

Miałam wielką ochotę obejrzeć piękne miasto Tułę, zwiedzić fabrykę oręża i innych wyrobów, ale nieubłagany głos dzwonka pocztowego, i złowieszcza piosnka mego przewodnika: *daléj... daléj...* sparaliżowała chęć moję.

Tuła, o ile widzieć mogłam w przejeździe, jest miasto piękne, o szérokich ulicach. Balkony, bramy, płotki lane z żelaza, wiele dodają murom świeżości i wdzięku.

Okolice przebieżone, nie zostawiły w mojéj pamięci, żadnego przyjemnego wrażenia. Niezmierna przestrzeń stepu okrytego śniegiem, rozściela się jak prześcieradło na wiorst kilkaset; ani lasy, ani miasteczka, ani piękne budowy, nie przecinają perspektywy, tylko gdzieniegdzie posępne wierzby stérczą nad drogą.

Od Tuły jechaliśmy przez Razań; nakoniec pominąwszy to miasto, zbliżaliśmy się do sławnéj w podaniach miejscowych, *puszczy Muromskiéj.*

Puszcza tego nazwiska, stała się prawie poetyczną, dla mnóstwa podań, o dawnych i nówszych rozbojach. Imaginacye opowiadających, ćwiczą się, to tworząc nowe, to odtwarzając dawne podania. Pocztyljony, dozorcy poczt, są to bardy narodowe, z wyobraźnią mniéj lub więcéj poetyczną, a zawsze skłonną do przesady oryentalnéj: każdy opatrzony dobrym magazynem powieści o rozbojnikach muromskiéj puszczy, dla większéj siły kolorytu, podaje opowiadane wypadki, za zdarzenia zaszłe w niedawnych czasach.

Zajmowały mię owe rozpowiadania, jak poezja żywa, narodowa, ciągnąca życie ze źródeł miejscowych, nie z saméj tylko, podnieconéj sztuką wyobraźni; wszakże, mimo wrażenie, jakie te opowiadania zrobiły na moich przewodnikach, mimo postawę uroczystą, z jaką broń opatrywali przed wjechaniem w owę puszczę, mimo różne oznaki niespokojnéj ostróżności, nie mogłam się nastroić do żadnego uczucia trwogi.

Są położenia, które wynoszą człowieka nad wszystkie wypadki miotające życiem powszedniém, czynią go niedostępnym poruszeniom trwogi, obawy. Dochodząc do pewnego kresu, nabywa się jakiejś dziwnéj niezależności, która sprawia, że się pomija z lekceważeniem, z obojętnością to, na co drudzy patrzą z obawą lub przerażeniem, co w innym czasie, w innych okolicznościach nabawiłoby przynajmniéj niespokojnością. Ten stan wynoszący nad wypadki życia, jest roskoszą nieszczęścia.

Przebyliśmy owę puszczę, cel tylu dumek niepokojących, jak można najspokojniéj, a nawet powiém, że po przebytéj wielkiéj przestrzeni stepów, nudnych swą jednostajnością, z niemałém ukontentowaniem znalazłam się w pośród lasów.

Zamiast oczekiwanych rozbojników, postrzegłam tylko tu i ówdzie cietrzewi pozawieszanych, jak czapki na wielkich gałęziach brzeziny; szelest ich skrzydeł w przelocie z drzewa na drzewo, przerywał jedynie głuchą ciszę tych lasów samotnych.

Na widok tych pięknych ptaków, i w takiéj obfitości, zakipiała we mnie krew litewska, krew starodawnych myśliwców Litwy; mało nie wyskoczyłam z sani, niewiedzieć po co. Cietrzewie zaś, siedząc spokojnie na

drzewach w blizkości gościńca, obojętném wejrzeniem na przejeżdżających, zdawały się urągać naszéj niedołężności.

Za każdém postrzeżeniem podobnéj grupy, wykrzyknik podziwienia, czy też chciwości, wydzierał się z piersi mimowolnie, na co nie uważając ani cietrzewie, ani konie, iedne siedziały spokojnie, drugie leciały *daléj... daléj....*

Pominąwszy szczęśliwie wzmiankowaną puszczę, zbliżyliśmy się do brzegów Wołgi, i nakoniec przybyliśmy do Niższego Nowogrcdu, miasta wsławionego swym jarmarkiem.

Gdyśmy się do niego zbliżyli, uderzyły oko moje dwa miasta rozdzielone korytem Wołgi, z których jedno pełne ruchu i życia, drugie, porządne, czyste, białe, bez rozwalin, bez znaków opustoszenia, ale ciche, nieruchome, zasypane śniegiem, zdawało się spoczywać jak zaklęta księżniczka, czarodziejskim snem uśpiona, czekająca wieki w jednakowym stanie młodości, wdzięków i świeżości, przybycia bohatéra-kochanka, któryby dopełnieniem warunków zaklęcia, zdjął urok i wrócił życiu i miłości, piękną zaczarowanę.

Wszakże, ponieważ w naszym wieku racyonalizmu zniknęła wiara w księżniczki zaczarowane, przecieram oczy, patrzę i odgadnąć nie mogę. Czy pomorek świeżo ubił mieszkańców tego miasta? Wszystko na co spójrzeć, tak świeże, tak nieuległe żadnemu zniszczeniu, a jednak martwe.

Wytłómaczono mi tę zagadkę, mówiąc, że to część miasta, w któréj się odbywa sławny jarmark, przeniesiony z Makarjewa w 1817 roku, który dotąd zachował

swe imie, i nazywają go Makarjewskim. Trwa on przez niedziel pięć.

W tym krótkim przeciągu czasu, zbiegają się tu płody Azji i Europy, dla wzajemnéj wymiany. Wołga łącząca dwa morza: Baltyckie i Kaspijskie, przynosi płody i wyroby z północy i południa. Tu Kałmucy, Persy, Bucharcy, przybywają z płodami swéj ziemi, lub owocami przemysłu; karawany chińskie z herbatą i materjami jedwabnemi; kupcy sybirscy z futrami i kamieniami. Przemysł zaś europejski, za te surowe bogactwa azjatyckie, dostarcza co ma najwykwintniejszego ze swych wyrobów. A tak: na téj małéj przestrzeni, dziś leżącéj w odrętwieniu, ułatwiona zamiana płodów, zbliża, zapoznaje i zbratnia tyle narodów, różnych obyczajami, religją, ubiorem, kolorem skóry, językiem, fizjonomją i cywilizacyą; rozdzielonych ledwie że nie całą miąższością kuli.

Owa część miasta, pogrążona w owéj chwili w śnie letargicznym, budzi się i ożywia tylko na niedziel kilka. Wówczas cały ruch, całe życie do niéj się przenosi; kupią się do niéj mieszkańcy bliscy i dalecy przychodnie; domy, domki, szałasy, wszystko napełnione ludem, zawalone towarami; a w przeciągu niedziel pięciu, ta księżniczka odczarowana, przeżywa więcéj życia, niż jéj siostra przez rok cały.

Któżby się nie zgodził spać, wieczność całą snem mogilnym, byle budząc się corocznie, mógł przeżywać niedziel kilka życiem pełném, swobodném, doskonałém?

W Niższym Nowogrodzie, zasiliwszy zapasy podróżne, dobrym chlébem i bułkami, gdyż z przyczyny postu wielkiego, nie znajdując po stacjach, nic prócz barszczu

z olejem i postną kaszę, musiałyśmy poprzestawać na bardzo głodnéj kuchni, puściliśmy się po grzbiecie Wołgi do Kazania.

Mówię w liczbie mnogiéj; bo wyjechawszy jednoczasowie z Kijowa z P. Pauliną Wilczopolską i panną Józefą Rzążewską, które choć miały inne przeznaczenie, wszakże do Tobolska jechały tąż samą drogą, składałyśmy jedno towarzystwo podróżne.

Stanęłyśmy w Kazaniu w Wielką Sobotę. Znużone, zgłodniałe, postanowiłyśmy użyć wolności, zawarowanéj nam łaskawą instrukcyą, odpoczywając w tém mieście, przynajmniéj przez dwa piérwsze dni uroczystości Zmartwychwstania.

Oświadczyłyśmy tę chęć naszemu starszemu przewodnikowi, któremu ów projekt równie jak nam dogadzał. Wszakże trzeba było przejść przez wymagane formalności.

Zostawiwszy zatém nas w powozach, na ulicy, pod opieką niższéj eskorty, nasz podoficer, zabrawszy papiery, poszedł oznajmić się zwierzchności, i odebrać stosowne rozporządzenia i rozkazy. Zostałyśmy w oczekiwaniu, poglądając z sani na miasto.

Na przekorę, zmrok zaczął padać, przedmioty coraz mocniejszą okrywały się szarością, nakoniec wszystko noc pokryła.

Upływa godzin dwie, trzy, cztéry — nasz podoficer nie wraca. Wśród ciemnéj nocy, żadne wtargnienie od przedmiotów zewnętrznych nie oddziaływa na niecierpliwość. Chłód, znużenie, głód, klęcie pocztyljona znudzonego długą zwłóką, co raz stają się dokuczliwszemi. I my i pocztyljon, byliśmy tego zdania, aby zajechać do oberży, dla ogrzania się i posiłku: ale nasi aniołowie-stróże byli zdania, aby na ulicy doczekiwać podoficera. Wszakże nakoniec, równie stracili cierpliwość.

Zajechałyśmy.

Była podobno godzina dziesiąta wieczorem. Skorośmy weszły do izby, i ciepły pokój zaczął swój wpływ wywierać, zapomniało się o innych potrzebach, tylko snu konieczność gwałtownie przemówiła do zmysłów. Dywan rozesłany na podłodze, poduszka pod głowę, była kresem naszych życzeń, rajem, do którego serdeczniejśmy wzdychały. Jakoż, złożywszy na nich z lubością znużone członki, w minut kilka już spałyśmy snem głębokim.

O godzinie piérwszéj po północy, zostałyśmy rozbudzone przez naszego podoficera, który zawiadomił, że wszystkie formalności dopełnione, kwatéra dla nas przygotowana, i że trzeba do niéj udać się natychmiast.

Prosiłyśmy, aby można dokończyć nocy w oberży; ale odpowiedziano, że to niepodobna, i że w przyległym pokoju czeka na nas oficer, mający odprowadzić do przygotowanego mieszkania.

Nie ma rady! Trzeba opuścić ciepły pokój, oderwać się od mile ogrzanéj poduszki, zbierać rzeczy i ruszać na nową kwatérę, pocieszając się myślą, że raz przebywszy zachód, wygodnie przecie, przez dwa dni odpoczniemy.

Grzeczny oficer, nowy nasz przewodnik, już czekał na nas. W noc głęboką trudno było znaleźć koni do przewiezienia ekwipażów, gdyż konie pocztowe odeszły; wszakże czynność naszego podoficera, równie jak troskliwość tamecznego oficera, zaradziły złemu.

Nareszcie przyjeżdżamy do przeznaczonego mieszkania. Już było po drugiéj.

Skorośmy weszły, wilgoć i tęchlizna z oddawna niezamieszkałego budynku, tak uderzyła powonienie, że odetchnąć nie można było. Do tego, ściany okryte były nieprzeliczoną ilością owadów, znanych w Rossji pod nazwą tarakanów, a w Litwie pod imieniem prusaków; między którerni, jak oficerowie między szeregowemi, ruszały się w różnych kierunkach czarne tarakany, różniące się od piérwszych wielkością i kolorem.

Na ten widok dreszcz przeszedł po skórze. Ta walka całonocna, pociemku, z licznemi zastępami obrzydliwego owadu, wydała się nad możność zniesienia. Wszystkieśmy się odezwały głosem błagającym, prosząc oficera, aby nam pozwolił przenocować w saniach, na dworze, gdzie będziemy miały wolne powietrze do oddychania, i spokojność od owadów.

Oficer się zakłopotał. Widno, że miał wolę zapewnić nam nocleg wygodny, o ile od niego zależało.

—»Chciałem jak najlepiéj, przemówił. Była wprawdzie do wyboru druga kwatéra suchsza od téj i czyściejsza; wszakże myślałem, że panie przeziębłe z podróży, przedewszystkiém żądać będą, izby dobrze ocieplonéj, a tamta zimna."

—Lepiéj do zimnéj, wszystkie jednogłośnieśmy zawołały.

Oficer wybiegł dla dania rozkazów, aby rzeczy nie znoszono; w moment wrócił, mówiąc, że już konie wyprzężone, a zatém trzeba czekać, nim zaprzęgą na nowo. Zgodziłyśmy się iść piechotą, aby co prędzéj odetchnąć świeżém powietrzem; jakoż, zostawiwszy sanie

nasze jeszcze niezaprzężone, pod przewodnictwem oficera, poszłyśmy zająć naszę kwatérę.

Wkrótceśmy przybyły, i byłyśmy kontente z ostatniego mieszkania, bo chociaż zimne, było czyste i suche.

Nasz przewodnik oficer, pożegnał nas i odszedł; my zaś na nowo zaczęłyśmy mościć się do spania, zajmując trzecią kwatérę jednéj nocy.

Już ranek był blizko, do tego kilkokrotne przenosiny, ze snu nas wybiły; wszakże wiedząc, że mamy odpoczywać dzień cały, kazałyśmy pozamykać okienice i rzuciłyśmy się na pościel, z tém większą przyjemnością, że sen nasz nie miał być poturbowany żadną koniecznością odjazdu.

Po krótkiéj gawędce znowuśmy usnęły, i nie wiem jak długo byłybyśmy spały, gdyby pukanie do drzwi nie rozbudziło nas na nowo.

—Pan Policmejster chce się widzieć! zawołał za drzwiami głos naszego podoficera.

Zerwałyśmy się z pościeli, kazałyśmy odemknąć okienice, gotowalnia podróżna nie zabierała dużo czasu, a tak, w kilka minut byłyśmy gotowe przyjąć wizytę P. Policmejstra.

Policmejster zapytał bardzo grzecznie, czyśmy kontente z kwatéry, i czyśmy dobrze spały; odpowiedziałyśmy równie bardzo grzecznie, żeśmy zupełnie kontente.

—Ponieważ panie musiały się już wywczasować, dodał, trzeba, abyście dziś jeszcze odjechały.

Spójrzałyśmy jedna na drugą z wyrazem zawodu. Tyle mitręgi, zachodów, zgoła dla niczego. Ani jednego dnia wypoczynku po bezsennéj nocy!

—Nie wiém czy panu wiadomo, przemówiłam do

urzędnika, że mamy w instrukcyi regulującéj podróż naszę, dozwolony wypoczynek w miastach gubernskich, kiedy potrzeba onego da się nam uczuć? Używamy zatém praw nam dozwolonych, i nie spodziewamy się aby pan chciał ścieśniać one.

—Tak, wprawdzie, panie mają w instrukcyi miejscowéj zawarowane pozwolenie; wszakże, ponieważ jak się zdaje panie należycie odpoczęły, spodziewam się, że im dalsza podróż nie zaszkodzi.

Nie powiedziałam więcéj i słowa.

Urzędnik może się spodziewał skargi, albo prośby. Możeby prośbą dał się rozbroić, ale spotkawszy tylko rezygnacyę i milczenie, po krótkim przestanku, dodał:

—Panie mogą jeszcze zabawić godzin kilka, jeżeli się im podoba.

Przyjęłyśmy ten wyrok z uszanowaniem; poczém urzędnik pożegnawszy nas, odszedł. Sturbowane zachodami czynionemi dla otrzymania mniemanego wypoczynku, układałyśmy się do podróży, mocno postanawiając nie uledz raz drugi pokusie, choćbyśmy jak były strudzone, i nie szukać wypoczynku więcéj męczącego, niż nieprzerwana podróż.

Oświadczyłyśmy podoficerowi, że chcemy jechać niezwłócznie: ale dla wszystkich była Wielkanoc, nikomu nie było śpieszno do podróży. Kancelarje, pocztyljony, wszystko było zajęte uroczystością. Siedziałyśmy więc na tłómokach nie wiedząc co z sobą robić, kiedy drzwi się otworzyły i odebrałyśmy niespodziane nawiedziny.

Weszła do nas jakaś dama, podeszła wiekiem. Nie pamiętam wymówionego nazwiska, wszakże nam powiedziała, że jest wdową po półkowniku wojska rossyjskiego, że kwaterując z mężem w blizkości Warszawy, porobiła wiele znajomości i najprzyjemniejsze ztamtąd wywiozła wspomnienia. Wiedząc zatém żeśmy z okolicy dalekiéj, bez znajomych, przyszła zapewnić nas o swém współczuciu, i według zwyczaju miejscowego, powitać nas jajkiem czerwoném.

Podziękowałyśmy półkownikowéj za dobrą życzliwość, odpłacając wzajemném powinszowaniem, i przepędziłyśmy z półgodziny na rozmowie.

Po wyjściu półkownikowéj, widok czerwonych jajek, obudził tyle wspomnień przywiązanych do dzisiejszéj uroczystości. Te dni bywają zwykle poświęcone na zgromadzenia rodzinne, na odwiedziny przyjacielskie. Młodość i starość, każdy znajdzie w swéj pamięci szereg przypomnień ważnych dla serca.

Oddawszy jednak co się należało duszy, wyszedł na scenę człowiek-źwierzę: głód wywołał inne wspomnienia, a z nimi cały poczet używań materjalnych. Tłuste szynki, prosięta, kiełbasy, nadziéwania, baby, mazurki, jedném słowem, wszystkie posilne jadła i łakocie, jakby szeregiem stanęły obecne, wabiąc swym miłym zapachem ze wszystkiemi zaprawami, które zgłodniały żołądek malował wyobraźni, niby pędzlem kochanka-artysty.

Z łapczywością zjadłyśmy ofiarowane przez półkownikowę jajka, która, dopełniając formy, nie wiedziała może, że miała nimi pokarmić głodnego. Wszakże znaczyły one, jak psu mucha, w miarę naszego apetytu. Udajemy się zatém do podoficera i prosimy, aby posłał na rynek kupić szynki, kiełbas, ciasta.

—Dzisiaj nie ma targu, odpowiedział podoficer. Do tego, takie rzeczy w tym kraju, na rynku się nie przedają.

— Więc nigdzie jeść dostać nie można?

— Nie wiém.

— Przecież ty, i twoi towarzysze nie będziecie bez pokarmu.

— Zamówiliśmy sobie u gospodyni tutejszego domu, jedzenie dla siebie.

— Proś-że ją, aby odstąpiła jeszcze i dla nas.

— Panie jeść może nie będą jadła, którém my kontentować się możemy.

— Żartujesz! Albož głodny wymyśla?

Podoficer wyszedł aby robić nasze interesa. My tymczasem, rozmyślałyśmy o naszych stronach, przypominałyśmy, jaka obfitość panuje u nas, podczas téj uroczystości od pałacu, do najnędzniejszéj chałupy; z jaką gościnnością każdy, choćby najuboższy, rad się podzielić z podróżnym, z przychodniem, święconém jajkiem i mięsem; jak rad, kiedy mu kogo Bóg ześle, jak wszyscy syci, nawet przesyceni, bogaci czy ubodzy. Robiąc te przypomnienia, westchnęłam do Boga, prosząc, aby nie dopuścił, by cudzoziemszczyzna wygnała od nas kiedykolwiek ten obyczaj narodowy, bratający gościnność przyrodzoną z obrzędami religijnemi.

Po pewnym przeciągu czasu, wchodzi do naszego pokoju gospodyni domu, mieszczanka kazańska, i z największą prostodusznością mówi, że ponieważ ma u siebie dużo zebranych gości, którzy życzą sobie widzieć *Polki*, czy nie możemy zrobić jéj téj przyjemności, abyśmy zeszły na dół, a tam same obaczymy, jakie jadło będzie nam do smaku, bo ona nie znając naszych nawyknień, nie wie czém trafić do gustu.

Uśmiéchnęłyśmy się poglądając jedna na drugą. Ni mniéj, ni więcéj, chodziło o to, aby dać z siebie reprezentacyę potomkom Tatarów. Wszakże miłość własna poddmuchnięta, wkrótce ustąpiła miejsca weselszéj myśli. Co nam wreszcie szkodzi, że będziemy na chwilę przedmiotem ciekawości ludzi, co nas nie obchodzą? Albož nam nie odpłacą natychmiast wzajemnością? Za widowisko, widowisko. Codzień na świecie dzieje się toż samo. W dodatku, pewnie nas poczęstują święconém.

Zrobiwszy to chwalebne postanowienie, odpowiedziałyśmy mieszczance, że przyjdziemy za chwilę.

Skoro wyszła, opatrujemy nasze ubranie, które, trzeba wyznać, że po dwótygodniowéj podróży, nie zalecało się wielką świéżością, ani smakiem, co zastępując, postarałyśmy się je zrobić najdziwaczniejszém ile można; a gdy już nic dodać nie zostawało, spuszczamy się na dół, zaspokoić ciekawość zniecierpliwionéj *publiczności*.

Weszłyśmy. Dano nam miejsce honorowe. Usiadłyśmy. Dają nam niektóre nieznaczące pytania, odpowiadamy. Wszakże, wyznam z upokorzeniem, że nie zadowolniona przyjemnością zamiany myśli, rzucam wzrok na prawo i lewo, czy nie obaczę gdzie stołu zastawionego jadłem, i z wielkim smutkiem, nigdzie nie widzę święconego, nawet zapach nie dolatuje.

Na przeciw drzwi, pod oknem, na stole zasłanym czystym obrusem (godło uroczystości), stoją trzy talerzyki. Na jednym z nich, zmarzłe jabłko cieńko pokrajane i ocukrowane, na drugim, rodzynki, na trzecim zaś, jakieś ziarnuszka powleczone kasztanowatą łupinką.

Gospodyni zdjąwszy te talerzyki, przynosi do nas, podaje, prosi, częstuje, lecz mimo uprzejmość gospodyni, zgłodniały żołądek, nie chce się pieścić temi łakociami.

Dowiedziałem się, że nieznajome ziarnuszka, były to, tak nazwane, orzechy cedrowe przywiezione z Syberji.

Po kilku minutach, straciwszy nadzieję aby nas poczęstowano czém inném, zapytałam gospodynię czy nie może dać nam co pożywniejszego do jedzenia, mięsa naprzykład. Wówczas się dowiedziałam, z wielkiém mojém zdziwieniem, że w Rossji nie ma zwyczaju, przygotowywać na Wielkanoc zimne mięsiwa, ciasta i inne jadła, jak to u nas się dzieje. Jedném słowem, nic zgoła. Musiałyśmy przeto przestać na barszczu z mięsem, którego kazałyśmy przynieść sobie na górę.

Posiliwszy się, byłyśmy zupełnie gotowe do podróży, lecz okoliczności od nas niezależące, wstrzymywały wyjazd: konie z poczty przychodzić nie chciały. Papiéry były w ręku urzędników.

Nad wieczór, konie przyszły nareszcie, chodziło tylko o papiéry. Nasz podoficer zwijał się jak w ukropie, lecz nie mógł otrzymać papiérów na powrót. Całą noc przesiedzieliśmy w oczekiwaniu. Pocztyljon zniecierpliwiony odjechał na powrót, co widząc, zaczęłyśmy drzémać pokładłszy głowy na tłumokach. Nadedniem wrócił podoficer nic nie wskórawszy; a skoro widnieć zaczęło kazał zaprzęgać, choć papierów nie było jeszcze, w nadziei, że przejeżdżając rankiem koło domu urzędnika, zastanie go już u siebie: tak go świadomi obyczaju zapewniali.

Wyjechaliśmy z kwatery; słońce jeszcze nie weszło było, ranek był prześliczny. Zatrzymaliśmy się koło domu urzędnika; podoficer poszedł po papiéry; wrócił z nowym zawodem, bo urzędnik po bezsennéj nocy, dopiéro spać się układł.

Czekaliśmy na ulicy godzin kilka; mnie się nie naprzykrzyła ta zwłoka, bo ranek był prześliczny: powitaliśmy pyszny wschód słońca, a nawet przedświt ludnego miasta, budzącego się do życia, i pomału odsłaniającego powiekę, ma cóś zajmującego. Ludność budząca się piérwsza do czynności, do pracowitych zatrudnień swego powołania, po miastach, składa jakby osobną familję, z odrębną fizjonomją. Są to posługacze dostatnich dzieci wczasu, przygotowujący tym ostatnim, zapasy do wygodnego przebudzenia. Na czole każdego, jakby wielkiemi literami wypisana gotowość do pracy i potrzeba zarobku.

Wychylając głowę z powozu, rozpatrywałam miasto o ile oko objąć mogło. Jest ono piękne i obszérne, ma dużo gmachów murowanych i pięknych domów. Ślady tatarskiego panowania, znikły zupełnie pod przekształceniem cywilizacyi europejskiéj. Ulice szerokie, brukowane, uniwersytet, obserwatorjum, gimnazja, fabryki rozmaite, każą zapominać, że się depce ziemię, ojczyznę najezdniczych Tatarów, żyjących napadami i łupieztwem.

Po niemałym upływie czasu, urzędnik się przebudził, i papiery zostały zwrócone przewodnikowi naszemu. Bez przeszkody zatém, puściliśmy się w dalszą podróż.

Narody składające gubernję Kazańską, zamieszkałe tak po prawym jak i po lewym brzegu Wołgi, przedstawiają wielką rozmaitość: Czeremisy, Mordwiny, Czuwasze, Woljaki, Wogulicze, Tatary, każdy przemawia odmiennym językiem, odróżnia się ubiorem, religją i obyczajem. Tatary jednak, jak się zdaje, są w liczbie przemagającéj.

Kraj ten, ma fizjonomję szczególnie azjatycką. Wioski drewniane, w większéj ilości jeżą się drewnianemi

minaretami. Wśród rozlicznych ubiorów, bieleje gdzie niegdzie turban na głowie *Mułły*, to znów powiewa zasłona, którą kobiéty twarz swą osłaniają.

Tatarki mają najczęściéj długie koszule, z przodu haftowane kolorowemi włóczkami, za cały ubiór. Tatarzy nie należący do stanu duchownego, noszą ubiór prawie zupełnie podobny do ubioru, którego używali u nas żydzi cokolwiek dawniejszéj daty. Składa się on z kaftanu o krótkich rękawach, bez fałd z tyłu i na przodzie, oraz czapki spiczastéj z dużemi skrzydłami, podszytéj futrem. Inni noszą szlafroki i krymki na głowie, zupełnie podobne do żydowskich.

W czasie mojéj podróży przez kraj wzmiankowany, za każdym przeprzęgiem koni, mnogi lud pobudzany ciekawością otaczał powóz, a przypatrzywszy się fizjonomij przybylców ze stron dalekich, brał się do rozpatrywania każdego sprzętu w szczególności. Nie przestając na świadectwie oka, dotykali się rękami każdéj rzeczy, która się im wydała godną uwagi. Kobiéty szczególnie, okazywały ochotę zaspokojenia bliżéj ciekawości, w czém nie robiłyśmy trudności, owszem uprzedzając onę pozwalałyśmy wszystko opatrzyć zbliżka.

Ta grzeczność z naszéj strony nie miała wielkiéj zasługi nie będąc zupełnie bezinteresowną; ubiory bowiem tych nimf nadwołżańskich, taką odznaczały się oryginalnością, że szczérą miałyśmy ochotę przypatrzyć się im zblizka. Dogadzałyśmy zatém własnéj ciekawości, pozwalając onym wolnego przystępu.

Ledwie że nie co stacya, takąśmy spotykały rozmaitość w ubiorach, jak gdybyśmy do innego zajechały kraju. Jedne nosiły na głowie, niby tablice piętrzące się pro-

stopadle nad czołem. Owe tablice naszywane były mnóstwem drobnych monet srébrnych i złotych, wydających brzęk za każdém poruszeniem głowy. Inne, nosiły niby diadem, wykrojony u góry w kształt półxiężycowy, tak, że końce zadarte tworzyły niby rożki. Ten diadem, równie jak tablica o któréj wyżéj wspomniałam, był upstrzony różnemi kruszcowemi ozdobami.

Piersi miały okryte monetami tak złotemi jak srébrnemi, rozmaitéj wielkości, które podziurawione i przewleczone na sznurek, tworzyły rodzaj bogatych naszyjników.

Nie skończyłabym, gdybym chciała wyliczać rozmaite ubiory, które mię uderzyły oryginalnością, a którym to opisom, brakłoby zawsze na dokładności; bowiem wrażenia schwycone w przelocie, notowałam tylko w pamięci, nie mając pod ręką ani papiéru, ani pióra dla zatrzymania odebranych wrażeń.

Na jednéj stacyi między Kazaniem a Permem, pewnie z ciekawości nie z grzeczności, przyszedł nas powitać *Głowa* wioski, Tatar już nie młody, ale jeszcze dość czerstwy, w zawoju i obszernéj sukni, prowadząc za rękę żonę, którą mi przedstawił. Miała ona głowę narzuconą zasłoną długą, okrywającą kibić i odzienie aż do dołu. Wszakże twarz była odkrytą.

Tę twarz miała tak ciężko nabieloną i naróżowaną, brwi tak mocno wykréślone jakąś czarną massą, że nie wyglądała na twarz ludzką, ale na maskę, lub na lalkę z pargaminu. Dodawszy do tego ubiór oryginalny, nie można się dziwić, że mi się wydało, że jestem na maskaradzie.

Wszelako poskromiwszy wzruszenie głupowatego po-

dziwienia, zaczęłam ile możności prowadzić rozmowę na serjo z przybyłemi gośćmi.

Świadoma już cokolwiek obyczajów tatarskich, wkrótce weszłam w pogadankę.

— Wiele żon masz?— zapytałam Muzułmana.

— Cztéry, odpowiedział.

— Dla czego nie przyprowadziłeś ich wszystkich?

— Tamte stare, już brzydkie, nigdzie ich z sobą nie biorę, a ta ma tylko lat trzydzieści dwa, z dumą odpowiedział stary małżonek, pokazując z zadowoleniem swoję połowicę.

— Wiele masz dzieci?

— Cztérech tylko synów a dziewięć córek, odpowiedział stary kiwając głową, jakby wyzywając użalenia.

Chcąc tę smutną, według niego okoliczność, wystawić ze strony pocieszniejszéj, przemówiłam:

— Wkrótce dużo za nie nabierzesz pieniędzy; zapewnie ładne?

— Albož wykarmienie dziewięciu mało kosztowało? Nie wiém czy odbiorę swoje pieniądze, odpowiedział bardzo na serjo, rachunkowy naczelnik familji.

Tak postępując od Kazania wśród ludności coraz odmiennéj, ziemią składającą, w czasach nie bardzo oddalonych, królestwo Kazańskie, przybyłyśmy do Permu.

To miasto, dziś stołeczne gubernji, jest liche i mało ludne, podobno liczy ledwie kilka tysięcy mieszkańców; leży nad rzeką Kamą. Nie więcéj jak przed laty pięćdziesięciu, była to nędzna wioszczyna: dopiéro w r. 1781 rząd rossyjski, uznał potrzebę przeznaczyć ją na miasto gubernskie, i dopiéro wtenczas, zaczęła się podnosić w ludność i budowle.

Perm jest jakby podnóżem gór Uralskich. Wyminąwszy to miasto, niedługo zaczęliśmy przebywać ten sławny gór łańcuch. Tu wnętrzności ziemi otworzyły swe skarby dla pracowitych zwolenników przemysłu. Piękne, ogromne wioski, wyglądające jak miasteczka, mające czasem po kilkaset domów, nowych, schludnych, wygodnych, pięknie zabudowanych, najprzyjemniéj uderzają oko, i rozgrzewają duszę. Wszędzie widno przemysł i pracę, odpłaconą dostatkiem i wygodami. Tu nie ściska duszy widok nędznéj lepianki, obok wspaniałego pałacu. Ani jednéj chatki nikczemnéj, ubogiéj.

Patrząc na dwieście, trzysta domów, pięknych, obszernych, zbudowanych ze smakiem, a to pod jeden zarys, jednostajnych i kształtem, i świéżością, jakby wszystkie jednéj powstały godziny, człowiek zaczyna dumać, dumać — nad potęgą, która ręką dzielną, mocą twórczą dźwignęła w pustyni, jakby siłą różczki czarnoxięzkiéj, nie pomniki próżności, nie gmachy przeznaczone dla zaspokojenia wykwintnych potrzeb jednego człowieka, ale przybytki wesołe i wygodne dla tysięcy familij, odbierających byt dobry w nagrodę swéj pracy.

Tą potęgą opatrzną, jest przemysł oświecony rozumem, i wsparty wytrwałą pracą.

Te wsie ogromne, wyglądające jak piękne miasteczka, są to osady fabrykantów pracujących koło kopalń kruszcowych. Nazywają je *zawodami*. Jedne z nich należą do rządu, inne do magnatów rossyjskich.

Całe pasmo gór Uralskich poryte jest kopalniami. Górnictwo jest główną gałęzią przemysłu. Najwięcéj przecie fabryk żelaza i miedzi. Wykopują się także w niemałéj ilości drogie kamienie, i szlachetniejsze kruszce.

Przejeżdżając pasmo Uralskie, spotykałam po stacyach niemało obrazów ofiarowanych na przedaż, dowód popędu do sztuk pięknych, wieśniaków pracujących koło kopalń. Obrazy te są improwizowane przez fabrykantów. Pospolicie figura świętego lub świętych, malowana dość nędznie na drzewie, niewiele zwraca uwagi; lecz główny efekt zależy na pejzażu, w pośród którego umieszczają wzmiankowane figury. Te pejzaże układane są wypukło z bryłek kamieni samorodnych, nieszlifowanych, w rozmaitych kolorach. Topazy białe, dymione, rozmaitych kolorów, ametysty, akwamaryny, krwawniki, szmaragdy, chalcedony i inne, składają się na zrobienie efektu, i nie można zaprzeczyć, że takowe obrazy są bardzo oryginalne, a nawet ładne.

Łańcuch gór Uralskich w poprzek, ma dość znaczną szerokość. Jadąc z Permu do Ekaterynburga, przebywa się gór łańcuch w ukośnym kierunku, przeto oznaczyć z pewnością téj szerokości nie można; wszakże pnąc się z góry na górę, jedzie się mil kilkadziesiąt, gościńcem dobrze zrównanym, jak wszystkie drogi rządowe rossyjskie.

Góry owe okryte są lasem i kamieniami kolosalnéj wielkości. Bryły te olbrzymie, wznosząc się jak domki nad powierzchnię ziemi, jedne stérczą pojedyńczo, opodal jeden od drugiego, łyse, nieruchome, jak zaklęte olbrzymy, urągając swą nagością wichrom i śniegom, które do nich przystać nie mogą; inne, nie mniéj ogromne, wspiérając się jedne o drugie, piętrzą się to w piramidy, to w inne najfantastyczniejsze kształty; niby ręka czyjaś, bawiąc się temi masami, jakby dziecko śnieżką, cisnęła je jedne na drugie, tylko dla igraszki.

Wiekowe drzewa, napróżno rozpościérają swe ramiona aby osłonić nagość tych olbrzymów pustyni; zawsze one, latem czy zimą świécą swém ciałem obnażonèm.

Przejechawszy grzbiet Uralów, odkrywa się oku piękne miasto Ekaterynburg, należące do gubernji Permskiéj, lecz nierównie piękniejsze od swéj gubernskiéj stolicy.

Ekaterynburg leży nad Isetem. Jasny dowod, że się przebyło grzbiet Uralow, i że się znajduje na wschodniéj pochyłości tego gór łańcucha, to, że wody wypływające z gór, zaczynają należeć do innego systemu. Dotąd, rzeki biorące początek w górach Uralskich spływały na zachód, i tam, jedne biorąc kierunek na południe, wlewały swe wody do morza Kaspijskiego, drugie zwracając się na północ, tonęły w oceanie lodowatym. Teraz przeciwnie, wody płyną na wschód, dążąc wszystkie do olbrzymiéj Oby, która przyjmując dań z południa, zachodu i wschodu, rozramienia swe wody i przynosi je do odnogi, któréj nadaje swe nazwisko.

Ekaterynburg, chociaż założony niedawno, bo dopiéro w r. 1723, jest miastem pięknie zabudowaném i ludném; tu jest główny zarząd górnictwa, i mennica państwa. Prócz tego, to miasto posiada wiele fabryk kruszcowych i szlifiernię kamieni.

W Ekaterynburgu, za bardzo mierną cenę można dostać kosztownych kamieni. Ametysty, opale, chalcedony, chryzolity, górne kryształy, topazy, akwamaryny, szmaragdy i mnóstwo innych, to oszlifowane, to do oprawy, to lekko oprawne, nastręczają się do kupienia. Jak zgłodniały Arab, co znalazłszy wór pereł na pustyni, potrącił nogą z pogardą i powiedział: »*to tylko perły*« równie i ja spójrzałam z obojętnością, i pojechałam daléj.

3**

Wszakże, gdyby mi wolno było iść za poruszeniem woli, radabym była zatrzymać się dłużéj na tym gór pasie, przypatrzéć się bliżéj fabrykom, wyrobom, zarobkowaniu i sposobowi życia. Dobry byt w massach, to widok miły dla duszy, pouczający dla rozumu.

Dotąd jechałyśmy saniami po wcale dobréj drodze, a ponieważ dążyłyśmy na wschód-północ, miałyśmy nadzieję zajechać bez przeszkody, nie będąc zmuszone odmieniać rodzaju powozu, przynajmniéj do Tobolska. Wszakże wjeżdżając do Ekaterynburga, inny przedstawił się nam widok. Zamiast śniegu, konie miesiły nogami szare i rzadkie błoto.

Było to dla nas wcale niemiłe zdziwienie. Zajechałyśmy na kwatérę: tymczasem nasz przewodnik poszedł zasięgnąć wiadomości, i stosownie do nich obmyślać środki dalszéj podróży. Niedługo wrócił z niepocieszną wiadomością, że daléj ku Tobolskowi śniegu nie ma, a zatém że tu wypada rozstać się z saniami.

Arcy nieprzyjemna była to dla nas okoliczność: mając worek źle opatrzony, bez nadziei podkrzepienia go z jakiéjkolwiek strony, niepodobieństwem było zaopatrzyć się choćby w najlichszy powóz kołowy na własność, trzeba było zdecydować się jechać *perekładną*, czyli wózkiem pocztowym.

Nie było nad czém myśléć. Wygodne sanie zostały własnością gospodarza domu, w którymeśmy się zatrzymały, który wspaniałomyślnie, jak mówił przez wzgląd na nasze położenie, zapłacił za nie kilka rubli naszemu przewodnikowi; my zaś, przełożywszy rzeczy nasze na wózki pocztowe, puściłyśmy się daléj.

Może będzie się uważać za zbytnią pieszczotliwość,

jeżeli powiém, że te wózki są niewygodne, prawie nie do wytrzymania. W takim razie niech mię wymówi płeć, wiek, i nieprzywyknienie. Wózki te są krótkie, a zatém nad wyraz trzęskie; przytém są płytkie i mają przód tak podniesiony, że siedząc, trudno utrzymać równowagę. Za każdém wstrząśnieniem, trzeba koniecznie podskoczyć w górę na ćwierć łokcia, co w końcu sprawia taką dolęgliwość, że mimo wiedzy i woli, często ból łzę wyciśnie.

Przebywszy po błocie ulice Ekaterynburga, i oddaliwszy się nie więcéj jak na wiorstę od tego miasta, znaleźliśmy się znów na gościńcu okrytym śniegiem; jedziemy daléj, wszędzie śnieg okrywa okolicę rozściełającą się przed okiem. Rozpoczynam rozmowę z woźnicą, i ze zdziwieniem dowiaduję się, że oprócz samego miasta Ekaterynburga, nigdzie się nie spotkamy z błotem, po drodze do Tobolska. Tenże sam woźnica powiedział mi, że cały sztat pocztarski mocno był zdziwiony, kiedy zapotrzebowano dla nas powózek kołowych zamiast sani.

Pomiarkowałam, że jesteśmy ofiarą jakiegoś niewyrozumienia, czy też oszukaństwa. Każę zatrzymać konie, wołam podoficera, któremu komunikuję powziętą wiadomość, a razem zapytuję, kto mu dał informacyę tak niezgodną z prawdą, względem zginienia śniegu na gościńcu.

Pokazało się, że podoficer nie pytał daléj, jak u gospodarza zajezdnego domu, który zapewnie dla marnego zysku na saniach, nie wahał się oszukać fałszywą wieścią.

Taki fałsz wierutny oburzył naszego przewodnika, który nie chcąc wyjść na fryca, posyła dwóch żandarmów na powrót do Ekaterynburga, z rozkazem zwróce-

nia pieniędzy i przyprowadzenia zostawionych sani. W razie zaś, gdyby nabywca się upiérał, z poleceniem udania się do władzy.

My tymczasem puściłyśmy się w dalszą drogę do następnéj stacyi. Przyjechałam zmęczona niewymównie podróżą kołową w tak niewygodnym ekwipażu; rada więc byłam, że się nastręczył pretext odpoczynku, wypadało bowiem czekać na żandarmów, którzy nie wracali.

Po długiém oczekiwaniu, wrócili żandarmy, ale bez sani. Wspaniałomyślny nabywca, który zapłacił rubli kilka assygnacyjnych, *przez wzgląd na nasze położenie*, nie chciał z rąk upuszczać swojéj zdobyczy; zwierzchność zaś, do któréj się odwoływano, zdecydowała, że ponieważ pieniądze zostały wzięte, czynność między stronami należało uważać jak przedaż dobrowolnie zawartą, któréj zrywać strony nie miały prawa.

Przegrawszy zatém sprawę, straciwszy rubli kilka na najęcie koni pod żandarmów, trzeba było poprzestać na perekładnéj. Na szczęście, żeśmy przesiadły na sanie, które ze wszech względów były wygodniejsze, a szczególnie, że nie trzęsły jak wózki.

Główna niedogodność na tém zależała, że co stacya trzeba było przekładać rzeczy coraz na inne sanie; dla mnie więc jadącéj bez sługi, był to obowiązek utrudzający. Ta okoliczność drobna na pozór, dawała mi nieraz powód do zastanawiania się nad niedostatecznością wychowania dawanego pewnéj klassie kobiét, która je robi najczęściéj zależnemi od usługi najemnéj. Zrobiłam postanowienie poprawiać złe nawyknienia, jakoż nadarzała się ku temu najlepsza sposobność.

Dalsza podróż odbywała się dość pomyślnie. Nigdzie

nie byłyśmy zmuszone przesiąść na wózki, bo sanna była wyśmienita.

Wjechaliśmy nakoniec do Tobolskiéj gubernji. Kto odbywał wielką podróż i niebardzo wygodną, wié jak przyjemnie zbliżać się do kresu, choćby nas tam nic nie nęciło. W położeniu niemiłém, zmieniając je, doświadcza się ulgi podobnéj do owéj, któréj doznaje chory złożony niemocą, kiedy go na inny bok obrócą.

Tobolsk jednak, był jeszcze daleko, o wiorst około tysiąca, ale wyobraźnia zaczęła się oswajać z przestrzeniami. Najtrudniéj wyminąć połowę wielkiego zakresu; późniéj, każdy krok na przód postawiony, ulgę przynosi.

Jechaliśmy dość pustą przestrzenią aż do miasteczka Tiumienia, leżącego od Tobolska o wiorst 250. Jest ono naczelne powiatu tegoż imienia; rzeka Tara rozdziela go na dwie połowy. Ma fabrykę odlewania dzwonów, i kilka innych.

W Tiumieniu jest zbudowany dom osobny dla chronienia łodzi, która umyślnie była zrobiona przez mieszkańców tiumieńskich dla przewiezienia przez wezbraną Tarę, Następcy tronu Rossyjskiego, który w roku, jak mi się zdaje 1835, zwiedzał Syberję.

Łodź ta, ma dach i boki obite wewnątrz materją wełnianą zieloną; białe firanki osłaniają ją dokoła. Nad krzesłem tronowém obitém pąsowym adamaszkiem, zawieszony portret i cyfra Najjaśniejszego Monarchy. Ławeczki łodź okolają.

Najznakomitsi Tiumieńczanie mieli sobie za zaszczyt w owéj pamiętnéj epoce, służyć za przewoźników Dostojnemu Podróżnemu, który, wywiązując się za przychylność, raczył umieścić na krawędzi łodzi swój podpis wła-

snoręczny, a razem, pozwolił w drugim szeregu umieścić nazwiska dziesięciu kupców, którzy przewozili.

Przywiązani Tiumieńczanie, ów napis za szkło oprawili, a łodź chowa się pod kluczem, jak relikwia narodowa.

Wyjechawszy z Tiumienia, niedługo stanęliśmy w Tobolsku. Miesiąc cały trwała podróż z Kijowa, bo wyjechawszy 11 Marca, przybyliśmy do téj stolicy zachodniéj Syberji, 11 Kwietnia.

Sanna droga dotrwała do końca podróży, choć pod jéj koniec wody zaczęły z gór lecieć, topione ciepłem wiosennego słońca.

Po odbytych formalnościach, wysiadłyśmy w *gościnnicy* Tobolskiéj. Jest to dom zajezdny z pokojami, przeznaczonemi dla podróżnych.

Po całomiesięcznéj podróży z ukontentowaniem, znalazłam się w wygodnym pokoju. Już dzwonek pocztowy przestał, dzwoniąc nad uchem, popędzać do wyjazdu; można było według woli rozrządzić swym czasem i osobą.

Zapomniałam prawie o konieczności dalszéj podróży; śniegi bowiem zaczęły topnieć, wody huczeć i zalewać koryto rzeki: jedném słowem, wszystko zdawało się wróżyć, że wszelka podróż na pewien czas musi być zawieszoną koniecznie, tém bardziéj, że z Tobolska do Berezowa nie ma innéj drogi, jak rzeki korytem, czy to zimą po lodzie, czy też latem na statkach. Wnosiłam zatém według wszelkiego podobieństwa do prawdy, że będę mogła wytchnąć w Tobolsku po długiéj podróży.

Zaczęłam pomału opatrywać życie nowe, na zupełnie nowém stanowisku. Wkrótce przybyło do naszego towarzystwa grono tak nowych, jak odnowionych znajomości; byli to mieszkańcy niegdyś naszéj okolicy, którzy nas poprze-

dzili do Tobolska. Zastałyśmy tam majora Szredera, niegdyś towarzysza służby wojennéj Seweryna Krzyżanowskiego, mieszkańca byłego Wielko-Polski; Antoniego Pawszę z Wołynia, Konstantego Wolickiego, Onufrego Pietraszkiewicza z Wilna, Ignacego Strumiłłę z Wołynia, Stanisława i Rafała Kiersnowskich z Nowogródzkiego. Karol hr. Marchocki uprzedził nas tylko na dni kilka do Tobolska. Ich towarzystwo rozbijało, jeżeli nie rozpędzało tęsknoty za tymi, których serce w żadnéj chwili życia zapomnieć nie mogło.

Już trzy dni bawiłyśmy w Tobolsku, zacząwszy rozgaszczać się w tém mieście, kiedy nas wszystkie trzy wezwano do gubernatora cywilnego, który nam oświadczył, że już odpoczęłyśmy dostatecznie, i że niezwłócznie powinnyśmy odjechać w dalszą drogę: ja, do Berezowa na północ, moje zaś towarzyszki odebrały przeznaczenie łaskawsze, bo na południe do Tarry, miasteczka powiatowego Tobolskiéj gubernji, leżącego równie jak Tobolsk nad brzegiem Irtyszu.

Miasteczko to, tak pod względem klimatu, jak innych wygód nie mogło iść w porównanie z Berezowem, leżącym o tysiąc siedmset wiorst względem niego na północ; wszakże panna Józefa Rżążewska zażądała zamienić miejsce swego przeznaczenia Tarrę, na Berezów.

Moje przedstawienia nie mogły ją odwieść od tego postanowienia. Otrzymawszy zatém pozwolenie rządu, dnia 17 Kwietnia, pożegnawszy z żalem naszych znajomych, puściłyśmy się jeszcze saniami, po lodzie Irtyszu do Berezowa.

Wody leciały z hukiem z gór nadbrzeżnych i napełniały koryto téj rzeki; wszakże krawędzie lodu nie oder-

wały się jeszcze były od brzegów, a zatém lód nie spłynął na powierzchnię wody, jak się dziać zwykło, gdy się brzegi oderwą. Ciągle więc konie brnęły w wodzie, tak, że nie mogąc pod nią widzieć drogi, pocztyljon razy kilka wjechał w przerąb zrobiony dla napoju bydła, i mało koni nie potopił.

Droga była najeżona trudnościami. Nieraz pomoc większéj ilości ludzi była potrzebną dla wyciągnienia z jamy lub śniegu; szczęściem miałyśmy za przewodników dwóch kozaków Berezowianów, którzy opatrzeni rozkazem gubernatora, mieli prawo żądać wszędzie pomocy w razie potrzeby. Miałyśmy zatém konwoj z kilku ludzi na koniach z drągami, od wioski do wioski.

Mimo tę pomoc, nie mogłyśmy dnia jednego przebyć jednéj stacyi; trzeba było zanocować na drodze.

Nazajutrz o południu stanęliśmy w Bronikowie, stacyi leżącéj od Tobolska wiorst 36. Jest to ostatnia stacya w kierunku Berezowa, do któréj latem idzie z Tobolska droga lądowa. Daléj na północ, nie można jechać inaczéj jak wodą. Wioska ta jest zamieszkałą przez ruskich osadników.

Przewodnicy nasi, przekonawszy się o zupełném niepodobieństwie posuwania daléj podróży, bo i inne transporta musiały się także zatrzymać w miejscu, gdzie ich bezdróż zaskoczyła, czekając odkrycia dogodniejszéj drogi, czy to lądowéj czy wodnéj, zatrzymali nas w Bronikowie; o czém posłano raport do gubernatora.

Jakkolwiek niemiło nam się uśmiéchała perspektywa przesiedzenia miesiąc może cały, w chacie chłopskiéj, bez żadnego towarzystwa, bez możności zaopatrzenia się w potrzeby do życia, musiałyśmy pogodzić się z naszém położeniem; w czém nie było wielkiéj zasługi, bo nie można było inaczéj. Robota ręczna i xiążki, są to rozrywki zawsze pod ręką kobiét; nie mogłyśmy wszakże jeszcze rozgospodarować się na nowém siedlisku, bośmy chwilowo tylko zajęły chałupę przeznaczoną dla urzędu pisarza poczty: z pomieszczeniem zaś na czas dłuższy czekano rozkazów z Tobolska.

Gubernator cywilny tobolski, odebrawszy raport o przyczynach wstrzymujących podróż naszę, z wielkiém naszém ukontentowaniem przysłał rozkaz, aby na powrót zwrócono nas do Tobolska, dla doczekiwania w tém mieście odkrycia żeglugi.

Rozkaz pomieniony podwójnie mię ucieszył. Z jednéj strony, zamienić miesiąc ciężkiéj samotności wśród brudnych ścian nędznéj chałupy wieśniaczéj, na miesiąc miłego towarzystwa z rodakami, to dość wesoło. Powtóre, pozostałe znużenie z podróży lądowéj, tym mi powabniéj przedstawiało podróż wodną, którą odbywając spokojnie, bez trzęsienia, śpiąc, chodząc, jedząc, czytając, robiąc robotę, można było dać wypoczynek zbolałym członkom.

Wróciłyśmy zatém do Tobolska, już nie Irtyszem, bo dla wielkiego wezbrania wody, ta droga stała się niepodobną do przebycia, tylko nas skierowano lądem, drogą letnią.

Z wielką zatém radością, powitałyśmy na nowo naszych przyjaciół.

Pobyt w Tobolsku.

Mając zabawić w Tobolsku kilka tygodni, trzeba było pomyślić o najęciu pomieszkania. Karol Marchocki, który prawie jednocześnie z nami przybył do Tobolska, był w tymże samym przypadku. Zgodziliśmy się zająć tymczasem dom jeden, i mieć wspólne gospodarstwo.

Wiosna przybliżała się żywym krokiem: śniegi topniały, ulice się oczyszczały, a jako dolna część miasta, w któréj mieszkaliśmy, jest wyłożona zamiast bruku, drewnianym mostem, bardzo prędko, korzystając z pięknéj pory wiosennéj, mogliśmy używać przechadzek i zaznajamiać się z tutejszém miastem.

Tobolsk leży na prawym brzegu Irtysza, w większéj części złożony z domów drewnianych, które bez tynku, rzadko zewnątrz malowane, wyglądają szaro, a zatém, wcale niewesoły dają pozór miastu.

Jest jednak kilkanaście cerkwi murowanych i kilka takichże gmachów, oraz kilka domów bogatych kupców.

Do znakomitszych budowli należą: dom rządowy o dwóch piątrach, i gmach zbudowany, jak mówią przez samych jeńców szwedzkich i ich sprzymierzeńców, zabranych pod Półtawą, po sławnéj klęsce odniesionéj tam przez wojska szwedzkie.

Dom archireja, należy równie do pierworzędnych, równie jak piérwsze, zbudowany na krawędzi wyniosłéj góry, panującéj nad dolném miastem, a razem służącéj za podstawę miastu górnemu.

Tak nazwane dolne miasto, leży na płaszczyznie, oblanéj w kolano wodami Irtysza; z przyczyny położenia mało wzniesionego nad powierzchnię wody, miejsce to jest wilgotne. Równość gruntu, nie urozmaica widoków, brak zaś budowli wydatniejszych kształtem, czy też rozmiarami, robi nudną jednostajność, a nawet ulice tak się wydają podobne między sobą, że tylko dobre oznajomienie z miejscowością, pozwala dostrzegać drobne różnice, umykające się przed okiem niewprawném.

Podczas jednéj z naszych przechadzek w gronie znajomych, nawiedziłyśmy Seweryna Krzyżanowskiego, który z przyczyny nóg sparaliżowanych nie mógł wychodzić z domu.

Onufry Pietraszkiewicz, będący w naszém towarzystwie, poszedł naprzód, aby uprzedzić półkownika o naszém przybyciu.

Krzyżanowski prosił, abyśmy wstrzymały wejście na kilka minut; Niemka zajmująca się u niego zarządem domu, zaprosiła nas tymczasem do swego pokoju.

Mniéj więcéj w kwadrans, byłyśmy wezwane.

Krzyżanowski siedział wgłębiony w krześle z poręczami, (à la Voltaire) gdyż członki pozbawione siły, potrze-

bowały podpory. Bielizna cieńka, świéża, choć nie nowa i surdut szaraczkowy, składały jego ubior.

Włosy ubielone, jak się zdaje, przedwczesną starością, rzadkie, długie, gładko rozczesane, spadały na plecy, sięgając prawie łokci. Twarz miał nadzwyczaj bladą i dużą, jakby nabrzękłą, wzrok przygasły.

Drżące usta i oczy, wyrażały wielkie wzruszenie. Widno, że chciał mówić i nie mógł.

Dał znak ręką, prosząc, abyśmy się zbliżyły do jego krzesła, aby mógł bliżéj z nami się powitać. (Było nas dwie, ja i Józefa Rżążewska).

Umysł Krzyżanowskiego był w tym momencie czysty, co niestety! nie było jego stanem zwyczajnym, powszednim, tylko wzruszenie odejmowało mu resztę władzy pozostałéj w sparaliżowanym języku. Jednak, mówił z nami jakiś czas przytomnie, choć z trudnością.

Wiedząc, że jedziemy do Berezowa, miejsca mu dobrze znanego, gdyż tam przemieszkał miesięcy cztérnaście, zalecał nam swoję gospodynię, u któréj mieszkał przez czas swego pobytu, radząc, abyśmy za przybyciem na miejsce, u niéj zajęły mieszkanie. Uspakajał nas, względem przesadzonych może niewygod, któremi nas zastraszano. Chwalił prostoduszność i gościnność Berezowian.

Cała ta rozmowa, szła z wielką trudnością. Trzeba się było więcéj domyślać z giestów i ruchu ust, niż ze słów wymówionych.

Po kilku chwilach rozmowy, która szła jako tako, władze umysłowe Krzyżanowskiego, musiały stanąć u kresu siły swojéj. Mówił jeszcze w rozpoczętym przedmiocie, ale widno było, że wyobraźnia jego zrobiła skok nad brzegi, znajomych mu, Tagu, czy Sekwany. Zapewniał nas, że znajdziemy w Berezowie kawony, melony, winograd, i inne przyjemności właściwe krajom południowym.

Rozmowa ta, według kierunku, jaki przybrała, wiele mię kosztowała; umyśliłam ją skrócić, żegnając gospodarza, który ten ruch postrzegłszy, zatrzymując ręką, sparaliżowanym wymawiał językiem: jeszcze... dłużéj.. jeszcze... dłużéj.

Bojąc się wszakże, aby te odwiedziny, nie podziałały szkodliwie na zdrowie Krzyżanowskiego, odłożyłam na inny raz powtórzenie i odeszłam.

Dla rozbicia myśli, wyszedłszy od Krzyżanowskiego, skierowaliśmy przechadzkę nad brzeg Irtyszu.

Wielkie błonie zalegające nadbrzeża téj rzeki, zalane wodą, wspaniały przedstawiało widok. Ścigając wzrokiem płaszczyznę równą, jak tafla źwierciadlana, oko ginęło w przestrzeni, dostrzegając tylko zdaleka między błoniami, gościniec siny, széroki, malujący się coraz wyraźniej, wyraźniéj, nakoniec łącząc się z Irtyszem, stanowiący jednę całość.

Tym gościńcem Toboła przybywając z zachodu, przynosi w dani Irtyszowi swe obfite wody.

Przestrzeń ta płaska, jak szyba wody, nieprzecięta, ani ograniczona żadnym innym widokiem, nie mająca innéj krawędzi nad błękit nieba, dziwnie nastrajała wyobraźnię. Oko duszy rozprzestrzenia wyobraźnię, umysł jest niescigniony w swym locie, ale dla oka zmysłowego podobny widok, to nieskończoność.

Wracając, zajrzałyśmy do *publicznego ogrodu*. Jest to mały kawałek ziemi, zasadzonéj brzozami i akacjami żółtemi, między któremi wiją się gracowane drożyny.

Tu i ówdzie, rozrzucone ławeczki do siedzenia; wreszcie jest tam dom zbudowany, dla zabawy publicznéj.

Może, gdybym zwiedzała w innéj porze ten ogród, wydałby mi się korzystniéj: ale przy drzewach z liści ogołoconych, które można palcem policzyć, przy wilgoci zresztą i nieczystości, nieuchronnéj w téj porze, ogródek ten wydał mi się bardzo lichym.

Na drugi dzień po obiedzie, byłyśmy u siebie, kiedy doróżka jednokonna stanęła przed gankiem naszego domu. Z wielkiém podziwieniem zauważyłyśmy, że gość przybyły z niéj nie zsiada. Hr. Marchocki, za zbliżeniem do okna, poznał półkownika Krzyżanowskiego, który nie władając swobodnie członkami, nie mógł wysiąść, z pomocą tylko swoich ludzi.

Upłynęło kilka minut, nim się zebrało dość osób dla wniesienia Krzyżanowskiego do pokoju, co było tém trudniejszém do spełnienia, żeśmy mieszkały na piętrze. Osłabienie Krzyżanowskiego było tak wielkie, że trzeba go było nieść na ręku, jak dziecko.

Przyjęłyśmy gościa naszego z rozrzewnieniem; a w niedostatku krzesła z poręczami, dla utrzymania bezwładnych członków, posadziłyśmy go na kanapie, i otoczyłyśmy poduszkami.

Tego dnia, Krzyżanowski mówił z daleko większą łatwością, niż poprzedzającego. Mówił dużo, jakby chciał nagrodzić sobie przymus, który nieraz krępuje, wolę jego, skazując język na milczenie wtenczas, kiedy myśli cisną się do głowy.

Z wielkiém ożywieniem, z wielomównością prawie, Krzyżanowski mówił o wielu rzeczach, uderzając to o przeszłość, to o terazniejszość, jakby czując, że momenta przytomności jego umysłu są mu porachowane, wydzielone skąpą ręką; chwytał chwile, aby z onych korzystać: jakoż, po upływie nie więcéj godziny, myśli zaczęły się mu plątać, poźniéj zupełnie się zmięszały. Mówił zawsze dużo, z wielkiém ożywieniem, ale ze smutkiem dawało się dostrzegać, że żaden promyk rozumnéj woli, nie włada mową.

Serce się ściskało, widząc taki upadek umysłu, niegdyś w całéj sile, który błyskał jeszcze chwilami, ale bardzo na krótko.

Starałam się skupić na powrót jego wyobrażenia, zwracając do przedmiotów, od których odstąpił. Napróżno! Myśl nie mogła zwrócić się na ścieżkę, z któréj się zbiła bez powrótu.

Zawsze ożywiony, wielomówny, robił mi różne zwierzenia osobiste; to znów mówił o przytomności ciągłéj, jakichś duchów niewidomych, które i w tym momencie, śpiewały mu jakieś piękne piosenki, których chciał nas nauczyć. Mówił, że te duchy ciągle mu śpiewają i uczą go swoich śpiewek.

To znów wpadając z materji w materją, prawił o Hiszpanji, Anglji, Holandji, o naszéj przyszłości. Jedném słowem: wyobraźnia wyemancypowana od pęt rozumu, wziąwszy język na swe usługi, bujała w szalonych podskokach, uderzając o wszystko, co niegdyś było dostępne jego wiedzy.

Służący, widząc ten smutny stan umysłu swego pana, chciał namówić, aby odjechał do siebie; ale Krzyżanowski go odtrącił. Widno, że w tym momencie potrzebował towarzystwa.

Bawił godzin kilka, lecz stan jego umysłu zawsze

w jednakowym był stanie, bez żadnego polepszenia. Wieczorem odjechał.

Pora coraz robiła się piękniejszą. Całe przyrodzenie wydobywało się z odtrętwienia, na które zima je skazała. Słońce przenikało żywiéj, ptaszki świergotały. Było to już 10 Maja.

Dano nam wiedzieć, że lody przełamały się na Irtyszu. Było to hasło blizkiego odjazdu.

Smutno się zrobiło. Przypomniał się ton znajoméj piosnki, która miesiąc cały brzęczała nad uchem, a która na chwilę ucichła; była: *daléj... daléj...*

Dla rozerwania myśli, poszłyśmy na brzeg rzeki, przypatrzyć się tryumfalnéj walce, wyswobodzenia jéj z pęt zimowych. Widok to powszedni, bo odnawiający się co roku, a jednak zawsze zajmujący. Byłyśmy, jak zwykle, w towarzystwie naszych rodaków.

Lód się był połamał; ogromne jego bryły posuwały się uroczyście przy huku i łoskocie po sinych bałwanach Irtyszu. Mnóstwo drobniejszych statków pruło już nadbrzeże oczyszczone z lodu, napełnione ludźmi różnego wieku, płci i stanu. Był to ruch wielki, wielkie życie. A każdy ruch miał cel pewny, każdy człowiek dopełniał obrótu szczególnego, wśród massy ruchów ogólnych.

Przypatrywałam się z pewném ukontentowaniem, śmiałości, zręczności, lekceważeniu, z jakiém mieszkańcy nadbrzeżni obchodzą się z żywiołem strasznym, niebezpiecznym, który wzburzony, rozdąsany, grzmi jeszcze hymnem walki i zwycięztwa.

Nie wiém, dla czego widząc człowieka prójącego spokojnie, z uczuciem siły, grzbiet niebezpiecznego żywiołu, więcéj uczuwam poszanowania dla jego dzielności, niż

gdy się rozpatruję w zdobyczach przemysłowych, które bez wątpienia więcéj kosztowały pracy i wysileń umysłowych.

Zdaje mi się, iż to pochodzi z przyczyny, że w piérwszym razie widzimy człowieka pojedyńczo występującego, tylko z zasobem sił własnych do walki, a zatém jemu samemu niesiemy hołd podziwienia; w drugim razie, człowiek pojedyńczy znika z przed oczu, a rozpatrujemy tylko dzieło człowieka zbiorowego, owoc pracy i mozołów wielu.

W zapatrywaniu się na zdobycia przemysłowe, zostawiamy na boku człowieka, a śledzimy na pozór myśl drobną w zarodzie, którą wiek podając wiekowi, pielęgnował, rozwijał, dokształcał. Pózniéj ta myśl, ta idea, kosztem tylu pokoleń wykarmiona, urosłszy w olbrzyma, zdziwia nas swą ogromnością, podbija nasze uwielbienie; lecz w miarę wielkości podziwianego przedmiotu, człowiek maleje, drobnieje: wydaje się jak pyłek przylęgły do bryły ziemi, która wykarmiła niebotycznego dęba.

Któż patrząc na ogromne drzewo, pomyśli o tym pyłku, miljon — miljonowéj cząstce ziemi karmicielki, zaległéj konarami dębu — potworu.

Wracając z nadbrzeża widziałam śliczne źwierzę, które nazywają *morałem*. Mówią, że jego ojczyzną są góry Sajańskie i Ałtajskie.

Jeszcze nie widziałam źwierzęcia równie pięknego kształtem. Skład ma podobny nieco do sarny. Jest wysmukły, zgrabny, o cieńkich nóżkach, krótkim ogonie; szyję ma wyniosłą, sierść krótką, gładką, koloru ciemnego. mówią, że rogi ma duże i gałęziste, jak u jelenia, lecz w tę porę kiedym go widziała, miał je pozrzucane; tyl-

ko w miejscu przeznaczoném na rogi, wyrastały mu szyszki miękkie, jakby z mięsa, porosłe włosem bardzo krótkim.

Mówią, że te szyszki rosnąc, bardzo szybko twardnieją, w miarę formowania się, i w przeciągu niedziel kilku, zamieniają się na gałęziste rogi.

Morał wzrostem, dochodzi niewielkiego konia.

Ten, którego opisuję utrzymywany był w stajni Jenerał-gubernatora zachodniéj Syberji x. Gorczakowa. Bardzo był oswojony i pospolicie chodził wolno po mieście.

Mówią, że morały łatwo dają się przyswajać; niektórzy lubownicy chowają je u siebie, jako bydło domowe.

Maja 12, gubernator kazał nas zawiadomić urzędowie, abyśmy były gotowe do podróży. Berezów choć jest stolicą powiatu graniczącego z powiatem tobolskim, tak jest niedokładnie znajomym w Tobolsku, że każdy o nim co innego prawił; wszyscy się jednak zgadzali na jedno, że nie znajdę tam nic prawie z pokarmów, do których przywykłam. Wypadła zatém potrzeba zaopatrzenia się we wszystkie przedmioty potrzebne do domowego gospodarstwa, tak w sprzętach, jak w zapasach spiżarniowych, które mogły przetrwać podróż kilkotygodniową, przy działaniu powietrza ocieplonego wiosenną temperaturą.

Byłam więc zajętą zakupowaniem rzeczy potrzebnych, i pakowaniem sprawunków, w czém mi rodacy dopomagali, za co szczérze byłam wdzięczną.

Podróż wodna ułatwiała transporta. Nie trzeba było oglądać się ani na ciężar, ani na objętość sprawunków; wszystko mogło zabierać się bez trudności, równie bez

niebezpieczeństwa stłuczenia: sprzeczność z podróżą lądową niewygodną, ograniczoną w zachceniach.

Największą, jak mi się zdawało, będzie dla mnie niedogodnością, pod względem wygód kuchennych, niedostatek nabiału. Zapewniano mię bowiem, że na cały Berezów są tylko dwie krowy.

Wiedziałam, że jarzyny, sałaty, owoce, z przyczyny klimatu, muszą być wymazanemi z katalogu potrzeb spiżarniowych, ale jak się obejść bez mléka, śmietany i innych nabiałów. Z Tobolska wywieźć tylko mogłam topione masło. Sama herbata, jedyna pociecha Sybiraków, która jak woda, stała się napojem dla nich nieodbicie potrzebnym do życia, przestraszała mię. Wiedziałam, że z nią będę musiała się spotykać na każdym kroku, że ona jest warunkiem niezbędnym gościnności, a ja znieść nie mogę herbaty bez śmietanki.

Są to małe nędze życia, niedostrzeżone wśród mocniejszych wstrząśnień; ale pośród apatij życia bez wzruszeń, i takie nędzoty, nabierają powagi.

15 Maja, wiosna zaczęła przymilać się piérwszym uśmiéchem młodości. Brzozy, przy ciepłym wietrze, powiewały spuszczonemi warkoczami zieloności, walczącéj jeszcze z szarością zimy. Już trawka zieleniała, skromne kwiatki wiosenne nieśmiało wyścibiały do słońca różnobarwne główki. Promienie słońca mocno dogrzewały. Korzystając tak z pory, jak z ostatnich dni pobytu w Tobolsku, zwiedzałyśmy to miasto i jego okolice.

Zdaje się, że dotąd nie wspomniałam jeszcze o górném mieście.

Leży ono na wielkiém podniesieniu względem dolne-

go, dla tego jest nierównie suchsze i piękniejsze. Widok z niego na dolne miasto jest zajmujący.

Przejście tylko z jednego miasta do drugiego jest bardzo utrudzającém, ponieważ część górzysta, na któréj zbudowane miasto nowe, oddziela się od starego, ścianami stromo uciosanemi i głębokim parowem.

Takowe przejście, łączące dwa miasta, ułatwia się w jedném miejscu dla pieszaków za pomocą kilkuset schodów, prowadzących stromo na górę; wszakże nie bez wielkiego utrudzenia; drugie zaś odbywa się gościńcem széroko rozkopanym, zwolna pochyłym i wyłożonym drewnianym pomostem.

Wszakże, mimo całe ułatwienie wjazdu, przez rozkopanie góry, rzucenie mostu na parowie, i wyłożenie drzewem pochyłości, wyniosłość tak jest znaczna, spadzistość tak przedłużona, że bez wielkiego wysilenia, bez odpoczywania razy kilka, wejść na górę nie można.

Za wejściem na górę, płaszczyzna kończąca pochyłość, ozdobiona jest pomnikiem, wzniesionym na cześć Jermaka, za dzisiejszego panowania. Składki Sybiraków pokryły koszta.

Górne miasto jest suche, schludne, o szérokich ulicach. Powietrze ma zdrowe. Dom rządowy, dom archireja, cerkiew *soborna* i lazarety, stanowią ozdobę téj części miasta. Domy wszystkie prawie są drewniane.

Zwiedzając tę część miasta, uderzył moje oko niewielki lecz ładny domek, ocieniony nawisłemi brzozami, mający fizjonomję europejską.

Zapytałam.

Powiedziano mi, że jego właścicielem jest *Cejzik*,

mieszkaniec niegdyś naszych prowincij, wsławiony piękném fabrykowaniem wycisków na glinie.

Weszłyśmy nawiedzić rodaka, który podobno lat ze dwadzieścia mieszka na Syberji. Wygląda jeszcze wcale czerstwo.

Cejzik ma mieszkanie własne. Domek jego otoczony ogródkiem niewielkim wprawdzie, ale czysto utrzymanym, mieszczącym w sobie krzewy, kwiaty, ścieżki gracowane hojdawkę, a nawet inspekta i potażernię, przypomniał mi fizjonomję naszego kraju, tak różną od Syberji. W tym kraju bowiem, nie przecisnął się jeszcze gust piększenia mieszkań naturą, podciągniętą pod prawidła sztuki. Może dla tego, że tam przyrodzenie z całą wielkością i rozmaitością, roztoczone u progu każdego domu, zaćmiłoby karłowate pokuszenia się sztuki; może też, że uczucie onéj, jeszcze się nie rozbudziło w tych wychowańcach prostéj natury.

Wyroby gliniane Cejzika mają wielką wziętość na Syberji. Podczas zwiedzania téj prowincyi przez Następcę, mieszkańcy tameczni zamówili u wymienionego artysty tacę glinianą, którą złożyli w ofierze Dostojnemu Podróżnemu, jako owoc wyrobów sybirskich, a która, jak mówią, była przyjętą łaskawie.

Cejzik ma dużo odbytu na swe roboty. Z odległych miejsc Syberji zamawiają u niego urny, wazony, pomniejsze naczynia ku ozdobie, a nadewszystko mnóstwo rozchodzi się fajek.

Roboty jego zalecają się pięknym rysunkiem i delikatnością. W każdém miejscu zasłużyłyby one na uwagę.

Wielki ruch panuje w tych dniach w Tobolsku. Kupcy żeglarze ładują statki, które wyprawiają na morze

Obskie, dla wyładowania je rybami: reszta zaś mieszkańców przyjmuje udział mniéj więcéj żywy, w odjeździe Naczelnika zachodniéj Syberji, generał-gubernatora x. Gorczakowa, który uznał za lepsze przenieść swe mieszkanie, a razem sztab główny do Omska, miasta będącego dotąd naczelném prowincyi tegoż imienia, dziś wcielonéj częścią do gubernji Tobolskiéj, częścią do Tomskiéj.

Miasto to leży nad Irtyszem, na pograniczu stepu kirgizkiego, w okolicy stepowéj.

Mieszkańcy Tobolska żałują ulubionego władcy, którego ludzkość wszystkich serca pociągnęła. Wiedzą, że wiele stracą z jego odjazdem. Urzędnicy zaś należący do sztabu, szczególnie ich familje, żałują domów własnych, zagospodarowanych oddawna, żałują towarzystwa do którego nawykły, i innych przyjemności, z któremi rozstać się trzeba.

Opuszczenie siedliska, w którém się przeżyło lat niemało, zazwyczaj ma cóś zasmucającego.

Gdzie tylko obrócić krokiem, wszędzie się napotykało cechy tego odjazdu. Tu dom wielki, przed chwilą ludny, pięknie umeblowany, świeci obnażonemi ścianami; drzwi, okna poodmykane, resztki sprzętów w nieładzie, czekają aż za chwilę przyjdzie kto je zabrać i odniesie na statki służące do przewozu. Tam pożegnanie familijne; gdzieindziéj smutna, ostatnia uczta przyjacielska.

Poszliśmy nad brzeg Irtyszu. Jaki ruch, jaka ciżba! Zdaje się, że pół Tobolska jest w tym momencie nad brzegiem rzeki. Jedne statki ładują się różnemi sprzętami, mającemi odpłynąć do Omska; inne w przeciwnym kierunku, ładują mąkę i inne różne wiktuały, dla północnych mieszkańców gubernji Tobolskiéj.

Tobolsk ma jeden kościoł ewangielicki; katolickiego zaś niéma żadnego. Składki zebrane na pobudowanie kościoła dla wyznania rzymsko-katolickiego, pokazały się bardzo niedostatecznemi, mimo gorliwe starania i ofiary małéj liczby mieszkańców tego wyznania. Tymczasem posługę duchowną dla katolików tobolskich, odbywają Dominikanie mieszkający w Tomsku.

Tomsk leży o wiorst 1,430 od Tobolska, tam jest kościoł katolicki jeden na całą zachodnią Syberję. Xięży do niego przysyłają zazwyczaj z naszych prowincyj. Ci xięża mają obowiązek, co rok objechać swoję parafiję, która się rozciąga: od gór Uralskich postępując na wschód, do Jenisseja; od stepów zaś kirgizkich na północ do morza Lodowatego.

Cały rok ledwie wystarcza do przebieżenia téj ogromnéj przestrzeni. W znaczniejszych punktach, xiądz zatrzymuje się na dni kilka: wówczas uwiadomieni pobliżsi mieszkańcy rzymsko-katolickiego wyznania, zbierają się dla dopełnienia obrzędów swego kościoła: spowiedzi, chrztów, ślubów; które dopełniwszy xiądz, puszcza się w dalszą podróż bez zwłoki, przebywając od punktu do punktu, sta i tysiące wiorst.

Trzeba pomieszkać czas jakiś w Syberji, wcielić się w życie tamecznych mieszkańców, aby oswoić wyobraźnię z olbrzymiemi rozmiarami przestrzeni. Jak ciasno w naszéj Europie dla mieszkańców pustyń sybirskich!

Tobolsk jest zwykle ostatnim kresem urzędowych wę-

drówek duchowieństwa tomskiego. Xiądz zwykle tam przybywa przed końcem zimy, a nie posuwając dalej na północ swych wycieczek, przed świętami Wielkiejnocy, po długiéj podróży wraca do Tomska, i znów po odkryciu żeglugi rozpoczyna krąg na nowo.

Od Tobolska na północ, xięża katoliccy nie bywają posyłani. Liczba mieszkańców tego wyznania zapędzonych w północną strefę jest tak małą, że rząd nie uznaje potrzeby posyłać duchownego urzędnika, dla opatrzenia duchownych potrzeb małéj garstki. Katolicy zatém tych pustych okolic, muszą czekać bez obrzędów po lat kilka, nim los ich nie wyprowadzi w inną stronę.

Ceremonje pogrzebów zwykle dopełniane bywają przez xięży wyznania greko-rossyjskiego.

16 Maja, statek, na którym miałyśmy odpłynąć do Berezowa, należący do kupca Brahina, jeszcze nie był gotów, to jest nie zupełnie wyładowany; za cośmy się nie gniewały. Każda chwila przedłużona pobytu naszego w Tobolsku, zdawała się być skradzioną samotności i tęsknocie.

Samotność nigdy mi nie ciężyła, owszem, godziłam się z nią z pewném upodobaniem nawet; jakkolwiek lubię towarzystwo, umiałam zastąpić jego niedostatek, i nigdy nie doznawałam nudy, będąc sam na sam z sobą. Dla czegoż samotność czekająca mię w Berezowie, przerażała moję wyobraźnię, straszyła jak massa głębokiéj ciemności, w któréj dostrzedz nie można ani dna, ani brzegów?

Samotność zawarowana tylko grubością ściany i ryglem zamka, mogąca ustąpić za najlekszém poruszeniem woli, nie jest właściwie samotnością; jest raczéj ustro-

nieniem chwilowém, odświeżeniem sił, wypoczynkiem: ale zerwanie wszelkich stosunków z przeszłością, usunienie na metę tak daleką, że żadne echo dolecieć nie może ze świata naszéj duszy, to samotność prawdziwa, straszna samotność!

Nakoniec, zbliżyła się chwila odjazdu. 17 Maja dano nam wiedzieć, że statek, na którym miałyśmy płynąć, za kilka godzin wyruszał w podróż. Rzeczy nasze były już na statku. Troskliwość naszych przyjaciół zastąpiła naszę, wyręczyła we wszelkich trudach. Kobieta w każdym wieku, w każdéj okoliczności czuje potrzebę opieki i wdzięczną jest za nią; jakoż i my przyjmowałyśmy ze szczérą wdzięcznością oznaki pieczołowitości naszych przyjaciół.

Wreszcie, pożegnawszy znajomych, pożegnawszy tych z przyjaciół, których zajęcia popychały w inną stronę, w orszaku niewielkim, smutno udałyśmy się nad brzeg Irtyszu.

Statek przeznaczony do naszéj podróży, stał na kotwicy na głębi rzeki. Dla dostania się do niego, trzeba było płynąć łódką. Niektórzy z naszych znajomych pożegnali nas u brzegu; inni, jak to: Karol Marchocki, Konstanty Wolicki i Kiersnowscy, towarzyszyli nam aż do statku.

Statek ów, przeznaczony na morze Obskie, dla przyjęcia ładunku ryb, był jeden z większych między temi, które corocznie odbywają żeglugę na morze Lodowate w takimże celu; podnosił pudów dziesięć lub jedénaście tysięcy. Znalazłyśmy na nim przygotowaną dla siebie kajutę, czyli mały pokoik pod pokładem, jedyny jaki się znajdował na owym statku; ciasny wprawdzie, dość

ciemny, a nawet zapakowany skórami i wódką, które nie nader miłą woń wydawały, wszakże nieocenionéj wartości ze względu, żeśmy miały niejakie ustronie, własny kącik wśród tłumu ludzi nieznajomych, których nie chcielibyśmy mieć powiernikami każdego słowa, każdéj czynności.

Nim dano hasło do odjazdu, ziomkowie nasi pomagali nam porządkować rzeczy, rozgospodarowywać się w naszém chwilowém mieszkaniu, a razem używaliśmy tęsknéj słodyczy ostatniéj rozmowy poufałéj, ostatniéj zamiany myśli i uczuć, których zapas, powinien był wystarczyć na długie lata samotności.

Upłynęło godzin kilka, nim zebrano wszystkich flisaków, którzy się rozpierzchnęli, każdy w inną stronę, to dla pożegnań, to dla innych interesów, to zresztą dla upicia się w dobrém towarzystwie. My tymczasem, nie tęskniąc za odjazdem, przepędzaliśmy czas na pogadance.

Nakoniec z niechęcią, usłyszeliśmy potrójny wystrzał na statku naszym. Było to hasło odjazdu i wzajemnych pożegnań.

Podjęto kotwicę: statek nasz ruszył na północ, łódź niewielka odwiozła przyjaciół naszych ku brzegowi. Póki tylko można było dostrzedz białe chustki pływające w powietrzu, posyłaliśmy sobie jeszcze pożegnanie. Nakoniec, wszystko znikło. Bóg wie, pomyślałam sobie, czy nie raz ostatni dźwięki mowy rodzinnéj obiły się o uszy moje?

Podróż z Tobolska do Berezowa.

Była dziesiąta wieczorem. Świéża zieloność brzóz rozwijających się, zlewała się z szarością mroku; szmer wioseł, głosy flisaków przerywały jedynie ciszę wieczorną. Górzyste nadbrzeża Irtyszu, zmykały jedne po drugich z przed naszych oczu. Pogrążyłam się w dumaniu. Zrobiło mi się nad wyraz, smutno. Każde uderzenie wiosłem, oddalało mię coraz bardziéj i bardziéj od mojéj rodziny i niosło w kraj pusty, dziki! Stałyśmy obie z moją towarzyszką na pokładzie w milczeniu, zwracając mimowolnie oczy po za siebie, jakby goniąc za przeszłością. Każda z nas zebrana była w myślach własnych.

Dokoła noc, cisza, pustynia. Ciemność robiła się coraz głębszą, coraz bardziéj nieprzeniknioną; jednak nie chciało się zmieniać położenia; rozstawać się z myślami, w których się nurzało z pewném upodobaniem. Coraz ciemniéj i ciemniéj—już nie można rozróżnić żadnego drzewa, tylko jedna massa ciemna, groźna zaległa nadbrze-

ża. Niekiedy mignie wioska tatarska ze stérczącym minaretem, błyśnie ognisko, a odrywając na chwilę myśl od dum własnych, przeniesie w czasy Koczuma, Jermaka. Oba waleczni, oba zdobywcy, walczyli mężnie, lecz nie z równém szczęściem; piérwszy zwyciężony, wyparty z własnych krajów, pozbawiony przy lat schyłku, państwa, familji, bogactw i wzroku, xiąże tułacz, po wielkich klęskach w tułactwach, ginie śmiercią niewiadomą, dostarczając tylko historji piękną kartę, malującą wielkość duszy w nieszczęściu; drugi, po życiu zapełnioném poetycznemi przygodami, napadnięty od zwyciężonych, ginie nad brzegami Irtyszu. Wody téj rzeki może ich razem kości pomięszały: wszakże ich bojowania, jak różny wydały skutek. Państwo Koczuma musiało przyjąć prawa zwyciężców; familja przeniesiona na ziemię nie swoję. Jermak zaś swemi zdobyczami rozszérza państwo potężne, daje wstęp do innych zawojowań, zmienia posadę obszérnego kraju, zlewa tyle rodów różnych językiem, wiarą i obyczajami pod jedno berło, podciąga pod jedne prawa; a choć imię jego nie było sławne za życia, i owszem napiętnowane potępieniem, w lat 250 potomność przyznaje mu imię bohatéra i wznosi pomniki na cześć jego.

Długo, długo w noc przedłużałam dumanie; nakoniec, znużona chłodem, dumaniem i posępną czarnością nocy, spuściłam się pod pokład i weszłam do swojéj kajuty.

Nowość położenia, wspomnienia przeszłości, i mglista przyszłość, spędzały sen z powiek. Nie śpiąc, doczekałam świtania.

Skoro brzask zaczął rzucać mdłe światło przez małe okienko naszéj kajuty, ubrałam się, wyszłam na pokład

obaczyć kraj nowy, dowiedzieć się gdzie jesteśmy. Noc zdawała się długą, przepędzona bezsennie; ogromna woda niosła bez przerwy, wnosiłam zatém, że ogromna przestrzeń musi nas dzielić od Tobolska. Z wielkiém przeto zdziwieniem dowiedziałam się, żeśmy odpłynęli ledwie wiorst dwadzieścia od tego miasta. Kraj był pusty, dziki, jednostajny; zeszłam więc na powrót do kajuty.

Nasza kajuta, była to izdebka mająca cztéry łokcie szérokości, a sześć długości; otoczona w koło kilku rzędami polic, które służyły częścią za łóżka, częścią za skład rzeczy. Na stronie o szérszych policach, umieściłyśmy naszę pościel, a tak spałyśmy jedna nad drugą.

Ściany owéj kajuty pogrążone były w wodzie; w miejscu zaś, gdzie one wychodziły nad jéj powierzchnię, umieszczone było małe podłużne okienko, które będąc pod samą pościelą, mało dawało światła; wszelako, ponieważ górna polica, na któréj umieszczona była moja pościel, była tuż przy okienku, można było czytać usiadłszy na niéj. Polica więc owa sprawiała podwójny urząd: w dzień była sofą, w nocy zaś łóżkiem.

W godzin kilka znalazłyśmy się na wysokości Bronikowa, wioski, gdzie przed miesiącem bezdroż była nas zatrzymała. Daléj posuwaliśmy się brzegiem pustym; wszakże gdzieniegdzie dawały się postrzegać osady ludzkie i małe kawałki pola, które widno, że były uprawiane; jednak te ślady rolnictwa dawały się dostrzegać w bardzo małéj ilości.

Oprócz potrzebnéj czeladzi do robienia wiosłem, i ich dozorcy (*приказчикъ*), który miał zaufanie kupca, i do którego należał główny zarząd, było jeszcze kilka pasażerów; jako to: dwóch kupców berezowskich wracają-

cych z Tobolska po załatwieniu interesów i pani *Jaszczenko*, matka nauczyciela szkółki berezowskiéj, która wraz z córką jechała do Berezowa, dla odwiedzenia syna.

Ci podróżni mieścili się jak mogli na worach mąki, która była głównym ładunkiem owego statku, przeznaczona na potrzeby Berezowa i Obdorska, a razem jako towar, za który się nabywa ryby lub inne produkcye od mieszkańców przymorskich.

Mieszczono się więc na tych worach bez żadnéj ceremonji; służyły one za siedzenie, za łóżka, za stoły. Na środku statku był kawał miejsca próżnego, który był jakby salą ogólną; schody tam umieszczone prowadziły na pokład: inne zaś schody prowadziły do drzwiczek otwiérających się na wodę, które to drzwiczki ciągle będąc otwarte, służyły razem za okno dla całego wnętrza statku.

---

19 Maja, 1839.

Dzień ten zostanie dla mnie pamiętnym, bo przez chwil kilka, mały bardzo przedział rozdzielał życie od śmierci.

Skoro dzień zaczął rzucać światło przez małe okienko naszéj kajuty, spuściłam się z mojéj policy i wyszłam odetchnąć świéższém powietrzem.

Moja towarzyszka jeszcze spała, i wszyscy spali, bo było bardzo rano; wyjąwszy kilku flisaków trzymających straż koło wioseł na pokładzie i dwóch kupców berezowskich, wewnątrz statku krzątających się koło samowara.

Wyjrzałam przez drzwiczki otwarte, czas był prześliczny; słońce wschodzące wspaniale się przeglądało w nurtach Irtyszu, lasy nadbrzeżne zaczęły się pozłacać jego piérwszemi promieniami: a na statku zapach skór, wódki, dziegciu, ryby, dusił nie pozwalając odetchnąć całemi piersiami.

Chciałam wyjść na pokład, ale tam dym z fajek, dodany do powyższych zapachów, tak przemożnie walczy ze świéżém powietrzem, że zawsze bierze nad niém górę. Zaniechałam więc przedsięwzięcia.

Wtém spójrzałam na łódki przywiązane, które zawsze towarzyszą większym statkom. Służą one do wylądowania na brzeg, jeśli tego potrzeba, i do ratunku w czasie niebezpieczeństwa.

Jedna z tych łódek, właśnie w tym momencie podpłynęła pod same drzwiczki. Ochota mię wzięła korzystać wpełni ze świéżości poranku. Niedługo myśląc, spuszczam się w łódkę i już oddycham całemi piersiami, rada, że choć raz przecie, udało mi się oswobodzić od niemiłych zapachów.

Nie było mi pilno wracać nazad do statku, nie myślałam o tém, ale po chwili łódka zaczęła od statku się oddalać, coraz bardziéj i bardziéj. Będąc uwiązaną sznurem, nie mogła nigdy z nim się rozłączyć zupełnie; wszakże gdy odeszła na dość znaczną odległość, cóś mi się zrobiło przykro. Zdało mi się, że straciłam swą niezależność, i że odtąd jestem na woli kapryśnéj fantazji fal Irtyszu, które, to mię oddalały, to znów zbliżały do statku, wszakże nie na taką metę, aby można wygodnie dostać się nazad.

Raz przecie łódka tak się przybliżyła, iż postanowiłam probować szczęścia. Schwyciwszy zatém za linę, skoczyłam na gzyms wystający nad boki statku; lecz ten skok dając gwałtowny ruch łódce, odepchnął ją nagle na

kilka kroków, a ja, choć miałam już nogę na gzymsie, nie mogłam utrzymać równowagi, lecz całym ciężarem mego ciała zawisłam nad wodą, trzymając się tylko całą mocą liny, która była mojém jedyném zbawieniem.

Kawałki liny są pozaczepiane zwykle naokoło statku, które służą ku wygodzie i bezpieczeństwu, gdy się kto spuszcza ze statku na łodzie, a razem są środkiem ratunku w przypadku spadnienia z pomostu, którego z flisaków.

W tak przykrém położeniu starałam się naprzód dać sobie sama jakiś ratunek, ale widząc, że wszelkie moje pokuszenia są próżne zaczęłam krzyczeć wołając ratunku. Lecz krzyki moje były daremne. Na pomoście przy szumie wioseł słychać ich nie było, wewnątrz zaś, wyjąwszy dwóch kupców, wszyscy spali. Mnie zaś ręce zupełnie już zdrętwiały, traciłam sił ostatek, i widziałam już blizki moment kiedy będę musiała puścić się na dno Irtyszu.

Takie położenie trwało minut kilka. Wprawdzie kupiec Korepanów słyszał krzyk jakiś, wszakże myślał, że ten krzyk pochodzi z góry od flisaków, którzy krzyczą zawsze; ale nakoniec słysząc głos jednotonny, wychodzący z jednego miejsca, wychylił głowę przez drzwiczki, i obaczył moje położenie.

Młodszy kupiec, syn piérwszego, dwódziestoletni chłopiec, zręczny i śmiały, zrobił skok ledwie podobny do uwierzenia ze statku na łódkę, która odeszła była dość daleko. Gdyby się był nie obrachował dobrze z siłą i zręcznością, tę śmiałość mógłby przypłacić własném życiem. Na szczęście nie tak się stało: młody Korepanów w mgnieniu oka był w łódce, i tę skierował ku mnie. Wtenczas

ująwszy mię za plecy, mówił abym puściła linę, i powierzyła się mu zupełnie.

Jakkolwiek byłam zmęczoną, i traciłam ostatnią siłę, wahałam się, czy mam się puścić liny zbawicielki, widząc wodę pod sobą, a nie spodziewając się, aby mój wybawca w niewygodném położeniu, mógł utrzymać ciężar tak znaczny, szczególnie, że postawę musiał mieć koniecznie pochyloną. Wszakże moje położenie było naglące: nie było w czém wybiérać. Puszczam linę, a mój wybawca wciąga mię do łódki, którą przybliżył o ile miejscowość pozwalała.

Stanęłam na nogi, skoro byłam w łódce; wszakże ręce, nogi, i całe ciało z mocnego naprężenia tak drżały, że cała trzęsłam się jak gdybym miała paroxyzm najmocniejszéj febry.

Moja towarzyszka Józia, zbudziła się na wykrzyknik: *utonęła Polka;* wyleciała więc prawie bez przytomności w nocném ubraniu, i obaczyła mię już zmartwychwstałą: wszakże nikt tak nie wznosił rąk do Nieba, nikt nie okazywał tak szczéréj radości z mego ocalenia, jak kozak dany mi za przewodnika, który się przebudził na krzyk powszechny.

Takie współczucie poczciwego kozaka, prawie mię rozrzewniło; oświadczyłam mu szczérą wdzięczność: ale ten się wytłómaczył z naiwną prostodusznością, że mu chodziło o jego własną odpowiedzialność; że następstwa przypadku, który szczęśliwie wziął inny obrót, mogłyby być bardzo smutne, dla niego samego.

---

21 Maja, 1839.

Dzień brzydki, wietrzny, zimny. Nie można się było utrzymać na pokładzie dla chłodu. Przytém, położenie miejsca nie podniecało ciekawości; kraj pusty, nieuprawny, niższe miejsca porosłe gęstemi wierzbami, wyższe cedrem, modrzewiem i jedliną.

W nocy wiatr się zwiększył, statek musiał stanąć na kotwicy, i stał przez cały dzień następny.

Nudna to rzecz stać na kotwicy. Z razu gra bałwanów zajmuje nieco, wszakże jednostajność nuży prędko. Nie zostawało innego środka rozrywki, jak schroniwszy się do kajuty, czytać przy okienku. Szczęściem miałam książki.

Ku wieczorowi wiatr zdawał się ucichać, zdjęto z kotwic i statek popłynął. Wszakże, zaledwie się dostał na środek rzeki, fale tak mocno zaczęły kołysać, że nie można było utrzymać się na nogach. Przytém ci co byli mniéj zwykli do wody, zaczęli doświadczać morskiéj choroby. Pani Jaszczenko dostała mdłości, jéj córka womitów, Józia Rzążewska bolu głowy, ja zaś nudności.

W tém powszechném zamieszaniu, widząc, że pomoc moja nie przynosi ulgi nikomu, zaczęłam myśleć o sobie. Wydrapałam się na pokład, a chłód i świéże powietrze, zrobiły mi ulgę.

Odtąd, nie doświadczałam więcéj ataku choroby, nawet przy najsilniejszéj burzy.

Musiano znów zatrzymać się na kotwicy. Burza trwała dni parę.

Biédna pani Jaszczenko, przez cały czas trwania burzy, przedstawiała widok najsmutniejszy. Leżała ciągle, prawie bez czucia twarzą do ziemi, a skoro głowę podniosła, na nowo dostawała mdłości. Na mężczyznach zaś, którzy przywykli do wody jak kaczki, burza ta, nie robiła najmniejszego wrażenia. Spokojnie pili herbatę, poziewali, palili fajki lub spali.

Ku wieczorowi, burza ucichać zaczęła, a choć fale były jeszcze rozkołysane, puściliśmy się w dalszą podróż, z ukontentowaniem wszystkich.

Piękna to rzeka Irtysz! Na wiosnę ma szérokości wiorst kilka, płynie szybko, ściśniona wysokiemi górami. Wzniosłe brzegi, okryte są lasem, po większéj części cedrowym; podnóża tych wzniosłości i wyspy, porosłe są gęsto wierzbami.

Woda Irtyszu nadzwyczaj mętna; nie można jéj używać, czy to do kuchni, czy też do picia, bez oczyszczenia. Miałyśmy z sobą maszynkę do jéj filtrowania na nasz użytek, dla reszty zaś kompanji, skracając zachód, nalewano duże kadzie wodą, którą używano po ustaniu się.

Czas był ciągle brzydki. Zniknęła piękna pogoda wiosenna, która się nam tak mile uśmiéchnęła w Tobolsku. Znów burza zmusiła rzucić kotwicę.

Ledwie dnia piątego naszéj żeglugi, porównaliśmy się z *Demiańskiem*. Wieś ta jest ze znakomitszych, leżących po drodze z Tobolska do Berezowa; ma domów kilkadziesiąt, rachują od niéj do Tobolska wiorst 200. Wszakże rachunek ów jest domniemany; od Bronikowa bowiem, postępując na północ, niéma już ani drogi lądowéj, ani słupów wiorstowych.

Jadąc z Tobolska do Demiańska, widno jeszcze ślady rolnictwa; od téj wsi daléj na północ ciągną się nieuprawne przestrzenie, z przyczyny klimatu, coraz zimniejszego.

W miarę posuwania się na północ, pomimo, że to był koniec Maja, znikała zieloność wiosenna, która tak miło stroiła już lasy w okolicach Tobolska. Szarzały wiérzby obnażone z liści, które porastając gęsto, tak były wzniosłe i proste, że miały pozór lasu włoskich topoli, gdy te są obnażone z liści. Tylko wieczno-zielone szpilki cedrów i jodeł, zdobiły nagość lasów.

Natomiast w miarę posuwania się na północ, szybkim krokiem skracały się godziny nocy, tak, że od Demiańska, świt ze zmrokiem stykać się zdawały.

Powietrze mieliśmy ciągle zimne, ale podróż spokojną, aż do Samarowa. Ta wieś jest punktem najznakomitszym, między Tobolskiem a Berezowem, ważnym dla handlu, bo dwie rzeki najznakomitsze Irtysz i Ob łączą się nie opodal; zamieszkała jest przez Rossjan, zajmujących się po większéj części handlem. Do Samarowa dążą podróżni, uważając go za środek drogi, między wspomnionemi dwóma miastami. W tym punkcie, stykają się powiaty: berezowski i tobolski.

Od tygodnia trwała już podróż nasza. Zrazu, składając na bok troski osobiste, byłam zachwycona wielkim obrazem roztoczonym przed memi oczyma. Była to ogromna przestrzeń wody, owe lasy dziewicze, niezmierzone, bez granic, które wyobraźnia rozbudzona dopełniała, to uderzając o biegun północny, wieczne siedlisko lodów, pustyń i morskich potworów, to o kamieniste góry Uralu, o których krajowcy prawią tyle dziwów, wypiastowanych w wyobraźni, pełnéj wiary i dzikiéj fantazji, które przechowując, religijnie podają je jak prawdy święte, z pokolenia w pokolenia. To znów puszczając lot myśli, sięgałam na wschód od Oby aż do wysp Kurylskich. Pędziłam przez śniegi, lody, pustynie, ogromne rzeki, lasy pełne dzikich źwierząt. Po drodze, napotykałam na téj ogromnéj przestrzeni, rozsypaną biédną garstkę ludzi tułaczów, którzy zbłąkani w strefie sobie niewłaściwéj, w smutném sieroctwie, musieli się zbratać ze źwierzęty, przyjąć ich obyczaje, aby snadniéj wyżyć w ich ojczyznie.

To przyrodzenie wielkie, dzikie, noszące piérwotne piętno ręki twórczéj, niestarte jeszcze usiłowaniami człowieka, miało cóś dziwnie uroczystego. Dusza nurzając się w religijnym zachwycie, przebiegając łańcuch od Stwórcy do stworzenia, czuła swą wielkość, mogąc myślą objąć dzieła Boga tak dziwne, tak rozmaite, sercem mogąc je uwielbiać, i czuła swą małość w obec tych cudów potęgi, bez granic.

Wszakże te wzniosłe wrażenia, zlały się wkońcu w melancholiczne uczucie. Czém jest człowiek, pomyśliłam sobie w obec tego nieogarnionego dzieła wszechmocności? czém jego mizerne przeznaczenie, w łańcuchu wszechstworzenia? Drobna cząstka ogromnéj całości, któréj myśl w najbujniejszym polocie objąć granic nie zdoła, jak jeden listek strącony wichrem z téj massy lasów nieprzebytych; i on miota się przez chwilę, po przestworze, nie wiedząc jaką popychany siłą, nie wiedząc zkąd przyszedł, ani dokąd dąży, a jednak ma się za cóś ważnego.

---

25 Maja, 1839.

Pominąwszy Samarów, wpłynęliśmy na Ob. Co za przepyszny ogrom wody! Irtysz wlewając w tém miejscu swe wody do téj ostatniéj rzeki, nie gubi się wszakże w niéj od razu; tylko jak dwoje małżonków, złączywszy

razem byt, majątek, przyjąwszy jedno imię, zachowują jednak swoję indywidualność. Długo jeszcze wody Irtyszu i Oby, płynąc jedném łożem, rozróżniają się wszakże kolorem, jak dwie wstęgi różnobarwne, położone jedna obok drugiéj. Woda Irtyszu mętna, błotnista, odbija barwą szarą od czystszéj, ciemniejszéj, i przezroczystszéj wody Oby.

Ta ostatnia rzeka, wzbogacona wodami Irtyszu, który biorąc początek swój za granicami Rossji azjatyckiéj, przebiegając ogromną przestrzeń, zabrawszy po drodze wszystkie wody, biorące początek na wschodniéj pochyłości gór Uralskich, łączy się z nią koło Samarowa,— płynie po obszérnéj płaszczyznie, a nie mogąc w jedném korycie zmieścić bogactw swoich, dzieli je na rozliczne gałęzie, czyli ramiona, z których każde stanowi olbrzymią rzekę. Trzeba wielkiéj znajomości miejsca, aby nie zbłądzić w tym labiryncie wód krzyżujących się, chociaż dążących do wspólnego ujścia.

Płaszczyzna, po któréj wije się Ob wielu ramionami, to zbliżając swe wody, to znów je rozdzielając, zajmuje w szérz wiorst kilkadziesiąt, kształcąc nieprzeliczoną ilość wysep, porosłych płaczącemi wierzbami. Całą ową płaszczyznę, skąpaną wodami Oby, jakby w ramiona obejmują po dwóch stronach dwa brzegi wyniosłe, okryte cedrami, modrzewiem i jedliną. Te wzniosłe nadbrzeża, rozpoczynają ląd, panujący nad płaskiém łożyskiem Oby.

Zimno było bardzo przykre, północny wiatr dął napędzając często śniegu. Przytém drzewa bez liści, ziemia bez zieloności, nie pozwalały domyślać się nawet, że Maj zbliżał się do końca, i że przed półtora tygodniem widzieliśmy się już z wiosną i napawaliśmy się jéj wdziękiem.

---

26 Maja 1839.

Dzień był tak wietrzny, że znów statek musiał się zatrzymać na kotwicy.

Korzystając z odpoczynku, dozórca wziąwszy z sobą kilku ludzi i dwie łodzie wylądował na przyległym brzegu, a upatrzywszy piękny cedr, spuścił go na maszt do swego statku.

Robota nie trwała długo; maszt spuszczony nad samym brzegiem, woda łatwo przyniosła do statku stojącego na kotwicy.

Cztérnastoletnia córka pani Jaszczenko, wylądowała także dla użycia przechadzki na brzegu, a jak wypuszczony gołąb' z arki Noego, wróciwszy nazad, przyniosła trochę zieloności. Nie była to wprawdzie rószczka oliwna, ale kilka gałązek porzeczek i liścia piwonji karmazynowéj.

Było to godło niewątpliwe zbliżającéj się wiosny. Ja zaś te porzeczki i piwonje powitałam z uczuciem ledwie nie rzewném, jak się wita starą znajomość spotkaną w kraju dalekim.

Od Samarowa, przemykały się brzegi puste, bez osad ludzkich. Ta pustka jest jakby rozgraniczeniem siedlisk Tatarów od koczujących plemion Ostjaków.

Daléj posuwając się ku północy, gdzie niegdzie napotykaliśmy jurty Ostjaków. Dozórca naszego statku, zaraz wchodził z nimi w stosunki, posyłając łódkę ku brzegowi, lub sam wylądowując dla dostania żywności. Udawało się czasem dostać kaczek, świéżych jaj, lub ryby; lecz nie zawsze były te gody. Często nic znaleźć nie można było; wtenczas trzeba się było kontentować krupami lub mąką, które miałam w zapasie.

Zapasy pieczystego i chleba nie na wiele się zdały: co się nie zjadło, to się zepsuło. Chléb zakwitł; korzystałyśmy tylko z worka sucharków. Towarzysze naszéj podróży, mający więcéj doświadczenia, zamiast chléba opatrzyli się w suchary, i lepiéj im z tém było.

Postrzegłszy małą osadę Ostjaków, *prykazczyk* zaczął robić przygotowania do wylądowania; zapytałam o powód: dowiedziałam się, że ma zamiar kupować krowę, aby mieć nabiał przez czas pobytu na pustych brzegach morza Obskiego. Ta wiadomość obudziła we mnie wielką ochotę nabycia także krowy na gospodarstwo moje berezowskie; jakoż, *prykazczyk* podjął się komisu, a w kilka godzin, z wielkiém mojém ukontentowaniem, piękna krowa ryża przypłynęła na łodzi, z przyzwoitym zapasem siana, na kilkodniową podróż.

Zaraz mieliśmy śmietankę do herbaty i mléko, co nie mało się przyczyniło do wygód naszego życia; a co więcéj, już się nie bałam osychać bez mléka w Berezowie.

Tak wielka pociecha, kosztowała mię tylko rubli assygnacyjnych 23.

---

28 Maja 1839.

Po ranku bardzo pięknym gwałtowna zerwała się burza. Statek nie przewidując tak nagłéj zmiany, znajdował się na pełni rzeki. Powstał krzyk, hałas. Trzeba było zbliżyć się na miejsce płytsze, aby można zarzucić kotwicę. Z jednéj strony brzeg był wyniosły i nurt głęboki, a wiatr właśnie pędził ku temu brzegowi; do drugiego, gdzie była szyba wody nieco spokojniejsza, zbliżyć się przy wietrze trudno było. Bałwany gwałtownie kołysały statkiem. Najbieglejszych i najsilniejszych ludzi,

użyto do stéru. Była obawa, aby rudel się nie złamał, coby wystawiło statek na wielkie niebezpieczeństwo. Przygotowano ogromne wiosła, leżące umyślnie w zapasie, na podobny przypadek. Potrafiono jednak bez przypadku przybić do miejsca, gdzie woda tworząc kolano, zasłoniona była nieco od wiatrów okolającym lasem, i tam zarzucono kotwicę.

Przestaliśmy dzień cały na miejscu. Zimno było przenikliwe, śnieg padał pędzony mocnym wiatrem.

Nad rankiem wiatr ustał; puściliśmy się w dalszą podróż.

Brzegi rzeki, choć są jedyném zbiegowiskiem ludności całego kraju, bo massa lądu jest niezamieszkałą, przecież tak są puste, że ledwie co wiorst kilkadziesiąt można napotkać jurtę Ostjacką. Krajobraz od wpłyniena na Obę, nie zmieniał fizjonomji; zawsze ten sam ogrom wody otoczony tegoż rodzaju lasami, tylko coraz puściéj, puściéj. I łożysko rzeki zmieniło fizjonomję, bo ogromne głazy zaległy wybrzeża; gdzieniegdzie wystérkały z pod wody łyse ich wierzchołki. I te massy kamienne, w fantastycznych formach porozrzucane w wielkiéj ilości, zdawało się, że ogromem rozmiarów chciały sprostać dzikiéj wielkości tamecznego przyrodzenia.

Żegluga wymagała większéj ostróżności, bo nieraz ukryte kamienie dotykając statku, groziły jego całości; każde gabnienie, ostrzegając o niebezpieczeństwie, nabawiało niepokoju.

Fale wody wyrzucały na brzeg i osadzały na piasku drobne kamyki rozmaitych kształtów i koloru. Nie znając mineralogji, nie mogłam wiedzieć ich znaczenia, czego mocno żałowałam. Były jednak między niemi bardzo

piękne: przezroczyste i ciemne, zielone, gładkie i w żyłki, liljowe, marmurkowe, a najwięcéj mi się podobały kolorowe przesypywane jakby piaskiem złotym lub srébrnym. Gęstość ich była znaczna; zdaje się, że oszlifowane mogłyby być bardzo ładne.

Przypłynęliśmy nakoniec do Kondyjska. Jest to wieś złożona z chat kilkunastu zamieszkanych przez pokolenie ruskie. Wszakże główną znamienitością téj osady jest klasztor mnichów, wyznania greko-rossyjskiego, przeniesiony z Berezowa po spaleniu tego miasta w roku 1798.

Nie miałam ochoty, a nawet możności rozpatrywać się w miejscowości, bo powietrze było chłodne, wietrzne, a obie z Józią byłyśmy niezdrowe. Ona dostała fluxji, a ja róży w twarzy. Musiałyśmy zatém chroniąc się od zimna i wiatru siedzieć w kajucie.

Jakkolwiek Berezów nie miał dla mnie żadnéj ponęty, rada byłam, że przecie się zakończy podróż wodna, przedłużona, szczególnie w porze chłodnéj, kiedy nie można ogrzać powietrza, osuszyć go, ani nawet odświéżyć. Ta niedogodność najmocniéj daje się uczuć, kiedy zdrowie nie bardzo służy.

Nakoniec opuściliśmy Ob, a wpłynęli na Soswę, rzekę choć mniejszą od Oby, ale jeszcze bardzo znaczną, przenoszącą szérokością najznakomitsze z rzek naszych. Bierze ona początek w górach Uralskich, a zabiérając z sobą inne rzeki, wpada do Oby w małéj odległości od Berezowa.

---

31 Maja 1839.

Wpłynąwszy na Soswę, oczy wszystkich zwrócone były ku północy. Niedługo krzyk dał się słyszeć: *Berezów! Berezów!*

Płynęliśmy już dwa tygodnie. Ujrzenie lądu, do którego się dąży, jest zawsze ważnym wypadkiem, bo podróż wodna, jakkolwiek pod pewnym względem może być upodobaną, nuży jednak swą jednostajnością; choć na czas krótki, była to więc przerwa pożądana. Za postrzeżeniem więc Berezowa, powstał na statku ruch wielki. Każdy wbiegał na pokład, aby się przekonać o prawdzie własnémi oczyma, jakby drugim nie dawał wiary, chociaż najgruntowniéj był przekonany o prawdziwości twierdzenia. I ja też idąc za ogólnym popędem, ruszyłam tam, gdzie i drudzy.

Zaspokoiwszy ciekawość, każdy obrócił uwagę na siebie, i zaczął myśléć o własnych interesach, stosownie do nowéj okoliczności. Jedni się umywali, drudzy czyścili suknie, ci zbiérali swoje manatki w jedno miejsce, tamci się ubierali.

Gdy osobiste interesa były załatwione, zaczęto myśléć o sprawie ogólnéj. Dla większéj czci przypływającego statku postanowiono dać hasło potrójnym wystrzałem z armaty.

Patrzałam na ten ruch ogólny zazdroszcząc może tym, co na oddalonym jeszcze brzegu upatrywali znajomych sobie domów, znajomych postaci: ja zaś nie mając kogo wyglądać, nie mając zamiaru zmieniać ubioru, stałam nieruchoma na progu kajuty, jak posąg Ś. Jana nad szumiącą kaskadą.

Wkońcu, chcąc się ruszać jak inni, wyszłam na pokład, aby spójrzeć na artyleryjskie przygotowania; a nie mając własnych interesów, brać udział przynajmniéj w sprawie ogólnéj. Przytém miałam trochę ciekawości widzieć zblizka, jak się obchodzą z armatą.

Czekam. Jeszcze gromonośne narzędzie nie wydobyto na scenę. Wreszcie wchodzi *prykazczyk*, i stawi na pokładzie armatę wielkości dobrego szczura.

Śmiech mię wziął pusty widząc taką mistyfikacyę. Myślałam, że ze mnie żartują, wszakże wszystko odbywało się bardzo na seryo.

Skorośmy się zrównali z Berezowem, dano trzy razy ognia z rzeczonéj armaty, i nad moje spodziewanie, dosyć było huku. Wyciągnęłam zatém z tej okoliczności sens moralny, nie gorszy jak w wielu bardzo dowcipnych bajeczkach, że nie trzeba być wielkim, aby narobić dużo hałasu.

Zarzucono wreszcie kotwice, i wszyscy tłumem cisnęli się do łódek, aby co prędzéj stanąć na lądzie, gdzie ich wzywały rozmaite pobudki.

Nasz przewodnik kozak, mający w Berezowie i dom i matkę, wylądował naprzód, aby nam przygotować mieszkanie czasowe; ja zaś z moją towarzyszką, zostałyśmy w statku, bo do kogoż miałyśmy śpieszyć?

Bez niecierpliwości wyglądałam przybycia kozaka, a choć godziny mijały, mnie to nie obchodziło. Miałam czas korzystając ze zwłoki, przypatrzyć się Berezowowi od strony rzeki.

Wyjąwszy dwie cerkwie murowane i jeden dom duży, drewniany, żółto malowany, zbudowany na wzgórzu panującém nad rzeką, reszta miasteczka, złożona z małych drewnianych domków, najwięcéj o piętrze, ale zczerniałych od deszczu, niekorzystny miała pozor. Las cedrowy opasywał wkoło to miasteczko, wyjąwszy stronę przypierającą od rzeki, tak, że zupełnie zdawało się wyglądać z lasu.

W parę godzin horodniczy przybył wygodną łódką, dla odprowadzenia nas do przygotowanego mieszkania, nim sobie znajdziemy inne według woli.

Ta grzeczność horodniczego, który nalegał, aby przyjąć zaraz miejsce w jego łódce i udać się na ląd, przepraszając, żeśmy musiały czekać parę godzin, nabawiała mię pewnego kłopotu. Byłam ostatnim stróżem statku. Wszystko, co było człowiekiem, za przybyciem udało się na ląd. Rzeczy wszystkie będące na statku, nie miały żadnego schronienia zamczystego.

Nie mówiąc nic horodniczemu, powierzyłam obawę moję kozakowi przewodnikowi, który mię uspokoił, zaręczając całość wszystkiego. Nie wchodząc w dalsze objaśnienia, wsiadłyśmy do łódki wraz z horodniczym i kozakiem, zostawując wszystko, co było na statku, pod pieczą wiary publicznéj.

Pobyt w Berezowie.

Chcąc skreślić dobrze fizjonomję kraju, a nadewszystko dać poznać dokładnie życie i obyczaje mieszkańców téj krainy mało znajoméj, zdało mi się, że najlepiéj to dokonać potrafię, zachowując kształt dziennika, robiąc czytelnika powiernikiem wrażeń, jakie sama odbiérałam, prowadząc go za sobą, tak po samotnych przechadzkach, jak po balikach, lub jurtach Ostjackich.

Maleńki kącik ziemi, gdzie życie dla kobiéty w moim wieku i położeniu, musiało się koniecznie zaokrąglić, w bardzo małém kółku, wiém, że nie nastręcza wiele rozmaitości, nie ma na czém rozniecić ciekawości; proszę więc wcześnie o pobłażliwość. Z mojéj strony, brak ciekawych wypadków, zajmujących obrazów, będę się starała nagrodzić wiernością opowiadań, nie pozwalając sobie żadnéj przesady, żadnych faktów podrobionych. W imie więc prawdy wzywam pobłażliwości.

Dziennik spisany w Berezowie.

D. 31 Maja 1839. Berezow.

Wylądowaliśmy u przystani. Zastałam na brzegu mnóstwo ludzi różnéj płci, różnego stanu i wieku. Kolorowe sukienki, mantyle, chustki pstrzyły się jak kwiatki. Ludzi było jakby na jarmarku. Powzięłam wcale inne wyobrażenie o ludności Berezowa, od tego jakie miałam dotąd, widząc tak liczny zbiór ludzi na małym punkcie i to w dzień powszedni.

Przeszedłszy między tą ciżbą, udałyśmy się za przewodnikiem naszym horodniczym do przeznaczonego domu.

Po dwótygodniowéj podróży wodnéj, nie mając miejsca w kajucie na zrobienie trzech kroków, przyjemnie było użyć nóg i mieć dwa pokoje widne i czyste. Wszakże, ponieważ dopiéro na nasze przybycie w piecu zapalono, i było trochę swądu, gospodarz domu, kozak, zaprosił nas tymczasem do siebie, a według gościnnego obyczaju Sybiraków, poczęstował herbatą.

Ponieważ były to dnie postne, poprzedzające uroczystość Ś. Piotra, podano herbatę bez śmietanki, która nigdy mi nie smakuje, tém bardziéj, że byłam głodna. Wszakże nie zdało mi się przyzwoicie wkładać zaraz prawa na świadczoną gościnność; zamilczawszy o głodzie, czekałam momentu, kiedy będę mogła się rozgospodarować.

Piec był wkrótce wypalony, poszłyśmy do siebie.

Wszystkie nasze rzeczy i krowa, zostały na statku; powiedziano mi, że tego dnia nie podobna było zebrać ludzi dla sprowadzenia ich na ląd; wreszcie, nie mając jeszcze stałego mieszkania dokąd sprowadzać, prosiłam gospodyni, czy nie można kupić cokolwiek na rynku do zjedzenia.

—Tu nie ma rynku, odpowiedziano.

—Gdzież bierzecie żywność?

—Każdy się stara, gdzie może o przedmioty potrzebne do życia.

Jeszcze mi była ta myśl nigdy nie przeszła przez głowę, że miasteczko może się obejść bez rynku; wszakże, ponieważ to była prawda najrzeczywistsza, trzeba się było do niéj zastosować.

Poprosiłam, czy nie mogą co odstąpić ze swojéj spiżarni. Odpowiedziano, że w tym momencie nie mają nic, prócz kwaśnych kaczek, których może jeść nie zechcemy.

Głód nie jest wykwintny. Myśliłam, że to kaczki z jakąś kwaśną przyprawą, a głód pogodzi się z każdym smakiem, byle pokarm był pożywny. Prosiłam o nie. Lecz z wielkiém mojém zmartwieniem objaśniono mię, że *kwaśne*, jest wyraz zgrzeczniony na oznaczenie śmierdzącego mięsa.

Taka zaprawa przechodziła siłę naszego żołądka: nie było więc sposobu; trzeba było pójść spać na głodno, na przekor żołądkowi, który bardzo się oburzał na to postanowienie.

Nocy nie było wcale: dzień najdoskonalszy przyświecał dobę całą. W kajucie o małém okienku różnica ta nie tak się czuć dawała; choć widno było na pokładzie, u nas było ciemno, gdyśmy się zabrały do spoczynku. Tu zaś co innego: światło bez różnicy dnia od nocy; do tego, ściany domów sybirskich są gęsto podziurawione oknami. Nie wiém, zkąd się do nich przecisnął gust architektury, tak niestosownéj do klimatu.

Nie wiém, czy światło nocy, czy głód, czy nowość położenia sprawiły, żeśmy nie spały ani trochę téj nocy z moją towarzyszką

---

1 Czerwca, 1839.

Skoro gospodarze się przebudzili, zaczęła się krzątanina, i niedługo, nie wiedząc zapewnie, że nasz cukier i herbata zostały na statku, przyniesiono samowar kipiący do naszego użytku i trochę mléka.

Rzuciłyśmy na siebie wzajemnie wzrokiem z moją towarzyszką, i myśli nasze się zbiegły, uważając to pożywienie za cieńkie po wczorajszéj dyecie. Wszakże nie było co robić, Po wyjściu córki gospodarza, która opatrzyła nas samowarem, napiłyśmy się wody z mlékiem; ażeby przecie położyć koniec niewygodnemu położeniu, postanowiłyśmy pójść szukać kwatery, aby jakiekolwiek zaprowadzić gospodarstwo.

Z téj próbki możnaby powziąć bardzo fałszywe wyobrażenie o gościnności Berezowian.

Niedogodność, któréjśmy doświadczały, trafiła się dla tego, że był post ogólny u mieszkańców tego miasteczka, a podczas postu, Berezowianie zazwyczaj mają bardzo głodną kuchnię, bo nawet ryb nie jedzą.

Wyszedłszy szukać pomieszkania, udałyśmy się prosto do domu, który nam zalecił półkownik Krzyżanowski, i gdzie on sam przemieszkał cztérnaście miesięcy. Był to dom kozaka Kozłowa.

Nie znalazłszy rynku w Berezowie, także nie mając służącéj, pokazało się, że wszystkie marzenia o własném gospodarstwie były próżnemi; że nie zostawało innego środka, jak nająć mieszkanie wraz ze stołem, co robili wszyscy przyjezdni i urzędnicy bez familij; następnie, że wszystkie zapasy spiżarniowe były przywiezione daremnie.

Przekonawszy się o tém, zrobiłyśmy propozycje kozakowi, aby nas przyjął na mieszkanie i dał swój stół; ugoda prędko nastała, i zaczęto zaraz sprowadzać nasze rzeczy.

Tymczasem nowa nasza gospodyni dowiedziawszy się, żeśmy nie jadły obiadu, przygotowała nam wyborną kolację z kaszy w mléku i jakichś ciasteczek, nim zaopatrzy spiżarnię we źwierzynę i inne wiktuały.

Potwarz rzucona na Berezów w Tobolsku, była zupełnie bezzasadną; przeciwnie w Berezowie bydła jest dostatek i pięknego gatunku. Moja gospodyni nie licząc innych, miała krów z dziesiątek.

Zajęłyśmy zaraz przeznaczone dla nas pokoiki; było ich trzy, o bardzo czystéj podłodze, o ścianach wyklejonych obiciem papierowém.

Sprowadzono rzeczy nasze, rozgospodarowałyśmy się i zaczęłyśmy używać przyjemności własnego domu.

Gospodarz i gospodyni okazywali nam wiele uprzejmości, wiele współczucia. Rozciągnęli zaraz nad nami opiekę, nie jak usługę najemną, ale jak pomoc ofiarowaną z przychylności. Z troskliwością zajęli się zrobieniem nam pomieszkania naszego, o ile można wygodném, i takiém było istotnie.

D. 2 Czerwca, 1839.

Rozporządziłyśmy się w naszém pomieszkaniu, zrobiłyśmy porządek w sprzętach. Pokazało się, że krzesła, kanapka, stolik, któremi w troskliwości zbytecznéj o naszę wygodę wyzuwając się z najlepszych sprzętów, jakie miał w swoim domku, opatrzył nas Onufry Pietraszkiewicz, przesyłając je na statku do Berezowa, były zbyteczne, bośmy znaleźli sprzęty niewykwintne, z prostego drzewa, wszakże w dostatecznéj ilości w domu naszego gospodarza. Jednak, meble przywiezione zajęły miejsce honorowe w naszém mieszkaniu, podnosząc jego okazałość.

Patrząc na nie, rozmyślałam nieraz, jak dusza piękna, niezepsuta pomyślnością, niewyzięboina przeciwnościami, przy najniepomyślniejszych okolicznościach, umié wynaleźć środki do pomagania innym. Byłam świadkiem jak Pietraszkiewicz ograniczony w środkach, bo utrzymujący się jedynie z własnéj pracy, ściśniony niedogodnością swego położenia, umiał jednak być użytecznym wielu: radą, wstawieniem się, posługą osobistą, workiem nareszcie. Niezmordowana czynność, ograniczenie potrzeb własnych i gotowość do posługi, były jego sekretem.

Nasza gospodyni zamożna, gościnna, choć bardzo pro-

stych obyczajów, obchodzi się z nami, nie jak się obchodzą z lokatorami w naszych miasteczkach, którym mierzą kąski, ograniczają jak mogą wytargowane wygody, ale jak z gośćmi których Opatrzność nadarzyła. Co tylko dom posiada najlepszego, jest na nasze usługi: dobre ciasteczka, tłusta śmietanka do herbaty, stół obfity, posilny.

Prawda, że czasem przychodzą na stół potrawy dziwne, dla nieoswojonego podniebienia, jak naprzykład kaczki nalewane zimnym kwasem, zaprawionym śmietaną, które nam dzisiaj podano, lub piérogi z mięsem w mléku gotowane; jednak przy obfitości jadła różnego, które nam podają, głodnemi w żaden sposób być nie można.

Jak też dziś gorąco! Przeskoczyliśmy nagle od zimna do upałów. Wczora w piecu palono, dziś gorąco niezmierne. Wczora ziemia była szara, drzewa nagie, dziś trawa zazieleniała, drzewa zaczęły się rozwijać, czeremcha zakwitła. Czyste, czyste czary!!

Ledwie można wierzyć, że przespanych godzin ośm tak wielką zrobiły zmianę. Gdzież się podziała wiosna? Ta wiosna, która u nas poi zmysły taką roskoszą, która przedziela ostrą zimę od skwarnych upałów lata. Tu skok nagły; wczora tuliłam się w ciepłe odzienie, dziś upał tak silny, że trzeba się chłodzić wodą z lodem.

Cała okolica wczora martwa, dziś przywdziała szatę godową; każda roślina, drzewo, śmieje się młodością. Jednak szkoda, szkoda naszéj wiosny, z jéj miłemi chłodami, z jéj rosą wieczorną, z tajemniczym urokiem nocy oświeconéj niepewnym promieniem xiężyca, z przepysznym wschodem słońca, przeglądającego się w per-

łach porannéj rosy! Tu nie ma tych roskoszy. Dzień trwa nieustannie, i upał nieustanny. Czy się ockniesz, czy znużone powieki do snu się nachylą, zawsze spotkasz dzień w twych oknach, i słońce na widnokręgu. Nigdy rosa nie odświeży ziemi pod twemi stopami.

O wiosno mego kraju, wiecznie będę tęsknić za tobą!

Jednak muszę wyznać prawdę, że Berezów nie wydał mi się tak okropnym, jak mi zrobiono wyobrażenie. Przysłowie niesie: że i djabeł był pięknym, kiedy był młodym. Tę prawdę można zastosować do okolic. Jestże która brzydką na wiosnę.

---

4 Czerwca, 1839.

Berezów jest teraz w całéj kokieterji. Modrzewie okryły się młodemi szpilkami najpowabniéjszéj zieloności, napełniając powietrze wonią barzo miłą. Trawa podsycana wilgocią tającéj ziemi, rośnie jak na drożdżach, rośnie prawie widzialnie. Soswa wezbrana zalewając nadbrzeża okoliczne, przedstawia oku ogromną przestrzeń wody, która oblewając wiele wysp wierzbą porosłych, ginie w oddaleniu, odbijając tylko w swych nurtach czysty błękit nieba. Bliżéj, bielejące fale pieniąc się i szumiąc roztrącają się o brzeg stromy, na którym piętrzy się miasteczko.

Mnóstwo statków i łodzi rybackich, przygotowanych do odpłynienia na morze Obskie dla połowu ryb, bawią oko nastrzępionemi masztami, na których migocą przy wiatru powiewie różnokolorowe chorągiewki. Łódki małego rozmiaru zwijają się od brzegu do statków i na powrót, dowożąc zapasy potrzebne na podróż kilko-mie-

sięczną w kraju pustym, gdzie żadnéj rzeczy dostać nie można, prócz ryby.

Wszystkie te przygotowania nadają ruch i życie, niezwykłe w innéj porze w téj bezludnéj okolicy.

Gospodarz nasz kozak, poczciwy starzec, wybierał się także z innemi na morze Obskie dla połowu. Są to żniwa tamecznéj okolicy, w których bierze udział każdy mieszkaniec niezajęty obowiązkiem, i mający jeszcze dość zdrowia i siły. Cały dom był w ruchu, przygotowując wszystko do odjazdu.

Gdy już ładunek cały był na łodzi i wszystko było gotowe, nastąpiło pożegnanie.

W pokoju nam odstąpionym, był główny obraz za firankami, otoczony pewną ilością mniejszych obrazów, wszystkie w złotych i srébrnych ryzach. Starzec otoczony familją, wszedł do tego pokoju, i ukląkł przed obrazami; za nim wszyscy uklękli. Uderzywszy kilkakrotnie czołem, po krótkiéj modlitwie starzec powstał, i wszyscy powstali. Starzec ze łzami w oczach pożegnał żonę, dzieci, i nas pożegnał, których już uważał za swych przyjaciół. Polecił nas pieczołowitości żony.

Cała familja miała także łzy w oczach.

W smutnym więc orszaku był odprowadzony do łódki przez rodzinę i przyjaciół, a gdy łódź odbiła na głębinę, potrójnym wystrzałem z ręcznéj broni, pożegnano przyjaciół stojących na brzegu i śledzących oczyma za odjeżdżającemi.

Serce mi się ścisnęło. Nie wiém dla czego, i ja także uczułam łzy w oczach. Nie przypominam sobie, aby kiedy widok przepychu, okazałości, albo wybredy sztuki, obudziły we mnie żądzę posiadania onych; ale mały

domek wykwintny czystością, w którym panuje zgoda, ład i dostatek, taki na mnie zawsze wywierał urok, że takbym chciała żyć i umiérać. Uczucia tylko serca były dla mnie światem; w nich tylko czerpałam roskosze i smutki, szczęście i boleści. Nigdy żądze moje nie wybiegały poza obręb domu, nie sięgały wysoko. Zdało mi się, że ściągając rozpierzchłe promienie mego życia do jednego ogniska, zamykając w ciasném kółku wszystkie materjały szczęścia mego, sama tylko ich wiadoma, robiłam się mniéj zależną od kapryśnych fal życia; bo nie żądając nic od świata, brałam udział pomyślności z ręki przyrodzenia, nie z ręki ludzi. Niestety! Płonne marzenia! Właśnie w ten punkt piorun uderzył, a całe szczęście moje jednym pociskiem gromu, w perzynę obrócone zostało.

D. 5 Czerwca, 1839.

Wiatr powiał od północy, a zatém trochę mniéj gorąca, trochę mniéj komarów.

Korzystając z tego ochłodzenia powietrza, wyszłyśmy na przechadzkę, w celu poznajomienia się z miasteczkiem, i jeżeli można, z jego okolicami.

Berezów jest miastem powiatowém Tobolskiéj gubernji; leży pod 63 stopniem szer. północ., na lewym brzegu Soswy, która niedaleko wpada do Oby.

Brzeg, na którym zbudowane miasteczko, jest wyniosły, grunt ma piaszczysty, a jednak ulice są błotniste; niektóre tylko wysychają wśród wielkich upałów, inne pokryte są błotem nigdy niewysychającém. Na tych, wśród największéj suszy i upałów, robi się skorupa sucha

z wierzchu, lecz ktoby zaufał téj zwodnéj powierzchowności, i stąpił nogą, nie prędkoby się wydobył.

Dla ułatwienia przejścia z domu do domu, są pokładzione dyle, deski, lub okrągłe drzewa.

Inne ulice przechowują kałuże znaczne, napełnione wodą, które nigdy nie wysychają. Te kałuże Berezowianie zaszczycają mianem *jeziora*.

W naszych miasteczkach, taki stan rzeczy, byłby niepodobnym. Ktoby się chciał budować na ulicy, po któréj przejechać niepodobna? W Berezowie ta niedogodność jest mniejszéj wagi. Przez lato nikt tam nie jeździ: nie ma kół, nie ma powozu, nie ma koni, nie ma drogi. Wszystkie komunikacje ułatwiają się wewnątrz miasta, a za jego obrębem łodziami.

Powierzchnia ziemi powiatu Berezowskiego, w całéj swéj obszernéj przestrzeni, jeszcze niezorana nigdzie śladem koła. Po co jeździć? Po co droga, kiedy ląd cały jest nieprzerwaną pustynią. Mała liczba mieszkańców, mieści się nad brzegami rzek; rzeką też się ułatwiają wszystkie potrzeby krajowców: sprowadzenie drzewa na opał lub budowę, dowóz wiktuałów, zamiana z Ostjakami lub Samojedami. Zresztą, na tym obszernym lądzie, który swą przestrzenią zdumiewa wyobraźnię, nie ma miasta, nie ma wsi, nie ma mieszkania ludzkiego. Głucha pustynia, mieszkanie lisów, niedźwiedzi, wiewiórek.

Z przyczyny, że nie widno nigdzie drogi, cały kraj ma fizjonomję zupełnie różną od naszych okolic. Wprzód nim myśl zapuścisz, już ci oko powiedziało, że to pustynia. Droga jest śladem życia, śladem kommunikacyi między człowiekiem a człowiekiem.

Gdy błota i rzeki zamarzną tak, że mogą udźwignąć

rena, jazda się zaczyna. Wtenczas wszystkie ulice berezowskie bez wyjątku są jeżdżone.

Berezów ma domów sto kilkadziesiąt, wszystkie prawie o piętrze. Zapewnie z przyczyny wilgotnego położenia wprowadzono zwyczaj podobnego budowania. Dół zwykle przeznacza się na kuchnię, składy i inne potrzeby gospodarstwa; wierzch, służy za mieszkanie właścicielom.

Nie wiém dla czego, u wielu spotkałam mniemanie, że Berezow jest wyspą. Tak nie jest wcale. Jak wyżéj powiedziałam, miasteczko jedną tylko stroną przypiera do wody, z trzech innych otacza je ląd stały.

Rossjanie po większéj części biorą także Berezow za wyspę; wszakże mówią w liczbie mnogiéj *berezowskie wyspy* (березовскіе острова), co mi tak daje tłómaczyć to uprzedzenie ogólne: że nazwisko wysp berezowskich daje się przestrzeni płaskiéj, leżącéj po prawym brzegu Soswy, która poprzecinana Soswą, jéj odnogami i innemi rzekami, tworzy archipelag wysep, które zapewnie nazywano oddawna wyspami berezowskiemi, i co musiało dać powód do brania tego miasta za stolicę wyspy, któréj nadaje nazwisko.

Berezow posiada dwie cerkwie murowane: Spaską i Zaruczajną. Ta ostatnia wzięła swoje nazwisko od tego, że leży względem miasta za głębokim jarem, który w czasie wezbrania napełnia się wodą. Most rzucony przez jar pomieniony, ułatwia przejście.

Cerkiew Zaruczajna leży w bardzo pięknem położeniu na wzgórzystym brzegu Soswy, otoczona pięknym laskiem ze starych modrzewi.

Te modrzewie, jak niesie podanie, są zabytkiem ga-

ju świętego, czczonego od bałwochwalczych Ostjaków. Dziś jeszcze, mimo, że religja chrześcijańska wyznawana jest przez znaczną część Ostjaków, nowo nawróceni nie zaniechali jednak oddawać cześć modrzewiom. Nie wiém jednak, dla czego tylko stare modrzewie odbiérają cześć od nich, młode nie mają udziału w ich poszanowaniu.

Koło téj cerkwi jest smętarz arystokratyczny, ozdobiony nagrobkami z kamienia, marmuru, a najwięcéj jest odlewanych z żelaza; w lesie zaś z innéj strony miasta, jest przystań wiecznego pokoju dla ludzi niebogatych.

Cerkiew Spaska, leży na drugim końcu miasteczka. Smętarz teraz skasowany i przeniesiony do lasu. Nieopodal koło niéj, jest grób Mężykowa.

Na kilka lat przed mojém przybyciem, ciało jego przypadkiem czy z umysłu, było odkopane i znalezione, równie jak odzienie w stanie zmarzłym, w zupełnéj świéżości, jakby wczora zamrożone. Ziemia bowiem w Berezowie, nawet wśród największych upałów, rozmarza tylko na pewną głębokość, przechowując w głębi wieczne warstwy lodu.

Ciało Mężykowa na nowo zakopano, a usypawszy mały wzgórek, pokryty darniną, otoczono go drewnianemi sztachetami, niezapowiadającemi długowieczność.

Niéma na tym grobie ani kamienia, ani żadnego napisu, nie zostanie więc wkrótce ani śladu przejścia na ziemi człowieka urodzonego pod tak dziwną gwiazdą, który z ostatniego szczebla towarzystwa, wzniósł się na piérwsze dostojeństwa, ważył w swém ręku losy narodów, postawił ród swój jedną nogą na tronie, i nagle

został strącony jeszcze szybcéj niż powstał, w przepaść nędzy i zapomnienia.

Podania gminne berezowskie wskazują miejsce niedaleko cerkwi Spaskiéj, gdzie jakoby była chatka, w któréj mieszkał Mężykow, a która spłonęła od pożaru zdarzonego w 1798, który to pożar zniszczył ledwie nie całe miasteczko.

Podania gminne berezowskie twierdzą, że Mężykow zrobił się bardzo nabożnym po swoim upadku; że pracował własnemi rękami robiąc siekierą; nareszcie, że był starostą cerkiewnym przy cerkwi Spaskiéj.

Wszystkie podania gminne berezowskie, są nadzwyczajnie zaćmione; do tego, skutkiem fantazji poetycznéj ludu skłonnego do przesady i do wiary w nadprzyrodzoność, trudno dójść prawdy w natłoku zmyśleń, opowiadanych z dobrą wiarą.

Dotąd przechowuje się w cerkwi Spaskiéj mszał ofiarowany do téj cerkwi przez Olgę Dołgorukow, podczas jéj pobytu w Berezowie. Widziałam ten mszał z jéj własnoręcznym nadpisem.

Mówiono mi także, że leży w cerkwi Spaskiéj pochowanych dwoje dzieci córki Mężykowa.

Gdzie grób Dołgorukowa i Ostermana, nikt nie wié.

Ludność Berezowa, składa się po większéj części z kozaków, stanowiących straż wewnętrzną kraju, a ponieważ kraj zostaje w zupełném bezpieczeństwie, posługa ich ogranicza się trzymaniem niezbyt ścisłéj straży koło miejsc rządowych, i posługą odbywaną corocznie kolejką przy urzędach gubernialnych w Tobolsku. Resztę czasu poświęcają na zajęcie się handlem. Handel bowiem z Ostjakami, jest ich główném zajęciem, równie jak

źródłem wszystkich dostatków. Mały kozaczek, rośnie z tém przekonaniem, że on stworzony do handlu, że handel jest jego przeznaczeniem; jakoż od młodości wprawia się do niego, i jest oswojony ze wszystkiemi tajemnicami powołania.

Prócz kozaków, jest tu kilku kupców, i bardzo mało mieszczan. Lecz mieszczanie, kupcy, kozacy, są właściwie kupczącymi.

W Berezowie jest kilka sklepów, w których się sprzedają: perkaliki, cukier, herbata, konfitury, wino i inne rzeczy przywozowe. Mąka i inne wiktuały krajowe, potrzebowane w większéj ilości, kupują się pospolicie prosto ze statków na zapas roczny według potrzeby domu.

Ponieważ nie ma rynku dla kupienia jadła do użytku codziennego, każdy więc gospodarz musi myśleć sam o sobie, i obmyślać środki zdobycia pożywienia. Rzeka i las są ich spiżarnią i rynkiem, monetą jest zręczność i pracowitość.

W Berezowie są dwie parafje greckiego obrzędu, oraz rezydencya błahoczynnego i protopopa. Tu się znajdują także wszystkie juryzdykcye powiatowe, według ogólnéj ustawy dla całego państwa rossyjskiego, wyjąwszy urzędu marszałka, który nie miałby kogo reprezentować. Wszakże te juryzdykcye są prawie tytularne. Żadne sprawy nie postępują pod ich mądre wyroki. Jest i szkółka powiatowa o dwóch klassach. Kozacy i wszyscy niemal mieszkańcy, posyłają do niéj dzieci swoje dla nauczenia się czytać i pisać.

Nauki téj nie posuwają zbyt daleko: skoro młodzian nauczy się przeczytać jakkolwiek i zapisać długi na Ostjakach, rodzice zaraz go odbierają ze szkółki, nie pojmując, na co się zdała dalsza mozoła. Naukę arytmetyki zastępują *szczoty*.

---

6 Czerwca, 1839.

Jaka szkoda, że nie można korzystać z pięknych i krótkich chwil lata berezowskiego. Widok pięknego lasu, tak blizko od domu, cień roztoczony pod gęstemi gałęziami wyniosłych cedrów i ślicznéj barwy modrzewi, nęci i dodaje ochoty skrycia się tam przed upałem; ale roje komarów występują zaraz jak straszliwe wojsk zastępy, broniąc wkroczenia w granice ich państwa. Niéma środka przeciw tym nieprzeliczonym hufcom krwiożerczym.

Opatrzywszy głowy w siatki z włosieni, któremi na ten cel opatrzyła nas w Tobolsku generałowa Potemkin, wziąwszy rękawiczki i uzbroiwszy jak można całą powierzchnię ciała, do wytrzymania napaści, puściłyśmy się do lasu, ale próżne pokuszenie: komary rzucając się zapalczywie, potrafiły znaleźć przystęp przez najmniejsze szpareczki, zapuszczały żądła przez odzienie, tak, że po krótkiéj walce, okryte pęcherzami, wróciłyśmy do siebie.

Nie mogąc przechadzać się w lesie, postanowiłyśmy porobić znajomości. A jako horodniczy był już u nas razy kilka, wypadło zacząć od jego domu.

Weszłyśmy. Młoda i ładna gospodyni nas powitała; wszakże tylko uśmiechem dowodziła, że nam rada. Wyszła zaraz poszukać męża, który niebawnie przyszedł dotrzymać nam towarzystwa. Domek zalecał się wykwintną czystością.

Niebawnie przyszła gospodyni pięknie ustrojona, poprzedzona tacą, zastawioną rozmaitemi konfiturami. Częstowała nas niemi zawsze milcząc, tylko giestem i uśmiechem, zachęcając do jedzenia.

Wielka nieśmiałość wymalowana była na jéj twarzy; wszakże młoda, ładna, z wyrazem łagodnym, zainteresowała mię, jak zwykle interesuje dziecko nieśmiałe, które w przytomności obcych zawiéra się wewnątrz, a rozwija swe naiwne wdzięki tylko przy poufałych.

Chciało mi się koniecznie ją oswoić, obracałam przeto często do niéj mowę. Musiała przeczuć moje życzliwe usposobienie, bo choć się nie zdobyła zaraz na głośną odpowiedź nachylała się do ucha męża, który jak echo powtarzał jéj słowa.

Myśląc, że te odwiedziny uciążliwe są dla młodéj gospodyni, chciałam je skrócić i wstałam dla pożegnania; ale na ten ruch, głośny już wykrzyknik wydobył się z piersi horodniczyny: *Da kakże? Samowar!!*

Widząc, że odejście bez dopełnienia najważniejszéj formy, przepisanéj gościnnością, zmartwiłoby gospodynię, usiadłam na nowo, i rozstałyśmy się w dobrém, jak się zdaje porozumieniu.

Raz już puściwszy się na wędrówkę, wyszedłszy z domu horodniczego, postanowiłyśmy nawiedzić panią Niżegorodców, najbogatszą kupcowę w Berezowie, do któréj miałyśmy z Tobolska list od córki.

Dom jéj najokazalszy na cały Berezów, już mię był uderzył przed wylądowaniem, i wspomniałam o nim w czasie. Składał się z korpusu i dwóch oficyn o piętrach. Cały dziedziniec porządnie oparkaniony. Parkan, równie

jak dom pomalowany żółtym kolorem, odbijał od innych budynków szarych.

Nie wiedząc gdzie wejście do mieszkania saméj gospodyni domu, weszłam w piérwsze drzwi, z zamiarem zasięgnienia dokładnéj wiadomości. Na progu domu, do którego wstąpiłam, spotkał nas młody człowiek; a na zapytanie, z największą grzecznością ofiarował się być przewodnikiem, i zaprowadził do głównego mieszkania.

Przeprowadziwszy przez kilka wykwintnie czystych pokojów, wskazał nam pokój bawialny, lecz zaledwośmy przestąpiły próg jego, przewodnik zniknął jak kamfora.

Domyślałyśmy się, że był trochę zakłopotany *negliżém*, był bowiem tylko w szlafroku; czekałyśmy zatém wejścia gospodyni domu.

Wszakże mijają chwile, a nikt nie wychodzi na nasze spotkanie. Nie byłyśmy bardzo dręczone niecierpliwością, owszem, położenie nasze zdało mi się być zajmujące swoją nowością. Przypomniały mi się powieści czytywane z takiém zajęciem w dzieciństwie o Pulcherji i Bestji, i inne o pałacach zaczarowanych, zawsze zachwycających pięknością i wygodami. Jakoż, zaczęłam rozpatrywać co mię otacza.

Wszystko, na co spójrzałam, uderzyło mię wykwintnością, ledwie że nie przepychem. Gdzieindziéj ta okazałość nie zwróciłaby pewnie nawet mojéj uwagi; ale w Berezowie, w téj krainie dzikich Ostjaków, na krańcu świata, spotkać się z owocami przemysłu, ze śladami gustów europejskich, rzecz niespodziana.

Obszérne pokoje o dużych oknach, dających widok na szybę wody nieścignioną okiem, na piękne lasy, od-

znaczały się wzorową czystością. Na oknach mnóstwo wazonów z czerstwą wegetacyą dawały świéżość i wykwintność niezwykłą w téj tęsknéj okolicy. Ogromne zwierciadła, malowidła, mahonie, kryształy, srébra, piękne porcelany, świadczyły o zamożności właścicieli, a razem zostawiły ślady zetknięcia się Berezowa z cywilizacyą europejską. Można było na chwilę zapomnieć, że się jest w Berezowie. Zapomniałam nawet na chwilę o celu przybycia, oddając się miłemu wrażeniu, którego doświadczałam.

Drzwi otworzone, przypomniały moje położenie, i położyły koniec dumom i złudzeniu. Spójrzałam, lecz w miejscu gospodyni domu, ujrzałam znów nieznajomego przewodnika, który wrócił już przebrany — w nowy szlafrok pąsowy aksamitny.

Był to syn gospodyni, jakem się dowiedziała wróciwszy do siebie. Powiedział, że matki jego niéma w domu, że poszła odwiedzić córkę swą, sprawnikowę, lecz jeżeli zabawimy, poszle uwiadomić matkę, która pewnie pośpieszy.

Nie chciałyśmy przeszkadzać ułożonym projektom; odłożywszy zatém na inny czas zaznajomienie, wróciłyśmy do domu.

---

12 Czerwca 1839.

Upały nieznośne trzymają nas ciągle w domu, jak w więzieniu. Niéma rosy, niéma świéżego powietrza, wiatru wieczornego, niéma chłodu poranka. Słońce ciągle świeci i piecze, jeszcze jakby ogniem piekielnym bez przerwy, bez ochłody. Ledwo się spuści za widnokrąg

chowając tylko tarczę, lecz nie skrywając jaskrawych promieni, znów wysadza głowę, i zdaje się mówić z urąganiem, jak silny i okrutny nieprzyjaciel: »Myślałeś, że mię już niéma, a ja tu, za twemi plecami; chodź, niech cię piekę na nowo!”

Nie można oddychać, nie można siedzieć na krześle, nie można zająć się żadną robotą; jakaś niedołężność ugniata, uciska, wskazuje na gnuśność, ogłupia prawie.

Szukając ulgi, leżę na ziemi rozciągnięta jak źwierzę, przemieniając miejsce dla ochłody; a gdy tego nie dosyć, biegnę do łaźni i oblewam się zimną wodą. Wszakże ta chwilowa ochłoda, nie na długo ukrzepia siły.

Nogi mi brzękną i żołądek także.

Powiedziano nam, że od wody powietrze chłodniejsze; nad wieczór zatém, kiedy najwięcéj dokucza parnota, poszłyśmy sprobować tego środka zbawczego. Próżna nadzieja ulgi! Ledwośmy się znalazły nad brzegiem, napadły na nas bez litości nieprzeliczone roje komarów. Broniąc się od tych zastępów, trzeba było zużywać sił ostatek.

Do tego, dobre kozaczki, ale chciwe nowości, gdy obaczyły gdzieśmy zwróciły naszę przechadzkę, dla zrobienia znajomości, czy też po prostu dla widzenia, rzuciły się hurmem za nami. Każda zabiegała nam drogę, a choć nieznajome, całowały w twarz po trzy razy. Litowały się nad naszą samotnością, obiecywały nas rozrywać, a na zadatek dobrych chęci, zasypywały nas pytaniami.

Wytrzymawszy z męztwem podwójne natarcie i od komarów i od kozaczek, widząc, że spotykając się w czystém polu, trudno sobie obiecywać ocalenie, umyśliłyś-

my obwarować się lepiéj w szańcach własnego domu. Jakoż zrobiłyśmy odwrót po mistrzowsku, zostawując za sobą ścigającego nieprzyjaciela, a krokiem przyśpieszonym, stanęłyśmy na progu własnego domu.

Już oddychamy swobodniéj. Komary i kozaczki zostały za nami. Robimy ślub nie wychodzić z domu, póki będą trwać komary. Wątpliwa świéżość powietrza nie wynagradzała nieprzyjemności bojowania. Wszakże widno, że dzień ten był czarno zapisany w księdze naszego przeznaczenia; wszedłszy do naszego pokoju, którego polubiłyśmy ciszę i swobodę, jako jedyne wynagrodzenie słodyczy serca utraconych, zastałyśmy jego fizjonomję, zupełnie zmienioną.

Pani X. przyjechała z Tobolska, a na mocy parogodzinnéj znajomości z nami w tém mieście, i dawnych stosunków z naszą gospodynią, raczyła nieproszona, u nas się rozgościć.

Proszę więc wyobrazić nasze zdziwienie, kiedy drzwi otworzywszy, zastałyśmy siedzącą na kanapie osobę ubraną w męzki szlafrok, w bóty, z włosami krótko postrzyżonemi, krymką na głowie i fajką w zębach.

Najlepszy nasz pokój, zarzucony tłomokami, tłomoczkami, strzelbami, kindżałami, fajkami, kapszukami i różnemi gratami tak męzkich, jak żeńskich fantazij.

Struchlałam. Nie wiedziałam co to najście ma znaczyć.

Pani X. nie zostawiła mię długo w wątpliwości. Powiedziała, że przyjeżdżając odwiedzać matkę i siostr kilka, które miała w Berezowie, zawsze zwykła rozlokowywać się w tym domu; że przed ostatnią podróżą uprzedzała gospodarza o swém przybyciu i na pewno zajechała do tego domu; wszakże znajdując go już zajętym, nie

zmieniła swego projektu, spodziewając, że się pomieścimy razem wygodnie i lepiéj z tém będzie obu stronom.

Przyznam się, że mię tak zmięszała śmiałość pani X. i jéj zaufanie, żem straciła głowę. Nie wiedziałam, jak ją mam uważać, czy za gościa, czy za współlokatorkę. Oba te razy, inne między nami ustanawiały stosunki.

Pani X. zapytała, który pokój dla niéj przeznaczamy?

Osądziłam, że pani X. uważa się za gościa, kiedy przemawia do nas tym językiem. Szanując więc prawa gościnności odpowiedziałam, że ponieważ jéj się zdało wybrać ten pokój przed innemi, musiała uważać, że jéj w nim będzie najdogodniéj, a zatém ją przy nim zostawiamy.

Pokój ten był największym i najlepiéj starałyśmy się go ozdobić: służył nam za salkę do zabawy i przyjmowania gości. Drugi pokój mały, przedzielony od piérwszego tylko szklannémi drzwiami, służył nam za pokój sypialny; trzeci jeszcze mniejszy przeznaczony był na skład rzeczy.

Zdało mi się, że delikatność nie pozwoli pani X. długo nas ścieśniać w naszém mieszkaniu; postanowiłam przeto znosić cierpliwie niedogodność czasową.

Owoż pożegnałyśmy się dzisiaj, z największą przyjemnością Berezowa, ze swobodą własnego domu. Mamy mniéj jednym pokojem, a za to jedną towarzyszką więcéj, nie licząc gęsi, którą pani X. wozi z sobą dla oryginalności i pieści jak pieska, i która ciągle gdecze nam nad głową.

Pani X. jest Sybiraczka, zupełnie różna od drugich: goni za oryginalnością, a zatém ubiéra się po męzku, strzela, chodzi na polowanie, ma pełno broni rozmaitéj,

udaje pogardę dla wszystkiego co tchnie formami, przymusem, co krępuje wolę osobistą, i o tyle się sądzi wyższą nad inne kobiéty, o ile je przenosi śmiałością swych postępków, o ile się od innych różni ubiorem i obyczajem.

Pani X. żyła w stosunkach z wielu wygnańcami, którzy bawiąc się jéj oryginalnością, nie wkładali pęt na jéj gusta i wyobraźnię, owszem chwalili niezależność jéj umysłu, swobodę woli i czynów. Jakoż, pani X. wyemancypowała się zupełnie, przywodząc do rozpaczy biédnego męża, który, mówią ludzie, że ją kocha mimo udręczenia, jakie mu zadaje.

Pani X. ze względu na rozwinienie swych wyobrażeń, osądziła się za naturalną dla nas towarzyszkę i przyjaciółkę. Że nie ma złego serca, ubolewa nad naszym losem. Wszakże nie będąc nigdy matką, nie pojmując mocy związków rodzinnych, nie domyśla się, z któréj strony serce boli.

Z przygód, które nas ugodziły, za największe złe uważa samotność, na jaką skazane jesteśmy. Myśli, że związki, któreśmy rozerwały, można zastąpić innemi, że śmiejąc się i bawiąc, można osłodzić nam życie.

Takie jéj przekonanie, stawia nas w fałszywém względem siebie położeniu. Pani X. myśli, że dopełnia czynu ludzkości, służąc za nieodstępną towarzyszkę, naprowadzając nam znajomości wtenczas, kiedy nam największy skarb wydziera; my zaś, zamiast wdzięczności za dobre chęci, czujemy tylko przymus, niewolę i żal po straconéj swobodzie. Jak długo tego będzie, jak się wywikłać z niewygodnego położenia? Bóg jeden raczy to wiedzieć.

Pani Daudel przywiozła nam służącę polkę, którą

znalazł, ugodził hr. Marchocki. W Tobolsku, można z łatwością dostać sługi z tych, które zesłane skutkiem jakich przewinień na *posielenie;* wszakże trudno dobrze trafić. Obaczymy co będzie z naszéj pani Franciszki, któréj trochę za bystro patrzy z oczu.

---

15 Czerwca 1839.

Z Berezowa, ani do Tobolska, ani w żadną inną stronę nie ma drogi, tylko rzeką. Latem pływają łodziami, zimą, gdy rzeka zamarznie, jeżdżą po jéj grzbiecie. To jest jedyny gościniec oczyszczony; gęstwiną lasu poprzecinanego jarami i rzeczułkami, przecisnąćby się niepodobna.

Berezów, jest głównym punktem powiatu tego imienia, krainy tak obszérnéj, że gdyby ludność po temu, na téj przestrzeni mogłoby się zmieścić kilka państw udzielnych. Są promienie od Berezowa w koniec powiatu, sięgające na wiorst 3,000.

Powiat berezowski, graniczy na wschód z gubernją Jenisejską, na południe z powiatem tobolskim, na zachód przez Ural z gubernją Wołogodzką, na północ, z oceanem Lodowatym.

Na téj ogromnéj przestrzeni, liczy się tylko mieszkańca 15,000. Co za przerażająca pustynia. Wszelako za dokładność tego rachunku, ręczyć nie można, gdyż życie koczujące Ostjaków i Samojedów usuwa je z pod możności dokładnego obrachowania.

Jadąc nawet brzegami znacznych rzek, gdzie zwykle zgromadza się cała ludność kraju, pustynia jest uderzająca.

Cały powiat berezowski uprawy niema żadnéj. W Berezowie tylko, jako środku cywilizacyi, sieją trochę rzepy i rzodkwi; kapusta się sadzi, wyrasta w liście, ale się nie zwija w główki: ja myślę, dla krótkości lata. Liście te, mieszkańcy siekają i kwaszą wraz z liściami rzodkwi i rzepy, i poźniéj robią z nich barszcz wcale niesmaczny.

Kartofle mogłyby tu rość nie źle, i być wielką pomocą dla kraju, choć nie dochodzą znacznéj wielkości, dla wczesnych mrozów, ale ich sadzą w bardzo małéj ilości, prawie jak na zabawę, krzaków kilka, lub kilkanaście: a która gospodyni zasadziła grzędę, myśli, że zrobiła wielkie przedsiębierstwo.

W ogólności Berezowianie nie smakują w téj jarzynie. Widno, że żołądki przywykłe do pokarmów bardziéj zwierzęcych, które dają się przyswajać organizmowi z niewielką pracą, nie lubią takich, co dając wiele do roboty, mało przynoszą posiłku.

Pani X. nasza sąsiadka, gość, czy rezydentka, bo nie wiém jak ją mam nazwać, rzadko nas opuszcza, choć ma tu matkę, braci, i kilka siostr zamężnych. Mniéj wszakże jest uciążliwą, niżby się można spodziewać od towarzyszki narzuconéj mimowolnie. Dużo mówi, nie wymagając wszakże, aby się nią zajmować, aby jéj odpowiadać. Często, gdy schylone nad robotą nie mówimy i słowa, ona, po godzinach całych, wystarcza sobie za mówcę i słuchacza. Czasem jednak zwróci uwagę, bo ma dużo dowcipu; rozpowiada wiele anegdot zabawnych, skréślając charakterystykę osób, należących do jéj powieści i dramatyzując swoje opowiadania.

Jeżeli utrata swobody i samotności, może się czém

wynagrodzić, choć w części, w naszém położeniu, to chyba tém, że z jéj rozmów można się od razu obznajomić ze zwyczajami, charakterem i opinjami tutejszych mieszkańców. Trzebaby długo pożyć między nimi, aby wniknąć dokładnie w ich wyobrażenia, aby się nauczyć bytu powszedniego wszystkich klass.

Wszakże gęś pani X. jest nam prawdziwą plagą. Skoro się wyśpi, to jest, o godzinie drugiéj lub trzeciéj zrana, zaczyna gdakać na humor, i przerywa sen najlepszy, którego, nie przywykłe, nie możemy, za przykładem pani X. wynagrodzić sobie snem poobiednim.

W Syberji, zwyczaj snu poobiedniego tak wsiąkł w obyczaje, że się wydaje nieuchronnym, jak u nas sen nocny.

Po domach zamykają się okienice, i wszyscy spać się kładą na godzin kilka. Wizyt wtenczas nikt nie robi.

W Tobolsku nawet, zamykają się sklepy przez godziny poobiedne, dla snu przeznaczone. Za co też wieczorne czuwanie, długo się w noc przeciąga. Gra w karty, jest ulubioną zabawą Sybiraków; jéj też poświęcają wszystkie wolne chwile.

---

17 Czerwca 1839.

Z łaski pani X., zrobiłam tu już kilka znajomości. W ogólności znalazłam więcéj kobiét ładnych, niż się spodziéwać mogłam. Najmniéj spodziewane było to, że znalazłam tu wiele brunetek z czarnemi oczyma, kiedy włosy jasne i oczy błękitne, są prawie ogólnym typem ludności rossyjskiéj.

Zdaje mi się, że się nie mylę, wnosząc, że ci bruneci i brunetki, które mi się widzieć nadarzyło, jest to ród

kozaków z nad Czarnego morza, którzy zawędrowawszy w tę stronę wraz z wodzem swoim Jermakiem, osiedlili się i ród swój przechowali.

Kozacy berezowscy, wywodzą swoje pochodzenie, jedni od towarzyszów Jermaka, który piérwszy jako zwyciężca, wtargnął do Syberji i porobił osady. Ci towarzysze, był to zbiór ochotników, z nad Dniepra, Donu, nawet Litwy, popchniętych przygodami lub miłością życia awanturniczego. Inni, byli dodani dla zwiększenia siły Jermaka, przez kupców Strogonowych, z włości zauralskich, lub też przysłani poźniéj, przez tychże, dla utrzymania w podległości krajów zawojowanych. Ci, różnią się cechami zewnętrznemi od piérwszych, zachowując podobieństwo do ogólnego typu Rossjan.

Dzisiejsi kozacy berezowscy nie przechowali zgoła obyczajów mężkich, walecznych swych przodków. Widać, że ciągłe bezpieczeństwo uśpiło w nich wojennego ducha. Wszyscy zgnuśnieli i zrobili się tylko przekupniami. Tęsknią za piernatem, za wygodami. Widziałam kozaków dwódziestoletnich płaczących, jeśli ich przypadkiem ominęła herbata w porę zwyczajną.

Kozacy berezowscy są na ogólnych prawach kozaczyzny, w państwie rossyjskiém. Każdy mężczyzna z tego pokolenia, musi służyć wojskowo koniecznie od lat 17 do późnéj starości. Aby wiek uwolnił od służby, trzeba, aby zwierzchność uznała niezdolność. Wszakże ta służba ogranicza się lekkiemi obowiązkami, nie ruszając ich daleko od własnych domów. Odbywanie straży w kilku sądownictwach miasta Berezowa, i pełnienie służby, przy sztabie głównym w Tobolsku, kolejno; oto całe zatrudnienie.

W nagrodę téj służby, rząd uwalnia od podatków, i daje mąkę i krupy, podług oznaczenia, każdemu, od wstąpienia do służby.

Z rzędu tychże samych kozaków, postępują niektórzy na oficerów; wszakże stopień, choćby najwyższy, daje tylko przywileje osobiste, nie rozciągając się na następców. Syn półkownika nie jest niczém więcéj, jak prostym kozakiem, i musi wraz z innemi dobijać się stopnia, osobistemi zasługami.

Dawniéj, wolno było kozakom przechodzić do służby cywilnéj, lub zapisywać się w mieszczaństwo; dziś już nie wolno.

Wyjąwszy nieuciążliwą służbę, o któréj wspominałam, kozacy tém są w Berezowie, czém u nas żydzi. Są przekupniami sami, nic nie produkując. Niczém się sami nie zajmują, prócz handlu, nawet ani rybołowstwem, ani polowaniem, wyjąwszy łatwe i przyjemne polowanie na kaczki z sieciami (перевѣсы). Ryby, zwierzyny, tak stanowiące przedmiot handlu, jak potrzebne do życia, nabywają od Ostjaków. Do zaopatrzenia nawet potrzeb dniowych, najmują posługaczy Ostjaków.

Wszyscy prawie Berezowianie, wyjeżdżają ze statkami na morze, na całe lato, to jest, od Czerwca do końca Sierpnia, dla połowu ryb. Jedni własnemi statkami, inni jak posługacze możniejszych; wszakże i tam więcéj się trudnią handlem, niż rybołostwem. Choć ma każdy na swym statku siecie, i czeladź, złożoną po większéj części z Ostjaków, dla łowienia ryb, jednak ten połów, składa najmniejszą część ładunku. Główniejsze zyski stanowi ryba nabyta u Ostjaków i Samojedów; bowiem, te koczujące plemiona wiedząc ze zwyczaju, w któréj porze statki

ruskich przybywają na brzegi morza, ściągają się wszyscy w tamtą stronę z sieciami, i zdobytą rybę zbywają na statki, w zamian za inne przedmioty.

Ostjacy nie są jeszcze obznajomieni ze znaczeniem pieniędzy: u nich wyraz wartość, odnosi się do futer najpospolitszych, i na nie się umawiają. Wiewiórka (бѣлка), przedstawia wartość 20 kop. ass., gronostaj kopiejek takichże 40, piesek biały, rubli ass. 3.

Ostjak biorący towar od ruskich, umawia się nie na pieniądze, ale na futra wyż wymienione mające cenę stałą. Cena droższych futer zmienia się według wartości; zamienia się przeto ich cena, według umowy między stronami, na wartości stale oznaczone, i tym sposobem idzie handel.

Mieszkańcy Berezowa są w ogólności bardzo dostatni, można powiedzieć bogaci. Po rzeczy piérwszéj potrzeby, jako to, ryby i zwierzynę, dość wyciągnąć rękę. Bóg trzyma dla nich zawsze gotową spiżarnię: pełne lasy zwierzyny, pełne ryb rzeki. Dość sieć zarzucić, lub postawić więcierz, aby mieć obfitą żywność na dni kilka.

Ob obfituje w wyborne jesiotry, nelmy, sterlety, miętuzy, selgi, nuksuny, szczupaki i wiele innych. Nelma i sterlet, smakiem i delikatnością idą przed jesiotrem. Miętuzy bywają pudowéj wielkości, lecz są mniéj smaczne od ryb innych. Selga, ryba niewielka, ale tłusta i smaczna. Szczupaki trzymają poślednie miejsce, są uważane za najgorsze jadło. Ruscy prawie ich nie używają, karmią niemi psy podwórzowe, lisy chowane i parobków Ostjaków.

Z ptaków dzikich służących za pokarm, w największéj ilości znajdują się: gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce, jarząbki, kuropatwy. Bekasów i ich podgatunków, choć jest bardzo dużo, nikt nie łapie. Może dla tego, że sztuka tak mała nie wynagradza w ich mniemaniu trudów zdobycia, może też nie mają ułatwionych sposobów, dostawania ich bez wielkich zachodów, jak inne zwierzyny.

Zającow jest wielka liczba, ale nie są przedmiotem polowania. Ruscy brzydzą się ich mięsem, jak rzeczą nieczystą, skórki zaś tak tanie, że niewarte przewozu do Tobolska, gdzie umieją je wyprawiać. Ostjacy tylko nie gardzą żadném jadłem; jedzą co tylko jeść się daje i w organizm ludzki przyswoić może. Psy nie są mniéj wymyślne, niż Ostjacy. Mięso lisie, wronie, niedźwiedzie, kiszki, zdechliny, ryby śmierdzące, wszystko to jedzą czy to w stanie surowym, czy zgotowane. Jednak częściéj surowe.

Berezow jest krainą bardzo obfitą w wodę. Nie wspominając Oby, w promieniu niewięcéj jednéj wiorsty od tego miasteczka, spotyka się rzek kilka, jako to: *Wajgułka*, *Mała Ostjacka*, *Wielka Ostjacka*, *Kazienna*, *Horodynka*, i kilka innych mniejszych bez nazwiska.

Wszystkie tu wymienione rzeki łączą się z Soswą koło Berezowa, i każda z nich, wyjąwszy Horodynkę, jest tak duża, że dźwiga ogromne statki.

---

22 Czerwca, 1839.

Dziś rocznica urodzin starszéj córki mojéj Pauliny. Zaraz po przebudzeniu westchnęłam do Boga, zaniosłam za nią gorące modły, a krążąc myślą, sercem nad tą lubą głową i serce się ściskało, i łzy rzewne płynęły po

policzkach; a jednak nie chciało się oderwać duszy od wspomnień rozdzierających, lecz drogich.

Przebiegając myślą całe pasmo jéj życia, jeszcze tak niedługiego, nie mogłam wytłómaczyć jak się to stało, że pod okiem przywiązanych rodziców, w gronie rodzeństwa które kochała, i od którego wzajem była kochaną, przeskoczyła, nie używając, wiek swobody i wesołych igraszek, który i w późniejszych latach, we wspomnieniach, różowym świeci promieniem.

Ona w dziesiątym roku życia była już prawie dojrzałą umysłem i sercem: wszystkie jéj myśli były poważne, miała czułość głęboką, rozsądek jasny, przenikliwy, umiejący od piérwszego rzutu oka, przy najzawikłańszych stosunkach, odróżnić fałsz od prawdy.

Często poddawałam pod jéj dziecinny rozsądek, kwestje delikatne, przytrudne, przed któremiby się zatrzymała nie jedna głowa poważniejsza; serce jéj instynktem niezepsutym, umiało zaraz wyśledzić co prawe, piękne szlachetne, lub gdzie fałsz się ukrywał.

W jéj własném postępowaniu, od piérwszego dzieciństwa, rozwijał się charakter dziwnie wzniosły. Nigdy fałsz, ani żartem ust jéj nie splamił, w głowie nie zrodziła się myśl fałszywa, w sercu nie postała próżność. W żadnéj czynności nie miała nigdy siebie na celu, nie umiała nawet niczego używać osobiście, tylko w drugich; co miała najlepszego, było zaraz przeznaczone dla kogo innego. Nie znając jéj, nie można mieć wyobrażenia, tak zupełnego odrzeczenia siebie. Dziś jéj dusza energiczna, choć w wątłém ciele, rozsądek czysty, miłość dla rodziny, zapomnienie osobistości, postawiły na równi z ważnemi okolicznościami, w obec których się znalazła. Zale-

dwie wyszedłszy z dzieciństwa, przy wątłym organizmie, w ciężkich bardzo okolicznościach, Bóg ją postawił opiekunką, drugą matką opuszczonego rodzeństwa. Nie cofnęła się przed tém wielkiém powołaniem; spełnia je kosztem największych ofiar osobistych, nie licząc ich nawet za poświęcenia.

Widno, że Bóg, napiętnowawszy ją wcześnie znamieniem krzyża, namaścił do przeznaczenia, które późniéj spełnić się miało.

O Boże! Jeżeli bierzesz w rachunek wzruszenia serca naszego, jeżeli nasze uciski, udręczenia, nasze łzy, nasze modły otrzymują od Ciebie wejrzenie litości, jeżeli niewinność i poświęcenie dają prawo do twéj opieki, wysłuchasz pewnie gorące modły matki, za szczęście tego dziecka!

Byłam wzruszona, nie chciało się towarzystwa: każde w tym momencie byłoby natrętném, a cóż dopiéro takie, co wiecznie nastrojone na ton inny.

Długo leżałam w łóżku udając śpiącą, co mi się rzadko trafia; nakoniec, słysząc, że nasza nowa sąsiadka ubrała się i wyszła z mieszkania, i ja też ubrawszy się usiadłam do zwykłego zatrudnienia.

Chciałam ten dzień poświęcić zupełnéj samotności, zawrzeć się z memi uczuciami i myślami; wszakże zupełnie inaczéj się stało. Wszyscy moi znajomi berezowscy, jak gdyby dali sobie słowo, a może i było tak istotnie, zeszli się do mnie po obiedzie.

Pani Niżegorodców, bogata kupcowa, o któréj domie wspominałam, matka pięciu synów i pięciu córek, któremi obdarzyła wszystkich znaczniejszych urzędników berezowskich, a razem z nią córki, zięciowie, syny, syno-

we, składający osobne domy, poprzychodzili jedni po drugich. Trzeba było robić honory domu.

Pani Niżegorodców, ma lat około pięćdziesiąt; widno, że swego czasu musiała być bardzo ładna. Dotąd jest czynna, i ma sąd o wszystkiém bardzo zdrowy. Jest głową swego domu, a nawet handlu, w którym dopomagają jéj synowie, lecz się nie emancypują z pod jéj władzy, lubo po ojcu zostało z miljon majątku w różnych wartościach.

Rozmowa z panią Niżegorodców zawsze mi była przyjemną, bo nie będąc nacechowaną formami umówionemi, była szczérą, i nosiła piętno jéj sposobu widzenia.

Rozpowiadając swoje życie, mówiła mi, jak wyszedłszy za mąż w piętnastym roku, była przyprowadzoną do matki mężowskiéj, gdzie musiała odbywać surowy nowicyat, spełniając bezwarunkowo najmniéjszą jéj wolę, używaną będąc do najcięższych posług.

Prędko po ślubie, posłaną była przez świekrę podczas mrozu cztérdziesto-gradusowego na rzekę prać bieliznę; a choć w życiu nie robiła tego u matki swojéj, i myślała, że przypłaci przynajmniéj utratą członków; ten surowy rozkaz, spełniła go jednak bez szemrania, i uszła cało.

Takiém bezwarunkowém posłuszeństwem, po kilkoletniéj próbie, dobiła się pani Niżegorodców względów swojéj świekry, i zdaje się, że w jéj przekonaniu, władza patryarchalnie despotyczna, jest najwłaściwszą w zarządzie familijnym. Jakoż, nie nadużywając swéj władzy, jak robiła jéj świekra, umiała wrazić rodzinie dom jéj składającéj, takie uszanowanie dla praw swoich, że synowe choć z bogatych domów, i mające już po kilkoro dzieci, tak dalece odnosiły się we wszystkiém do jéj woli, że gdy przyszło ubrać się na wizytę, posyłały ją zapytać, jaką suknię wziąść mają.

Przytaczam te szczegóły nie jako wypadki ciekawe, ale jako okoliczności malujące ducha cywilizacyi berezowskiéj. Ale wróćmy do gości moich.

Gotowalnie dam były bardzo kosztowne. Axamity, materje, kamienie, składały się na ozdoby: jednak, każda klassa zachowała właściwe sobie insygnia. Urzędniczki, jako należące do stanu *błahorodnego*, miały na głowie czépki, kupcowe zaś, choć najbogatsze, noszą tylko chusteczki jedwabne, różnokolorowe, opięte pewnym sposobem.

W Berezowie każda klassa trzyma się ściśle znamion swego stanu, a co dziwniejsza, że klassa niżéj stojąca według naszych mniemań, nie tylko, że nie pragnie wdziérać się w przywileje innéj klassy, jak się pospolicie dziać zwykło, ale przeciwnie, sama stoi na strażnicy, aby ta granica przekroczoną nie została.

Pani X., która jest córką kupca, i w piérwszém małżeństwie była za kupcem, zostawszy wdową, a mając zawsze skłonność do emancypacyi, jadąc z Tobolska do Berezowa dla odwiedzenia familji, chcąc się korzystnie sprezentować, poprzywoziła z sobą czépki i kapelusze.

Berezowianie skoro się dowiedzieli o téj nowości, zostali przejęci taką zgrozą, że kazali oświadczyć pani X. bez ceremonji, że jeżeli się ośmieli ubrana w te rupiecie wejść do cerkwi, świętość miejsca jéj nie zasłoni; zerwą je z głowy i zdepcą nogami.

Na tak energiczne oświadczenie, naturalnie, że czépki pani X. wróciły do Tobolska, nie przewietrzone na jéj głowie.

Szacuję w Berezowianach to przestawanie na stanowisku, w jakiém Opatrzność umieściła. Ono zgodniejsze z godnością człowieka; pnąc się bowiem coraz wyżéj i wyżéj, mimowolne dajemy świadectwo, że mamy pogardę dla stanowiska, które zajmujemy, że to, które jest nad nami, jest szacowniejsze.

Jakże klassa umieszczona wyżéj nie ma patrzeć z lekceważeniem na tę, która sama uznaje się za niższą, wydziérając się gwałtem ze swego miejsca, i pnąc się wyżéj, gdzie ją spotykają upokorzenia i zawody.

Przyjmowałam moich gości jak mogłam. Pani X. bardzo mi była pomocną. Znając gusta każdego, złożyła bostona na dwa stoliki, rozdała karty, a tak goście doskonale się bawili. Kto nie był w stanie objąć tak wielką mądrość, zabawiał się grą w kurkę. (*)

W Berezowie jak mężczyzni, tak kobiéty, bardzo lubią grać w karty. Zwyczaj to wygodny pod pewnemi względami: skoro towarzystwo niewiele ma rzeczy sobie do powiedzenia, gra w karty uwalnia od kłopotu wyszukiwania przedmiotów do rozmowy.

---

26 Czerwca, 1839.

Pani X. chodziła na polowanie, i przyniosła nam bekasa, którego jak mówi, sama zabiła. Towarzystwo jéj ciągłe, nie tyle mię nudzi, ile utrudza. Samotność jest jedyną korzyścią, która ma dla mnie powab w dzisiejszém położeniu, i téj zbiegiem okoliczności mieć nie mogę. Takie jest dziwactwo serca ludzkiego, że czasem

(*) Gra w karty bardzo łatwa.

żałuję ryglów i ciasnéj izdebki. Zdrowie opuszcza, nogi pobrzękły; być może, że to początki wodnéj puchliny, która jest panującą w mojéj familji. Jeżeli tak jest, dobrze, że ten koniec spotka mię daleko od dzieci moich, że ich nie będę udręczać obrazem mych cierpień.

Po obiedzie pani X. zaproponowała, aby pójść do pani Niżegorodców; nie mogąc być samą, wszystko mi jedno.

Poszłyśmy wszystkie trzy, przyjęte byłyśmy bardzo uprzejmie; częstowano konfiturami, suchemi owocami, orzechami cedrowemi, kawą, herbatą z przedziwnemi ciasteczkami. Dom to bardzo zamożny. Pani Niżegorodców od kilku lat jest wdową. Mąż jéj miał handel obszerny, i widno, że miał umysł przedsiębierczy, i był przyjacielem postępu. Jeżdżąc corocznie na jarmarki do Irbitu i Niższego Nowogrodu, zapoznał się z korzyściami ukształceńszéj cywilizacyi. Chciał ulepszyć byt Berezowa, zaszczepić niektóre zmiany. Mający środki i obdarzony wytrwałą wolą, chciał sprobować rolnictwa. Sprowadził narzędzia rolnicze i ludzi obznajomionych z pól uprawą. Dotąd jest koło Berezowa, niwa wykarczowana jego staraniem, którą zasiewał zbożami. Piérwsze niepowodzenia go nie zrażały; w latach cieplejszych, otrzymywał nawet plon ze swych zasiewów, i uradowany, posyłał otrzymaną próbkę ministrowi. Wszakże, największéj przeszkody w swych przedsięwzięciach, doświadczał ze strony samychże mieszkańców Berezowa, którzy najnieprzychylniejszém okiem patrzyli na wprowadzane nowości, tak dalece, że niszczyli zasiewy umyślnie; a gdy Niżegorodców kazał swą niwę, doświadczając szkody, płotem opasać, nieprzyjaźna ręka, w nocy ten płot zniszczyła i spaliła.

Nie mogłam sobie wytłómaczyć zajadłości Berezowianów przeciw gałęzi przemysłu, mogącéj im zapewnić wielkie korzyści. Pani Niżegorodców powiedziała, że się rozszérzyło między nimi mniemanie, że skoro powiedzie się uprawa, obrócą ich z wolnych mieszkańców na włościan rolniczych, i każą trudnić się uprawą ziemi.

Nie wiém, do jakiego stopnia posunęłoby się rolnictwo w Berezowie przy staraniu i wytrwałości, gdyby kilkoletnia choroba, a poźniéj śmierć Niżegorodcowa, nie położyły tamy gorliwym zamiarom.

Niżegorodców na kilka lat przed śmiercią, dostał pomięszania zmysłów. Żona utrzymuje, że psoty dobrowolnie mu wyrządzane, przyczyniły się do tego stanu, czemu jednak trudno dać zupełną wiarę.

Widno, że Niżegorodców pokochał cywilizacyę europejską, bo wszystko w jego domu nosiło jéj ślady.

Dom obszérny, zbudowany z gustem, nawet wytwornością. Meble, srébra, porcelany, ubiory, wszystko z Europy; nawet rzadkość nad rzadkościami, kominek był zrobiony w ich domie, lecz zamurowany po śmierci gospodarza.

Bilard, komoda grająca różne sztuki, malowidła, świadczyły, że pan Niżegorodców lubił połączać przyjemność z użytecznością.

W Berezowie w ogólności, panuje wielka zamożność, (wyłączam Ostjaków). U najuboższego mieszkańca nie znajdziesz niedostatku, jaki u nas często widzieć się daje w niższéj klassie. Nie wspominam o domach dostatnich, ale u najbiedniejszéj wyrobnicy, co zarabia na życie myciem podłog i praniem bielizny, znajdziesz na stole chléb dobry, źwierzynę, rybę, piérog z mięsem, lub rybę przy-

najmniéj co święto, co dzień herbatę dla siebie chociażby z wywarków, dla gości konfitury, bieliznę cieńką, białą, innéj nikt nie nosi; kilka par pięknych sukień, i jeżeli nie więcéj, to przynajmniéj choć jednę salopę od święta materjalną, podszytą lisami lub popielicami, z sobolowym kołnierzem.

Dla Berezowian piérwszém źródłem bogactwa, jest handel z Ostjakami futrami i rybą. Ktokolwiek tylko jest czynnym, zapobiegliwym, i ma do włożenia na początek sto, lub dwieście rubli ass. w handel, po kilku leciech robi się bogatym kupcem. Zyski bowiem na każdéj wymianie, są niezmierne.

Ostjacy, nieznający kursu pieniędzy, mieniają towar na towar. Wartość branym u siebie towarom, nadają samowolnie ruscy handlarze. Jest przyjętém oddawna, że pud mąki żytniéj, wyraża wartość skóry z jednego piesaka białego, i tak się rachuje w zamianie. Pud mąki w drogie lato, kosztuje w Tobolsku k. ass. 50, czasem dochodzi do połowy téj wartości, albo jeszcze taniéj. Przewóz z Tobolska do Berezowa, nie kosztuje więcéj nad kop. ass. 15 od puda, gdyż mnóstwo statków idących w próżni na morze Obskie za ryb połowem, radzi są przyjąć jakikolwiek ładunek, za najtańszą cenę, byle nie iść wpróżni. Kosztuje więc pud mąki miernie rachując 30—70 kopiejek; a za skórę piesaka, wziętą zań u Ostjaka, każdy kupczący bierze od hurtowego kupca, na miejscu w Berezowie r. ass. 3.

Kupcy zaś hurtowi, których w Berezowie jest tylko kilku, prowadzą te skóry na jarmarki do Irbitu, lub Niższego-Nowogrodu, i mieniają na towary europejskie, które się zbywają w Syberji.

Na jednéj przeto zamianie z Ostjakami z piérwszéj ręki, kupiec ruski zarabia najmniéj we czworo; takie zaś zamiany odbędą się razy kilka w przeciągu roku, tak, że tenże sam kapitał zrobi kilkokrotny obrót.

Przedmioty, których Samojedy i Ostjacy potrzebują od ruskich są: mąka, noże, siekiery, ćwieczki, tytuń, paciórki szklanne różnokolorowe, blaszki mosiężne służące do ozdób, nawet perkale, kitajki i sukna w jaskrawych kolorach.

Na tych przedmiotach, kupcy ruscy zarabiają jak chcą. Każdy kupczący, musi się w nie zaopatrzyć, jakby gdzieindziéj w brzęczącą monetę; bez nich nie byłoby handlu.

Zyski przeto handlarskie, są niewyrachowane w tym świata zakącie, i tém pewniejsze, że handlarze tameczni nie boją się, aby jaki przychodzień ubiegł ich w tych zyskach.

Aby handlować z tymi narodami koczującemi, trzeba nauczyć się ich języka, poznać obyczaj każdéj familji, dowiedzieć się mniéj więcéj o perjodycznych zmianach mieszkań, zawiązać stosunki znajomości osobistéj.

Cały handel gruntuje się na dobréj wierze. Każda familja koczujących Ostjaków, czy téż Samojedów, ma znajomego sobie kupca, u którego bierze na kredyt w każdym czasie rzeczy, których potrzebuje, za oznaczoną ilość futer.

Rzetelność tych dzikich narodów, tak jest gruntowna, że dłużnik za żadne pieniądze nie odda drugiemu, co obiecał swemu wierzycielowi. Chyba niepomyślne polowanie w którym roku, sprawi, że się wypłata odwlecze do drugiego, lub śmierć dłużnika i całéj jego rodzi-

ny, zostawi niezaspokojonym wierzyciela; bo póki żyje ktokolwiek z familji w stanie, zająć się polowaniem lub rybołówką, dług najświęciéj uiszczonym zostaje prędzéj czy poźniéj.

Druga przyczyna zamożności Berezowian leży w ich obyczajach. Zdaje się, że oni lepiéj niż my odgadli sekret swobodnego życia. Ileż razy w naszym świecie ucywilizowanym poświęcamy spokojność, wygody i własne przyjemności, wymaganiom próżności, lub przesądom zwyczajów. Iluż sług opłacamy nie dla własnéj wygody, ale aby dom był utrzymany na stopie odpowiednéj, jak nam się zdaje, naszemu położeniu towarzyskiemu, lub położeniu, jakie za pomocą tych środków, chcemy wmówić naszym sąsiadom.

Ta gawiedź mająca służyć ku naszéj wygodzie, najczęściéj zamiast dogodności, kłopoce nam życie. Dla utrzymania w karności czeladzi usposobionéj do wybryków próżnowaniem, musimy mnożyć oficyalistów, którzy zabierają nasz najczystszy dochód, a nie zawsze przyczyniają się do spokojnosci.

Te i tym podobne wydatki, nieznane są w Berezowie. Tam najlepiéj może jest pojęta swoboda życia. Mieszkańcy sami sobie służą, to prawda: ale też sami i używają. Żadna dygnitarka berezowska, nie wstydzi się zajmować sama kuchnią i całém gospodarstwem; ma tylko do pomocy sługę jednę lub dwie, według obszérności potrzeb domu. U kobiét berezowskich, znajomość sztuki kucharskiéj, stanowi część wychowania; one się nie wstydzą tego zajęcia, ale się niém pysznią, jakby posiadaniem przyjemnego talentu.

Niech to porównanie nikogo nie obraża. Przyznaje-

my wyższość sztukom, mającym piękność za przedmiot i cel; wszakże niech mi wolno będzie stanąć w obronie gospodyń-kucharek. Pobudka czyż nie uszlachetni materjalnego celu nauki? Czy gospodyni-żona — matka, gotując przysmaki myśli o własném używaniu? Czyż przyjemność sprawiona mężowi, dzieciom, lub przyjaciołom dom jéj nawiedzającym, nie jest po większéj części całą jéj nagrodą?

Uważając przeto sztukę kucharską za warunek przyjemnego życia, Berezowianie nie zostawili jéj posiadanie dowolnemu upodobaniu, ale wprowadzili ją w obrzędy najważniejszéj epoki życia.

Każda panna-młoda, skoro przybędzie do domu mężowskiego, musi przyjąć sproszonych gości obiadem, który sama zgotowała. Ten obiad jest kamieniem probierczym wychowania odebranego w domu rodziców. Wstyd i hańba dla nieumiejętnéj, równie i dla tych, co ją wychowali! Przeciwnie: dobre powodzenie dowodzi i pojętności córki, i rządności domu rodzicielskiego, w którym widno, że umiano przyjmować gości z pewną wytwornością.

Liberja strojnie przybrana, ekwipaże, są tu nieznane. Zdaje się jednak, że nic się przez to nie traci na przyjemności życia, a zyskuje się pewnie na spokojności i dostatku.

Każdy dom u nas, gdyby miał męztwo odciąć te wydatki, które nie przyczyniając się do wygody, wydziérają grosz ciężko czasem zdobyty, dla małpowania blasku dostatku, odkryłby nowe źródło zamożności, którego się nie domyślał.

Kobiéty, choć patrząc przez szkło naszych nawyknień,

zdają się być pokrzywdzone w takim porządku rzeczy, zepchnięte ze stanowiska równości, do usług podrzędnych, wejrzawszy przecie głębiéj, pokaże się, że wiele zyskują. Gospodarskie zajęcia, jeśli się do nich wdroży od dzieciństwa, jeśli fałszywy przesąd nie wiąże do nich wyobrażenia poniżenia, nie tylko nie są przykre, jak się to zdaje na pozór, lecz dostarczają zajęcia bardziéj ożywionego, niż wszystkie sztuczne rozrywki, wprowadzone w nasze wychowanie.

Nie dość tego. Obyczaj przyjęty w Berezowie, wywiera wpływ bardzo szczęśliwy na całe życie kobiéty. Mąż bierze żonę do domu swego z ochotą, ubiega się o nią, bo czuje, że mu ona prawdziwie użyteczna, że od niéj wypływa porządek i wszystkie przyjemności, jakich używa. Usługa najemna nie nastręcza się ze wszystkich stron, dla osłodzenia niedostatków życia kawalerskiego, to téż w tamtéj okolicy, mimo że posagów córki nie biorą, choćby rodzice byli najbogatsi, wyjąwszy jeśli nie ma dzieci płci mezkiéj, stara panna jest osobliwością. Nie zdarzyło mi się widzieć żadnéj, prócz kalek. Tam kobiéty się drożą i wybierają w mężczyznach; u nas się dzieje przeciwnie.

Tam widziałam córki ubogich rodziców, z nizkiéj klassy, odrzucające rękę piérwo-rzędnych urzędników, jeżeli ten urzędnik miał osobiste przywary, i nikt się temu nie dziwił; u nas, ileż razy potrzeba położenia towarzyskiego rzuca młodą, piękną i miłą kobiétę w ręce zbydlęconego, zepsutego: a często sami rodzice, wynaturzywszy swe przywiązanie, popychają w przepaść tę ofiarę przesądów i potrzeb urojonych, w mniemaniu, że jéj zapewniają szczęście.

Oprócz téj, jest jeszcze inna przyczyna wpływająca na dostatek, i dobry byt mieszkańców téj okolicy, a to, że nie potrzebują nabywać ziemskiéj własności.

U nas, człowiek pracowity i przemyślny, jeżeli skutkiem pracy, zabiegów i oszczędności, potrafił zebrać kapitalik, zaraz go wkłada w nabycie kawałka ziemi, dla zapewnienia jak mówią *losu* dla dzieci, co znaczy bytu bez pracy. A tak: ów człowiek użyteczny, stérał naprzód połowę życia na nabycie téj ziemskiéj własności, drugą, na jéj ulepszenie, i najczęściéj umrze nie używszy chwili swobody, zgotowawszy tylko dla następców gniazdo próżniactwa. Tam przeciwnie: nie mając potrzeby nabywać ziemi, która jest własnością wszystkich, człowiek przemyślny, trzyma zdobyty kapitał ciągle w obrócie, używając mnożących się dochodów.

Chciwość nawet wrodzona niektórym ludziom, dążąca zawsze do zwiększania majątku, nie może tu popuścić cugli jak gdzieindziéj. Tu handel jest jedynym przemysłem; lecz ilość wkładających się kapitałów, jest koniecznie ograniczona małą ludnością kraju. Produkcye krajowe, ile ich Bóg zdarzy corocznie, to jest: ryby i skóry, co rok są sprzedane w Irbicie, lub na jarmarku Makarjewskim; wszakże za wzięte pieniądze, kupcy nie mogą nabywać towarów europejskich więcéj, niż ludność miejscowa może ich spotrzebować. Resztujący więc kapitał pozostaje do użycia, lub wkłada się jako zapas, w kosztowne ruchomości i ubiory. Zatém, wygodne życie, zamożność, nawet pewna okazałość, jest koniecznym skutkiem obrótów handlarskich.

Nadto, łatwość zarobienia przemysłem na wygodne życie, uwalnia rodziców od zbytniéj troskliwości o los

przyszły dzieci. Córki, choć bez posagów, pewnie dostaną mężów, którzy będą się starać o ich utrzymanie; synowie pewnie będą żyć w dostatku, byle chcieli pracować.

Nauka dzieci, która u nas wymaga tak wielkich kosztów, a która, rozminąwszy się ze swym celem, najczęściéj leży martwym kapitałem, bez zastosowania przez całe życie, tylko jakby sprzęt zbytkowy, dowodzący zamożności, niewiele kłopoce Berezowian. Oni pojąć nie mogą, na co się zda mozolić głowę nauką nieprzydatną w życiu praktyczném.

Z nauk szkolnych, uczą tylko czytać i pisać, dla zapisywania długów na Ostjakach. Umiejętność ta, nabywa się bez kosztów w szkółce berezowskiéj. Uwalniają się nawet od nauki arytmetyki, bo tę zastępują wygodnie *szczoty*. Reszta wychowania nabywa się praktycznie, podzielając zajęcia ojców, skoro siła po temu.

Córki, uczą się od matek porządku w domu, przestrzegania czystości, i umiejętności kucharskiéj. Jeśli która umié czytać i pisać, ta nauka już się uważa za dodatek zbytkowy. Ta zaś mądrość przychodzi taniéj, niż można sobie wyobrazić.

W Berezowie, jeszcze się nie oswoiły wyobrażenia z tém, aby naznaczać stałą cenę za posługę osobistą. Jeżeli się znajduje w miasteczku kobiéta umiejąca czytać, a skutkiem okoliczności wolna od zatrudnień gospodarskich; matki, po wzajemnéj umowie, posyłają do niéj córki na naukę; za co ucząca nie naznacza żadnéj opłaty, tylko matki, czując się do wdzięczności, przy dniach świąt uroczystych, lub imienin, robią niewielkie podarunki, które w ciągu roku wyniosą ledwie rubli kilka.

Wszakże zostaje już na zawsze między stronami, pewien związek wzajemnéj życzliwości.

Skutkiem wyż pomienionych obyczajów, życie dla Berezowian upływa lekko i przyjemnie: bez troskliwości zbytecznéj na przyszłość, bez pracy uciążliwéj, równie téż bez próżniactwa i żądz nieograniczonych. I zdaje się, że ten stan błogi potrwa póty, póki naśladownictwo nie obudzi żądzy potrzeb urojonych. Wtenczas westchną może po czasie, za złotym wiekiem swojéj przeszłości.

W Berezowie, klassy nie rozdzielają się między sobą szrankiem nieprzebytym. Urzędnicy żyją na stopie zupełnie równości z kupcami, mieszczanami, nawet kozakami; kojarzą się z nimi związkami familijnemi, żyją w ich towarzystwie. Zamożność tylko robi pewne rozdziały; naturalnie, że domy bogatsze chętniéj łączą się między sobą, ubożsi także szukają równych sobie majątkiem. Zaś, co się tyczy wyboru żon, często syn bogatego domu, bierze dziewczynę rodziców ubogich, byle się mu podobała.

Skutkiem ogólnéj zamożności, Berezów coraz podnosi się w budowlach. W miarę mnożących się dostatków, każdy uczuwa potrzebę wygodniejszego mieszkania. Wielka obfitość lasu ułatwia budowanie, przynosząc ścięte drzewo pod sam dom bez trudu. Wapno tylko do tynków i mularki muszą sprowadzać z Tobolska.

---

29 Czerwca 1839.

Wielka uroczystość! Dziś dzień Ś. Piotra; skończył się post kilkotygodniowy. Piérwszy raz od naszego przyjazdu do Berezowa, podano nam na stół wołowe mięso.

Tu rzeźni niéma; wszakże na wielkie święta zamożniejsze domy ubijają bydle i obdzielają mięsem swoich przyjaciół. Na inne święto tamci się wywdzięczają wzajemnie, zabiwszy bydlę u siebie. Otworzono ucztę pasztetem z kury i siekaniny z mięsa wołowego. Podobny pasztet jest symbolem każdego święta znakomitego.

Że było zimno, pora dżdżysta, do tego towarzyszka moja była niezdrową, nie wychodziłam nigdzie; wszakże mimo niepogodę, publiczność tutejsza nie zaniechała obchodzić doroczną uroczystość, zwyczajem upoważnionym od czasów niepamiętnych.

Cała publiczność berezowska, zwykła się zbiérać w dzień Ś. Piotra za miastém nad rzeką Wajgułką, gdzie jest kawałek łączki i są pobudowane magazyny skarbowe. Wychodzą z domów familjami kobiéty i mężczyzni poubiérani bardzo strojnie. Dobiérają się poźniéj w grona i zasiadają grupami na murawie. Kobiéty przynoszą z sobą niektóre przysmaki, i częstują nawzajem. Gmin przestaje na cedrowych orzechach.

Jest to jedyna przechadzka publiczna, odbywająca się raz na rok.

W ogólności Berezowianie nie lubią przechadzek; myślę, że komary trują tę przyjemność. Przenoszą przejażdżkę czółnem.

Zimno było tak przenikliwe, że musiałam wziąść ciepłe odzienie.

---

1 Lipca 1839.

Wiatr wieje od Oceanu i zimno trwa już dni kilka. Komary się pochowały, ziemia obeschła z dészczu. Wzięła mię ochota, korzystając z pory, użyć przechadzki.

Moja towarzyszka i pani X., zechciały mi towarzyszyć. Poszłyśmy— Nie było wprawdzie komarów, ale za to roje małych muszek, jeszcze zjadliwszych od komarów; te wpadały w oczy, w gębę, i zostawiały pęcherze od ukąszenia.

Józia nie dotrzymała placu, i wróciła do domu; nie mogłam uprosić pani X., aby poszła za jéj przykładem. Została ze mną: a że pani X. pojąć nie może przyjemności przechadzki samotnéj, musiałam dla jéj przyjaźni włóczyć się po brudnych i błotnistych ulicach Berezowa, skacząc po okrągłych patykach i różnego rodzaju surogatach trotuaru.

Okrążywszy znaczniejsze ulice, pani X., przechodząc koło domu siostry, tam zaszła, zostawiwszy mi wolność rozrządzenia moją osobą.

Korzystając ze swobody, opuściłam co prędzéj miasto, i w las się zapuściłam. Po chwili, o dziwy! obaczyłam drogę, wytłoczoną kołami. Była to piérwsza droga jeżdżona, którąm obaczyła od czasu opuszczenia Tobolska. Ten widok tak nieznaczący, był mi arcy miłym.

Jeżeli komu zdarzyło się w obcéj i dalekiéj ziemi napotkać ubiór swego kraju, lub usłyszeć nótę znajoméj piosnki z ziemi własnéj, ten pojmie wrażenie, którego doznałam. Przypomniało mi się cóś rodzinnego; za pomocą tego nieznaczącego obrazku, przeszłość odzwierciadliła się w mojéj pamięci, i serce przylgnęło do tego cienia. Nie dając miejsca rozwadze, puściłam się z biegiem téj drożyny, jakby chwytając rękę poznanego przyjaciela. Niestety! złudzenie prędko znikło. Doszłam do magazynów skarbowych o wiorstę za miastem, gdzie skład wódki, mąki i soli, i droga się skończyła; ja zaś, odczarowana, zostałam na miejscu z uczuciem podobném do tego, jakie doświadcza dziecko, gdy goniąc za bańką mydlaną, ta mu pęknie przed oczyma.

Gdy pękła moja bańka, wróciłam do rzeczywistości. Postanowiłam daléj przedłużać moję przechadzkę. Trzymając się już innego gościńca, poszłam brzegiem rzeki Wajgułki. Niedługo napotkałam kilka familij ostjackich, które świéżo przyciągnęły w tę stronę, i rozbiły nad brzegiem swe letnie jurty. Kobiéty i dzieci, siedziały koło ogniska piekąc w popiele placki z żytniej mąki. Mężczyzni należący do tych familij, odjechali na statkach kupców berezowskich, łowić rybę na morzu Obskiém; ich zaś familje zbliżyły się ku miasteczku dla łatwiejszego wyżywienia.

Małe szałasy z kory brzozowéj, podobne do szater cygańskich, bez drzwi, bez okien, to domy letnie Ostjaków; psy są ich jedynemi stróżami i opiekunami familij. I czegożby się bać mieli? chyba niedźwiedzia. Ich mienie nie skusiłoby nikogo na świecie. Przywykłszy do mnóstwa sprzętów po domach naszych, które się wydają nieodbicie potrzebnemi, trudno sobie wystawić, jak małém człowiek obejść się może. Naczyńko z kory brzozowéj do czerpania wody, neculeczki z tegoż samego materjału, kilka takichże łyżek i kilka skór z renów, otoż i cały majątek, wystarczający na potrzeby familji.

Opuściłam prędko to nadbrzeże; tam były psy i ludzie, tém się i w domu nacieszę; tą razą szukałam natury, szukałam samotności.

Zwróciwszy na prawo, w las się zapuściłam. Rozpatrywałam drzewa, rośliny, wszystko inne niż u nas. Czy już umarłam jednemu światu, a odrodziłam się w dru-

gim? Naokoło mnie wszystko zmienione: przyrodzenie, ludzie, przedmioty, zwyczaje, wyobrażenia, wszystko zgoła, inne. Gdyby nie uczucia tlejące w głębi, gdyby nie zwierciadło pamięci odbijające przeszłość tak żywemi farbami, cóżby mi świadczyło o tożsamości mojéj istoty?

Tu mi się nastręczyło pytanie — Czy możność przechowania pamięcią na dnie duszy dawnych wrażeń, jest dobrodziejstwem, czy też przeciwnie? Prędko odrzuciłam precz to pytanie, bałam się bluźnierstwem skalać myśl moję. Jeżeli przeszłość umarła, tak przywrze pamięcią do duszy, że ani oderwać jéj nie można, ani wskrzesić niepodobna, to ciężko, bardzo ciężko! Wszakże, jest to jedyna część, w któréj choć się ból czuje, ale tleje życie; reszta śmierć, próchno.

Bóg często w swojéj mądrości, prowadzi ślepe stworzenia do celów, przez siebie tylko pojętych, drogami, na które się wzdryga ich mdłe przyrodzenie; przecież te drogi w skutkach okażą się dobroczynne. Słabi i ślepi, poddajmy się i ufajmy.

Długo błądziłam po samotnym lesie, nie śmiejąc wszakże oddalać się od brzegu z bojaźni, aby nie zbłądzić. Postrzegłam jurtę ostjacką większą i porządniejszą od tych, które dotąd widziałam. Drzwi stały otworem, ochota mię wzięła zajrzeć do niéj. Weszłam — Była to chałupa z drzewa, do połowy wpuszczona w ziemię, wszakże bez okien. Dach był pokryty drzewem i narzucony po wierzchu ziemią. W górze wyrobiony otwór, służył do ujścia dymu. Światło się wdzierało przez ten otwór, jak przez drzwi otwarte. W rogu izby stało ognisko ciągle podtrzymywane, tak dla gotowania jadła, jak dla odpędzania dymem komarów. Nad ogniskiem był zawieszony kocioł żelazny, w którym się gotowała ryba z wodą, podkłócona trochę mąką. Jest to zwykły pokarm Ostjaków, nazywa się *burdiuk*. Jedzą go bez soli i chleba.

Pod ścianą w głębi, leżały drwa równo ułożone w kształcie sofy, czy ławy. Na nich pokładzione były skóry z renów. Widno, że to służyło i do siedzenia i za łoże dla familji. Na prawo, stała duża skrzynia, obita blachą, i jeszcze ze dwa podobnychże małych kufereczków, dowód zamożności gospodarza. Mimo to, sprzęty do użycia były prawie takież same, jak w wyżéj opisanéj jurcie, ubogich Ostjaków. W kącie stało wiaderko z kory brzozowéj, czerpaszka i łyżki tegoż materjału, necułeczki i kilka czerepów; otoż i cały sprzęt bogatego Ostjaka.

Zastałam w jurcie mężczyznę i dziewczynkę 10-letnią, oboje byli nadzy. Mężczyzna, postrzegając przychodnia, wdział natychmiast na siebie malcę (1), dziewczynka nie zmieniała gotowalni.

Ledwie miałam czas rzucić w koło oczyma, przykry smród zaraz mię za drzwi wypędził.

Ostjacy nieznośnie śmierdzą właściwym sobie odorem. Jeżeli Ostjak wejdzie w dom jakikolwiek, mimo wietrzenie i kadzenie, trudno się pozbyć smrodu przez półdoby. Skóry z renów, któremi się odziewają, wyprawne penym sposobem, tłustość rybia, wydająca nawet w stanie świeżości woń bardzo nieprzyjemną, śmierdzące pokarmy, dym, w którym Ostjak wędzi się dniem i nocą, komplikują się dla otoczenia tych krajowców atmosferą przykrą do niezniesienia.

(1) Koszula ze skóry renów, własem do góry obrócona.

Nie można sobie wyobrazić, jakiemi obrzydliwościami Ostjacy karmią się pospolicie. Pomijam surową rybę, która jest piérwszym przysmakiem wszystkich klass tamecznych mieszkańców, Ostjacy jedzą surowe mięso, krew, kiszki, zdechliny, zgniłe mięsa i śmierdzące ryby. Żadne mięso jakiegokolwiek zwierzęcia lub ptaka, nie jest przez nich wyłączone. Lisy, wrony, wiewiórki, sroki, wszystko u nich zarówno dobre.

Ostjacy zamieszkujący w blizkości Berezowa, mają zwyczaj, gdy głodni, przychodzić do tego miasteczka z łukoszkiem (1) w ręku, lub też kociołkiem przewieszonym na kiju, po żebraninie do domów ruskich. Berezowianki, które nigdy nie odprawiają ubogiego bez opatrzenia, uważając wszakże Ostjaków tylko za półbliźnich, wlewają lub wrzucają w owe naczynia, co im w domu zbywa. Trocha wczorajszego jadła lub surowéj mąki, kiszki, obrzynki mięsa, a najczęściéj pomyje z wymytych garnków lub misek, albo woda, którą się oparzają śmierdzące kaczki i ryby, wszystko się wrzuca bez wyjątku do jednego naczynia.

Ostjacy, gdy już uzbierają ilość dostateczną do zaspokojenia głodu jednorazowego, zasiadają na ulicy i karmią się tém obrzydliwém jadłem. Zdarzało mi się czasem przechodzić koło podobnéj uczty; smród od niéj był tak zabójczy, że nos zatknąwszy, musiałam uciekać jak najdaléj.

Trzeba wyznać, że Berezowianie nawet ruskiego pokolenia, nie wyłączając klassy bogatéj, nie są wykwintni co do węchu, i czystości, która tak mile uderza w ich

(1) Gatunek wiaderka z kory brzozowéj.

pomieszkaniach, nie rozciągają do kuchni. Niekoniecznie mają zwyczaj wyrzucać z garnków przeszłe jadło, nastawiając powtórne, utrzymują, że ono czyste; i jedzą bez wstrętu mięsiwa tak śmierdzące, że zdaleka znieść nie można zaraźliwéj woni, nazywając je tylko kwaśnemi.

D. 6 Lipca, 1839.

Już trzeci raz poczta przyszła od mego przybycia do Berezowa, nie przynosząc mi ani jednéj litery od dzieci moich. Znów następuje dwa tygodnie oczekiwania, które może równie jak dzisiaj, zawiedzione zostanie. Czyż już nigdy żadne echo nie doleci do mnie, ze świata mojéj duszy? Może ci co kocham, nie wiedzą w jakim kącie świata przebywam dzisiaj? Może nie wiedzą gdzie mi posłać, choćby jedno westchnienie? Piszę co poczta nie wiedząc, czy moje słowo doleci ich kiedykolwiek. Wszakże czekać, mieć nadzieję, przynosi ulgę w tęsknocie.

Jaka parnota! Jaki deszcz! Nigdy w moim kraju nie widziałam podobnéj ulewy. Dészcz leje jakby z przewróconego naczynia, bez przerwy. Błyskawice migocą, pioruny biją jeden po drugim: zdaje się, że same ostateczności zbiegły się w tych ostatecznych krańcach ziemi. Upał, deszcze, zimno, dni, noce, wszystko niepomierne.

Tak wstrząśnienia natury, jak wstrząśnienia losu uspasabiają duszę do nabożeństwa. Cała familja gospodarza mego, zebrała się do naszego pokoju, bo tam są obrazy domowe. Zapalono przed niémi świécę, biją pokłony. Córka gospodarza, cztérnastoletnia dziewczyna czyta ewangelję, starzec modli się zebrany w duchu, je-

go żona pogląda ukradkiem w okno, czy ich budowle nie płoną: na jéj twarzy maluje się niespokojność. Za każdém uderzeniem piorunu, pochylają ku ziemi przerażone czoła, widno, że im miłe życie, widno, że mają lękać się o co. Dla czegoż mnie żadna nie przejmuje trwoga, dla czegoż taka apatja, taka obojętność? Zdaje się, że gdyby słońce i gwiazdy ruszyły się ze swych stanowisk, i ten dziwny fenomen nie wyprowadziłby duszy mojéj z odrętwienia. To zakłócenie w przyrodzeniu, jakąż zmianę mogłoby przynieść w moich uczuciach? Alboż ten świat na którym żyję, do mnie należy? Prócz niepewnéj nadziei przyciśnienia jészcze kiedy do serca dzieci moich, nadziei tak na niczém nieopartéj, którą jedynie z litości Bóg przywiązał do wszystkich przeznaczeń człowieka choćby najbardziéj zrospaczonych, która, jak jedyny anioł pociechy, jak wiara, jak sumienie wspiéra człowieka aż do grobu, — reszta, wszystko jest dla mnie tak obojętném, że nawet katastrofa najważniejsza w życiu człowieka, żyć albo nie żyć, przesuwa się przez myśl moję bez żadnego wrażenia.

O gdybym pewną być mogła, że dusza oswobodzona z więzów ciała, poleci szlakiem znajomym do istot mi drogich, będzie mogła wnikać we wzruszenia ich duszy, objawiać się w natchnieniach, ochraniać w przygodach, wzmacniać w walkach, cieszyć w niedoli — o! wtenczas perspektywa śmierci, byłaby dla mnie gwiazdką nadziei świecącą światłem jasném w bezbarwnéj drodze mego życia. Bo (przebacz, mój Boże, jeżeli cię ta myśl obraża, ja nie chcę ci bluźnić), nieśmiertelność, jeżeli w niéj nie będzie przedłużenia uczuć duszy, ani pamięci przeszłości, będzież nieśmiertelnością? Bez poprzednich warunków

pojmuję tylko nieśmiertelność materji, któréj żadna część nie ginie w przyrodzeniu, tylko się rozkłada, przekształca, przybierając inne formy. Ale Ty Boże, obiecałeś nieśmiertelność dla mojéj duszy, która pojmuje, kocha, myślą łączy przeszłość z przyszłością, i tąż myślą wzbija się aż do Ciebie. Takiéj to nieśmiertelności czekam z ręki Twojéj, o Boże!

Nakoniec przegrzmiało, przebłyskało, chmury czarne odsunęły się i zaległy niższą część widnokręgu jeszcze warcząc, jeszcze grożąc, ale coraz ciszéj — ciszéj.

Korzystałam z piérwszéj chwili, kiedy dészcz padać przestał, i wyszłam na przechadzkę. Wody z pagórków leciały potokami, sznurki kryształowe z dachów przedłużały się aż do ziemi, wszystkie drzewa płakały, a ja skacząc po deskach, patykach, okrążyłam miasto i zmokła wróciłam do domu.

---

11 Lipca, 1839.

Byłyśmy zaproszone do Sprawnikowstwa na wieczór, z okoliczności imienin gospodyni domu.

Dzięki naukom naszéj mentorki pani X., nie popełniłyśmy żadnéj niezgrabności. Zrana odebrałyśmy wezwanie, lecz pani X. nas ostrzegła, że na piérwsze wezwanie się nie idzie, jest to tylko zapowiedź, aby goście byli w gotowości.

O godzinie szóstéj czy siódméj wieczorem, zjawił się powtórny poseł, którego technicznym wyrazem nazywają w Berezowie *zazywały;* ten nas powtórnie zaprosił urzędowie. Poszłyśmy o godzinie 10-téj, i zastałyśmy już liczne zgromadzenie. Mężczyzni bawili się w piérw-

szym pokoju z lampeczką w ręku, koło licznych stolików bostonowych; damy zajmowały pokój drugi. Wszystkie były bogato ubrane w kosztownych materjach, złotych łańcuchach, fermoarach z kamieniami, nawet perłach orjanckich. Tylko ubior na głowach, odznaczał urzędniczki od *niebłahorodnych;* piérwsze miały czépki, a drugie chusteczki jedwabne różnokolorowe, opięte pewnym sposobem nadającym głowie kształt melona. Wszakże i ten ubior zaczął już odstępować od piérwszéj prostoty: końce chusteczki związanéj nad czołem, oszyte blondynami, podpięte szpilkami z kamieni, zdradzały u niektórych pretensję zbliżenia się do strojów wyzwolonych.

Panny zasiadły kąt starszy pod obrazami. Jest to miejsce honorowe, o którém nigdy nie zapomina gospodyni, jeśli chce kogo uczcić w swoim domu.

W Berezowie panuje obyczaj wstecz przeciwny przyjętym u nas zwyczajom. Tam panny odbierają wszystkie piérwsze honory. Im podają najpiérwiéj konfitury, herbatę, sadzą na piérwszém miejscu. Zabawnie patrzeć jak dziewczynka choćby dziesięcioletnia, idzie przed swoją matką i pojmuje, że to piérwszeństwo z prawa się jéj należy.

Przed kanapą, stół duży był zastawiony różnego rodzaju konfiturami, owocami suszonemi i orzechami cedrowemi. Gospodyni co kilka minut częstowała niémi damy z kolei. Każda nowo wchodząca była zawsze powitana konfiturami, i od niéj się rozpoczynała nowa koléj. Mężczyznom konfitury się nie podają, byłoby to dla nich ubliżeniem, lecz za to hojnie ich częstują winem i nalewkami.

Widno, że wszyscy goście byli już zebrani, bo za-

częto roznosić kawę, a potém herbatę. W Berezowie używają kawę tylko w bardzo rzadkich okolicznościach, i nie umieją się z nią obchodzić. Gotują ją w wilję i zostawiają przez noc do ustania, późniéj zlewają w samowary i na nowo zagotowują, późniéj nalewają prawie pełną filiżankę, i podają trochę zimnéj śmietanki jakby do herbaty.

Jeżeli kawa nie wyśmienita, za to ciasteczka wyborne; Berezowianki celują bowiem w téj części sztuki kuchennéj. Robią przedziwne biszkokty, wachle, obwarzaneczki, ciasta francuzkie, migdałowe, wszakże podają je tylko kobiétom: mężczyzni od nich wyłączeni równie jak od konfitur, nagradzają to sobie trunkami.

Niedługo, za przywodem pani X., złożono także bostona dla kobiét; inne zajęły się grą łatwiejszą w *kurkę*, które zaś nie chciały należeć do gry ani jednéj, ani drugiéj, bawiły się gryzieniem orzechów cedrowych.

Berezowianki nie lubią bawić się rozmową: kilka zapytań formułowych o zdrowie wszystkich członków familji, które trzeba wyliczyć wymieniając imie chrzestne i imie ojca, zaczynają i kończą rozmowę sąsiadek. Odpowiedź równie nie kłopoce głowy; *sława Bohu*, wystarcza na zbycie wszystkich zapytań.

O dwónastéj chciałam odejść, ale uprzejma gospodyni nie dała nawet sobie mówić; nie puściła bez wieczerzy, jakoż zaczęto nakrywać do stołu.

O drugiéj podano wieczerzę złożoną z nieprzeliczonéj ilości jadła: kilkadziesiąt półmisków ją składało, a że każda uczta kropla w kroplę do siebie podobne, dla ciekawości gastronomów, muszę z nich jednę opisać. Nie-

wdzięczny to przedmiot prawda, ale cóż począć, wziąwszy się do dzieła, trzeba skończyć.

Owoż jestem natchniona i zaczynam.

Każdą ucztę rozpoczyna tak nazwany *pirog*, szczególnie na imieniny jest to półmisek obrzędowy. Najczęściéj, jest to pasztet w cieście francuzkiém.

Wieczerza była *à la fourchette*, każdy nabierał i jadł gdzie chciał, z kim chciał, i co chciał.

Gdy pirog był przyjęty, zastawiono stół cały, daniem na zimno. Trudno zliczyć ilość półmisków. Były tam kaczki solone i niesolone, gęsi rozmaicie zrobione, marynowane, świéże, nadziewane, z galaretami; ozory wołowe i z renów rozmaicie urządzone, nogi, główki z galaretami różnokolorowemi, z rozmaitemi ozdobami świecącemi pod przezroczystą powłoką, jako to: listki z gieranium, kwiatki, cytryny.

Nie przestając na krajowych zapasach, solenizantka wystąpiła z przysmakami przywozowemi: figurowała na stole szynka marynowana z Tobolska, i prosięcina na zimno.

Gdy piérwsze danie zeszło ze stołu, podano drugie z sosami; te nie było równie liczne jak piérwsze. Kotlety i zwierzyny wszystkie z jednymże prawie sosem słodkim ze śliwkami i cébulą. Ta część kucharstwa stoi jeszcze na stopniu nizkim w Berezowie.

Za tém daniem zastawiono stół pieczystém: znów ilość nieprzerachowana. Co tylko lasy berezowskie wydać mogły w zwierzynie, było wszystkiego w obfitości. Gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce, kuropatwy, jarząbki rzęśnie stół okrywały. Pieczeń cielęca zajmowała miejsce honorowe.

Po pieczystém, dano kaszę ryżową z formy, oblewaną białym sosem. Jest to jedyna legumina znajoma w Berezowie i figurująca na każdéj uczcie.

Za nią poszły galarety słodkie, bardzo przezroczyste i ozdobnie zrobione, tylko użycie obfite wina i goździków, nadawało im smak zamocny.

Wreszcie ciast gatunków kilka, kończyły ucztę.

Patrząc na tyle jadła, zdawało się, że to morze do wypicia; nie można było przypuszczać, aby osób kilkadziesiąt mogło zjeść wszystko: wszakże, z wielkiém mojém zdziwieniem uważałam, że półmiski zwiedziwszy naprzód stół kobiét, potém drugi zastawiony dla mężczyzn, wracały próżne.

Po ostatniém daniu, gospodyni weszła do izby stołowéj z tacą w ręku, butelką i kieliszkami takiemi, jak używają do szampańskiego wina. Zapraszała każdego z osobna do wypicia, zaczynając od dam. Grzeczność nie pozwalała odmówić spełnienia zdrowia soleniznantki.

Wszystkie kobiéty musiały się napić mniéj lub więcéj. Trunek, którym częstowano, przyrządza każda gospodyni w Berezowie. Jest on szumiący jak wino szampańskie, koloru różowego; robi się z soku malinowego, lub porzeczkowego, z dodaniem cukru i wódki francuzkiéj. Trunek ten jest słodki i smaczny, nazywają go: *Apogare*.

Było to hasło do odejścia. Skoro zdrowie spełnioném zostało, każdy podziękował gospodyni i wszyscy razem pokój opuścili, jakby kto wymiótł za drzwi.

Wyszliśmy w licznéj bardzo kompanji, która pomału rozsypywała się na różne strony. Każdy dążył do domu, aby odpocząć po utrudzeniu i po uczcie uciążliwéj dla żołądka.

---

13 Lipca, 1839.

Doczekaliśmy się przecie nowalji: przyniesiono nam talerz *kniażniki.* Jest to jagoda u nas wcale nieznana: rośnie na szypułce twardéj jak malina, choć nierównie niżéj przy ziemi, kwitnie różowo. Jagoda ma kształt i kolor nieco zbliżony do maliny, choć od niéj ciemniejsza i mniéj soczysta. Kwasek ma trochę ostry, wszakże przyjemny. Główną jéj zaletą jest zapach ananasowy bardzo miły. Konfitury z niéj są wyborne.

Jagoda ta, lubo w lasach berezowskich rośnie w wielkiéj obfitości, trudno wszakże jéj dostać. Nikt nie chce dla kilkudziesięciu kopiejek staczać bój w lesie z komarami. Tu nędza ani chciwość nie popycha ludzi jak u nas, poniewiérać się za trochę pieniędzy dla wygody bogatszych. Przeto jagoda kniażnika płaci się dość drogo.

Jest jeszcze inna jagoda, którą zwą *morożką.* Podobna ona kształtem do naszéj ożyny, rośnie na szypułkach wyższych nieco od kniażniki; ta jagoda ma piękny kolor brzoskwiniowy lekko z jednéj strony zarumieniona, wszakże jest twardsza, mniéj soczysta, i mniéj smaczna od kniażniki.

Maliny rosną w małéj ilości, i może dla tego nikt ich nie zbiéra.

Porzeczki są zbyt kwaśne i bardzo kościste, wszakże sok z nich czasem robią.

Tu każda jagoda jest bardzo wielkiéj wartości, przy niedostatku jarzyn i wszelkich owoców.

Byłyśmy w cerkwi przez ciekawość widzenia obrzędu ślubu w Berezowie; uprzedziłyśmy więc pannę młodę. Jest tu we zwyczaju powszechnym, przychodzić do cer-

kwi piechoto: dzisiejsza panna młoda odstąpiła od tego zwyczaju, a w niedostatku powozu, była przywieziona na jakiéjś *teledze* okrytéj dywanem, która wyglądała przez to więcéj na mary, jak na powóz ślubny.

Nowożeniec, który uprzedził do cerkwi swoję narzeczonę, spotkał ją wchodzącą do cerkwi i pocałowali się razy kilka; po czém poprowadzono do ołtarza urządzonego umyślnie na środku cerkwi. Przed ołtarzem ksiądz czytał, diak zaś śpiéwał o obowiązkach małżonków. Przysięgi żadnéj nie było. Po nałożeniu pierścionków, kładą państwu młodym korony na głowę, i tak oprowadzają koło ołtarza razy trzy.

Po odstąpieniu od ołtarza, obrządek się kończy całusami.

Wróciwszy z cerkwi, odebrałam wiadomość o śmierci Krzyżanowskiego, która nastąpiła 1 Lipca. Serce się ścisnęło, ale rozwaga nie potwierdziła niewczesnego smutku. Po co żałować człowieka, który przeżył najlepszą część siebie? Cóż mu zostawało na osłodę życia? Nic, nic zgoła. Nawet pamięci przeszłości, tego jedynego skarbu nieszczęśliwych, nie dochował nie tkniętéj na pociechę w niedoli. Krzyżanowski już nie żył oddawna. Ciało ożywione niegdyś przez duszę, przeciw porządkowi zwyczajnemu przyzostało jeszcze na chwilę na ziemi, ale to już nie był Krzyżanowski. Pokój jego popiołom! Pamięć jego imieniowi!

Mimo te i tym podobne uwagi smutno czegoś było, bardzo smutno! Chciało się odpoczynku, chciało się samotności, a nigdzie jéj znaleźć nie można było. Samotność pokrzepia duszę, jak leżenie pokrzepia ciało w niemocy. U nas przynajmniéj zasmuconych duszą, noc bierze w o-

piekę otulając swoim czarnym płaszczem; tu nie ma téj przyjaciółki cierpiących. Dzień ciągle zagląda w oczy, czy te się śmieją, czy płakać mają ochotę. I serce się zawiéra przed natrętnemi świadkami, co z niezachwianą pogodą poglądają tak na łzy jak na radość.

---

20 Lipca, 1839.

Poczta przyszła, przyniesiono mi listy. Jakież było moje wzruszenie, kiedy między innemi poznałam rękę mojéj Paulinki. Gorąco uderzyło do głowy, przez kilka minut nie śmiałam dotknąć tego pisma pożądanego.

Przez cały ciąg mojéj tęsknoty, robiłam śluby, że wszystko przeniosę, o nic nawet Boga silnie błagać nie będę, byle raczył zachować zdrowie i życie dzieci moich. Pismo więc to było jakby wyrokiem życia lub śmierci.

Wreszcie odpieczętowuję. Wszyscy żyją — Boże! przyjm dzięki moje! Lecz jakże mi serce nie pękło czytając list mojéj biédnéj Paulinki, jak energicznie on maluje cierpienia jéj duszy, moc miłości i poświęcenia! Ona chce do mnie przyjechać koniecznie, lecz powinnamże na to zezwolić? Powinnamże przyjąć jéj ofiarę? Z drugiéj strony, możnaż odmówić ostatniéj pociechy tak silnemu przywiązaniu? Odtrącić dziécię, które znużone pasowaniem się z nawalnicą życia, wyciąga do ciebie ręce, i szuka na łonie twojém wytchnienia. Boże oświeć! Boże natchnij.

Wraz z jéj listem, odbiéram kilka innych upominających mię, abym nie zezwoliła na żądanie Paulinki; mimo to, słowa jéj listu palą mi duszę.

Wyjątek z listu Paulinki.

D. 29 Maja 1839 Kijow.

» . . . .

» . . . .

» . . . . Ledwie pojąć mogę co się w około »nas dzieje, co robimy, co robić powinniśmy. Natłok in»teresów, wypadków, odmiana miejsc, rozmaitość osób, »sprzeczność zdań, rad, wniosków zupełnie mię obała»mucają. Nieoswojona z takim wirem interesów i wyda»rzeń, myśli moich uporządkować nie mogę. Robi się »jakiś chaos w głowie, który bardzo często zamienia się »w ciągły i gwałtowny ból głowy. Taki teraz mój stan »powszedni.

»O mamo droga! jakże ciężką rolę Bóg mi przezna»czył na ziemi! Jednak nie szemrzę, nie narzekam na »zbytek ciężaru przechodzący mój rozum, siły i doświad»czenie. Bogu się podobało włożyć to brzemie na moje »ramiona, przyjmuję je. Jednę tylko modlitwę zanosząc »do Boga, zawsze jednę w każdym czasie i w każdéj »chwili, aby moje rodzeństwo było szczęśliwe, i aby choć »kiedyś, Bóg mi pozwolił połączyć się z tobą.

» . . . .

» . . . .

»Bóg mi świadkiem, że całą duszą pragnę szczęścia mo»jéj rodziny, że gotowabym wszystko dla niéj poświęcić, »że teraz wszystkie myśli moje są nią tylko zajęte; lecz »dla podtrzymania sił moich, potrzebuję nadziei, że kie»dyś z tobą się połączę.

»Z jakąż roskoszą, z jakiém upojeniem zwracam cza»sem myśl moję do téj chwili pożądanéj, kiedy z tobą po-

»łączona, na łonie twojém odetchnę po trudach i pra-»cach; lecz chwile tych marzeń są tak krótkie, tak ma-»ło mam na nie czasu. To znów czasem okropna myśl »mię przeraża. Gdybym nigdy dokonać tego zamiaru nie »mogła? gdybym na zawsze tego szczęścia wyrzec się »musiała? O ja nieszczęśliwa! Nie byłoby już dla mnie »pociechy na ziemi.

»Napisz mamo kochana, że chcesz tego, abym do cie-»bie przyjechała, a wiész że nie nadużyję twego pozwo-»lenia. Gdyby nawet wszystkie zawady usunięte zostały, »jeżeli tylko dobro mojéj rodziny wymagać tego będzie, »sama do ciebie nie pojadę: lecz to pozwolenie twoje ko-»niecznie jest potrzebne, dla mojéj spokojności, dla swo-»bodnego dążenia do jedynego celu, który utrzymuje mo-»je życie.

»Czy wiész droga mamo, ty szczęście moje! że są »ludzie, którzy utrzymują, że gdybym pojechała do cie-»bie, zrobiłabym największe głupstwo, że ty sama po-»czytałabyś krok ten za szaleństwo i powitałabyś mię »z największém nieukontentowaniem.

»Mamo droga! wszakże to być nie może. Jest to mo-»wa ludzi, którzy nie rozumieją naszego przywiązania, »oni nie wiedzą ile ty mię kochasz i ja ciebie.

»Mówią, że ty nie pozwolisz, abym młodość moję za-»grzebać miała w Berezowie. Mamo droga! Ty wiész »jak mało węzłów łączyło mię zawsze ze światem, jak »tu wszyscy byli dla mnie obcymi, i ja dla nich obcą, i »teraz żyję jedynie tą myślą, aby co prędzéj go opuścić »i zamienić świat, który jest dla mnie pustynią, na pu-»stynię, która stanie się dla mnie światem. Mamo naj-»droższa! gdziekolwiek los nas rzuci, skoro tylko bę-

»dziemy razem, tam będzie świat nasz, tam będzie na-»sza ojczyzna.

»Nie myśl jednak mamo, że myśląc jedynie o sobie, »zapominam o moich obowiązkach, zapominam o twojéj »spokojności. Wiém, że nie ja jedna obchodzę cię tutaj. »Ty wiész także, jak mi jest drogie szczęście mojéj ro-»dziny, i gdyby ono wymagało ofiary, gdyby dla ich do-»bra trzeba się było wyrzec nawet nadziei połączenia »z tobą, nie wahałabym się; poddałabym się memu prze-»znaczeniu z boleścią wprawdzie, ale z postanowieniem »znoszenia go, pókiby mi siły starczyły.

»Już trzy miesiące jak dowiedziałam się o naszym »losie, a jeszcze myśli moje w takim są nieładzie, że »nie wiém jak ci sprawę zdać potrafię z moich zamia-»rów, z zamysłów dla dzieci — etc. . . . .

. . . .

Przeczytawszy list Paulinki, z którego mieszczę tu wyjątek, przeczytawszy listy innych osób, gwałtowna burza powstała w duszy mojéj. Uczucia sprzeczne mio-tając w przeciwnym kierunku, rozdzierały serce, nie wy-prowadzając umysłu z niepewności. Co przedsięwziąć? Na co się zważyć?

Z jednéj strony, gdy mi stawał w oczach obraz mojéj Paulinki w zapasach z najprzykrzejszémi okolicznościami, które ją otoczyły zaledwie wychodzącą z dzieciństwa, upadającą pod brzemieniem nad siły, wówczas, zapomina-jąc o odległości, o przeszkodach prawie niepokonanych, powodowana jedynie instynktem serca, wyciągałam do niéj ramiona, aby co najprędzéj przytuliwszy ją do łona po dawnemu, osłonić opieką, troskliwością, i tchnieniem mojéj miłości odżywić tę młodą latorośl, łamiącą się pod

gwałtownym powiewem burzy. Lecz w moment, gdy okiem rozumu zmierzyłam odległość, gdy objęłam cały szereg wypadków, mogących jéj zagrażać jednéj i bez opieki w podróży tak dalekiéj, strach mię ogarniał, obawiałam się zwodnictwa własnego serca. Do tego, gdy wspomniałam na resztę dzieci, przedstawiłam sobie ich położenie—zadrżałam. W teraźniejszém ich sieroctwie, wyzuci z mienia ojczystego, wyzuci z naturalnéj opieki, nie mieli żadnéj opory prócz jéj serca i poświęcenia; słaba to tarcza w tak przykrych okolicznościach, ale jedyna. Wolnoż mi było mojém zezwoleniem, odjąć im tę ostatnią opiekę?

Prawda! Ale kiedy dla tych, chodziło o niepewne wypadki przyszłości, których nikt przewidzieć ani wyrachować nie potrafi, dla tamtéj, chodziło może o życie.

Znałam bowiem jak niewłaściwy stosunek zachodził między energją jéj ducha, a słabością sił fizycznych. Natury takiego hartu prędzéj się złamią, niż pofolgują sobie. Odmawiając jéj pozwolenia, o które się domaga, możebym podpisała wyrok jéj śmierci.

W roztrząsaniu tak rozmaitych względów, serce się ściskało, myśli się plątały, i rozum nie mogąc rozwikłać sprzeczności, milczał w otrętwieniu. Nakoniec ból głowy jakby dla przyniesienia ulgi, odjął prawie władzę myślenia i czucia.

Skołatana, nie mogąc utrzymać głowy na ramionach, złożyłam ją na poduszce, i wpadłam w pewien rodzaj odurzenia.

Przeciąg kilkogodzinny, ostudził gwałtowność piérwszego wzruszenia. Pomału wrażenia bolesne zaczęły ustępować miejsca weselszym. Albož Bóg nie czuwa nad memi biédnemi dziećmi, nie osłania ich potęgą swojéj wszechmocności silniéj, niżbym tego dokazać mogła przy największéj troskliwości?

Trzeba być w położeniu, które odejmuje wszelkie środki ratowania siebie lub drugich, aby pojąć całą siłę pociechy poddania się religijnego. Uklękłam, a w miarę wzniesienia duszy do Boga, doskwierne bole ucichały. Nawet te same listy, które przed chwilą rozdzierały mi duszę tak gwałtownie, dostarczały mi źródło pociechy.

Matka moja, którą zostawiłam złożoną obłożną niemocą, która często była przedmiotem najniespokojniejszéj obawy, przetrwała cios, który ugodził naszę rodzinę z chrześcjańskiém poddaniem. Dzieci moje nie tylko że zdrowe, ale nieszczęście pozbawiając ich rodzicielskiéj opieki, usuwając bezpieczeństwo swobodnego bytu, doprowadziło ich rozum do przedwczesnéj dojrzałości; robią mi one ukontentowanie i swém sercem i postępowaniem. Bóg jeden tylko zna cele, do których prowadzi po manowcach życia.

Wreszcie rozmowa świéża choć przez pismo, jakkolwiek rzewna, pokrzepiła duszę.

Nad wieczorem poszłyśmy z Józią na przechadzkę. Wiatr silny w las przepędził wiatry i komary, a choć głowa bolała, jednak jakoś lżéj było. Piérwsza to przechadzka była w Berezowie bez muszek, komarów i bez natrętów.

Cichość, samotność, pora wieczorna, świéżość powietrza po gwałtowném wstrząśnieniu, wlewały przez zmysły do duszy, jakąś pociechę nieokréśloną.

Wpływ miły przyrodzenia, którego nie czułam od dawna, odradzał duszę ufności, mówił mi o dobroci Boga:

zdało mi się, że nie jestem jego wydziedziczoném dziecięciem, a może świéżo nabyta pewność, że mogę z dziećmi memi rozmawiać z téj odległości, może nadzieja choć niewyraźna nasuwająca się na myśl mimowoli, że może Bóg mi pozwoli przycisnąć kiedy do serca choć jedno z dzieci moich, rozpogodziło wszystko naokoło mnie. Wszystko mi poweselało i domy, i okolice, i wody, i lasy.

Idąc brzegiem rzeki, zaszłyśmy aż do Wajgułki. Tak było miło w tém samotném ustroniu, że nie chciało się opuszczać to miejsce. Żal mi tylko było Józi, która była smutna, bo nie odebrała żadnéj wiadomości od swoich.

Mówią, że nieszczęśliwy bardziéj podziela niedolę drugich, niż ten co nie cierpi. Nie zadaję fałszu przyjętemu twierdzeniu, wszakże co do mnie doświadczam przeciwnie. Kiedy uciśniona jestem własném cierpieniem, wówczas cierpienia drugich bledną w obec mojego, ale widok smutku obok mojéj pomyślności, obudza całą moją czułość. Różnica tego co drugim niedostaje, pomnaża się całą summą tego co sama posiadam, i ledwie sobie nie wymawiam mojéj pomyślności.

Zgadzam się wszakże, że aby wniknąć w stan duszy drugich, trzeba przejść przez różne koleje uczucia.

Długośmy się ociągały z powrótem, wszakże na końcu trzeba było wrócić koniecznie. Unosiłam do domu miłe wrażenia z téj przechadzki! Chciałam się niémi popieścić, chciałam je zatrzymać nieskalane obcém dotknięciem przynajmniéj do jutra; z obawą przeto wracam do domu, wykradając się od natrętnych spotkań. Próżne żądanie! Za wstąpieniem w próg domu, zastałyśmy towarzystwo pani X., która nam wymawiała, żeśmy jéj z sobą nie wzięły; zastałyśmy tyrkotanie gospodyni, gwar

dzieci, smród mięsa przygniłego. Żegnam was miłe wrażenia z nad Wajgułki! Dobranoc wam! Był to miły sen przez jednę chwilkę, z którego trzeba się przebudzić do rzeczywistości.

W nocy był piérwszy przymrozek.

---

3 Sierpnia, 1839.

Teraz okolica Berezowa ma fizjonomję zupełnie jesienną. Mróz powarzył delikatniejsze rośliny, liście na drzewach pożółkły lecą za każdym powiewem wiatru, wody opadły, trawa pożółkła. Jednėm słowem głęboka jesień, a przecież to tylko początek Sierpnia. To dobrze, że lato tutejsze niewiele obudza za sobą żalu.

Mamy już trochę nocy, mamy nawet dość chłodu szczególniéj nocą, ale za to jest rzeźwiéj. Mamy także jagodę *gołubicę* podarunek jesieni. Ta jagoda zupełnie podobna do naszéj czernicy tylko cokolwiek większa, rośnie w wielkiéj obfitości po lasach berezowskich. Jadłyśmy ją dziś ze śmietaną i bardzo nam smakowała.

Zrobił się projekt przejażdżki łódką po Soswie. Lubię wodę i pływanie, przyjęłam więc propozycyę pani X., która miała się zająć urządzeniem. Sprawnikowa miała należeć do kompanji.

Kiedy projekt był ułożony, pokazało się, że mimo zabiegi pani X., nie można było znaleźć żadnego mężczyzny ani do stéru, ani do wiosła. Pani X., która nie zraża się lada czém, kiedy już raz co ułożyła, postanowiła obejść się bez téj płci, pod któréj opieką my słabe tulić się lubimy, i w miejscu mężczyzn przyprowadziła dwie kobiéty.

Przyznam się, że w téj okoliczności wolałabym mieć w towarzystwie choćby jednego mężczyznę, bodajby śmierdzącego Ostjaka, wszakże, nie chciałam oddzielać się od kompanji, i wzięłam mój udział jak wypadało.

Służąca pani X. jako wprawniejsza, wzięła się do rudla, ja, pani X. i jeszcze jedna kobiéta, robiłyśmy wiosłami.

Że powietrze było ciche, przepłynęliśmy szczęśliwie rzekę, i wylądowałyśmy na brzeg przeciwny suchy, piaszczysty, i porosły rzadką trawą i wierzbami.

Wylądowawszy, rozłożyłyśmy ogień, wydobyłyśmy z łódki samowar, ów towarzysz nieodstępny wszystkich aktów życia w Berezowie, nalałyśmy go wodą i czekałyśmy na węgle.

Dotąd wszystko nam sprzyjało; wszakże w minut kilka napadły nas komary z największą wściekłością. Widząc, że próżna obrona, usiadłam na ziemi, pochowałam nogi pod siebie, nakryłam się z wierzchu chustką, a ponieważ takie położenie nie było ani wygodne, ani przyjemne, czekałam końca uczty niecierpliwie.

Nakoniec herbata była gotowa; wypiwszy onę, zabrawszy naczynia, odpłynęłyśmy na powrót.

Śród rzeki, największa swoboda od komarów. Pływanie jest tu jedyny środek używania świéżego powietrza podczas pory ciepłéj. Odżyłam, wzięłam się do mojego obowiązku, do wiosła.

Jak to bywa na wszystkich wolnych zgromadzeniach, pani X. samowolnie schwyciła dyktaturę, a nie chcąc, abyśmy jechały do przystani, ręczała, że nas poprowadzi krótszą drogą, i że wylądujemy pod samym domem naszym.

Nie bardzo ufałam przewodnictwu pani X., która niejednokrotny dała dowód nieusprawiedliwionego zarozumienia, ale nie było sposobu odradzić, popłynęłyśmy więc tą krótszą drogą.

Tymczasem, ponieważ była jesień i woda znacznie opadła, nasza przewodniczka osadziła nas na mieliznę, nie znając dokładnie miejscowości.

Wiele miałyśmy trudu, nim zepchnęłyśmy łódkę na głębszą wodę. Nie dość na tém; ponieważ pani X. chciała koniecznie postawić na swojém i doprowadzić krótszą jak mówiła drogą, wpadałyśmy znów kilkakrotnie na mieliznę, co nam kosztowało kilka godzin mozolnéj pracy.

Wieczór zaskoczył nas na wodzie. Wszystkieśmy szemrały na zarozumiałą przewodniczkę, i miałyśmy nawet obawę, aby nie zanocować na wodzie, coraz na obszérniejsze wpadając mielizny: nakoniec, pani X. była przymuszoną złożyć dyktaturę, wróciłyśmy zatém na głąb' rzeki, a raz będąc na dobréj drodze, przybiłyśmy do przystani z wielkiém naszém ukontentowaniem, i zmrokiem wróciłyśmy do domu.

Za powrótem, pani X. protestowała się przed wszystkiémi, że nie jéj nieudolność, ale zbieg okoliczności był przyczyną niepomyślności naszéj wyprawy; co do mnie, pozwalałam jéj mówić co chciała, wszakże w duchu zrobiłam postanowienie nie puszczać się nigdy dobrowolnie na wodę, w towarzystwie saméj płci pięknéj.

Z téj przejażdżki, zostały mi w spuściznie pęcherze na dłoniach i ból gwałtowny w stawach, który całą noc dokuczając spać nie pozwalał.

Woda na Soswie opadła znacznie, błonie wprzód za-

lane, po których swobodnie chodziły ogromne statki, teraz osychać zaczęły odkrywając dużo wysep. Te nawet miejsca, które dotąd wodą są okryte, wyjąwszy rzek koryta i znaczniejsze wydrążenia, niezdatne są do żeglugi, przedstawiając dużo mielizn.

W Berezowie woda na wiosnę podnosi się do bardzo znacznéj wysokości, tak, że gdzie późniéj rośnie trawa, podczas wezbrania, woda unosi bez żadnéj przeszkody statki podejmujące kilkanaście tysięcy pudów ciężaru. Zastanowiło mię wszakże najwięcéj, że w tém podniesieniu trwa aż do początku Sierpnia, i późniéj dopiéro cofa się do koryta.

Jakkolwiek wielkie składy śniegu po lasach, długo podsycają rzeki wpadające do Soswy, wszelako wszystkie śniegi po lasach giną przez Czerwiec. Góry Uralskie w części swéj najpółnocniejszéj, choć przechowują składy śniegów przez całe lato, jednak te składy są niżéj Berezowa, i nie mogą zapomagać Soswy. Wnoszę zatém, że bliższą przyczyną podtrzymującą tak długo podniesienie wody jest ta, że ziemia nie rozmarzając nigdy do gruntu, nie wsysa wody, ubywa jéj zatém tylko tyle, ile ujść może korytami Oby.

Druga przyczyna, że gdy wiatr silny wieje przez dni kilka od północy, to jest od morza, woda na Soswie podnosi się do znacznéj wysokości, tak, że wśród lata, bez podsycenia deszczami, woda zaczyna wzbiérać i zalewa wybrzeża jakby na wiosnę. Widno, że ten wiatr, napędzając bryły śniegu w ujścia rzeki, tamuje wolny odpływ, a tém samém podnosi wodę.

---

6 Sierpnia, 1839.

Jutro poczta odchodzi, więc dzień dzisiejszy był poświęcony na pisanie listów. Nie mogąc niczém pomódz dzieciom moim, postanowiłam przynajmniéj nie krępować wolnego działania. Dałam zupełne pozwolenie mojéj córce postępowania według swego zdania. Pewną będąc, że przeszkody które przewidywałam, jeżeli będą pochodzić od okoliczności niezależnych ode mnie, to jéj lżéj będzie. Będzie miała nadzieję usunąć je kiedykolwiek, i ta nadzieja osłodzi jéj wiele przykrości.

Napisawszy listy, i odesławszy je do horodniczego dla wyprawienia na pocztę, poszłam na przechadzkę. Jakże brzydka jesień! liście, trawa zupełnie żółte, bez znaku życia, rzeki wróciły do swych łożysk, zostawując obszérne wybrzeża przed kilką tygodniami zalane głęboką wodą, zupełnie obnażone, brudne, błotne, bez wody i bez śladu zieloności, co nadaje okolicy widok bardzo posępny.

Berezów rozebrał się teraz ze strojnéj szaty okrywającéj na wiosnę jego szpetność, jak stara aktorka, co odegrawszy rolę młodéj i pięknéj księżniczki, zszedłszy ze sceny wróciła do swojéj izdebki, a zrzuciwszy ozdobne szaty, starłszy z lica róż i bielidło, w powszednim brudnym szlafroku zmęczona zasiadła u kominka w pośród porozrzucanych gratów, co przed godziną sztucznie podniosły jéj wdzięki aż do złudzenia, zrzędząc na swoją pokojówkę.

Wszakże najgorsza rzecz ma zawsze swoję dobrą stronę. Powietrze, mimo chłód, jest teraz przyjemniejsze niż latem. Komary się pochowały, można zatém używać przechadzki.

Poszłam jedna do lasu. Znalazłam kilka rydzów, co mi dodało ochoty szukać daléj. Zapuściłam się daleko, straciłam brzeg z oczu, obejrzałam się, nie wiém gdzie jestem. Słońce nie świeciło, straciłam więc jedynego przewodnika któryby mógł wyprowadzić z kłopotu. Zaczęłam się bać aby nie zbłądzić, co się w tych stronach nie rzadko zdarza nawet krajowcom. Nie ma w lesie ani drogi, ani żadnéj budowli, ani krzyża, ani kawałka łączki lub pola, któreby mogły służyć za skazówkę zbłąkanemu.

Zaczęłam się kierować ku brzegowi rzeki jak mi się zdawało, wszakże bynajmniéj nie mogłam być pewną, że nie błądzę. A nawet jak się zwykle dzieje, kiedy kto zbiwszy się z drogi, nie wié gdzie się znajduje, wyobraźnia zaczęła stroić przedmioty stosownie do swego usposobienia: las zdawał się coraz dzikszym i gęstszym; jedynie szum drzew nad głową przerywał samotność. Czegożbym nie dała, abym mogła spotkać jaki twór żywy czy nie żywy, któryby mię wyprowadził z niepewności.

Jednak, będąc w takiém położeniu, w którém bierne wahanie się na nic się przydać nie może, postępowałam naprzód. Niepewność, obawa, czas przedłużały. Zdało mi się, że błądzę już godzin kilka. Nakoniec, wyszłam nad jar las przerzynający. Był to wypadek arcy szczęśliwy. Rozpatruję, czy spadające wody nie zostawiły śladów kierunku w jakim upływały do miejsc niższych, jakoż, robiąc to śledzenie dostrzegłam strumyczek wody sączący się na dnie jaru, pozostałość od deszczu niedawno spadłego; uważałam, w którą stronę biegnie, i pewną już byłam, że idąc za tą skazówką, muszę prędzéj czy późniéj wyjść koniecznie nad brzeg rzeki, która jest jakby bitym gościńcem, na którym zbłądzić nie można.

Trzymałam się więc dobroczynnego jaru, ale że brzegi były gęsto porosłe i przeciskać się przez gęstwinę było przytrudno, umyśliłam spuścić się w głąb' jaru, gdzie przejście było swobodniejsze.

Zaledwie uszłam kroków kilkaset, jar zaczął się rozszérzać, wązki kawałek pięknéj łączki rozesłał się pod nogami, zieloność zastąpiła miejsce i stromych nagich urwisk, które świeciły poszarpanemi bokami. Odwieczne modrzewia spuszczając z góry swe wiotkie gałęzie, ocieniały to samotne ustronie. Chciało się zatrzymać tam dłużéj, odpocząć, ale cóś korciło aby co prędzéj wyjść z lasu i dostać się do domu. Poszłam więc daléj.

Posuwając się zawsze wspomnionym jarem, postępowałam jego wężykowemi zgięciami, wyglądając rychło-li wyjdę z lasu, kiedy okrążając jeden zakręt, z wielkiém podziwieniem, i nie powiém, że z ukontentowaniem, znalazłam się w obec kilku Ostjaków obróconych twarzą ku nawisłym modrzewiom, robiących jakieś pantomina, i bełkocących cóś w języku dla mnie niezrozumiałym.

Wiedziałam już, że Ostjacy według swéj dawnéj wiary szamańskiéj, oddawali cześć modrzewiom, domyśliłam się zatém, że zgromadzenie ich w tém miejscu nie inny cel miało; wszakże trwoga mię ogarnęła: pomyśliłam, że może zechcą się mię pozbyć, abym nie zdradziła ich tajemnicy, bo przyjąwszy chrześciaństwo, ukradkowo tylko dopełniali obrzędów dawnéj wiary. Nie znając zaś dobrze ich obyczajów, nie wiedziałam do jakiego stopnia moja obawa mogła być uzasadnioną.

Gdybym mogła uciec nie będąc widzianą, pewniebym uciekła, ale byłam postrzeżoną, cofać się więc nie było czasu, ominąć także nie mogłam dla brzegów wysokich i

stromych. Przybrawszy zatém z musu odwagę, z miną na pozór spokojną, choć z trwogą wewnętrzną, przeszłam wpośród nich.

Widno było na ich twarzach zdziwienie równe mojemu; wszakże żaden nie powiedział do mnie słowa, równie i ja nie miałam ochoty wchodzić z niemi w rozmowę.

Jakem się spodziéwała, wyszłam szczęśliwie tym jarem nad brzeg Soswy w blizkości Berezowa.

Tu zbłądzenie, a nawet zupełne zginienie, nie jest rzadkością. Poznałam tu niedawno jedną urzędniczkę, któréj matka wyszedłszy z towarzyszkami zbiérać jagody, odbiła się od swego towarzystwa i zginęła. Mimo poszukiwań, nie znaleziono dotąd żadnego jéj śladu.

Nie wiém dla czego nie mogłam nigdy obojętnie patrzeć na ową urzędniczkę; zaraz mi w myśli stawał szereg cierpień jéj nieszczęśliwéj matki, która może gdzie wolną śmiercią dokonała, lub została pastwą dzikiego źwierza, i inne najokropniejsze obrazy mąciły mą wyobraźnię.

Muszę rozpowiedzieć jedno wydarzenie tego rodzaju, które miało miejsce przed kilką laty. Rozpowiadała mi je siostra téj, która główną rolę w niém grała.

Działo się to w Kondyjsku, powyżéj Berezowa, nad Obą.

W czasie dojrzewania jagód, jedna z mieszkanek téj osady poszła z towarzyszkami w las dla zbiérania onych. Po niejakim czasie, niepostrzeżenie oddaliła się od swego towarzystwa, co postrzegłszy zaczęła wołać, hukać, ale napróżno, żaden głos jéj nie odpowiadał.

Widząc nieskuteczność usiłowań w celu odszukania swego towarzystwa, zaczęła według swego mniemania

kierować się ku domowi; ale noc zaszła wprzód, nim ona mogła się wybić z lasu.

Gdy zrobiło się bardzo ciemno, i zbłąkana straciła nadzieję trafić po nocy na dobrą drogę, wdrapała się na drzewo, gdzie widziała dla siebie więcéj bezpieczeństwa, tak od dzikiego źwierza, jak od płazów, i na niém noc przepędziła.

Dzień następny zszedł cały na szukaniu drogi, wszakże napróżno: gdy raz straciła dobry kierunek, im więcéj szła, témbardziéj zapuszczała się w głąb lasu, oddalając się od brzegu rzeki, do którego dążyć chciała. Głód dokuczał, siły opuszczały. Jagody były jedyném pożywieniem i napojém. Napróżno głos dobywała, napróżno wołała, głucha pustynia odpowiadała tylko echem.

Już ją nadzieja opuściła, głód siły wyniszczył, widziała przed sobą śmierć nieuchronną, ale ta się jéj przedstawiała coraz w odmiennéj postaci. Raz się widziała umiérającą z głodu, gdy już jagód nie stanie, to zmrożoną zimném, to w pazurach dzikiego źwierza.

Już nie miała siły wołać, ani szukać drogi. Zniemożenie fizyczne i rospacz, odjęły jéj działalność ducha; siedziała więc skulona po dniach całych czekając biernie swego przeznaczenia, tylko instynktowa potrzeba pokarmu, wyprowadzała ją na krótko z tego stanu odrętwienia; wtenczas zwlekała się z ciężkością z miejsca, zrobiła kilka kroków, pokarmiła się trochę jagodami, i znów wracała do piérwszéj nieruchomości.

W takiém położeniu przetrwała dni ośm.

Dnia dziewiątego, gdy się zwlekła dla pożywienia, usłyszała w dali trzask suchych gałęzi. Był to wypadek bardzo ważny w jéj smutném położeniu. Wytężyła słuch,

nadzieja orzeźwiła siły; trzask coraz dawał się słyszeć wyraźniéj, widno że się przybliżał. Co za chwila stanowcza! Jestże to zbawca, czy ostatni goniec śmierci?

Po kilku minutach pełnego niepokoju oczekiwania, ujrzała ku sobie zbliżającego się niedźwiedzia.

Piérwszém jéj wzruszeniem była trwoga. Byłaby uciekła, gdyby siły starczyły; wszakże to wzruszenie prędko przeminęło: rospacz, apatja, czy téż rezygnacya inną jéj myśl natchnęły. Może Bóg w litości zsyła mi prędki koniec zamiast długiego konania? pomyśliła sobie, i czekała spokojnie swego przeznaczenia.

Niedźwiedź zbliżył się do niéj o kroków kilka; ona nieruchoma, bez żądzy i obawy czekała stanowczéj chwili. Wszakże niedźwiedź zmierzywszy ją wzrokiem, przeszedł mimo krokiem poważnym, nie okazując intencyi zrobienia jéj nic złego, i spokojnie poszedł w dalszą drogę.

Gdy strach przeminął i pozwolił miejsca rozwadze, przypomniała sobie owa kobiéta wiarę swych rodaków, że jeżeli niedźwiedź pokaże się zbłąkanemu, pewnie go wyprowadzi na dobrą drogę.

Myśl ta przebiegła po jéj głowie z szybkością błyskawicy. Nadzieja ożywiła odwagę, a że niedźwiedź szedł bardzo wolnym krokiem, postanowiła iść za nim póki siły będą starczyć.

Niedźwiedź szedł pomału oglądając się czasami na swą towarzyszkę, wszakże, choć ją widział postępującą za sobą, ani przyśpieszał, ani zwalniał kroku.

Po niejakim czasie siły zaczęły opuszczać zbłąkaną kobiétę; widziała się zmuszoną opuścić swego przewodnika, nie będąc w stanie iść daléj. Postąpiła jeszcze na

przód kroków kilka z ostatniém wysileniem, wkońcu widziała się przymuszoną usiąść na ziemi. Niedźwiedź tymczasem kłusem uszedł w las, i zniknął jéj z oczu.

Smutek ścisnął jéj serce, kiedy znikło i to mdłe światełko, które na chwilę rzuciło słaby promień nadziei do duszy. Wysilenie fizyczne obudziło pragnienie, zaczęła więc upatrywać koło siebie jagód, jedynéj śpiżarni, jedynego posiłku, który utrzymywał jéj życie. Gdy tak szuka oczyma naokoło, ujrzała przez drzew gałęzie błyszczącego cóś nakształt wody; wstaje, aby się przekonać, czy ją wzrok nie omylił: w saméj rzeczy nie było to złudzenie, ale mały strumyk płynący za krzakami.

Radość jéj była wielka; wiedziała bowiem, że idąc z biegiem strumienia, musi dójść do koryta rzeki, a nad rzeką są ludzkie osady, a zatém, że może być uratowaną. Posiliwszy się zatém, puściła się w drogę, pilnując brzegu strumienia.

Jeszcze raz noc ją zaskoczyła w lesie, wszakże na drugi dzień przyszła do ujścia strumienia w rzekę.

Nie mając siły iść daléj, ani wiedząc w którą stronę wypadałoby się kierować, usiadła nad brzegiem, oczy wlepiwszy w rzekę, czy nie ujrzy na niéj jakiéj łódki. Dzień cały przeszedł w próżném oczekiwaniu.

Na drugi dzień, był to jedénasty od zbłądzenia, z wielką radością posłyszała psów szczekanie i strzelanie z ręcznéj broni. Chciała krzyczeć, wołać, ale tak głos utraciła, że niktby ją nie usłyszał o trzy kroki; nie mogąc więc dać się słyszeć, zaczęła iść w kierunku słyszanych wystrzałów, które się często ponawiały i zdawały się pochodzić z miejsca niedalekiego. Wszakże nie mogła się nigdy zejść ze strzelcem, bo strzelający nie stał na miej-

scu tylko postępował, a biédna kobiéta, kiedy się przywlekła na miejsce, gdzie strzał słyszała, nie znajdowała tam nikogo prócz zapachu prochu, nie wiedząc nawet w którą stronę gonić.

Nakoniec strzelanie coraz się oddalało; nie śmiejąc gonić, aby nie zbłądzić powtórnie, wróciła znów nad brzeg rzeki. Wreszcie wszystko ucichło, a ona znów straciła nadzieję, która zdawała się być tak blizką ziszczenia.

Smutna, z uczuciem zawiedzionéj nadziei, usiadła nad brzegiem. Myślała, że los srodze igra z jéj uczuciami, to błyskając nadzieją, to znów ją usuwając. Była znużona, prawie w rospaczy. Wszakże oczy mimowolnie były wlepione w rzekę, jakby ztamtąd wyglądała zbawienia: jakoż, radość jéj była do nieopisania, kiedy postrzegła łódkę szybującą fale rzeki, a w niéj dwóch ludzi.

Natężyła głos, aby wołać, aby dać znać o swém przebywaniu. Próżne usiłowanie! Żaden głos nie wydobył się z piersi. Była w rospaczy, myśliła, że i ta pomoc wymknie się jéj jak piérwsza, czyniąc śmierć tém okropniejszą.

Ciskała patykami na wodę, aby słuch uderzyć, ale ciśnione słabą ręką nie zwróciły uwagi; omal sama nie rzuciła się w wodę, aby ciężarem swego ciała obudzić uwagę, ale rzeka széroka, ona sama słaba, byłby to krok rospaczy i nic więcéj.

Łódka miała już się z nią porównać, za chwilę może ją wyminąć, wtém jéj nowa myśl zabłysła, którą w mgnieniu oka wykonała. Miała na głowie chusteczkę jedwabną czerwoną, uwiązała ją na długim kiju i zaczęła w powie-

trzu nią wywijać. Na szczęście ten raz była postrzeżoną. Łódka się zbliżyła i zabrała biédną zbłąkanę.

Strzelcy, których strzelanie słyszała, i ludzie płynący łódką, należeli do tejże saméj kompanji, która wyruszyła umyślnie w celu odszukania nieszczęśliwéj. Mąż, dzieci, krewni, nie przestawali robić ciągłych poszukiwań od czasu jéj zbłądzenia; ale gdy wszystkie starania były zawiedzione, cała osada kondyjska była wezwana do wzięcia uczestnictwa w trudach stroskanéj rodziny. Jakoż sąsiedzi, przyjaciele i znajomi udali się gromadnie do lasu jakby na obławę. Jedni puścili się lasem strzelając i hukając, aby dać hasło zbłąkanéj o swéj przytomności, i wskazać kierunek, w którym dążyć powinna dla połączenia się z szukającymi. Inni płynęli wodą, to jest gościńcem, ku któremu wiedziano, że każdy zbłąkany dąży jako do jedynego portu zbawienia, jedynego szlaku kierującego po bezludnéj pustyni. Na nieszczęście biédnéj kobiéty, właśnie w chwili, kiedy łódkę postrzegła, ta, dla miejscowych okoliczności musiała płynąć opodal od brzegu, na którym była zbłąkana, i gdyby żeglarze nie zwracali pilnéj baczności na brzegi upatrując nieszczęśliwéj, byłaby pozbawioną ostatniego ratunku.

A tak po jedénastu dniach nieobecności, biédna zbłąkana wychudła, zmieniona do niepoznania, została wróconą życiu i rodzinie.

---

18 Sierpnia 1839.

Deszcz, zimno! Na dworze ponuro, a w mieszkaniu tęskno. Szczęściem polubiłam namiętnie szycie na kanwie: téj robocie winnam tu najprzyjemniejsze godziny. Przy

niéj myśl odpoczywa, bo nie może strzelać w przeszłość, ani przyszłość, tylko cała musi być zebrana na przedmiot obecny. Rachunek nici nie pozwala roztargnienia, tworzące się dzieło pod palcami jest pracy podnietą, a przeznaczenie roboty, myśl, że się pracuje dla przyjaciół, przypuszcza do uczęstnictwa serce.

Zmierzchło. Z niechęcią wstało się od krosien. Nie można przechadzką zakończyć dnia i dać trochę ruchu ciału, bo na dworze deszcz, błoto; trzeba szarą godzinę przedumać chodząc po pokoju. O moje dumy! wy w samotności zaludniacie świat mojéj duszy, przywołujecie do mojéj cichej izdebki oświeconéj szarym półblaskiem dnia gasnącego, tyle cieniów drogich pamięci przesuwających się jakby w latarni czarnoxięzkiéj.

Owoż światło przynieśli, trzeba pomyśleć jak zająć wieczór, nim sen dobroczyńca przyjdzie skleić powieki i odtworzyć we śnie żywszemi może farbami obrazy, z którémi z przykrością się rozstało przed chwilą.

Szczęściem, że w kraju, gdzie niéma w towarzystwie żadnego przejawu życia umysłowego, nie mam niedostatku xiążek. Tobolsk mi ich dostarcza.

W Tobolsku złożyła się dość piękna biblioteczka z dzieł w polskim, francuzkim i innych językach. Fundament jéj założył Piotr hr. Moszyński, zostawiając przy wyjeździe z tego miasta, swoje xiążki dla użytku innym. Odtąd zbiór ten powiększa się corok sprowadzonémi z Petersburga nowemi xiążkami, za pieniądze dobrowolnie złożone corocznie według możności tobolskich literatów. Te xiążki składają się w jedno miejsce, nie będąc wyłącznie niczyją własnością; lecz każdy przyczyniający się do składki, ma prawo brać do czytania dzieła jakie mu się po-

dobają. W razie zaś, gdyby kto zażądał wyjąć włożony przez siebie kapitał ze spółki, ma prawo wybrać ze znajdujących się w bibliotece xiążek według upodobania taką ilość, jaką reprezentują dane przez niego pieniądze. Rzadko kto przy wyjeździe, chce korzystać z tego prawa.

W samym Berezowie krąży więcéj xiążek, niż się spodziewać mogłam. Znalazłam w obiegu niemałą ilość romansów, tak oryginalnych ruskich, jak też tłómaczonych z obcych języków. Wprawdzie jest to zbiór przypadkowo zabłąkany, którego nikt nie podsyca przez miłość literatury, wszakże znajduje u mieszkańców gościnne przyjęcie, bo w Berezowie gust do bajek i romansów jest ogólny. Każda familja ma swego upodobanego bajarza, który bawi towarzystwo podczas długich wieczorów. Gdy na wezwanie przychodzi ów bajarz pożądany i zabierze miejsce, cały dóm, panowie i słudzy, a często i sąsiedzi, starce i dzieci okrążają go dokoła. Jedni siedzą na stołkach, drudzy na ziemi, byle bliżéj, byle nie stracić żadnego słowa, chociaż skutkiem częstego powtarzania, wszyscy umieją prawie na pamięć rozpowiadane bajki, i nieraz dzieci poprawiają omyłki, jednak wszyscy słuchają z uwagą i upodobaniem.

Bajki te najczęściéj są pochodzenia ruskiego, przeplatane zwrótkami często złożonemi ze słów bez sensu; te zwrótki powtarzane do znudzenia, lecz im mniéj mają sensu, tém powtarzane są z większą skrupulatnością.

Romanse im są bardziéj przesadzone, im niedorzeczniejsze, im mniéj mają prawdopodobieństwa, tém są więcéj podziwiane. Czytałam tak dziwnie niedorzeczne, żem się niespodziewała, aby takie dziwolągi w czasach naszych w xiążkach się mogły mieścić.

Są i nowsze romanse, szczególnie wiele tłómaczeń, które wcale nie są wzgardzone, owszem poszukiwane przez małą liczbę kobiét umiejących czytać z pewną łatwością. Mało bowiem mężczyzn tamecznych, a dopiéroż kobiét, doszli do tego stopnia. Wszakże te literatki interesuje tylko rozmaitość faktów, myśli przechodzą niezrozumiane; wznioślejsze, delikatniejsze uczucia prześlizgają się nie zadrasnąwszy serca, nie rozgrzawszy wyobraźni. Miłość platoniczna, pojęcia o honorze według naszych wyobrażeń, leżąc za granicą życia im znanego, nie obudzają w nich sympatji, łechcą tylko nieco ciekawość. Człowiek niosący dobrowolnie życie w ofierze dla słowa danego często nierozważnie; kobiéta marnująca byt swój cały dla jedynéj miłości poślubionéj w duszy, któréj urzeczywistnić nie może, należą według nich do istot urojonych, czy też wywołanych z innego świata; nie mogąc odgadnąć sprężyny ich działania, zaliczają je do tegż samego rzędu, co bohatérów zabijających własną ręką cztérdzieścia tysięcy nieprzyjaciół, lub zdobywających miasta siłą swoją osobistą.

Utwory romanso-pisarskie podobnéj siły, są czytane i podziwiane w Berezowie.

Dziwno także było patrzeć nieraz na Szatobrjana lub d'Arlękura w ręku Sybiraczki, a raczéj bardziéj uderzała sprzeczność, słysząc jak młoda literatka berezowska z d'Arlękurem w ręku, wysypuje ze swych ust na domowników potok wyrazów, na któreby się zarumieniła nie jedna przekupka z naszych rynków.

Samojedy od brzegów morza Lodowatego przyjechali tu po wódkę. W gubernji Tobolskiéj, Berezów jest ostatnim punktem postępując ku północy, gdzie jest skład wódki rządowy. Rząd uważając zbyteczną skłonność do trunku mieszkańców téj zimnéj strefy, obostrza jak można sposoby jego dostania: zabrania dowozu w głąb kraju, ogranicza ilość mogącéj się wywozić wódki dla własnego użytku. Te środki jednak nie mogą przeciąć zupełnie nadużyć, a namiętność tak jest silna, że Ostjak lub Samojed odbywa bez wahania się kilkaset wiorst drogi, jedynie aby się upić wódką i znaleźć sposób, wyłamując się od przepisów, zawieźć jéj pewną ilość do swych siedzib.

Samojedy są wyżsi wzrostem od Ostjaków, i przystojniejsi, Włosy i oczy mają czarne, co mię mocno zdziwiło. Głowy podgalają wysoko, na wierzchu tylko zostawiając włosy, które spadając osłaniają wpół czoło. Brody nie porastają włosami jak u Europejczyków, gdyż Samojedzi, równie jak ich sąsiedzi Ostjacy, mają zwyczaj je wyrywać, skoro porastać zaczynają, aż póki nie stracą własności odrastania.

Język Samojedów jest zupełnie różny od ostjackiego; wymawiają wyrazy przez nos bardzo niewyraźnie, nie z wady organizacyi, ale że taka jest właściwość ich djalektu.

Ubiór Samojedów równie jak Ostjaków, składa się ze skór renów, odzienie ich wszakże jest nieco staranniéj uszyte.

Samojedy zajmują najgłówniejszą część zachodniéj Syberji, koczowiska swe rozciągając po nad brzegami oceanu Lodowatego, poczynając od gór Uralskich aż do rzeki Leny. Ziemia, którą oni zajmują, jest nizka i baguista, z téj przyczyny las nawet nie porasta, to jest, niéma gatunków drzew wysokich, tylko łozy. Nie mają więc

Samojedy obfitego opału jak Ostjacy, ani las nie służy im za ochronę od zimna. Cieńkie patyki z łóz są ich jedynym opałem, namiociki ze skór renów rozbite na śniegu, schronieniem przeciw ostrym mrozom. Te namiociki mają kształt ostrosłupów, nazywają je *czumy*. Samojedy przenoszą je z miejsca na miejsce kilka lub kilkanaście razy do roku, według potrzeby wskazanéj przez myślistwo lub rybołówstwo; w nich rodzą się i wychowują dzieci, a co więcéj, rosną rosłe i silne.

Samojedzi żyją jedynie z rybołówstwa i polowania; utrzymują także wielką ilość renów, którcmi się karmią w czasach nieszczęśliwych łowów, lub gdy rybołówstwo niepomyślne.

Na płaszczyznach bagnistych, zalegających nadbrzeża oceanu Lodowatego, zajętych przez Samojedów, poławia się dużo piesaków białych, których skóry stanowią główny przedmiot handlu, a razem są niejako monetą w obiegu, do któréj odnoszą inne wartości. Poławiają się także lisy rozmaitéj ceny, gronostaje, błękitne piesaki, kaczki gagarki, których szyjki są poszukiwane dla swéj piękności i wyprawione na futro, ubierają ozdobnie.

Ubiór Samojedek podobny jest nieco do Ostjaczek, wszakże z małemi odmianami. Noszą one pasy, ozdobione na przodzie széroką blachą mosiężną, wyrzynaną w rozmaite wzory. Ten krąg mosiężny zajmuje im prawie całe piersi. Przytém czepiają wiele paciórek, brzękadeł; nie dość na tém: przywiązują dzwonki do łokciów.

Samojedy są jeszcze bałwochwalcami religji szamańskiéj. Czczą słońce, xiężyc i wszystkie utwory przyrodzenia, które swą pięknością ściągną ich uwagę. Piękne

drzewo, kamień, woda, skoro uderzy ich oko, odbiéra natychmiast cześć religijną.

Religja ich nie jest wcale spirytualną. Według nich, ich bogi przestają z niémi niekiedy, objawiają się im widomie w postaci ludzkiéj, w ubiorze samojedzkim, i zajmując się interesami ziemskiemi swych klientów, przepowiadają dobry lub zły połów na ryby, szczęśliwe lub nieszczęśliwe polowanie, a następnie głód lub obfitość.

Wiara owa nie jest złożona tylko w dawnych podaniach, ona jest w pełném życiu. Na każdy rok głuche proroctwo krąży między narodem, jakoby bóg, objawiając się widomie temu lub owemu Samojedowi, powiedział to lub owo. Takowe objawienia dopełniają się pospolicie w lesie lub nad brzegami rzek. Ruscy nawet obrządku chrześcjańskiego, wierzą w te przepowiednie i znajdują dość prostém, że bóg samojedzki objawił się samojedowi, chociaż wyznają, że Bóg chrześcjański jest starszy: a nawet powtarzają wiele powiastek, które podają za zdarzenia prawdziwe, gdzie bóg ostjacki zetknąwszy się przypadkiem z xiędzem chrześcjańskim, wyzwał ostatniego do walki na cuda, i po olbrzymich usiłowaniach ze strony boga samojedzkiego, naturalnie, że z wielkim wstydem pokonanym został.

---

30 Sierpnia 1839.

Dziś mróz tak mocny, że ziemia umarzła jak u nas w Grudniu.

Statki, które wyjechały na morze dla połowu ryb, wracają do domów. Wrócił téż i nasz gospodarz. Myślałam, że wiele ryb nawiezie do domu; jako żywo!

Wszystka zdobyta ryba została nasoloną i sprzedaną na statki kupców tobolskich. Bezezowianie zaś nie jedzą ryby solonéj, z pogardą o niéj mówią.

Jeden tragiczny wypadek zdarzony w tych dniach, zajął żywo tutejszą publiczność.

Kupiec ze wsi Samarowa, o któréj mówiłam wyżéj, był ze statkiem swym na morzu wraz z innemi, a wyładowawszy go solonemi rybami, wracał do domu, zkąd miał płynąć do Tobolska dla sprzedania swojéj zdobyczy.

Niedaleko już będąc domu, statek osiadł na mieliznie, a źle ratowany, zatonął wraz z rybą. Właściciel jednak i wszyscy ludzie, uratowali się przesiadłszy na przywiązane łodzie i przypłynęli do Samarowa.

Żona jak zwykle postawiła samowar na przyjęcie męża, sąsiedzi zbiegli się dla powitania przybyłego, bo w miejscach nadbrzeżnych, przybicie statku jest wypadkiem zajmującym wszystkich; wszakże, żadne oznaki współczucia nie mogły rozpędzić czarnéj troski, którą go nabawiło powyższe zdarzenie. Napróżno perswadowali żona i przyjaciele, napróżno trzyletni synek pieścił się koło kolan ojca, jakby chcąc osłodzić jego smutek, kupiec patrzał na niego ze łzami w oczach, ale był milczący i niepocieszony.

Nim nalano herbatę, wyszedł gospodarz na chwilkę z izby; w kilka minut wbiegł ktoś z domowych z oznajmieniem, że się gospodarz powiesił.

Na tę wieść, wszyscy obecni wybiegli przerażeni śpiesząc do miejsca, gdzie samobójstwo było dopełnione. Znaleziono istotnie kupca zawieszonego, lecz po oderznięciu postronka, że jeszcze nie był uduszony zupełnie, odratowany wrócił do życia.

Gdy minęło zamięszanie powstałe z tego wypadku, wracają do izby, z któréj wyszli przed chwilą. Jakiż widok uderza nieszczęśliwą matkę i całe zgromadzenie! Samowar wywrócony, synek trzyletni cały w pęcherzu, w boleściach tarzający się po ziemi zalanéj wrzącą wodą.

Na drugi dzień dziécię umarło. Kupiec odratowany, któremu nie starczyło mocy do przeniesienia straty ryby, znalazł ją potém gdy przyszło dopełnić czarę i patrzeć na zgon boleśny syna ukochanego. Mówią bowiem, że go bardzo kochał.

Dziś byłam zaproszona na uroczystość zwaną *kapustką*. W Berezowie bowiem sadzą tę roślinę, a choć nie zwija się ona w główki z przyczyny krótkości lata, liście jéj siekane używane są na barszcz.

Gdy mrozy nastaną, każda gospodyni obiera czas sposobny, sprasza przyjaciółki i krewne, które pomagają w robocie, ukończają jednego dnia całą pracę, a potém po kolei pomagają drugim. Przymówiłam się więc mojéj gospodyni, i byłam wezwana z innémi.

Poszłyśmy na ogród, wyrąbałyśmy kapustę i zniosłyśmy do izby; późniéj wniesiono koryta, nakładano weń kapuścianych liści, i wszyscyśmy siekali siekaczami przysalając; poczém wynosiliśmy kapustę usiekaną do lochu składając w kadzie, aż wszystka usoloną została i wyniesioną. Siekanie odbywało się przy śpiewach.

Po skończonéj robocie, gospodyni poczęstowała herbatą i podwieczórkiem, poczém niby tańcowano bez muzyki i żadnego sensu; dobra ochota starczyła za wszystko.

Nienależąc do tańców, zbliżyłam się do jednéj z towarzyszek *kapustkowych*, któréj mię zainteresowała fi-

zjognomja pełna wyrazu i delikatności. Była to kobiéta mająca lat więcéj trzydziestu, ale jeszcze wcale przystojna; twarz blada i delikatna, oczy czarne z wyrazem słodyczy i melancholji, pociągnęły mię ku niéj. Usiadłam obok, a chcąc zawiązać rozmowę, zapytałam dla czego nie tańcuje.

— Nie mnie tańcować, odrzekła Anna Piotrówna. Muszę chować siły, aby pracować na utrzymanie dwojga dzieci żyjących jedynie z pracy mojéj.

Odpowiedź ta jeszcze mię bardziéj ku niéj skłoniła.

— Pani wdowa? przemówiłam.

— Przeciwnie. Mąż mój zostaje przy generał-gubernatorze w Omsku, i mówią, że mu się dobrze powodzi.

— Dla czegoż pani sama jedna przymuszona jesteś pracować na dzieci?

Anna Piotrówna pokiwawszy głową, przemówiła.

— Cóż poradzić człowiekowi bez sumienia? Przez dwa lata pamiętał o dzieciach, przysyłał mi cokolwiek pieniędzy na utrzymanie, a dziś całkiem zapomniał. Przez lat dwanaście bieduję sama, i chyba kiedy syn przyjdzie do lat zupełnych, użyję trochę wypoczynku. Pracując ciągle igłą, starałam się mu dać wychowanie, na jakie zdobyć się mogłam w Berezowie; dobry chłopiec przykładał się ile możności, jakoż nauczył się czytać i pisać; umieściłam go zatém w Tobolsku w kancelarji, gdzie już potrosze zarabia na siebie, a jak list do mnie napisze, wszyscy się dziwią, mówią, że sztychowany. Prócz tego utrzymuję starego oyca, który już sam pracować nie może; a córka dorasta, dzień za dzień może się kto zdarzy, trzebaby myśleć o wyprawie, a wszystkie te potrzeby muszą załatwić ręce jednéj kobiéty.

— Czemuż się pani nie zgłosi do męża? Niepodobna, aby odmówił wszelkiéj pomocy rodzinie, któréj opieka z prawa się do niego należy.

— Albož on nie wié, w jakiém jesteśmy położeniu? W początkach pisałam listów kilka, wszakże widząc, że nie chce odpowiadać, przestałam dokuczać, polecając Bogu opiekę nad sierotami.

— Jeżeli mąż nie chce dobrowolnie pamiętać o pani i dzieciach, możnaby go do tego zmusić. Gdyby pani podała prośbę, kazanoby na utrzymanie familji, wypłacać część należnéj mu pensji.

— Wielu mi podawało téż radę, ale ja nie chcę pomocy wymuszonéj gwałtem.

— Jest to uczucie szlachetne; może jednak w interesie dzieci, pani zrobićby to powinna. Przy większych dochodach, syn mógłby wziąść lepsze wychowanie, córka lepiéj wyjść za mąż.

— Wszystko to być może; jednak do wstrętu jaki czuję do tego środka, łączy się jeszcze jedna okoliczność utrudniająca: mąż mój nie był ślubny.

Na te słowa rumieniec uderzył mi do twarzy, zmięszałam się, nie wiedziałam jak daléj ciągnąć rozmowę, nie przez pruderję, którąby wiek mój robił niewłaściwą, ale wymawiałam sobie nieprzyjemność, któréj musiałam być przyczyną, zniewalając niejako Annę Piotrównę przez moje naleganie do odsłonienia tajemnicy, która wiele kosztować zwykła każdą kobiétę. Na szczęście zbliżyła się do nas córka gospodyni domu, i przemówieniem swojém inny rozmowie nadała kierunek; wtenczas spójrzałam nieśmiało na Annę Piotrównę, lecz w fizjognomji jéj nie odkryłam tego rodzaju pomięszania, jakiego sama doznałam.

Ta okoliczność wszakże dała mi wiele do myślenia; nie wiedziałam jak pogodzić surowość obyczajów, którą w każdym względzie wyznawał mój gospodarz, z szacunkiem jakiego używała w jego domu Anna Piotrówna: była ona bowiem najpiérwszą przyjaciółką całéj familji. Wszystkie główne uroczystości, wszystkie znaczniejsze wypadki w rodzinie były z nią rozdzielane.

Wieczorem zaprosiłam mego gospodarza do siebie na warcaby, grę tę bowiem lubił on namiętnie, i umyślnie naprowadziłam rozmowę o Annie Piotrównie, z któréj dostrzegłam, że różnimy się z Sybirakami w głównych wyobrażeniach. Wtenczas, kiedy my potępiamy bez pobłażania kobiétę nierostropną która uwieść się dała, i przykładamy piętno hańby do jéj czoła nie wchodząc w przyczyny któreby mogły zmniejszyć jéj winę — Sybiracy w takim tylko razie ją obwiniają i gardzą, kiedy swawola a nie małżeństwo była celem zawartych przedwcześnie związków; to jest, kiedy strony nie będąc wolne, nie mogły myśleć o małżeństwie, lub kiedy mężczyzna nie robił żadnéj nadziei poślubienia. Także, jeżeli kobiéta nie dochowując wiary jednemu, przemieniała kochanków. W wyż wymienionych razach, opinja smagała ją bez litości. Lecz jeżeli nieszczęście dotknęło kobiétę, i kochanek opuścił ją bez żadnéj winy z jéj strony, litowano się nad nią, obwiniając złą wiarę mężczyzny; kobiéta zaś w opinji publicznéj nie więcéj traciła na szacunku, niż wierzyciel, któryby w dobréj wierze ulokowawszy swój kapitał u nierzetelnego dłużnika, został oszukany i stracił swe pieniądze. A ponieważ postępowanie Anny Piotrówny nie oskarżało ją o żadną płochość lub winę, i owszem dopełniając z poświęceniem obowiązków matki, zyskała powszechne współczucie, nie ujmowano jéj szacunku i nie prześladowano za nieszczęście, którego wina nie na nią padła.

Partję szachów niedokończoną pomięszało wejście P. X., która przyszła z nowiną stanowiącą wypadek znacznéj wagi w Berezowie. Brat jéj młody kupiec, wrócił z lasu bardzo przelękniony, mówiąc, że usłyszał ryk o kilkanaście kroków od miejsca, którędy przechodził ze strzelbą na plecach, (wyszedł był bowiem w celu polowania) że na ten ryk odwrócił głowę w tę stronę zkąd on pochodził, i ujrzał niedźwiedzia zjadającego czarną krowę. Ma się rozumieć, że uciekał co tchu stało, i przyniósł popłoch do miasteczka.

Odtąd ukazanie się niedźwiedzia, było celem wszystkich rozmów. Każdy z niejaką trwogą powtarzał wydarzenie, winszowano młodemu kupcowi, że udało mu się uciec szczęśliwie.

---

4 Września, 1839.

Od czasu mniemanego pojawienia się niedźwiedzia w bliskości miasteczka, nikt nie śmie głowy wytknąć za jego obręb. Kto tylko z mieszkańców ma czarną krowę, drży o swoję własność, nie śmiejąc wszakże kroku zrobić do lasu, w celu zasiągnienia pewniejszych wiadomości.

Chociaż lasy tutejsze są ojczyzną niedźwiedzi, jednak rzadko one zbliżają się do okolic ludniéj zamieszkałych, trzymając się puszcz głębokich. Chociaż Berezów jest wkoło otoczony lasem, wszakże dochodzą tylko odleglejsze tradycye o pojawieniu się tego zwierzęcia i o dopełnionych przez niego szkodach. Te opowiadania są zwykle

otoczone bajecznemi dodatkami. Berezowianie lubią o nich bajać w czasie długich wieczorów zimowych, i słuchają tych bajek z wrażeniem podobném, jak się słucha powieści o upiorach. Myt krajowy służy bardzo do podniesienia wyobraźni: chce on mieć w niedźwiedziu człowieka upadłego, za grzech skazanego na przekształcenie w zwierzę, zachowującego jednak w tém przetworzeniu część pojęć i skłonności ludzkich, wracającego nawet przy pewnych warunkach do pierwotnego kształtu i natury, ale tylko na krótko, na chwilkę.

Sprzykrzyło mi się siedzieć dni kilka w pokoju jak w więzieniu; piérwsza wyszłam do lasu na przechadzkę, z wielką zgrozą i podziwieniem wszystkich domowych. Nie spotkałam ani niedźwiedzia, ani żadnego jego śladu, choć właśnie chodziłam w to samo miejsce, gdzie mówiono, że niedźwiedź zjadł czarną krowę. Nazad wracając spotkałam cztérech cieśli ruskich uzbrojonych toporami, którzy szli na spotkanie groźnego zwierza i oczyszczenie okolicy, jeżeliby się udało, od téj klęski. Owi cieśle nie byli to Sybiracy, tylko przybyli z Rossji i najmujący się dla zarobku.

Przywykła od dzieciństwa być świadkiem myśliwskich wypraw strzelców litewskich, słyszeć z jaką odwagą i ochotą idą do zastępów dla polowania na te niebezpieczne zwierzęta, nie mogłam się wydziwić, widząc taką tchórzliwość w narodzie wylęgłym wśród lasów, i którego myślistwo winno być główném powołaniem, jak zwierzyna głównym pokarmem, a skóry zwierząt jedynėm odzieniem.

Mieszkańcy w tym względzie odrodzili się od swego naturalnego powołania; wszyscy w ogólności z bardzo nie-

licznymi wyjątkami, są zniewieściali i tchórze. Ciągłe bezpieczeństwo uśpiło w nich odwagę; łatwość dostania za małą cenę od Ostjaków tak żywności, jak przedmiotów do handlu, nie pobudza do łamania się z przeciwnościami. Lubią więc oni jedynie polowanie łatwe, nienarażające ani na trud, ani na niebezpieczeństwo. Sieci, połapki, to ich rzecz; strzelać nawet dobrze nie umieją.

Ostjacy przeciwnie rozwijają w polowaniu daleko więcéj zręczności i odwagi. Widziałam nieraz Ostjaka ciężko pokaleczonego przez niedźwiedzia, jakoż takim przypadkom, jak mówią, ulegają często najśmielsi. Jest bowiem jeden rodzaj polowania na niedźwiedzia, wymagający wielkiéj odwagi, zręczności i przytomności umysłu.

Upatrzywszy legowisko niedźwiedzia, Ostjak uzbrojony ostrym nożem wychodzi na spotkanie jego, i stara się rozdrażnić, a gdy niedźwiedź rozgniewany staje na dwóch łapach i idzie na spotkanie zaczepnika, myśliwiec dotrzymuje kroku, pozwala się zbliżyć, a gdy już niedźwiedź chce go objąć swojemi łapami, myśliwiec się zniża i porze mu brzuch swoim nożem.

Ostjacy mają także dla niedźwiedzi pewną cześć religijną; wszakże po zabiciu jedzą ich mięso, nieomieszkując jednak nigdy po zdjęciu skóry, przeprosić za swą zuchwałość. Odjęte łapy umieszczają obok swych bogów domowych, wyrządzając im cześć religijną.

Niedźwiedzie w okolicy Berezowa, są koloru ciemnoburego. Skóra ich kosztuje od dziesięciu do piętnastu rubli assygnacyjnych. Cztéry niedźwiedzie skóry są dostateczne na zrobienie ogromnéj szuby, jednak podobne futra są bardzo rzadko używane, może dla swéj ciężkości, może też, że je uważają za zbyt pospolite.

Bliżéj ku ujściu Oby do morza, pojawiają się niedźwiedzie koloru białego, które nawiedzając czasem koczowiska rybaków tam zebranych dla połowu, nabawiają wiele strachu. Mówią jednak ciż rybacy, że kończy się zwykle na popłochu, a gdy odbiegną właściciele, niedźwiedź spokojnie pozjada zapasy żywności i ryby, jakie znajdzie na doręczu, a najadłszy się wraca spokojnie zkąd przyszedł.

Pani X. obchodziła dziś pamiątkę śmierci piérwszego swego męża. Na ten koniec napiekła dużo bułek z mąki pszennéj, nakładanych konfiturami, jagodami lub siekanemi rodzynkami. Takowe pirogi rozesłała po jednemu każdéj osobie, należącéj do rodziny lub przyjaciół zmarłego. Prócz tego ugotowała ryżu w wodzie, a zmięszawszy tę kaszę z miodem, nakładła w kubek i poniosła do cerkwi. Tam już byli zebrani wszyscy wezwani, a po nabożeństwie, każdy z przytomnych przeżegnawszy się i wspomniawszy imię nieboszczyka, kosztował téj kasz.y Nieprzytomnym posyłano ją do domu.

Po nabożeństwie, pani X. zaprosiła wszystkich krewnych i znajomych, przytomnych żałobnemu obrzędowi do siebie na śniadanie, i tu ponawiano znów ceremonje kaszy; poczém nastąpiło sute śniadanie, które można nazwać obiadem.

Już miano zakończyć bostonem żałobne śniadanie, ale nałóg przemógł; większa część gości snem zmorzona, zażądała poobiedniego spoczynku, a zatém towarzystwo się rozeszło, zostawiwszy mi trochę spokojności, gdyż ta uczta odbywała się w naszém wspólném mieszkaniu.

---

6 Września, 1839.

Duży śnieg upadł i okrył całą okolicę, która wyglądała już bardzo brudno. Ten śnieg zmienił fizjonomję kraju do niepoznania, bo nie tylko że przykrył białym kobiercem przykrą szarość śmiecia i błota, ale zamienił miasteczko niejako w zwierzyniec; ogół bowiem mieszkańców przywdział strój ostjacki, to jest odział się cały w skóry z renów sierścią do wierzchu obrócone od stóp aż do głowy.

Widząc tak nagłe przekształcenie, trudno oswoić się z myślą, że pod temi kosmatemi skórami, znajduje się postać człowieka.

Ostjak całą swą powierzchownością tak się różni od ludzi, na których zwykliśmy patrzeć, że trzeba koniecznie go widzieć, aby sobie zrobić dokładne wyobrażenie wrażenia, jakie sprawia widok téj szczególniejszéj postaci.

Mężczyzni tego narodu zwykli wyrywać sobie z brody włosy póty, aż te stracą władzę odrastania, co czyni ich twarz nieporosłą jak u kobiét, niewydelikacając wszakże rysów i robiąc ich grubość wydatniejszą. Włosów na głowie nie postrzygają, tylko rozdzieliwszy środkiem głowy na dwie równe połowy, splatają je przy uszach we dwa warkocze; inni mniéj schludni spuszczają je na plecy w nieładzie.

Niektórzy w splatane warkocze wplatają także sznurki paciórek. Na szyję zawieszają także sznurek szklannych dużych paciórek, na którym pospolicie zawieszają mosiężny krzyżyk, jako świadectwo, że należą do obrządku chrześcijańskiego.

Odzież ich powszednia składa się naprzód: z koszuli ze skór renów sierścią wewnątrz obróconych. Ta koszu-

la nazywa się *malca*. W jurcie przy ogniu, gdy mróz nie jest bardzo silny, to odzienie wystarcza; przy wyjściu zaś z jurty, lub przy natężoném zimnie, nakładają drugie odzienie z podobnegoż materjału co piérwsze i również nierozerźnięte na przodzie, tylko nieco obszerniéjsze niż piérwsze i sierścią nie wewnątrz ale na wierzch obrócone. To powtórne odzienie nazywa się *parka;* ma ono przyszyty kapturek, który wychodząc z jurty nakładają na głowę, i związują rzemykiem pod brodą, tym sposobem, że osłaniając szczélnie czoło i część twarzy, oczy tylko, nos i usta wystawiają na działanie powietrza. Kaptur ten robi się ze skóry zdjętéj z głowy rena, na któréj stérczą naturalne uszy tego zwierzęcia.

Rękawice także kosmate na zawsze są przytwierdzone do tego wierzchniego odzienia nazwanego *parka*, tylko spodem zostawia się otwór w miejscu, gdzie się łączą rękawice z odzieniem, dla wyjęcia rąk, gdy niéma potrzeby chronić je przed zimném. W takim razie rękawice zdjęte z rąk wykładają się na rękaw jak zakarwasze.

Nogi Ostjaka w czasy mroźne są naprzód okryte pończochami długiemi, uszytemi ze skór renów, obróconemi sierścią do ciała; sięgają one wyżéj kolan, nazywają je *czyże*. Na te pończochy kładą bóty zrobione równie jak pończochy ze skór renów, wszakże te skóry już nie wewnątrz, ale zewnątrz mają włos obrócony, który jest nizki, bo pospolicie używają na ten cel skór zdartych z nóg renów, zszywając je w parki różnokolorowe. Te bóty nazywają *pymy;* sięgają one tak wysoko nad kolana, że trzeba je przytwierdzić rzemykami do pasa. U tych bótów podeszwy są także kosmate, sierścią na zewnątrz obrócone, który to włos chroni od ślizgania się po lodzie.

Jeżeli Ostjak oddala się gdzie z domu w tęgie mrozy, wtedy na wyż wymienione odzienie, to jest na *malcę* i *parkę* bierze jeszcze trzecie obszerniejsze, równie ze skór renów, z kapturem na głowie i stérczącemi uszami i równie nierozerźnięte na przodzie. To odzienie nazywają *gusią*, a tak ubrany człowiek traci ślady postaci człowieka.

W takiém odzieniu można śmiało wytrzymać mrozy pięćdziesięcio-gradusowe; jakoż mieszkańcy Berezowa nie pamiętają ani jednego wypadku, aby w tamtych stronach człowiek zginął od mrozu, wtenczas kiedy u nas w klimacie nierównie łagodniejszym, takowe wypadki nie są rzadkie; czemu się dziwić nie będziemy, gdy porównamy odzież północnych Sybiraków, z odzieniem używaném przez nasze pospólstwo. Czémże jest kożuch najlepsze odzienie naszego wieśniaka, dający wszędzie przystęp zimnu, lub bóty słabo opatrzone słomą i szmatami, w porównaniu z odzieniem Ostjaka?

W czasie silnych bardzo mrozów, kiedy merkurjusz zamarza, trafia się niekiedy przymrożenie twarzy, jako jedynéj części niezupełnie pokrytéj; w takim razie okładają zaraz wódką zimną miejsce przymrożone, i kończy się na czerwonych plamach, które pomału schodzą, jak plamy po synopizmach.

Ostjacy nawet podczas lata używają tegoż samego odzienia na codzienne użycie, z tą różnicą, że biorą te, które ma włos najlepiéj zużyty, i które służy włosem do góry nie do ciała; na dnie zaś uroczyste, ubiór letni składa się z koszuli z sukna czerwonego lub żółtego, a czasem z płótna białego. W takim razie kołnierz i gar-

nirowanie u spodu, bywa z sukna czarnego naszywane paciórkami kolorowemi i blaszkami cynowemi.

Ten paradny ubiór dopełnia obówie z sukna kolorowego z ostremi nosami, zrobione bardzo niezgrabnie, bo powiększa nogę dając jéj kształt jakiegoś czółna.

Kobiéty ostjackie mają ubiór powszedni taki, jak ich mężczyzni, różnią się tylko zasłoną zarzuconą na głowę. Bez téj zasłony Ostjaczka nie może się obejść nawet w jurcie własnéj: są bowiem osoby z familji, przed któremi nigdy nie powinna odkryć twarzy, a temi są ojciec męża i starszy brat jego. W przytomności obcych Ostjaczki podnoszą swe zasłony. Zasłona ta przy codzienném ubraniu, bywa z chustki perkalowéj kolorowéj z ruskich wyrobów.

Co zaś do ubioru świątecznego Ostjaczek, ten różni się od ich mężczyzn. Choć kobiéty równie jak mężczyzni noszą włosy splecione we dwa warkocze, jednak te warkocze przybierają więcéj ozdób.

Oba warkocze spadając po plecach, złączone są u spodu za pomocą taśmy szérokiéj na trzy cale i twardéj, naszywanéj paciórkami, do któréj warkocze spadają prostopadle, i przytwierdzone mocno, robią z niéj niby stelwagę, do któréj się przyczepiają w kilku miejscach po kilka razem sznurków paciórek, spadających prawie do ziemi, a każdy z tych sznurków dużych paciórek szklannych, opatrzony jest w końcu okrągłą blaszką mosiężną, które za każdém ruszeniem głowy lub ciała, uderzając jedne o drugie, wydają dźwięk podobny do dźwięku chomontów krakowskich.

Ubiór ten głowy jest nadzwyczaj ciężki, tak że go zdradza zbytne wyprostowanie głowy.

Przy takiém ubraniu głowy, świąteczne odzienie Ostjaczki składa się ze spodnicy krótkiéj, z sukna w jaskrawych kolorach. Ta spodnica zwykle oszywa się u spodu galonem. Na wierzch bierze Ostjaczka kaftan z sukna kolorowego, mający wkoło garnirowanie szerokie na dwa lub trzy cale z paciórek szklannych różnokolorowych mieszanych z blaszkami cynowemi. Ten kaftan wązki i krótki, związuje się na przodzie rzemykami; przy każdém zaś związaniu, w miejscu, gdzie są przytwierdzone rzemyki do kaftana, przyczepiają się małe dzwoneczki tego kształtu, co u kieszeń bilardowych. Można sobie wyobrazić, jaki brzęk wydaje każda Ostjaczka podobnie ustrojona.

Ponieważ odzienie jest krótkie, zwraca na siebie oczy obówie z sukna kolorowego tegoż prawie kształtu co mezkie, i równie niezgrabne, z tą różnicą, że u kobiét widziałam i obówie naszywane paciórkami.

Taki strój dopełniony zostaje zasłoną z tafty różowéj, otoczonéj wkoło szlakami z tafty niebieskiéj, lub odwrótnie; do tych szlaków przyszywa się széroka fręzla, i tą zasłoną narzuconą na głowę osłaniają się plecy i część twarzy. Zasłonę tę nazywają *wakszym*.

Ostjaki i Ostjaczki mają zwyczaj zdobić swoją skórę, wykałaniem na niéj różnych wzorów, które po wykłóciu napuszczając się farbą jakąś błękitnawą, zostają niestarte przez całe życie. Zdaje się, że ten zwyczaj wspólny niektórym plemionom Ameryki, dowodzi komunikacyi niegdyś istniejącéj między témi dwóma rozerwanemi lądami: myśl bowiem tak dzika, nienaturalna, nienaprowadzona żadną potrzebą miejscową, mogłaż się zrodzić przypadkiem w dwóch głowach przedzielonych od siebie odległo-

ścią i nieprzekroczoną zaporą oceanu, i pociągnąć do naśladowania?

Ruscy mieszkańce Berezowa, przekonawszy się zapewne doświadczeniem, że żadne odzienie europejskie nie odpowiada dostatecznie potrzebom wymaganym przez tak ostry klimat jak berezowski, skoro nadejdzie zima, przywdziewają strój ostjacki, szczególnie wychodząc z domu; urzędnicy tylko zniewoleni zachować *decorum* swego urzędu, po miasteczku przechadzają się w szubach lub płaszczach; wszakże gdy się wychylają za miasto lub jadą w drogę, przywdziewają ubior narodowy. Kobiéty nawet celujące wykwintnością ubrania podczas zgromadzeń wieczornych, chodzą w domu lub po ulicach w odzieniu ostjackiém.

Powiedziałam więc, że za piérwszém pojawieniem śniegu, ulice Berezowa zamieniły się w zwierzyniec, do którego została wpuszczona trzoda białych niedźwiedzi. Nie mogłąm się oderwać od okna, tak szczególne ten widok robił na mnie wrażenie.

---

8 Września, 1839.

Dwoje młodych Ostjaków po szczęśliwém roczném małżeńskiém pożyciu, przyjeżdżało dziś do Berezowa, dla wzięcia ślubu. Ponieważ byli to znajomi mego gospodarza, i mający z nim stosunki handlowe, stanęli gospodą u niego. Byłam przytomna gotowalni panny młodéj, która w zielonym sukiennym kaftanie z paciórkami, z brzękadłami, udała się do cerkwi z panem młodym; lecz zwierzchność duchowna odmówiła ślubu, z przyczyny, że państwo młodzi oboje zapomnieli swych imion chrzestnych.

Nie wiém czy ci bardzo uczuli to niepowodzenie, chociaż, jak można było zauważyć, pannę młodę czekał niebawem tytuł nierównie poważniejszy, bo bez wielkiéj ceremonji, nie troszcząc się o przełamanie położonéj przeszkody, odjechali razem do jurty swojéj.

Ostjacy równie jak inni dzicy przybierają do własnego użycia nazwiska dowolne, charakteryzujące pospolicie pewną zdolność lub przymiot. Tém mianém nazywają się między sobą i pod témże nazwiskiem znani są od Ruskich; imiona zaś chrzestne wspominane są tylko przy aktach urzędowych.

Małżeństwa u Ostjaków odbywają się mięszaniną obyczajów dawnych i chrystjanizmu, który niby wyznaje znaczna część tych krajowców. Ostjak zapłaciwszy rodzicom narzeczonéj *kałym* czyli umówioną cenę za żonę, już się uważa za jéj męża przed Bogiem i ludźmi, bierze do swego domu, a ceremonję ślubu według obrządku chrześcjańskiego, odkłada na czas dogodny.

Czasem lata upływają, nim się państwo młodzi zbiorą do ślubnego obrzędu, ponaglani władzą duchowną, która powinna wyśledzać uchybienia i przestrzegać dopełnienia obrzędów.

Ostjacy zwykle kupują żony; jednak ten obrzęd mniéj jest formą handlową niż obrzędem grzeczności i wspaniałości. Żona im droższéj zapłacona, tém jest zaszczytniéj, tak dla niéj, jak dla jéj rodziców i narzeczonego. Rodzice bogaci, choć biorą *kałym* czyli zapłatę za córkę, dają jéj wszakże pewną wyprawę czy to w renach, czy też w futrach pewnéj wartości, ubodzy zaś ograniczają się bardzo małym kałymem. Żona ubogiego Ostjaka nie kosztuje go czasem więcéj nad wartość jednego rena, który odpo-

wiada wartości 5 r. ass., wtenczas, kiedy bogaci biorą za swe córki, wartość stu lub dwiestu rubli.

Według religji szamańskiéj, którą wyznawali dawniéj i dziś jeszcze wyznaje znaczna część Ostjaków, wielożeństwo jest dozwolone; wszakże ci co przyjęli chrześciański obrządek, przestają na jednéj żonie. Jednak mimo chrztu i starań, aby mniéj więcéj zaprowadzić obyczaje i pojęcia chrześciańskie, dawne zwyczaje, nałogi, przesądy tak dalece wsiękły w obyczaje tego narodu, że Ostjak, choć noszący na piersiach znamię odkupienia, obejść się bez nich nie może, i miesza je w każdy akt życia.

Aby zadość uczynić wymaganiom obu obrzędów, godzi jak może dawną wiarę z nowoprzyjętą. Według jego pojęcia, krzyżyk na piersiach i *szajtan* w kieszeni nie przeszkadzają sobie nawzajem.

Szajtan jest to bóg domowy, którego każda familja ostjacka, powinna mieć w swoim domu. On jest opiekunem i stróżem rodziny, za co mu się należy cześć i danina. Ostjak ochrzczony, gdy się boi postawić go otwarcie w rogu jurty swojéj, chowa go w kieszeni. Przypadkiem wytrzęsiony z tego schronienia przez jednego urzędnika i skonfiskowany, dostał się do rąk moich.

Była to figurka mała, wyrobiona z drzewa na podobieństwo człowieka. Naprzód pasek z płótna, opasywał mu biodra po gołém ciele, w tym pasku zawiązany był mały srébrny pieniążek; poczém nakładziono było na nim mnóstwo odzienia, naturalnie według mody ostjackiéj. Okrywały go koszule i kaftany tak ze skór jak z materji, tak, że ich miał siedm na sobie z kapturkami i innémi ozdobami. Nie zapomniano go także ustroić w paciórki.

Ostjak, który nie przyjął jeszcze obrzędu chrześciańskiego, trzyma otwarcie w swojéj jurcie takiego *szajtana* czyli bałwana, tylko większych rozmiarów. Zajmuje on miejsce honorowe w rogu domu; przez niego zaczyna się uczta, gdyż przed nim najpiérwiéj stawią zgotowane jadło, a gdy można przypuścić że się bóg już najadł, wtenczas je zbierają dla użytku gości lub domowych.

Gospodarz nawet smaruje jadłem usta swego bożyszcza, aby mu dowieść uprzejmości.

Ostjacy mają także w wielkiéj czci stare modrzewie, młode zaś nie doznają od nich poszanowania.

Szamany, są to kapłani wywierający wielki wpływ na umysły Ostjaków, tak przez posiadanie pewnych sekretów, jak przez swe proroctwa. W rodzie *Szamanów*, przechowuje się z pokolenia w pokolenie, nauka pewnych sztuk kuglarskich, które uderzając swą cudownością umysły ludu nieoświeconego, służą niby za dowód bezpośrednich stosunków tych kapłanów ze światem innéj natury. Mówiono mi, że szamani w obecności Ostjaków, a rzadko Ruskich, wbijają nóż w piersi człowieka, który po wyjęciu, nie zostawia żadnego śladu; że odcinają członki, które się zrastają siłą cudowną, że palą bumażki w oczach widzów, a potém je całe wygrzebują z popiołu, i inne robią dziwne sztuki. Nie widziałam sama żadnéj ze sztuk wymienionych, bo szamani są ostróżni, i aby skłonić do działania, trzeba wprzód posiąść ich zaufanie; ale mi rozpowiadali ci, co się mienili być świadkami naocznymi.

U nas sztuki podobnéj albo i większéj siły, straciły swe znaczenie nawet w klassie najciemniejszego pospólstwa, bo żydki będąc w posiadaniu onych, i pokazując

je za kilka groszy, oswoili wyobraźnię, zniżyli ich znaczenie; ale w tamtych stronach Ostjacy, a nawet Ruscy wszystkich klass, biorą je za objawy wiadomości nadprzyrodzonych.

Wiara w nadprzyrodzoność, jest w obiegu wszystkich mieszkańców tamtéj okolicy: niewiadomość skrywając granice możnego, nastraja dziwnie wyobraźnię i usposabia do wierzenia we wszystko co zdziwia. A nawet, im opowiadania są dziwniejsze, im bardziéj rozmijają się z prawdo-podobieństwem, tém chciwiéj są słuchane, uprzejmiéj przyjęte, i gorliwiéj bronione. Zapewniano mię, że szamani rozrąbują często człowieka w drobne kawałki, później składają rozerwane cząstki, a używszy pewnych znanych przez siebie sposobów, wracają do życia posiekanego. Na przekonanie, przytoczono mnóstwo podobnych wypadków.

Wróżbiarstwo szamanów, zachowuje dotąd wielką wziętość między mieszkańcami tamtéj okolicy różnych wyznań. Nie tylko Ostjacy ale i Ruscy przybiegają do nich po odkrycie przyszłości w znaczniejszych wypadkach życia, i odchodzą prawie zawsze zadowoleni i przekonani o prawdzie.

Szamani utrzymują swe znaczenie tą polityką, że nie poniewierają swéj sztuki na zawołanie każdego. Trzeba wiele próśb, starań i zachodów, nim szaman skłoni się do wróżenia. Przytém nie wróżą darmo, ani za lada co; tym sposobem ograniczają zbyteczną ciekawość. Za każde wróżbiarstwo nie biorą mniéj nad wartość rena, którego cena odpowiada, jak wyżéj powiedziałam 5 r. ass. i jest znacznym majątkiem dla ubogiego Ostjaka. Dla tych przyczyn przybiegają tylko do wróżbiarstw w ważnych

zdarzeniach, przez co tak prorocy jak i proroctwa zyskują na poważaniu i mniéj są na szwank wystawione.

Rozpowiadał mi jeden z większych urzędników duchownych obrządku greko-rossyjskiego, który zkądinąd światłem o wiele przewyższał swoje owieczki, że raz, objeżdżając z obowiązku podwładne mu parafje, zawieją został zmuszony szukać schronienia w jurcie ostjackiéj, będącéj nieopodal jego drogi. Gdy został przyjętym, dowiedział się od swych przewodników, że się znajduje w jurcie sławnego w owéj okolicy szamana.

Zawieja nie ustawała. Duchowny był przymuszony zabawić dni kilka w gościnnéj jurcie. Więcéj z nudy niż z ciekawości, przyszło mu na myśl prosić szamana, aby powróżył; ale ten, wiedząc jakiego stanu był gość jego, taił się ze swą sztuką, bojąc się odpowiedzialności. Gdy jednak za bliższém poznaniem, duchowny pozyskał ufność szamana, ten ostatni dał się uprosić.

Widno, że wróżbiarstwo szamana wielkie zrobiło wrażenie, gdy nawet po upłynionych latach kilku, kiedy mi rozpowiadał, nie mógł zachować krwi zimnéj. Mówił, że oprócz wykazania przeszłości, którą odgadł najtrafniéj, przepowiedział mu jeszcze blizką zmianę jego losu, oraz śmierć syna pełnego nadziei, zamęście i śmierć córki.

—Wszystko się sprawdziło, dodał duchowny z melancholicznym wyrazem. Zostałem przeniesiony z miejsca, które zajmowałem na inne, wtenczas, kiedy mi się ani śniło, i to bardzo prędko po zrobionéj wróżbie; późniéj straciłem syna pełnego nadziei i córkę. Jednem słowem, wszystko się spełniło aż do drobiazgów; spełnienia reszty oczekuję spokojnie, nawet godziny śmierci, która ma nadejść niebawnie.

Wzruszenie duchownego przy tém opowiadaniu, przeszło aż do mnie. Widziałam, że wyobraźnia jego mocno była uderzona; chcąc więc stępić wrażenia, powiedziałam, że mam za złe Ostjakowi, iż się wdaje w takiego rodzaju proroctwa, które choć fałszywe zawsze zostawują pewne wrażenie.

—W tém moja wina odrzekł duchowny. Długo wzbraniał się szaman zadość uczynić mojéj ciekawości w tym ostatnim punkcie; w końcu uległ naleganiom i powiedział, że pojawienie piérwszego włosa siwego będzie hasłem do odwrótu z tego świata.

Potém pogłaskawszy brodę i włosy jak kruk czarne, dodał:

—Już dobija lat pięćdziesiąt, a jeszcze przeciw zwyczajnemu porządkowi, żaden się włos nie pośrebrzył. Widno, że Bogu się podobało jeszcze mi życia przedłużyć, wszakże pewnie nie nadługo.

18 Września, 1839.

Przez kilka dni, publiczność berezowska była zajęta cierpieniami, a następnie śmiercią młodéj i bogatéj kupcowéj berezowskiéj, któréj wszyscy zazdrościli nie tyle dostatków, ile przywiązania męża; kochał ją bowiem najczulszą miłością, jak kochanek kochankę. Umarła ona z połogu, ofiarą przesądów i zabójczych lekarstw.

Chociaż rząd przysyła tu akuszerkę i lekarzy, wszelako lud tak jest wdrożony do pewnych przesądnych zwyczajów dopełnianych w najkrytyczniejszych epokach życia, że żadna zdrowa rada nie potrafi onych wywrócić od razu, a lekarz, czy też akuszerka, choć wezwani, muszą tolerować, albo też ich rada słuchaną nie bywa.

Cierpiąca, przed rozwiązaniem, musi być napojona mydłem, prochem i różnémi przyprawami, prócz tego wytrzymać targania swego ciała w różnych kierunkach, naginania do najniewygodniejszych pozycyj, do ostatniego sił wycieńczenia.

Jeżeli kobiéta silna wytrzyma te barbarzyńskie ceremonje i powije dziécię, karmią ją zaraz przygotowa-

ną rybą i prowadzą do łaźni, gdzie niosą także dziécię nowonarodzone.

Młoda i piękna kupcowa, o któréj wspomniałam wyżéj, skończyła życie po kilkodniowych cierpieniach. Byłam dziś na jéj pogrzebie.

Ponieważ mąż zmarłéj, był jeden z najbogatszych kupców Berezowa, pogrzeb był bardzo wspaniały.

Gdy wprowadzono do cerkwi trumnę obitą pąsową materją i galonami, i ustawiono na środku, liczna familja mężowska otoczyła ją wieńcem do koła, i rozpoczęła chórem płacz wyuczony.

Widzowie dawszy miejsce familji, jako mającéj czynną odegrywać rolę, cofnęli się w tył o kilka kroków, zowiając piérwszym przestrzeń swobodną.

Naprzód matka mężowska zaczęła odegrywać swoję rolę, krzycząc bardzo przeraźliwie, a zachodząc się od płaczu, wyliczała zalety i cnoty zmarłéj, obok żalu całéj rodziny z takiéj straty.

Gdy matka skończyła, siostry mężowskie po kolei śpiewały swe *lamentacje*, ile któréj zdolności pozwoliły.

Widzowie tymczasem robili swoje postrzeżenia nad talentem każdéj z aktorek.

— Jak pięknie pani N. płacze! rzekła jakaś kobiéta za mną stojąca do swéj sąsiadki. Żadna z córek jéj nie dorównywa. To mi kobiéta!

— To jeszcze nic dzisiaj! tamta odpowiedziała. Gdybyś słyszała, jak ślicznie płakała na pogrzebie swego męża nieboszczyka. Można śmiało powiedzieć, że nikt w mieście naszém jéj nie dorówna.

Płacz ten wyuczony, wywierał skutek zupełnie przeciwny swemu celowi. Scena smutna, poważna, traciła

swą uroczystość, i zamieniała się w jakiś teatralne przedstawienie. Mnie owe lamenta i płacze raziły tém mocniéj, że wiedziałam od członków familji, iż zmarła nie była lubioną w jéj gronie, i że mieli za złe mężowi miłość, którą miał dla żony.

Rozdzierała tylko serce nieudana rospacz męża, który zmieniony do niepoznania, bo jak mówiono w domu przez trzy dni w usta nie brał żadnego posiłku, z twarzą zsiniałą, zabrzękłą od płaczu, wydawał tylko głębokie łkania. Z drugiéj strony, sprzeczność stawiły trzy małe córeczki, które nie pojmując straty, zajęte były jak się zdało niezwykłością ceremonji, krzykiem babki i ciotek, mnogością światła i błyskotkami; wodziły zatém od przedmiotu do przedmiotu wzrok odurzony.

Z cerkwi Spaskiéj, gdzie się odbywało nabożeństwo, po jego ukończeniu, poniesiono trumnę na cmentarz Zaruczajny, gdzie są groby całéj familji N. I ja się tam udałam w orszaku pogrzebowym.

Też same osoby co w cerkwi Spaskiéj, znów odśpiewywały swe żale przy grobie otwartym, poczém trumnę w grób spuszczono. Lecz kiedy rzucono kilka garści ziemi, powstało zamięszanie: mąż zmarłéj chciał skoczyć w jamę, i przytomni zaledwo powstrzymali go siłą; tymczasem grób zasypano i wszystko się skończyło.

Każdy wracał do domu rozmawiając ze znajomymi, jak gdyby wracał z obiadu lub imienin. Ja się zbliżałam do członków familji, która tak energicznie opiewała swe żale; lecz widno, że się ból przesilił, bo całą drogę rozmawiano spokojnie o różnych przedmiotach.

Cerkiew Spaska berezowska, jest murowana, obszerna, bogata, ale malowidła szkaradne rażą oczy. Głowy

u świętych monstrualnéj wielkości, koloryt popielaty, członki pokaleczone. Szczęściem, że szaty złote i srébrne, tudzież inne ozdoby kruszcowe skrywają w większéj części te rażące szpetności.

Pewne zdarzenie, które miało miejsce na dzisiejszym pogrzebie, da miarę wyobrażeń i obyczajów Berezowian.

Znajduje się tu kobiéta rodem z Rossji, zesłana przed kilką laty nie wiém za jaką winę. Nosi ona ubior mniszki greckiego obrzędu (czernicy), i mówi, że nią była swego czasu. Rozprawia wiele o swych świętych pielgrzymkach, bo dużo lat na nich spędziła; odwiedziła, jak mówi, tak pieczary kijowskie jak i obraz cudowny Bogarodzicy irkuckiéj, takoż inne świętości znajdujące się na przestrzeni kraju zawartéj między témi dwóma krańcami. Owoż ta święta kobiéta podniosła i schowała chusteczkę, która w ciżbie zsunęła się z plec jednéj panienki; kozak obok idący postrzegł to przywłaszczenie, i wyszedłszy z cerkwi, nie tylko że przymusił do zwrócenia zabranéj rzeczy, ale nadto cała publiczność wypowiedziała téj kobiécie wstęp do cerkwi, pod karą zniewagi osobistéj.

Taki wyrok publiczności, gdy doszedł do wiadomości władzy duchownéj, ta weszła ze swojém przedstawieniem a razem opozycyą, dając zauważać, że nikt nie ma prawa zagradzać grzesznikowi drogi do przebłagania Boga, a zatém i zamykać wstępu do jego świątyni; co jednak niezupełnie uspokoiło wzburzenie umysłów.

Cały dzień publiczność berezowska zajęta była rozprawami nad powyższém zdarzeniem. Czernica była przymuszona nie wychylać się nigdzie ze swéj izdebki, bojąc się zniewagi. Policya nawet musiała oświadczyć, że ją bierze pod swoją opiekę.

W Berezowie, kradzież jest wypadkiem niesłychanie rzadkim. Żaden z urodzonych na ziemi tamtéjszéj tak z Ostjaków jak Ruskich, nie był jeszcze poszlakowany w tym występku. Jeżeli się on zdarzył kiedy, zawsze to był owoc przywozowy, wypielęgnowany pod pieczą wyższéj cywilizacyi. Wysłańce z innych okolic, dają czasem małe próbki, wszakże, ponieważ do kraju tak zimnego jak Berezów, wysyła się indywiduów bardzo mało, kradzieże bardzo są rzadkie i ograniczone brakiem wspólników i zręczności pozbycia skradzionéj rzeczy. Obyczaje równie jak miejscowość, strzegą mieszkańców Berezowa od téj zarazy.

Bezpieczeństwo własności jest tu bardzo wielkie. Jak mi się zdaje, żadne ustawodawstwo nie poszczyci się aby otrzymało taki rezultat mocą swych najmędrszych instytucyj. Tu własność każdego jest pod pieczą wiary ogólnéj, tak, że domy nie mają nawet zamków, a przecież nic nie ginie.

Nie dość tego. Berezowianie, skoro trawa rość zaczyna, wypuszczają na całe lato tak bydło, jak konie do lasu na paszę (zostawiając tylko pod swojém okiem dojne krowy), nie troszcząc się gdzie się one obracają. Dopiéro, gdy śnieg okryje ziemię, gospodarze idą szukać swojéj własności, i czasem ją znajdują o wiorst dwadzieścia i więcéj od domu.

Nigdy się nie trafiło, aby czy to Ostjak, czy też Ruski, nadużył tego zaufania ogólnego, i skradł lub zarznął bydlę na swój użytek, chociażby mógł to łatwo zrobić bez żadnéj poszlaki. Co tém dziwniejsza, że Ostjacy nieumiejąc przygotowywać żadnych zapasów spiżarniowych, są czasem przyciśnieni głodem bardzo srogim,

w razie nieszczęśliwéj rybołówki lub niepomyślnego polowania.

Tu znajduję pole wspomnieć o obyczajach bydląt domowych berezowskich, jak one używając więcéj swobody, okazują nierównie więcéj pojęcia od naszych.

Zdarzyło mi się nieraz widzieć jak stada bydła, wyjadłszy paszę w jedném miejscu, gromadnie przenoszą się w drugie. Na ten cel trzoda z kilku domów zbiéra się w kupę, i staje nad brzegiem rzeki nie pasąc się, tylko jakby robiąc uroczystą naradę; poczém bydlęta silniejsze rzucają się w wodę i płyną naprzód, pociągając swym przykładem inne.

Tym sposobem przepłynąwszy znaczną przestrzeń wody, wylądowują na jaką wyspę, gdzie trawa jeszcze bujna i niespaszona, a po pewnym czasie gdy ją zjedzą, szukają znów miejsca nowego.

Równie mię uderzył rozum, czy też instynkt macierzyński w krowach tamecznych.

W Berezowie, system wychowania sztucznego rozciąga się od ludzi aż do bydła. Już wyżéj powiedziałam, że matki pokolenia ruskiego, bardzo rzadko karmią dziécię piersią własną, ale od samego urodzenia karmią je mlékiem krowiem, przyuczywszy ssać z rożka opatrzonego w cieńkim końcu syską krowią. Podobnymże sposobem postępują z krowami. Skoro się ciele urodzi, odbiérają je matce i karmią z ręki, z początku wydojoném od matki mlékiem, a po dniach kilku pojłem z krup lub mąki, z domięszaniem nieco mléka, póki cielę dobrze się nie wzmocni, i nie przywyknie do tego sztucznego pokarmu.

Podobne sztuczne hodowanie ma tę dogodność, że cielę nieznane matce, można puszczać razem na paszę, lub

zostawiać w jednym chlewie, bez niebezpieczeństwa wyssania. Druga korzyść, że krowa pozbawiona cielęcia od urodzenia, zostaje cielną każdego roku.

Wszakże krowy muszą pojmować, że za pośrednictwem człowieka, tracą swoje cielęta, bo gdy nadchodzi pora cielenia się, krowa używa całéj przebiegłości, aby się wymknąć od jego opieki.

Na ten cel robią sztuczki tak dowcipne, że się dziwić wypada ich rozumowi.

Gdy się zbliża pora rozwiązania, gospodyni nauczona doświadczeniem, zamyka krowę do chlewa, i tam ją karmi i poi dając pilną baczność, aby nie uciekła. Ta z początku przyjmuje pokarm, ale późniéj jeść ani pić nie chce.

Gospodyni zatrwożona chorobą, wypuszcza ją trochę na świéże powietrze, sama w ślad idąc za nią. Krowa idzie zawsze pomału, głowę ku ziemi spuściwszy, udaje tylko pragnienie i szuka świéżéj wody. To udawanie słabości trwa póty, póki krowa nie upatrzy sposobnéj pory do ucieczki; a skoro gospodyni oszukana pozwoli się wyprzedzić o kilka kroków, krowa zebrawszy wszystkie siły uskoczy na bok, i przepływając lub przeskakując ruczaje, stara się dostać co prędzéj do lasu, gdzie znika przed okiem goniących.

Wiedząc, że będzie szukaną, nie zatrzymuje się w blizkości; lecz gdy ubiegnie wiorst kilka, i sądzi się być wolną od pogoni, wybiéra stosowne miejsce, a porodziwszy cielę, pokrywa je opadłémi z drzewa liśćmi. Sama zaś, aby nie zdradzić swą obecnością schronienia nowonarodzonego w przypadku poszukiwania, odchodzi paść się o podal.

Rzadko udaje się właścicielowi znaleźć prędko zbie-

ga; krowa zaś póty utrzymuje cielę w ukryciu, nim to nie nabierze sił dostatecznych dla zaufania rączości nóg własnych. Wówczas już matka wychodzi na paszę wraz z cielęciem, a gdy po pewnym czasie, kto ją nadybie i da znać właścicielowi, ten przymuszony jest wyprowadzić całą czeladź na wyprawę tak pieszo jak konno, i często harce potrwają kilka tygodni, nim krowa z cielęciem dadzą się ująć.

Ten sam przemysł przewodniczy do szukania pokarmu zimą. W Berezowie nigdy właściciel obory nie troszczy się bardzo, gdy skutkiem przedłużonéj zimy, zabraknie siana dla przekarmienia bydła. W takim razie wypuszcza na wolność swoją trzodę, a bydlęta uszedłszy wiorst kilka, odgadłszy pewnie instynktem, gdzie bujna pasza została przysypana śniegiem, mimo grubą warstwę śniegową, odgrzebują ją racicami i przekarmiają się do następnéj wiosny.

---

25 Września 1839.

Wczoraj nim spać poszłam, modliłam się gorąco, aby mi Bóg pozwolił oglądać choć we śnie dzieci moje, i ten dobry Ojciec wysłuchał moją modlitwę. Widziałam Paulinkę i moję małą Wiktusię. Dla czegoż i we śnie nawet nie doświadczam czystéj pociechy, czystego szczęścia z ich oglądania? Czemuż i we śnie, gdy wyobraźnia buja wyswobodzona od pęt rozumu, dusza zachowuje odcisk tłoczącego ją smutku? Byłoby tak błogo żyć pełnem sercem, pełną wyobraźnią chociażby we śnie. Albož sny nie składają znacznéj części życia?

Czasem, mimo bolów, które serce ugniatają, czuję

w duszy pewną siłę oddziaływającą, która zrównoważa cierpienia i napełnia mię jeżeli nie pokojem, to przynajmniéj gotowością dźwigania silnemi ramiony ciężar stęsknionego bytu; ale gdy mię ta siła opuszcza, upadam pod brzemieniem życia.

O Boże! jeżeli to upadnienie na duchu, obraża Twoję wszechmocność, przebacz słabości niedołężnego stworzenia, lub raczéj wléj w serce to uspokojenie i męztwo, którém Ty jeden natchnąć możesz!!

Pozawczoraj miało tu miejsce zdarzenie, które napełniło zgrozą mieszkańców Berezowa.

Jeden z niższych urzędników policyi, znienawidził żonę przystojną i dobrą. Przyczyną téj nienawiści, było przebywanie w domu innéj kobiéty, która była jego kochanką. Żona była ciągle prześladowana, mąż odmawiał aż do najpiérwszych potrzeb żonie i dzieciom, tracąc wszystkie dochody na kochankę i wódkę, któréj był zwolennikiem.

Trafiło się przed kilką dniami, że żona powiła dziécię. Obyczajem tamecznych, każdy z odwiedzających położnicę, przynosi jakąś ofiarę w pieniądzach, którą składa na łóżku choréj. Tym sposobem nieszczęśliwa żona uzbiérała pewną kwotę pieniężną.

Gdy się skończyły odwiedziny, mąż świadomy obyczaju, zaczął się domagać u żony, aby mu oddała zebrane pieniądze; lecz ta będąc usunięta od dochodów męża, i uważając zebrane pieniądze za własność niezaprzeczoną, wzbraniała się zadość uczynić wymaganiom męża. Ten niespodziany opór żony zawsze uległéj, tak go oburzył, że bez względu na stan jéj zdrowia, dopadłszy lansztoka od strzelby, póty bił aż otrzymał żądane pieniądze.

Na drugi dzień żona umarła zsiniała od razów. Publiczność powtarzała z oburzeniem to okrucieństwo męża, ale gdy podczas pogrzebu, mąż idąc za trumną zabitéj żony, płakał wyliczając głośno jéj zalety, przypominając jéj cierpliwość, pracowitość i inne cnoty, a przytém obwiniał swą popędliwość, przyznając, że zabił żonę niesprawiedliwie, publiczność została rozbrojona, a nawet mąż-zabójca zyskał współczucie przez dobrowolne uznanie winy i oddanie sprawiedliwości swojéj nieszczęśliwéj ofierze.

Pojęcia o małżeństwie w Berezowie, tchną jeszcze zupełném barbarzyństwem. Ruscy nie płacą wprawdzie kałymu za żonę, to jest, że jéj nie kupują, wszakże przyjęte wyobrażenia chcą ją mieć niejako własnością męża, i nikt nie przypuszcza, aby ktokolwiek mógł zażądać rachunku z nadużycia praw mu powierzonych.

Nie rzadko się trafia w Berezowie, na co mi przytaczano wiele przykładów, że mąż najczęściéj z pjaństwa, a czasem pobudzony inną namiętnością, zabija swą żonę. Taki postępek przejmuje zgrozą mieszkańców, szemrzą oni na nieludzkość, ale nikomu na myśl nie przyjdzie, aby się godziło takiego zabójcę poddać pod surowość prawa, zażądać sprawozdania z życia istoty istoty wydartéj społeczeństwu. Zabójca żony, ledwo że nie takie tylko ściąga oburzenie, jak pan nielitościwy i okrutny, któryby mordował swoje bydlę i o śmierć je przyprawił.

Pani X. wyniosła się od nas na inne mieszkanie, mamy przeto więcéj swobody w naszém.

Dwoje Ostjaków mieszkających ztąd o wiorst kilkadziesiąt, przywieźli do Berezowa do chrztu dziécię nowo-

narodzone. Już dni sześć jak przyszło na świat, a matka, po odbytéj podróży w czas zimny, była tak czerstwa, jakby nie ona wydała na świat to dziécię.

Że para była uboga, nie mogła znaleźć kumów dla swego dziecięcia; przeto mój poczciwy gospodarz kozak, trzymał do chrztu z moją służącą.

Zbliżyłam się do dziecka, chcąc widzieć i dziécię i jego utrzymanie.

Miejsce kolébki, zastępowała króbka z kory, wązka i płytka, tak, że dziécię ledwie się w niéj zmieścić mogło. Ta króbka, dla miękkości, zamiast materaca, wysłana była okruszynami z drzewa spróchniałego. Zamiast poduszki pod główkę, nakładziono skrobaniny z młodych gałązek wierzbowych.

To posłanie było przykryte po wierzchu skórą z renów, i na niéj położone dziécię bez pieluch i bielizny, tylko owinione tąż skórą jakby pieluchą.

Do owego koszyka czyli króbki, przytwierdzone były u wierzchu po obu bokach dwa kawałki skóry, które otwiérając się dla wyjęcia dziécka i zamykając się po włożeniu, stanowiły rodzaj drzwiczek, czy téż otwiéranego wieka. Po włożeniu dziécka, drzwiczki owe zamykały się i zawiązywały rzemykami, co chroniło dziécię od wypadnienia i od rozkrycia. Twarz tylko dziécięcia była odkryta i swobodna.

W czasie podróży, ta kolébka z dziéckiem zawieszona na rzemyku, zarzuca się na plecy jednego z rodziców.

Oskrobiny z drzewa, o których wyżéj wspomniałam, są bardzo miękkie; otrzymują się one skrobiąc lekko nożem młode gałązki, z czego powstają niby włókna, które zebrane w dostatecznéj ilości, zastępują Ostjakom miej-

sce ręcznika. Niémi się uciérają po umyciu, niémi także ociérają dziéci nowonarodzone, skąpawszy je latem w zimnéj wodzie, lub zimą wytarłszy śniegiem.

Ostjaczki karmią swe dzieci własnémi piersiami nie naśladując w tém matek ruskich, które karmią dzieci krowiém mlékiem za pośrednictwem rożka.

---

4 Października 1839.

Co za dnie krótkie! O czwartéj godzinie już zupełnie ciemno. Czuję bardzo żywo zmniejszenie godzin oświeconych dnia jasnością; przy świécy bowiem nie mogę robić na kanwie, która jest mi najulubieńszą rozrywką.

Pani X. przyniosła nam zająca, którego mówi, że sama upolowała na naszę intencyę.

W Berezowie jest mnóstwo zajęcy; ale że Ruscy brzydzą się ich mięsem jako nieczystém, nikt ich nie zabija, i ta wyborna źwierzyna nie idzie do liku téj, którą się karmią Berezowianie.

Kiedy oddałam zająca mojéj gospodyni, z poleceniem, aby go dla nas przyrządziła, ruszyła ramionami, skrzywiła się i splunęła jakby na rzecz najobrzydliwszą, co nam przecię nie odjęło apetytu: wszystkie bowiem inne źwierzyny już się naprzykrzyły.

Kiedy już zupełnie sciemniało, powiedziawszy z żalem *do widzenia* naszym krośnom, wyszłyśmy na przechadzkę. Wszakże Józia, odstręczona zimnem i ciemnotą, wróciła zaraz do domu, a ja, potrzebując ruchu, potrzebując samotności, puściłam się sama na przechadzkę.

Udałam się ku cerkwi *Zaruczajnéj*, która léży tuż za miasteczkiem, przedzielona od niego głębokim jarem.

Jest to miejsce zupełnie ustronne, okrążone cmentarzem i ocienione staremi modrzewiami, które przeżywszy kilka wieków, przeżywszy lata swego znaczenia i chwały, (był to bowiem niegdyś las święty, czczony przez Ostjaków), jak mocarze wyzuci z potęgi i zaszczytów, otoczywszy się grobami, dumają nad znikomością rzeczy.

Ludzie jakby szanując miejsce ostatniego spoczynku tych, co już się nie przebudzą aż zagrzmi trąba archanioła, usunęli się opodal ze swémi mieszkaniami, zostawując to samotne ustronie na miejsce modlitwy i wspomnień, jakby próg uroczysty, gdzie za pośrednictwem śmierci, życie się styka z nieśmiertelnością.

Noc, cichość, samotność, szmer niewyraźny rzeki, która płynąc u stóp góry, na któréj się wznosi cerkiew, malowała się jak czarna przepaska żałoby wśród przestrzeni okrytych śniegiem; ogromny xiężyc kąpiący się w jéj nurtach ciemnych, migocący w głębiach jak ognisko podwodne przyświecające światom podziemnym, rozsiane po wszystkich przedmiotach, nadające wyraz niezwykły i łysym modrzewiom, stérczącym jak pomniki przeszłości wśród świata nowego, noszącego już ślady nowéj cywilizacyi, i grobowcom z marmuru, kamienia, żelaza, w które zdawało się wstępować jakieś życie tajemnicze, życie nie tego świata—wszystkie te przedmioty zdawały się w téj uroczystéj godzinie odsłaniać tajemnicę stworzenia, i przemawiać językiem dającym się zrozumieć tylko w pewném podniesieniu ducha.

A to światło nocne, tęczowe, odbite od mikowych okien cerkwi, a ten krzyż złocisty wzniesiony na kopule cerkwi, który jakby skupiwszy do siebie najmocniejsze promienie, sam jeden panuje w obłokach, i sam jeden

rozpościera światło najmocniejsze, wszystko pogrążało w dumach i rodziło w duszy uczucie nieokreślone, uczucie, z którego sprawy sobie zdać nie można było. Myśli moje nurzały się w nieskończoności, cała istota moja chciałaby za niémi ulecieć, odgadnąć nieodgadnione, zanurzyć się w niedościgłém; lecz słabe władze zdążyć nie mogły za wysokością myśli, za głębokością wzruszeń.

Byłam jakby szarpana między śmiałością polotów ducha i niedołężnością drugiéj połowy mego jestestwa, która wznieść się nie mogła do wysokości piérwszego.

W tém wysileniu natury, myśli wpadły w nieład, ja upadłam na kolana, łzy spłynęły strumieniem, wezbrane uczucie zlało się w modlitwę. Po niezwykłém natężeniu ducha, uczułam się słabą, niedołężną istotą, wyglądającą tylko z góry światła, pociechy, opieki.

Już upłynęło godzin z parę na téj samotnéj przechadzce: trzeba było rozstać się z mojémi dumami, rozstać się z drzewami, rzeką, pustynią, i zamienić ten świat piękny, boski, gdzie każdy utwor jest zgłoską, za pomocą któréj Stwórca rozmawia ze swém stworzeniem, językiem jasnym, zrozumiałym, na świat ciasny, brzydki, niekształtny wymysłu człowieka.

Nie chcąc jednak od razu utopić miłych wrażeń w mętnéj kałuży życia powszedniego, oddalając się jeszcze bardziéj od miasteczka, puściłam się między zarośla przytykające do cmętarza Zaruczajowego, rozciągające się po nadbrzegami Soswy do rzeki Wajgułki, i łączące się daléj z ogromną przestrzenią otaczającą Berezów.

Ta część okolicy Berezowa, zasiana karłowatémi krzakami jałowcu, i niemniéj karłowatémi pniami modrzewi i cedrów, które widno, że ciągle będąc scinane przez

mieszkańców na różne użytki, zmieniły swe piękne kształty naturalne na kalekie, garbate i małe, bardzo posłużyła do ostudzenia wyobraźni trochę za wysoko nastrojonéj.

Błąkając się czas niejaki po tych krzakach pokaleczonych, którychby Bóg nie chciał uznać za swe dzieło, tak je zeszpeciła ręka ludzka, uczułam także, jak wprzódy moja towarzyszka, że i ciemno i zimno: postanowiłam przeto wrócić do domu.

Z niechęcią ujrzałam światła migocące się w oknach, które mię ostrzegły, że już jestem w miasteczku.

Wróciłam nakoniec do domu. Zamiast błękitnego sklepienia usianego gwiazdami, ujrzałam nad głową belki równolegle do siebie ułożone; zamiast pochodni rozlewającéj światło srébrzyste na wszystkie krańce widnokręgu, zapaloną świécę łojową na stole, zamiast czystego powietrza, zaprawionego wyziewem kolców szpilkowych z cedrów i modrzewi, uderzył powonienie czad z jadła tłustego w piec wstawionego dla rozgrzania; zamiast cichego szmeru rzeki toczącéj spokojnie swe wody w ścieśnioném korycie, uderzył me ucho szmer niemniéj cichy, łagodny. Ten szmer był sprawiony przez nieprzeliczone zastępy tarakanów czyli prusaków, które wieczorem wychodzą ze swych kryjówek i zalegają ścianę odprawując różne ewolucye. Te ruchy wydają szmer podobny do padania dészczu.

O jakże człowiek wydał mi się wielki ze swoją przemysłowością, jak byłam pyszna, że należę do rodu tego półboga!

Nie dość na tém: zasypano mię pytaniami, gdzie byłam, co robiłam; przywalono upomnieniami. I miano słu-

szność. Człowiek bowiem nie powinien nigdy schodzić ze świata sobie właściwego. Cóż mu po tém, że mu na moment mignie przed oczyma świat inny? Ta chwilka zachwytu czyż okupi niesmak życia powszedniego? a jednak to życie sprzężone z jego obyczajami, wyrobione w pośród okoliczności otaczających go od kolébki, jest mu właściwém, koniecznóm.

Mimo niechęć, z jaką wstąpiłam do progu swego domu, ciepło piecowe było trochę potrzebne dla rozgrzania członków nieco odrętwiałych od zimna; pokazało się nawet, że czad, jakkolwiek nieprzyjemnie uderzył powonienie, pokrzepił siły posilną wieczerzą. Trzeba się zatém godzić z prozaiczną częścią życia.

---

18 Października.

Mróz się wzmaga. Trzody renów wracają ze swéj letniéj rezydencyi między górami Uralskiemi. Błoń zamarzła ponad brzegami Soswy, służy im za gościniec. Pięknie patrzéć na ogromne trzody tych źwierząt pożytecznych, które niosąc jakby las na głowie, przesuwają przez pustynie.

Udało się dziś memu gospodarzowi, po długich trudach i pracowitych wycieczkach, złapać choć jednego konia, z tych, które były wypuszczone na paszę na całe lato.

Konie te przez lato błąkając się po lasach, odwykają od ludzi i dziczeją tak, że gdy nadejdzie zima, zachodzi wielka trudność w złapaniu i przyprowadzeniu onych do należytego posłuszeństwa.

Pojmanie konia było uroczystością dla całego domu,

z przyczyny, że teraz, gdy Soswa cofnęła się do właściwego koryta, i pomniejsze wody zamarzły lub oschły, trzeba sprowadzać wodę do domów więcéj jak o werstę, a w nieobecności konia, trzeba ją wiadrami nosić na plecach. W Berezowie bowiem, nie ma ani jednéj studni.

W lecie ta niedogodność nie tak się czuć daje, gdyż Soswa zalewając wybrzeża i napełniając wszystkie jary, podsuwa wodę prawie pod domy mieszkańców; ale zimą niedogodność jest znaczna, a nawet na przypadek pożaru, ratunek staje się bardzo trudnym. Doświadczyli tego mieszkańcy Berezowa w r. 1817. W tym roku, prawie że nie całe miasteczko spłonęło ogniem. Domy rządowe, archiwa, klasztor mnichów greko-rossyjskich, wszystko spłonęło.

Zdaje się, że kopanie studni w Berezowie byłoby dość łatwém, to jest, że woda znajduje się blizko powierzchni ziemi; nie wiém tylko, czyby się znalazł jaki środek zachowania w nich wody od zamarznięcia podczas tęgich mrozów.

Mieszkańcy Berezowa nie mający konia, a takich jest znaczna liczba, używają psów do wożenia wody; lecz przykro nad wyraz patrzeć, jak ludzie nadużywają sił tego posłusznego źwierzęcia.

Zaprzęgają do sanek jednego psa tylko, wkładają na nie dużą beczkę wody i każą ciągnąć pod górę, tak, że mimo wzrostu niemałego jak na psa, biédne to stworzenie rozciąga się, ledwo że nie przylega do ziemi dobywając sił ostatnich.

Bywają jeszcze niektórzy tak okrutni, że nie przestając na ciężarze wody, dodają jeszcze do dźwigania ciężar swój własny, siadając na beczce i poganiając psa

bez litości. Z okien domu mego, który stał nad spadzistością góry, często miałam nieprzyjemność mieć przed oczyma to widowisko.

Mróz silny trzyma od dni kilku; pomniejsze rzeki już zamarzły. Soswa zaczyna także stawać. Ta rzeka, jak mówią, potrzebuje mrozu stopni 17 dla zamarznienia.

Czas marznienia rzek, jest dla mnie najprzykrzejszy, bo poczta chodzić przestaje przez tygodni pięć albo sześć. Nie wszystkie bowiem rzeki stają jednorazowie: ustaje przeto żegluga, a podróż lądowa jeszcze nie odkryta.

Dzisiejsza poczta nie odeszła, jednak przygotowałam listy. Pisanie robi ulgę. Wreszcie dusza już się wdrożyła do perjodów dwutygodniowych, w których poczta przychodzi i odchodzi. Natura ludzka tak się układa do okoliczności.

Każdy z mieszkańców Berezowa, biegnie teraz z interesem nad brzeg rzeki, dla uważania stanu jéj marznienia. Czas bowiem przejścia, kiedy wody ze stanu płynnego przechodzą do stałego, jest jakby więzieniem dla mieszkańców nadbrzeżnych. Jedyna bowiem droga jest zniszczona, i wszelka komunikacya zewnętrzna ustaje.

Choć biuletyn stanu rzeki, dość dokładnie utrzymywany i komunikowany co chwila przez publiczność interesowaną, nie był mi obcym, obróciłam jednak przechadzkę nad brzeg Soswy, aby widzieć własnemi oczyma, w jakim ona jest stanie.

Za zbliżeniem, słyszałam huk podobny do grzmotów lub do powozów jadących po bruku. Brzegi rzeki były już umarzłe na znaczną odległość, woda zaś płynęła wązkiém korytem, unosząc na swym grzbiecie duże bryły

lodu. Te bryły ściérając się jedne z drugiémi, wydawały huk, który słyszałam. Inne zaś sparłszy się koło brzegów już zamarzłych, naciśnione od innych brył, gdy nie mogły znaleźć przejścia, w kilka minut ścięte zimném, powiększały massę brzegów już umarzłych. Tym sposobem przestrzeń wody niepokrytéj lodem, umniejszała się widocznie, i zupełne zamarznięcie, przewidziane było w bliskości przez znawców, jak biegły lekarz wylicza dobijające godziny chorego.

Wróciłam do domu z przymrożonym podbrodkiem, i z silnym bolem ręki, tak, że ledwo jestem w stanie utrzymać pióro. Ból zapewnie reumatyczny.

Niezadługo przyszła P. X. z uwiadomieniem, że rzeka Wajgułka już stanęła. Wybiérała się ona sprobować przejażdżki sankami po świéżo zamarzłym lodzie, a ponieważ miała własnego konia i sanki, zaproponowała aby jéj towarzyszyć. Przyjęłam propozycyę, a obwiązawszy się i odziawszy jak można było najlepiéj, pojechałam z P. X., spodziewając się przyjemnéj przejażdżki po umarzłéj jak tafla rzece.

Przywykłszy przez lat wiele do ruchu powozu, tęskniłam za nim. Czułam potrzebę onego dla zdrowia, a nawet przechadzka piesza choćby najdłuższa, nie zastępuje go pod względem zdrowia. Wybrawszy się więc z ochotą w podróż, zaraz doświadczyłam zawodu, spójrzawszy na sanki dziwnego kształtu. Miały one powierzchowność dość ponętną naszych sanek używanych do przejażdżki, z tą różnicą, że we środku nie było żadnego wgłębienia; owszem wklęsłość, która służy u nas do chowania nóg, była drzewem zabudowana na głucho.

Nie wiedziałam jak usiąść w tych sankach, wszakże

moja przewodniczka mię oświeciła, że trzeba siadać bokiem, spuszczając nogi na skrzydła; dla tych zaś, którzyby się nie czuli dość bezpiecznymi w takiém położeniu, jest dziura przerąbana w owém wieku drewnianém, dla zagłębienia jednéj nogi.

Umościwszy się jak można na owych sankach, nie powiém, że wygodnie, doświadczyłam jeszcze drugiego zawodu. Nie było woźnicy, lecz P. X. ofiarowała własne usługi. Ta grzeczność nie uspokoiła mię zupełnie; wiedziałam bowiem, że P. X. miała zawsze pretensję do męzkiéj dziarskości i znajomości na wszystkiém, lecz rzadko powodzenie odpowiadało pretensjom; wszakże ponieważ chodziło nie więcéj jak o wywrót, powierzyłam się mojéj przewodniczce.

Szczęściem, nie wywróciwszy się ani razu, przyjechałyśmy nad Wajgułkę, a znalazłszy ją istotnie zamarzłą, wjechałyśmy na lodowy gościniec; lecz zamiast owéj równéj tafli, którą sobie marzyłam, znalazłyśmy powierzchnię nierówną, złożoną z brył skupionych fantastycznie i zamarzłych w kształcie fali, co robiło drogę nadzwyczaj niewygodną, rzucając na wszystkie strony.

Za wjechaniem na podobne wypukłości, ich wierzchołki pękały pod stąpieniem konia, wydając huk, i zostawując głębokie rozpadliny, co mi się nie wydało ani przyjemném, ani bezpieczném, zwłaszcza żeśmy robiły piérwszą drogę; nikt bowiem nie przejechał przed nami.

Już mi się ta podróż szczérze uprzykrzyła, a nawet powiém otwarcie, żem się bała co chwila załamania, jadąc bez drogi i żadnego śladu; ale moja towarzyszka kontenta, że może dać próbkę swojéj odwagi, pędziła coraz daléj swego rumaka. Ja z mojéj strony, nie

chciałam się okazać bojaźliwszą, a zatém przeskakiwałyśmy owe zmarzłe bałwany przy trzasku łamiącego się lodu, który pękając, wydawał huk podobny do wystrzału z ręcznéj broni.

Na szczęście moje, P. X. obaczyła z daleka kogoś jadącego renami; obróciła więc konia swego w tamtą stronę, a za zbliżeniem poznała sprawnikowę, która także używała piérwszéj przejażdżki. Pani X. zapalająca się jak siarka, gdzie chodziło o nową rozrywkę, już pozazdrościła sąsiadce przejażdżki renami, tylko nie wiedziała co ze mną zrobić. Wyprowadziłam ją z kłopotu, zaproponowawszy aby siadła ze sprawnikową, a mnie poruczyła kierunek swoich sanek. Pani X. przyjęła propozycyę z ochotą, a ja nie z mniejszą wzięłam cugle konia, i skierowawszy na ląd, puściłam się drogą równiejszą i już utorowaną; ale nie znajdując wiele smaku w jeżdżeniu po ulicach miasteczka, których widok aż nadto się mi uprzykrzył, wróciłam do domu zziębnięta, trochę zmęczona, wszakże z żywszém krwi krążeniem.

---

5 Listopada, 1839.

Mróz mamy na stopni 30 Reomiura. Jeden z mieszczan tutejszych przyjechał z *nartą*, zapraszając, abyśmy użyły przejażdżki renami.

Przyjęłyśmy wezwanie z ochotą.

Opatrzywszy się jak można najlepiéj na mróz tak silny, wyjechałyśmy z naszym dziarskim i zręcznym przewodnikiem.

Ren jest zwierz nie większy od rosłego cielęcia dwuletniego; mordę i racice ma podobne do tego bydlęcia, włosy

pod brodą wiszą jak u kozła, ogon ma krótki, skład (szczególnie patrząc z tyłu) trochę podobny do sarny, wszakże sarna jest zgrabniejsza, bo ma cieńsze i wynioślejsze nogi. Ogromne gałęziste rogi, najwięcéj mu dodają okazałości.

Sierść mają białą, albo kasztanowatą, lub też mięszaną w strokaciznę złożoną z tych dwóch kolorów.

Reny zrzucają rogi corocznie, które im nanowo odrastają z przydatkiem co rok nowéj gałęzi. Podczas zrzucania rogów, ren jest najsłabszy i nie powinien się wtenczas używać do zaprzęgu.

Reny zaprzęgają się do sań zupełnie odmiennych kształtem a nawet lekkością od sań pospolitych, używanych do zaprzęgu koni; takowe sanie nazywają *nartą*. Narta jest nierównie dłuższa niż sanie pospolite, używane u nas do przewozu ciężarów; połozy są cieńkie, i całe wiązanie takież, zapewne dla lekkości, stosując ją do siły rena mającego jéj niewiele.

Połozy są széroko osadzone jeden od drugiego, zapewne, aby się ochronić od częstych wywrótów; po wierzchu zaś wiązania, przytwierdzone są deski, ułożone równo jak na stole, tak, że niéma w narcie przyrządzonéj tym sposobem, żadnéj wklęsłości dla schowania nóg lub jakich rzeczy; jest to tapczan osadzony na połozach i nic więcéj. Jadąc, trzeba siedzieć na owym tapczanie, spuściwszy nogi na bok; niéma żadnego podnóżka dla postawienia onych, ani też poręcza dla ujęcia ręką w niebezpieczeństwie wywrótu; podróżny musi jedynie rachować na zręczność własną i sprężystość swych członków.

Ładunek, jeżeli jest jaki do przewiezienia, układa się na owym tapczanie, okrywa skórami z renów i przywiązuje się powrozami. Tak przytwierdzony, zabezpieczony jest od wypadnienia, choćby się narta przewróciła.

Narta owa, czyli sanie, nie mają dyszla. Zaprzęga się do nich pospolicie trzy reny, z których jeden tylko średni, ma lejc zarzucony na rogi, i ten kierowany, pociąga za sobą inne.

Mała szlejka z jednym pasem rzemiennym, przechodzącym pod brzuch rena, i przywiązanym do narty, jest całą uprzężą.

Gdy reny już są zaprzężone do narty, podróżny czy też woźnica siada na niéj bokiem opatrzony drążkiem cieńkim lecz mocnym, długości kilkoarszynowéj; drążek ten w jednym końcu, okuty jest w żelazo. Służy on do zatrzymania w biegu renów, co się uskutecznia zanurzając w śniegu drążek i okręcając nań lejce.

Reny są tak lekkie, że się utrzymują na powierzchni śniegu; dla tego są bardzo przydatne do podróży w kraju, gdzie drogi rzadko bywają utarte, i gdzie podróżny musi piérwszy ślad torować.

Reny lecą prędko jak wiatr. Góry, ubocza, nie zatrzymują ani też zniewalają do zwolnienia biegu; owszem, im z większéj góry, tém reny przymuszone są biedz prędzéj, bo gdyby nie uciekły przed pędem sani, które będąc bez dyszla lecą na dół popychane własnym ciężarem, połamałyby niewątpliwie swe cieńkie nogi.

Woźnica nie może, czy też nie umié władać renami, jak się włada końmi. Czy to zawrót, czy miejsce niebezpieczne, reny nigdy nie zwalniają kroku. Można je zupełnie osadzić, ale nie przymusić do zwolnienia biegu.

Gdy usiadłam na nartę i puszczono w bieg reny, doświadczyłam przykrego uczucia, ledwie nie zawrótu gło-

wy, jakiego się doświadcza na hojdawce. Leciałam z wiatrem na wyścigi, które to uczucie nie byłoby przykre, gdyby się nie łączyła bojaźń wynikła z przekonania, że się jest zupełnie zależną od zwierząt, i że żadna siła rozumna nie ma nad niémi zwierzchniego kierunku.

Po pewnym czasie podróży, widząc, że narta się nie przewraca mimo rzucanie na wszystkie strony, oswoiłam się, i bać się przestałam. Spotkałyśmy jednak po drodze nartę przewróconą, którą podobno przejeżdżała się sprawnikowa; wszakże nasz dzielny woźnica zaręczał, że z nami tak źle nie będzie, jakoż słowa dotrzymał.

Jeżeli wywróty nie bywają zbyt częste, pochodzi to z przyczyny niepospolitéj długości narty, i że szérokość sań u spodu, równa jest szérokości ich u wierzchu; wszakże nieraz się trafia, że narta się przewraca, ale w takim razie znów się sama podnosi; podróżny w takim przypadku, jeżeli spadł z narty, powinien użyć całéj zręczności, aby wskoczyć na powrót nim reny się oddalą, w przeciwnym bowiem wypadku, musiałby iść piechotą aż do miejsca, gdzie reny zwykły się zatrzymywać dla pokarmu lub przeprzęgu.

Reny karmiąc się mchem podobnym do Islandzkiego, nie potrzebują aby człowiek przygotowywał im paszę na zimę. Trzody tych zwierząt utrzymują się przez zimę po lasach, gdzie jest obfitość mchu podobnego; właściciele onych utrzymują osobnych pastuchów do ich dozoru. Te pastuchy, mają swój *czum* czyli namiocik, postawiony w miejscu wybraném na pastwisko, i posuwają go w miarę przesuwania się trzody w inne miejsce dla wypasu.

Reny mają instynkt do odszukiwania miejsc w mech

obfitych, a jakakolwiek byłaby głębokość śniegu, rozgrzebują go kopytami, i sobie karm odkrywają.

Gdy raz trzoda rozgrzebie jamę, i dostanie żywności, trzyma się jednego miejsca, posuwając się coraz daléj. W przypadku tylko gdy paszy zupełnie zabraknie, przenoszą się w inne miejsce; co wszakże rzadko się trafia, gdyż mech przydatny na paszę tym zwierzętom, znajduje się prawie na każdém miejscu.

Posiadacz trzody, jeżeli potrzebuje wyjechać w drogę, sprowadza z lasu tyle renów, ile ich potrzebuje, a po odbytéj podróży, zapędza na powrót do lasu. Na stajni utrzymywać te zwierzęta niepodobna.

Ren nie wygląda nigdy pokarmu z ręki człowieka. Nawet podczas podróży nie trzeba go karmić przygotowaną paszą, lecz skoro podróżny uważa, że reny są już głodne, wyprzęga i puszcza na paszę; a dla zapobieżenia, aby się nie rozbiegły po lesie po jednemu, uwiązuje do jednego drążka, i musi czekać na miejscu, póki reny się nie pokarmią.

Wszakże podobny sposób podróżowania, jest niewygodny, bowiem popas renów zajmuje godzin kilkanaście. Dla uniknienia téj niedogodności, właściciel trzody renów, chcący odbyć podróż w prędszym czasie, wysyła naprzód przeprzęgi renów, dla zmienienia onych w pewnych odległościach. Ci, którzy nie mają własnych renów, najmują od miejsca do miejsca.

Reny są nadzwyczaj wytrwałe na głód i utrudzenie, biegną bez oddechu werst dwadzieścia pięć lub trzydzieści, wszakże gdy się czują bardzo strudzone, a podróżny nie ma wyrozumiałości na wycieńczenie ich sił, padają na śnieg dla wytchnienia, a wówczas najsilniejsze razy, nie są

w stanie zmusić je do powstania, póki nie wypoczną dobrze i nie wstaną dobrowolnie.

Nadużywając rena, można jechać bez popasu werst sto albo więcéj, ale podróżny jadący z wyrozumieniem nie ujeżdża jak werst pięćdziesiąt mniéj więcéj.

Reny zrodzone dla stref północnych, nie mogą znosić nietylko upałów, ale nawet miernego ciepła; dla tego w końcu Kwietnia lub na początku Maja, uprzedzając początki wiosny i topnienie śniegów, właściciele porachowawszy swe reny, tak stare jak nowonarodzone, poznaczywszy one, wysyłają z pastuchami w góry Uralskie, przypierające do morza Lodowatego, gdzie śnieg nigdy nie ginie, i gdzie z przyczyny zimna, niéma owych zastępów komarów, których reny znosić nie mogą. Dopiéro jesienią, gdy błota zamarzną i śnieg ziemię okryje, trzody renów wracają na swe zimowe stanowiska i zaczynają być użyteczne swym właścicielom.

Reny są dobrodziejstwem północnych okolic: futro ze starych renów, zastępuje mieszkańcom téj zimnéj strefy miejsce bielizny, odzienia, pościeli, obówia, czapek. Skórki z młodych renów, nazwane w użyciu i handlu *pieszkami*, mają włos miękki i lustrowy i używane są do odzieży lżejszéj i strojniejszéj; podszywają niémi tułuby i krótkie odzienia kobiéce do domowego użycia; mężczyzni używają je na czapki i pewne kapturki nazwane *tryuszkami*. Skórki zaś z renów roczniaków, znane pod nazwiskiem *neplujów*, używane są na tułuby czyli szuby nazwane *jagami*.

Nepluje mają włos nizki, lśniący. Kasztanowate tylko są używane na *jagi*, i stanowią wierzchnie pokrycie; mając włos obrócony do wierzchu, ze spodu podszywają się flanelą a czasem inném futerkiem. Takowe *jagi* idą w handel do Tobolska i Irbitu.

Tak *nepluje* jak *pieszki*, tylko kasztanowate są cenione i idą w handel; szacunek onych się podnosi w miarę ciemności włosa, białe zaś i srokate, są najczęściéj użyte na potrzebę miejscową.

Mięso z renów, gdy nie chude, jest wcale smaczne. Zbliża się ono podobieństwem smaku do sarniny, zarywając także na łosinę; wszakże Ruscy nieradzi je jedzą, a nawet gdy jedzą, nieradzi z tém się wydają, okazując wzgardę dla tego mięsa jako pokarmu ulubionego Ostjaków. Ruscy bowiem okazują wielką wzgardę dla tego podbitego plemienia, a nawet przymieszanie krwi ostjackiéj do jakiego rodu, uważają za hańbę.

Języki renów są bardzo smaczne i delikatne: posyłają ten przysmak do Tobolska, Moskwy i Petersburga.

Ren tak jest potrzebnym dla Ostjaka lub Samojeda, że niedostatek jego czuje, jakby niedostatek własnego członka. Na renie, ten mieszkaniec północy jest chyży, rączy, wolny, odważny, przebywa tysiące werst bez utrudzenia i bojaźni, ale pozbawiony rena, nie czuje się w zupełności na siłach, jakby pozbawiony nóg własnych.

Niedość wymienionych korzyści. Jedną z najważniejszych jest, że w czasie niepomyślnego polowania lub nieszczęśliwéj rybołówki, reny są jedynym pokarmem zabezpieczającym od głodu życie tamecznych mieszkańców. Przemysł, otworzony handel, zabezpiecza ruskich mieszkańców tamecznéj okolicy od głodu, zaopatrując ich spiżarnie mąką i inną żywnością dowozową, ale Ostjak i Samojed, nie wprowadziwszy jeszcze tych płodów zakrajowych, w potrzeby życia codziennego, poprzestając

na spiżarni, w któréj od wieków czerpali ich przodkowie, nie ma innéj assekuracyi przeciw głodu, jak mięso z renów.

Powiedziawszy słów kilka o renach, wracam do naszéj przejażdżki.

Mimo dzielność renów, mimo zręczność grzecznego woźnicy, mocno żądałam, aby co prędzéj wrócić do domu, gdyż jakkolwiek opatrzyłam nogi w najlepsze ciepłe obówie jakie miałam, to jest, w bóty wełniane pończochową robotą, w których przebyłam całą drogę do Syberji, to okrycie skóry, tak było małoznaczące w miarę mrozów berozowskich, że się wydawało dla czucia, jakbym była bez pończoch nawet. Zimno tém mocniéj czuć się dawało, że nogi musiały być z narty na bok spuszczone, a tém samém wystawione na działanie powietrza.

Widząc wszakże zadowolenie naszego przewodnika, i z dziarskości renów i z własnéj zręczności, nie śmiałam prosić o skrócenie podróży; wszakże na końcu wróciłyśmy do domu.

Myśląc, że mam nogi odmrożone, zaraz je zanurzyłam w zimnéj wodzie; pokazało się jednak, że obawa była próżną, była to nieczułość, pochodząca z mocnego przeziębienia.

Dla ludzi drażliwszych na zimno, lub kobiét mających odbywać daleką podróż renami, otaczają nartę po bokach deskami, robiąc z niéj rodzaj skrzyni, z wierzchu przyrządzają budę z płótna, rozciągającą się na całą długość narty. Po bokach, zostawiają się otwory dla wejścia, które się zapuszczają płótnem jak firanką.

Wewnątrz uściełają się piernaty, poduszki, na których podróżny się kładnie, okrywając się kołdrą z futra.

W Syberji, przynajmniéj w części mnie znajoméj, nie podróżują inaczéj, tylko leżąc: jest to zwyczaj czy gust narodowy. Sybiracy nie pojmują nawet, aby inaczéj mogło być wygodnie.

---

8 Grudnia, 1839.

W Berezowie we wszystkich domach mieszkalnych, wyjąwszy strojniejsze komnaty, wyjmują na zimę okna szklanne, a na ich miejsce wstawiają ramy, naciągnione rybią skórą. Mieszkańcy utrzymują, że takie okna mniéj przepuszczają zimna, przytém iż mają tę korzyść, że można z nich zamróz nożem oskrobać.

Wymienione korzyści, niedość trafiły do mego przekonania, a choć widziałam, że okna ze skóry rybiéj dają dość światła w pokoju, jednak ponieważ przez nie nic nie widać na zewnątrz, prosiłam, aby w naszém mieszkaniu zostawiono okna szklanne.

Wprawdzie nie wiele na tém wygrałam, bowiem gruba powłoka zamrozu, okrywając szkło jakby tynkiem, robi je tak nieprzezroczystém, że chcąc nie chcąc, oko musi poprzestać na przedmiotach widzianych wewnątrz pokoju; wszakże nadzieja słodzi to chwilowe zasklepienie, bo lada ciepło, może ztopić choć część grubéj powłoki, i pozwoli spójrzeć na świat Boży.

Dawniéj używano w Berezowie okien z miki. Dotąd mnóstwo kawałków tego materjału napotkać można pod nogami na ulicach i po śmieciskach; wszakże za ułatwionym dowozem szkła, mika wyszła z używania.

Nie mogę sobie wytłómaczyć, dla czego domy berezowskie przy tak wysokich mrozach, są jednak ciepłe,

mimo ciesielkę niewydoskonaloną, mimo że Sybiraki tak się kochają w oknach, że wszystkie ściany zewnętrzne są niémi podziurawione, i te okna są źle opatrzone. Prócz tego, palą w piecach raz tylko na dobę.

Nie mogłam sobie inaczéj wytłómaczyć téj zagadki, jak że grubość drzewa w ścianach, nizkość ścieli i dobrze zbudowane piece, z podwójnie zamkniętym luftem, są tego przyczyną.

W Berezowie na budowle, używają drzewa cedrowego, a i na opał też drzewo ma piérwszeństwo przed inném; jedlina bowiem i modrzew, są nieprzyjemne w paleniu, paląc się z wielkim trzaskiem.

Doszliśmy już do największéj długości nocy. Dnia ledwie mamy trzy godziny, jednak czas nie jest pochmurny, owszem słońce świeci choć przez krótki przeciąg. Powietrze czyste, a jednak widzialnie dla oka zostaje w ciągłym ruchu, jak żeby całe złożone było z atomów drżących bez ustanku.

Te trzy godziny dnia, upływają tak szybko, że ani się obejrzéć; ale za to wieczory wloką się do nieskończoności, i tém są przykrzejsze, że nic nie rozmierza czasu.

W Berezowie nie ma zegara, któryby regulując godziny, robił podział czasu i zatrudnień. W policyi wprawdzie znajduje się klepsydra czyli zegar z piasku, wszakże ten sposób rozmiaru czasu, ma wielkie niedogodności.

Dla tych co nigdy nie widzieli klepsydry, a może i nigdy nie obaczą nie od rzeczy będzie ją opisać.

Są to dwie równe lejki szklanne, dnem opatrzone w szérszych końcach, spojone z sobą cieńkiemi końcami. Mały otwór zostawiony we środku, służy do komunikacyi. Jedna z tych lejek napełniona jest piaskiem i obraca się do góry tak, aby zawarty w niéj piasek mógł swobodnie przesypywać się przez wspomniony otwór, do drugiéj próżnéj zostającéj na dole. Ilość piasku tak jest wymierzona, że przesypywanie trwa przez półgodziny; wtenczas kozak stojący na straży, ma polecenie przewrócić lejki na odwrót tak, aby piasek znów się przesypywał do lejki próżnéj. Tym sposobem owa maszynka przewrócona dwa razy, ma oznaczać przeciąg jednéj godziny, co zważywszy kozak spełniający służbę, ma obowiązek pójść pod cerkiew i uderzyć w dzwon tyle razy, jaka liczy się godzina.

Naturalnie, że takie godzin oznaczenie, jest najniedokładniejszém jak tylko być może; nieuwaga kozaka, zdrzémanie się (szczególnie w nocy), gawęda ze znajomym na ulicy, bałamucą czas tak, że nie można dójść porządku.

Jakkolwiek staramy się urozmaicić nasze zatrudnienia dla skrócenia długości wieczornych godzin, nie zawsze się to udaje; zatrudnienia bowiem nasze, nie mają życia rzeczywistego, tylko są sztuczne. Kucharka jeść gotująca dla pokarmienia zgłodniałéj czeladzi, lepiéj odgadła sekret zapełnienia godzin bez przedłużenia onych, niż znudzony satrap przemieniający lik zabaw bez celu. I nasze położenie jest podobne do położenia owego satrapa, bo zajęcia nasze nie są kierowane żadnym oznaczonym celem. Robota ręczna, czytanie, gawęda, oto cały resurs. Robota — nieużyteczna nikomu. Czytanie — rzecz bierna, jeżeli obudzone myśli, w czyn się wcielić nie mogą. Gawęda..... trzeba, aby dwie myśli ścierające się z sobą wydały iskrę, któraby dała zaród innéj myśli, wtenczas jest życie; bez tego warunku, rozmowa martwa, blada jak trup, i jak on bez ruchu.

Najprzykrzejsze są wieczory dnia świątecznego; wówczas bowiem, robota wyrzuca się z niedługiego katalogu zatrudnień. Doświadczyłyśmy tego przy dzisiejszym święcie.

Dzień zeszedł na odbieraniu włóczek do następnych robót, ale za dniem nadszedł nie przeczekany wieczór.

Już oczy zbolały od czytania, usta nie chcąc się otwierać do rozmowy, otwierały się tylko do poziewania, nuda przygnębiła do niewyrażenia, a z nią czarnych myśli szereg. Jak pokonać tak groźnego nieprzyjaciela? Siadam, biorę książkę w rękę, to znów wstaję, chodzę po pokoju i tęskne myśli wraz ze mną się wloką. Idę na przeciwek zajrzeć, jak też czas przepędza familja domowa, znajduję wszystkich zebranych, gryząc orzechy cedrowe, słuchających rozpowiadań bajarza.

To mi dało ochotę sprobować tejże saméj rozrywki; zapraszam przeto bajarza do siebie, a razem wszystkich słuchaczy.

Bajarz nie dał się długo prosić, przyszedł, usiadł na progu, czeladź domowa pośpieszyła także, choć pewnie wszystkie bajki owego bajarza, były już znajome co do słowa; nastała cisza, gryzienie tylko orzechów cedrowych, przerywało milczenie, bajarz zaczął rozpowiadać.

Nie będę powtarzać bajek pochodzenia ruskiego, z którémi już nas zapoznało kilku pisarzy, ale bajki ostjackie mają fizjonomję tak odrębną, że je tu umieścić, zdaje się, nie będzie od rzeczy.

Bajka Ostjacka.

I.

Pewnego razu, siedmiu Ostjaków wybrało się w odległe lasy na polowanie. Każdy z nich zaprzęgłszy po trzy reny do narty, wziął cokolwiek żywności i strzał dobry zapas. O żywność, Ostjacy się nie troszczyli, bo strzała mogła ją zdobyć na każdém miejscu; połączywszy się zatém w towarzystwo jechali ochoczo.

Wszakże łowy były tak nieszczęśliwe, że nasi myśliwcy jeżdżąc po lasach dni kilka, nie napotkali ani jednéj sztuki źwierzyny.

Wytrawni myśliwi, nie zrażając się niepowodzeniem, jechali daléj; bo jakże wracać do domu z próżnemi rękami wtenczas, kiedy wiedzą, że zostawili próżną spiżarnię, a ich żony i dzieci z ich rąk jedynie wyglądają pożywienia.

Po kilku dniach próżnéj mozoły, wyjechali na tundrę (1) niezmierzoną okiem. W téj czczéj przestrzeni nie ujrzeli ani jednego drzewa, ani jednego przedmiotu o któryby wzrok ich mógł się oprzéć, któryby mógł posłużyć za skazówkę dla wędrowca. Szuwary i drobne łozy osute śniegiem, okrywały całą płaszczyznę. Przytém żadnego znaku życia, żaden ślad lisa, piesaka lub gronostaja nie wycisnął się na téj dziewiczéj przestrzeni śniegu.

Myśliwcy nie poznają miejsca chociaż im w okrąg okolice na wiorst kilkaset były znajome; jadą wszakże daléj myśląc, że oko ich odkryje brzeg rzeki lub las znajomy,

(1) *Tundra* miejsce nizkie, bagniste, z drzew ogołocone.

lecz im daléj jadą, tém obszerniejsza płaszczyzna rozwija się przed ich wzrokiem.

Poglądają na prawo, na lewo, zawsze tylko pustą przestrzeń goni ich oko; obejrzą się po za siebie, już nie postrzegają lasu, który przebyli.

Zwątpienie i niepewność ich ogarnęły. Co robić daléj? zapytują jeden drugiego. Mały zapas żywności już się wyczerpnął nie podsycany zabitą źwierzyną, głód dokucza, i do domu daleko, a w domu pustka.

Kiedy się tak biédzą, postrzegają wdali podnoszący się tuman, jakby kolumnę śniegową.

—Czy widzicie jaka powstaje zawieja? przemówił jeden z towarzyszy, a nie ma na téj płaszczyznie ani jaru, ani lasu, gdziebyśmy się schronić mogli.

—Nie ma innego środka, tylko trzeba co prędzéj w śnieg się zakopać, przemówił drugi.

Nie mieli czasu myśliwcy pójść za tą radą, bo kolumna śniegu pędząc ku nim z szybkością wichru, znajdowała się już o kilkadziesiąt kroków.

Gdy się zbliżyła, myśliwcy postrzegli z wielką radością, że co oni brali za wicher, był to śnieg podniesiony kopytami rena białego zaprzężonego do narty wyrobionéj z kości mamutowéj, który lecąc jak wiatr, unosił myśliwca uzbrojonego w łuk potężny.

Nieznajomy skoro postrzegł Ostjaków, osadził rena, powitał podróżnych i zapytał, gdzie jadą.

Ci opowiedzieli, jak od dni kilku szukając źwierzyny nie mogą nigdzie jéj napotkać, nie wiedząc gdzie jechać daléj, nie widząc nawet żadnego śladu na śniegu.

Przybyły wskazał ręką na wschód radząc, aby tam

jechali. Dodał, że tam znajdą mys (1), a na nim trzy stare modrzewie i ogromny kamień leżący koło spróchniałego dęba. Otoż zaręczył, że koło tego mysa znajdą dużo zwierzyny.

Ostjacy spójrzeli po sobie. Strudzeni nieużyteczną jazdą radziby korzystać z dobréj rady, ale jak trafić nie znając położenia, nie widząc nic przed sobą oprócz szyby śniegu, jednostajnéj, nieprzeciętéj żadnym śladem, nieurozmaiconéj żadną zmianą położenia. Przełożyli zatém nieznajomemu nastręczającą się trudność.

Nieznajomy pomyślał, potém wyjął strzałę z sanek mamutowych, założył do swego łuku, naciągnął cięciwę i powiedział Ostjakom, aby jechali w kierunku wypuszczonéj strzały.

Mówiąc to, potężny łuk naciągnął, strzała zaburczała w powietrzu, a lecąc nizko, gdzieniegdzie dotykała ziemi zostawiając ślad na śniegu, lecz odtrącona, znów leciała daléj nieutracając nic ze swego pędu.

Myśliwcy postrzegłszy tak dobrego przewodnika, pośpieszyli za śladem strzały, zostawiwszy za sobą wędrowca o białym renie.

Jechali długo, bardzo długo, choć strzały już nie widzieli, wszędzie jednak napotykali ślad przez nią zostawiony. Nakoniec po długiéj podróży ujrzeli strzałę w śnieg utkwioną.

Jednym popędem wszyscy siedmiu rzucili się do podjęcia strzały, każdy żądał mieć dla siebie ową strzałę o locie cudownym, jakiego w życiu nikt jeszcze nie widział.

Jadący po przodzie naprzód, osadził reny zapuszcza-

(1) Kawał ziemi wydatny w kolano.

jąc w śnieg długi oszczep okuty żelazem, a zeskoczywszy z narty rzucił się piérwszy na strzałę, aby ją pochwycić przed innymi; ale z wielkiém zdziwieniem został zawiedziony, bo strzała była tak ciężka, że jéj podnieść nie mógł.

I drudzy nie chcieli dać się uprzedzić, i przeskakiwali z nart swoich dla zdobycia owéj strzały, ale ani żaden pojedyńczo, ani wspólnémi siłami nie mogli dźwignąć pomienionéj strzały, tak była wielka i ciężka.

Nie mogąc nic dokazać, musieli odstąpić przedsięwzięcia dziwiąc się tylko niezwykłéj sile nieznajomego, który w ich oczach władał pomienioną strzałą jakby piórkiem.

Nie mogąc zdobyć strzały, Ostjacy zaczęli myśléć jakby przynajmniéj znaleźć *mys* obiecany, stracili już bowiem cudownego przewodnika; a kiedy się naradzają w tym celu, jeden z nich poznaje w blizkości trzy modrzewie, i kamień i cedr wywrócony. Rozpatrzone położenie ziemi nie pozwala wątpić, że to jest miejsce wskazane przez nieznajomego.

Ucieszyli się myśliwcy doścignąwszy celu swéj podróży, a ledwie postąpili kilka kroków, aż tu sobole, piesaki, lisy, gronostaje przemykają pod ich oczyma.

Rzucili się do strzał, lecz z trudnością im czas starczy do naciągania łuków, taka ilość źwierzyny zewsząd się nawija, a żaden strzał nie był daremno wypuszczony.

Myśliwcy strzelali póki wszystkich swych nart nie obładowali źwierzyną; poczém z ukontentowaniem udali się na powrót do domu.

Nie troszczyli się o drogę mając ślad utarty własnémi nartami; lecz gdy przyjechali do miejsca gdzie się zdybali z nieznajomym, widok śladu wytłoczonego sankami mamutowémi, podał myśl aby puściwszy się wzmienionym śladem odwiedzić nieznajomego doradźcę, i podziękować za dobroczynną radę.

Myśl ta została wykonaną, a zaledwie ujechali staję, ujrzeli się otoczonymi po obu stronach drogi przez niezliczoną ilością pasących się renów. Jechali między niémi godzin kilka, dziwiąc się tak wielkiemu bogactwu posiadacza onych. Tu rogate samce grzebiąc śnieg kopytami odkrywały obfitą paszę, tam *pieszki* (1), wesołe jak rybki, białe i kasztanowate, czepiały się u piersi gładkich *ważonek* (2), które spinając się na pnie stare, mech z nich ogryzały. Ile okiem objąć można było, wszędzie te użyteczne źwierzęta postrzegać się dawały.

Wreszcie ujrzeli *czum*, przed którym zniknął ślad za którym jechali, domyślili się więc, że to mieszkanie nieznajomego, i przed niém się zatrzymali.

Wszedłszy we środek, na piérwszy rzut oka poznali w gospodarzu niewiadomego doradcę, który im tak znaczną wyrządził przysługę, i byli nawzajem poznani od niego i przyjęci gościnnie.

Myśliwcy opowiedzieli jak się poszczęściły im łowy, gospodarz na noc zaprosił swych gości, i zaczął się krzątać koło posiłku.

Rodzina składała się z gospodarza, jego żony i starego ojca. Gospodarz wyszedłszy zaraz za *czum*, zabił po dwa reny na każdą osobę, i kazał żonie aby je zgotowała; a tymczasem odciąwszy głowy pobitych renów, po-

(1) Młode renięta.

(2) Samice renów.

łożył przed gośćmi, aby się bawili jedząc tę łakoć nim wieczerza pośpieszy. (1)

Zdziwili się Ostjacy słysząc, że taką ilość jadła kazano dla nich przygotować, i oświadczyli, że nigdy zjeść nie będą w stanie nawet czwartéj części.

— To do was należy, odrzekł uprzejmy gospodarz. Ilość ta dla was przeznaczona, bo to nasza zwykła porcya, wy zaś możecie z nią zrobić co się wam podoba.

Nadto rozkazał żonie, aby przyniosła osobny kocioł, a wskazując go gościom zalecił, aby sobie zgotowali z przeznaczonego mięsiwa ile zechcą, resztę zostawując do ich użytku według woli.

Ostjacy zgotowali sobie dwie tusze, resztę ubitych renów odnieśli do swych nart; wszakże i téj porcyi zjeść nie podołali: z podziwieniem zaś uważali, jak familja domowa oderznąwszy tylko głowy i oddawszy staremu ojcu, zgotowawszy resztę zjedli po dwie tusze na każdą osobę.

Po wieczerzy, tak domowi jak goście udali się na spoczynek; wprzód jednak każdemu z gości przyniesiono na posłanie *jagę* (2), z drogich futer jako to: z czarnych lisów, błękitnych piesaków, soboli, siwoduszek; które to jagi darowano gościom na własność.

Na drugi dzień, gdy przybylcy ugoszczeni i udarowani mieli odjeżdżać do domów, stary ojciec rzekł do syna:

— Dopuściszże aby goście twoi wyjeżdżali od ciebie bez upominków?

---

(1) Surowa głowa rena, jest najupodobańszym przysmakiem Ostjaków.

(2) Rodzaj szuby.

Ostjacy przejęci wdzięcznością za gościnność doznaną, oświadczyli, że aż nadto będąc ugoszczeni i udarowani nie wymagają więcéj; ale syn nie zważając na ich mowę, spełniając wolę ojca zdjął ze ściany arkan rzemienny, na który zwykle łapał reny, a zawoławszy gości wraz z sobą, wyszedł za czum. Arkan był tak niezwykle długi, że gdy według zwyczaju, gospodarz nawinął go na rękę, ta zrobiła się gruba jak poduszka.

— Będę rzucał arkan na szczęście każdego z was z osobna, przemówił, a ile renów złapię za jednym zamachem, tyle otrzyma każdy w podarunku.

To mówiąc gospodarz świsnął, a reny zaczęły się tłumami zbiegać do niego, cisnął więc między nich arkan, ale z taką siłą, że trzydzieści renów było nim obmotanych to za rogi, to za szyję, którą to ilość darował temu Ostjakowi, na którego szczęście arkan był rzucony.

Następnie rzucał na szczęście każdego, i żaden nie został ukrzywdzony, tylko każdy dostał równą ilość renów w podarunku.

Obładowani zatém źwierzyną i podarkami Ostjacy, opuścili dom wspaniałego gospodarza, i puścili się na powrót tąż drogą którą przyjechali, i znów się znaleźli otoczone nie przeliczonémi stadami renów.

Jadąc rozmawiali o nieznajomym, przypominali sobie dostatki jego i te, które widzieli w czumie, i te co mieli przed oczyma, tak, że chciwość ich gwałtownie się rozdrażniła.

Już im podarki wzięte zdają się być bardzo liche w miarę tych bogactw, o których marzą. Jeszcze sobie nie śmieją powierzyć swych myśli, ale żmija chciwości

gryzie im serce; jadą więc ponuro, w milczeniu, a wszyscy jedno mają w głowie i w duszy.

— Jakie bogactwa!! zawołał wreszcie jeden. Szczęśliwy ten właściciel pewnie sam nie wié liku tego, co posiada.

— Właśnie to myślilem, odrzekł drugi.

— Gdzie też on chowa swoje bogactwa? — dodał inny. Z podarków nam ofiarowanych z taką hojnością z drogich futer, można wnosić, że ich ma tyle, ile renów.

— Mniejsza o futra, ale gdyby kto wziął jaką część renów z tych, co się tu pasą, pewnieby się ani spostrzegł.

— Właśnie i ja to myślałem.

— Dla czegoż nie mielibyśmy przyłączyć jeszcze jaką cząstkę do tych, co nam darował? Wszak to trzoda nieprzeliczona, on się nawet nie dowié o ubytku.

Gdy tak rozmawiają sześciu Ostjaków, jeden się tylko nie odzywa do téj rozmowy, ale widząc, że tamci na serjo chcą spełnić zły zamiar, przemówił:

— Co wy mówicie? chyba żartujecie. Godziż się tak odpłacać za dobrodziejstwo? Z jego łaski nabiliśmy tyle źwierzyny, jeszcze nas ugościł i obdarzył, tak, że na pół roku dzieci nasze i żony będą zabezpieczone od głodu, a wy za to myślicie mu psoty wyrządzić.

— Głupi jesteś! powiedział jeden. Co mu będzie szkodzić mały, niepostrzeżony ubytek w takiém bogactwie?

— Nie słuchajmy go a róbmy swoje, przemówił inny.

— Nie traćmy czasu na próżnéj gawędzie, rzekł jeszcze inny, a prędzéj ze zdobyczą oddalajmy się do domu.

— Nie chcę należeć do złego uczynku, przemówił Ostjak niezgadzający się na kradzież.

— My się też bez ciebie obejdziemy.

— Precz od nas z głupiémi skrupułami?

— Odpędzić, odpędzić! krzyknęli wszyscy razem.

I zeskoczyli z nart, a oddzieliwszy z półtorasta renów, włączyli do trzody im darowanéj, ponaglając reny do prędszéj ucieczki.

— Patrzaj abyś się nie upominał o część swoję przy rozdzieleniu renów! krzyczeli inni do poczciwego Ostjaka, i w krótkim czasie z oczu mu zniknęli.

Odpędzony, zostawszy jeden, jechał pomału prowadząc z sobą darowane reny, a pochyliwszy głowę, smutno dumał o niewdzięczności swoich towarzyszów, któréj mimo chęć szczérą przeszkodzić nie mógł.

Gdy tak duma, słyszy poza sobą szum wielki, jak gdyby wicher gwałtowny zatrząsł drzew gałęziami. Ogląda się i poznaje po białym renie i mamutowéj narcie, że nieznajomy pędzi za niemi.

Zląkł się bardzo, jak gdyby należał do złego czynu, choć miał sumienie czyste.

Nieznajomy dognawszy, zaczął wyrzucać niewdzięczność. Ostjak na uniewinnienie pokazał wszystko co mieściła jego narta, i trzydzieści darowanych mu renów.

Nieznajomy przyjął usprawiedliwienie i popędził daléj, a dognawszy uciekających przekonanych o zły uczynek, wydał sąd, a naciągnąwszy łuk potężny wypuścił strzałę mamutową podobną do téj, którą torował drogę Ostjakom, i jednym postrzałem przeszył ich wszystkich sześciu.

Tymczasem nadjechał siódmy Ostjak i przerażony został widząc pozabijanych wszystkich towarzyszów swojéj podróży; wszakże nieznajomy go uspokoił, a zabrawszy łupy pobitych i skradzione reny, wszystko darował poczciwemu Ostjakowi.

Bajka Ostjacka.

II.

Dwaj Ostjacy, jeden stary, drugi młody, mieszkali w czumach mało od siebie oddalonych. Stary nie miał dzieci, żył przeto sam jeden i lubił młodego Ostjaka jak syna. Ten zaś służył mu jak ojcu.

Często razem polowali, razem rybę łowili, a gdy starcu zabrakło siły lub ochoty, młody go wyręczał: nastawiał *stanki* (1), przerąbywał lód na rzece dla ustawienia więcierzy, a gdy był mróz wielki, młody wyręczając starca, sam chodził w miejsca oddalone dla wyjęcia ze stanków złapanéj źwierzyny lub wytrzęsienia ryby z więcierzów, którą rzetelnie odnosił starcowi.

Stary miał reny białe bardzo rącze, które się podobały młodemu; widząc to stary zaproponował zamianę, wszakże za trzy reny, zażądał trzy skóry z czarnych lisów.

Była to cena niesłychana, bo za taką wartość możnaby nabyć sto renów; wszelako młody Ostjak znając dzielność renów, nie zraził się wysoką ceną, a gdy mu się tak poszczęściło polowanie, że zdobył trzy czarne skóry, przyniósł je staremu w zamian za jego reny.

Starego ujęło zaufanie przyjaciela; przyjmując więc trzy skóry lisie, dodał:

— Jeżeli chcesz, dam ci jeszcze trzy *ważonki* równie białe jak reny dla rozmnożenia stada, ale musisz mi dać za nie trzy sobole.

Młody i tém się nie zraził; nie targując się przyniósł trzy sobole.

(1) Połapki na zwierzynę.

— Jeszcze ci dam trzy reny strokate, przemówił stary, jeżeli mi dasz tyleż piesaków błękitnych.

Młody przystał na tę zamianę, równie jak na piérwsze bez żadnéj trudności, i dostał żądane reny.

Skoro został właścicielem, młody Ostjak chciał je sprobować, a mając brata starszego mieszkającego od niego o wiorst 250, umyślił go nawiedzić.

Zatém nazajutrz z rana, zaprzągłszy trzy strokate reny udał się w tę podróż, i przebiegł drogę tak prędko, że jeszcze się nie zgotował *burdiuk* (1) u bratowéj.

Brat starszy zdziwiony przybyciem młódszego, zapytał jak dawno wyjechał od siebie.

— O jeden kocioł (2), odpowiedział przybyły.

Starszy brat tém mocniéj się zdziwił, iż wiedział, że po śmierci ojca przy dziale, oszukał brata i zabrał sobie najlepsze reny, oddając bratu najgorsze.

Gdy się posilili burdiukiem, brat starszy wniósł, aby pojechać na wyścigi dla sprobowania renów, na co młódszy się zgodził.

Zaprzężono więc najlepsze reny ze stada starszego, a gdy każdy z braci usiadł na swą nartę, strokate reny młódszego poleciały jak wiatr, zostawiwszy daleko za sobą reny brata starszego.

— Zkąd wziąłeś tak dzielne reny? zapytał starszy brat z zazdrością.

— Te reny które widzisz, są niczém w porównaniu

(1) Burdiuk, zwykłe jedzenie Ostjaków; jest to gotowana w wodzie ryba podkłócona odrobiną mąki.

(2) Ostjaki nie znają podziału dnia na godziny, i zwykle czas odnoszą do czynności powszednich.

z renami białémi które posiadam, a którym nikt równych nie widział.

— Czy chcesz abyśmy za dni kilka wspólnie wyjechali na polowanie? Chciałbym wiedzieć czy twoje reny równie są dzielne do myśliwstwa, jak do biegu.

Brat młódszy przyjął z ochotą wezwanie starszego, a na czas oznaczony stawił się do niego na białych renach.

Starszy dołożył usiłowania, aby wybrać najlepsze reny jakie miał w swojéj trzodzie, i aby nie zostać w tyle od młódszego brata; ale zaledwie wyjechali na przestrzeń, młódszy niesiony równo z wiatrem przez białe reny, zniknął z oczu bratu. Po drodze nawinęło mu się kilka lisów i piesaków, a białe reny skoro je spostrzegły, doganiały i tratowały je natychmiast nogami, tak, że nim nadjechał brat starszy, młódszy już miał sztuk kilka zabitéj źwierzyny.

Starszemu te szczęśliwe łowy zdały się prawie niepodobne, i miał w podejrzeniu, że młódszy brat jego miał owę źwierzynę ukrytą w swéj narcie, i że ją dobył jedynie dla popisu; ale w tymże momencie ukazał się w oddaleniu lis czarny: oba bracia wypuścili wraz swoje reny, ale starszy był jeszcze daleko, kiedy białe reny młódszego, dognały lisa i stratowały nogami.

Starszy brat mając dowód niezaprzeczony dzielności renów, wyzywał młódszego na zamianę, ale ten przystać nie chciał na żadne warunki. Nakoniec uprosił młódszego o przyrzeczenie, że gdy z tego gniazda urodzą się *pieszki*, wychowa je dla niego.

Gdy upłynęło trzy lata, starszy brat przyjechał dopomnieć się o przyrzeczoną darowiznę, a młódszy oddał wychowane reny bez sporu. Wszakże bratu zazdrośnemu

nie powiodła się darowizna. Młode reny przywykłe tylko słuchać jednego pana, nie chciały być posłuszne nowemu, a gdy ten chciał je gwałtem przywieść do posłuszeństwa, reny się rozhukały, wywróciły nartę i zabiły swego pana, a zabitego przyciągnęły do jego czumu w lejce zaplątanego.

Syn zabitego, znając niechętne usposobienie ojca swego dla brata, przypuszczał, że i brat młódszy równą pałał niechęcią nawzajem, że dobre porozumienie było tylko udaniem, a że śmierć ojca jego była skutkiem ukrywanéj niechęci stryja, i przez niego dokonana; postanowił przeto mszcząc się za ojca, zabić swego stryja.

W tym zamiarze pojechał do stryja, aby go napaść niespodzianie. Gdy był już niedaleko czumu, postrzegł w lesie pasące się znajome już białe reny stryja. Chciwość przemogła nad uczuciem zemsty, postanowił przeto naprzód przywłaszczyć je sobie.

Wyprzągłszy zatém własne reny puścił je na paszę, a zaprzągł stryjowskie do swojéj narty i skierował ku swemu mieszkaniu, myśląc, że równie jak stryj jego, w przeciągu godzin kilku przeleci tę przestrzeń, i zemstę swoję opóźni tylko kilką godzinami.

Ale zaledwie ruszył z miejsca, białe reny rozhukane, nie chcąc słuchać woźnicy, nosiły po lesie póki go nie zabiły, a zabitego przyciągnęły przed czum swego pana.

A tak reny starego przyjaciela choć drogo opłacone, ochroniły życie młodego posiadacza.

---

10 Grudnia, 1839.

Gospodarz mój, równie jak inni trudniący się handlem Berezowianie, wyjeżda dziś na jarmark obdorski, który trwa miesiąc cały.

Tak nazwane miasteczko Obdorsk, jest najpółnocniejszym punktem gubernji Tobolskiéj, gdzie są stałe siedziby ludzkie. Klin bowiem ziemi rozciągający się od Obdorska po nad odnogą Obską, choć się przysuwa daleko bliżéj ku biegunowi północnemu, jednak ten klin nie jest stale zamieszkały; przybłąkują się tam niekiedy koczujące plemiona Samojedów i Ostjaków popychane chwilową potrzebą, ale stałych nie zakładają tam siedlisk. Obdorsk przeto sprawiedliwie liczyć się może za ostatni punkt zamieszkały powiatu berezowskiego, posuwając się ku oceanowi Lodowatemu.

Obdorsk leży nad ujściem Oby do odnogi, któréj nadaje nazwisko. Mieszkańców ma bardzo niewiele, wszakże jest punktem znakomitym téj północnéj okolicy, z przyczyny swego jarmarku.

Raz na rok, około połowy Grudnia, przyciągają pod Obdorsk ze swémi czumami wszystkie familje koczujące po bezludnéj pustyni przypiérającéj do oceanu Lodowatego, tak Ostjaki, jak Samojedy, nie tylko z powiatu berezowskiego, ale i z gubernji Jenissejskiéj, dla zrobienia zamian potrzebnych.

Dzicy ci krajowce, przywożą tam zdobyte przez siebie futra: kupcy zaś z Tobolska, Surgutu, Berezowa, przywożą towary zamienne. Z oddalonych nawet bardzo okolic łechtani podnietą dobrych zamian, przywożą płody ruskich wyrobów. Kupczyki z Suzdala, nie uważając na odległość kilku tysięcy werst, przywożą tam drobiazgi, jako to: igły, szpilki, tasiemki i najokropniejsze sztychy, jak tylko być może, szkoły suzdalskiéj. Zaś z gubernji Archangielskiéj przybywają Zirany mieszkający nad rzeką Peczerą. Są oni dobrze zbudowani, odważni i przemyślni. Mają swój język odrębny, wszakże dobrze mówią po rusku.

Gdy śnieg upadnie i rzeki pozamarzają, ci mieszkańcy z nad Peczery zaprzągłszy reny, przez góry Uralskie przebywając tysiące werst, docierają do Obdorska, a nawet do Berezowa, dla załatwienia swych interesów handlowych.

Przywożą swoje płody i wyroby, jako to: masło, pończochy wełniane, siomgę, postronki, siecie na łowienie ryb, nici, płótno i t. p. W zamian biorą puch z kaczek, skóry renów i inne skóry surowe, kość mamutową, futra, a nawet czasem mąkę.

Ponieważ cała prawie ludność powiatu berezowskiego, rozsypana po lasach i bagnach, zmieniająca ciągle koczowiska, zbiéra się wtenczas w punkt jeden dla wspólnej zamiany, sprawnik berezowski korzysta z téj okoliczności, i zjeżdża do Obdorska dla wybierania *jesaku*, to jest: podatku w futrach.

Na ten cel sprawnik, skoro zjedzie do Obdorska, wydaje rozkaz, aby żadna zamiana nie miała miejsca, póki należny jesak nie zostanie wniesiony.

Tu się otwiéra pole do licznych nadużyć. Kupcy starają się zaraz dowiedzieć któremu Ostjakowi lub Samojedowi udało się zdobyć kosztowne futro, szukają takiego w jego czumie, straszą, że sprawnik już uwiadomiony o jego zdobyczy, ma go na liście, i że zaraz za pokazaniem się w miasteczku, odbiorą mu zdobyte skóry na jesak. Tym sposobem zastraszywszy posiadacza kosztownéj skóry, ofiarują przyjacielskie pośrednictwo, i nabywają potajemnie za czwartą część wartości.

Ludność Ostjaków i Samojedów, jak wszelkich innych

narodów początkowej cywilizacyi, dzieli się między sobą na pokolenia. Rząd się przychyla do takiego podziału, dla ułatwienia swych urządzeń administracyjnych. W języku rządowym, te części oddzielne nazywają *watahami*. Każda wataha ma swego patrjarchę, który z pokolenia w pokolenie obejmuje władzę prawem spadkowém. Ten patrjarcha czyli naczelnik, sprawia między swoimi władzę sądowniczą, administracyjną, a czasem występuje w charakterze wodza. Względem rządu, nosi on nazwę *starszyny*. Do niego rząd odnosi wszystkie polecenia, przez niego wybiéra *jesak*, rozkład tego podatku zostawiając dowolności naczelnika. Wewnętrzne zaś stosunki naczelnika z watahą, są następujące:

Naczelnikowi od watahy należy się uszanowanie i bezwzględne posłuszeństwo, do naczelnika zaś należy wymiar sprawiedliwości, czuwanie nad bezpieczeństwem, i w czasie głodu obmyślenie wyżywienia dla całéj watahy. Na ten cel naczelnik zabija swoje reny, wypróżnia własne zapasy i robi rozkład na możniejszych na korzyść uboższych; a gdy własne środki nie wystarczają, a naczelnik jest przedsiębierczy i energiczny, wataha głodna, robi najazd z siłą zbrojną na watahę słabszą i wybiéra od niéj kontrybucyę w renach.

Często rząd musi poskramiać podobne nadużycia, które jednak w oczach krajowców nie są uważane jak rozboje, ale więcéj jako najazdy wojenne. Dla tego zwycięzki napastnik lubiony jest i szanowany między swoimi.

Uszanowanie i posłuszeństwo naczelnikowi, wymierzane bywa zwykle względnie do przymiotów osobistych, to jest: do rozsądku i energji przewodniczącego.

Wataha, mniéj więcéj, składa się z kilkuset *czumów* czyli namiotów zamieszkałych przez tyleż familij.

W Obdorsku mieszka książe obdorski. Główne naczelnictwo Ostjaków przechowuje się oddawna w jego rodzie, przechodząc spadkiem naturalnym z pokolenia na pokolenie. Katarzyna II. nie chcąc uwłaczać jego rodowym przywilejom, przysłała mu owszem patent na tę dostojność, a nawet dołączyła w podarunku kaftan z sukna czérwonego i bóty z ostrémi nosami. W ważnych okolicznościach, przy reprezentacyi urzędowéj (n. p. podczas bytności gubernatora lub jakiego ważnego urzędnika) książe obdorski przywdziewa strój wzmiankowany, i przedstawia się w nim niosąc patent na głowie.

Dostojność ta w niczém jednak nie wpływa na różnicę w obyczajach. Książe ubiéra się bez różnicy jak każdy inny Ostjak, to jest, w odzienie ze skór renów zrobione zwyczajnym krojem, mieszka równie jak inni w namiocie lub jurcie; ma tylko w samym Obdorsku zbudowaną jurtę z drzewa nieco obszérniejszą od zwykłych, gdzie odbiéra polecenia rządu lub też przyjmuje urzędników.

Oznaki uszanowania u tamtejszych krajowców są wspólne innym południowym narodom Syberji. Ostjak, Samojed, czy to Kirgiz, chcąc uczcić osobę wyższą, nie dopuści, aby podczas uczty ta posługiwała się własnemi rękami. Przeciwnie, skoro jeść podadzą, niżsi krają mięso na kawałki i kładą je w usta dostojnemu gościowi własnémi palcami. Tenże gość lub naczelnik gdy plunie, grzeczność każe wytrzeć natychmiast miejsce, gdzie ślina upadła. Surowa głowa rena jest największym przysmakiem tak u Ostjaków, jak też u Samojedów, przeto stawią ją przed osobą najdostojniejszą z towarzystwa.

Książe obdorski jest na tym samym stopniu oświaty, co i inni jego ziomkowie; zdaje się nawet, że fanatyczny wstręt przechowuje wspólnie ze swémi ziomkami do innego wykształcenia.

Przed kilką laty, gubernator tobolski chciał wziąść syna księcia obdorskiego do Tobolska, i oddać go do gimnazjum na naukę, spodziewając się, że za jego pośrednictwem będzie mógł zanieść promień oświaty, między ten naród wpółdziki. Wszakże, skoro przełożono przez tłómacza księciu tę wolę gubernatora, książe wpadł we wściekłość i oświadczył, że nigdy nie odda dobrowolnie syna w obce ręce; a jeżeli mu zabiorą, to on oświadcza, że przez zemstę gotów spalić Tobolsk cały.

Gubernator nie nalegał więcéj.

Jednak fanatyczny upor księcia w odpychaniu środka przyjętego oświaty europejskiéj, naraża go na wielkie niedogodności, i otwiéra pole nadużyciom. Niżsi bowiem urzędnicy, nie wchodząc w zamiary rządu, przekraczają granice władzy sobie udzielonéj, skoro mogą zrobić to bezkarnie. Następne wydarzenie da poznać, jaką rolę gra książe obdorski, mimo tytuł zaszczytny.

Przed kilką laty zdarzyło się, że lekarz powiatowy, mieszkający w Berezowie, został wysłany do części północnéj powiatu, dla zrobienia śledztwa. Lekarz choć miał wydane ze skarbu pieniądze na przejazd, według przyjętego zwyczaju zażądał bezpłatnych furmanek od księcia Obdorskiego pod przejazd swój i swego dworu. Lekarz nie jeździ bowiem nigdy w tamtych stronach bez kilku pomocników odbywających przy nim posługi felczerskie, i tłómacza.

Książe wiedząc, że pieniądze zwykle bywają wydawane na przejazd w podobnych razach urzędnikom, wzbraniał się dawać podwody bezpłatnie. Lekarz oburzony niezwykłym oporem, nie zważając na niesprawiedliwość swojéj sprawy, wsparty przez swych pomocników, dopuscił się gwałtu i zbił biednego księcia.

Napróżno ten skarżył się sprawnikowi, nie mógł otrzymać sprawiedliwości na kolegę i przyjaciela. Wszakże prędko się trafiło, że gubernator tobolski zażądawszy zwiedzić stronę ciekawą, sam osobiście przybył na jarmark obdorski.

Była to epoka pamiętna dla tego miasteczka, kiedy ujrzało w swym obrębie szeroko-władnego rządcę gubernij: sam Berezów bowiem, choć się liczy miastem powiatowém, w oddalonych tylko bardzo od siebie perjodach używa tego zaszczytu, a chociaż co roku zapowiadają przybycie gubernatora dla rewizji powiatu, zawsze go wyręcza jakiś niższy urzędnik.

Owoż podczas pamiętnéj epoki przybycia gubernatora do Obdorska, książe świeżo doznawszy krzywdy na swojéj osobie, nie omieszkał zanieść skargi na lekarza osobiście; ale na nieszczęście nieumiejąc ruskiego języka, musiał użyć pośrednictwa tłumacza, którego zazwyczaj dodaje sprawnik każdemu przybywającemu w tamtą stronę urzędnikowi.

Tłumacz zależący od sprawnika, i znający dobrze zaszłe zdarzenie, chcąc zakryć przed gubernatorem nadużycie urzędników i zyskać przez to ich przychylność, postanowił fałszować słowa skrzywdzonego księcia, mówiąc zupełnie co innego.

Ostjak choć nie umiał mówić, zrozumiał przecie, że tłumacz fałszywie rzecz przedstawia: zaczął przeto ro-

bić usiłowania, aby dać się zrozumieć tak przez kilka słów, które umiał wymówić po rossyjsku, jak przez pantominę. Z tych gubernator się domyślił, że skarga była na lekarza, i pytał tłumacza, coby to wszystko znaczyło. Tłumacz nie tracąc przytomności powiedział, że książe przedstawia, że lekarze są dla nich niepotrzebni, bo dają gorzkie lekarstwa i nie leczą choroby, prosi zatém gubernatora o przełożenie Cesarzowi, aby nie tracił daremnie pieniędzy, na opłacenie nieużytecznych urzędników.

Gubernator odpowiedział, że Cesarz tak ich kocha że nie żałuje pieniędzy gdzie idzie o ich dobro, a że lekarz choć daje lekarstwa gorzkie, przecież im iest użyteczny.

Książe uważając z odpowiedzi gubernatora, którą mniéj więcéj rozumiał, że nie jest dobrze zrozumianym, dla lepszego objaśnienia, zdjął z siebie odzienie, i pokazując poranione plecy, ponawiał swoje skargi.

Gubernator człowiek ludzki i sprawiedliwy, spójrzał surowo na tłumacza, zapytując, co to wszystko znaczy.

Tłumaczowi nie zabrakło na przytomności umysłu: powiedział, że książe rozwodzi skargi na lekarza z przyczyny, że ten mu postawił wezykatorje na plecach i poranił je, wtenczas kiedy on (książe) chorował tylko na ból oczu.

Gubernator się uśmiechnął na podobną skargę, a uderzywszy z dobrocią Ostjaka po ramieniu kazał mu być spokojnym, zapewniając, że to wszystko robi się dla jego dobra.

Książe był w rospaczy nie mogąc dać się zrozumieć. Nadszedł tymczasem sprawnik i inni mniejsi urzędnicy,

którzy wiedząc o co rzecz idzie, nie dopuścili Gubernatorowi dójść prawdy. A tak książe musiał się wyrzec nadziei otrzymania zadość uczynienia.

Ostjacy i Samojedy są nadzwyczaj rzetelni i prawdomówni, a zatém ufni. Nie są zdolni skłamać dla żadnego interesu osobistego. Uiszczają się z długów i zobowiązań z akuratnością tém godniejszą uwielbienia, że życie koczujące które prowadzą, dałoby im sposobność uniknienia wszelkich poszukiwań.

Ta sama rzetelność przewodniczy w składaniu podatku czyli daniny w futrach, która wybiera się tym sposobem.

Sprawnik zjechawszy na jarmark obdorski, posyła polecenie do zebranych *starszyn* czyli naczelników *watah*, aby każdy z nich wnosił za swych podwładnych należny *jesak*, a razem wydaje rozkaz policji, aby ta czuwała, by żadna zamiana nie następowała wprzód, nim jesak złożony nie zostanie.

W skutek polecenia sprawnika, Ostjacy i Samojedy wezwani przez swe *starszyny*, składają według możności dań, na jaką zdobyć się mogą, i dopiero zaczynają w chodzić w umowy zamienne.

Nieszczęśliwe polowanie tylko bywa czasem przyczyną *niedoimek*, zła wiara nigdy. Te plemiona nie znają wykrętów i uiszczają się według możności.

---

d. 29 Grudnia 1839.

Owoż minęły według naszéj rachuby święta Bożego Narodzenia; lecz według tutejszego zwyczaju, święto nieprzerwanie trwa aż do Trzech Króli. Nie ma tu w to

święto żadnych zwyczajów podobnych do naszych. Nie ma opłatków, nie przyrządzają sutéj wigilji, nie pieką strucli: skończył się tylko post sześciotygodniowy, zaczęto jeść mięso i nastały wzajemne odwiedziny, zaś na drugi wieczór świąteczny, zaroiły się w miasteczku maski.

Nim przystąpię do masek, powiém słów kilka o odwiedzinach.

Pierwszy dzień zostawiony jest mężczyznom, którzy odwiedzają znajomych. Na drugi zaś dzień, wszystkie kobiéty wystrojone najpyszniéj jak tylko mogą, wyjeżdżają na oddawanie wizyt swoim znajomym. Dzieje się więc, że całe miasteczko jednoczasowie jest w ruchu. Ulice upstrzone są kobiétami najwykwintniéj ubranemi. Jakoż gotowalnia dam berezowskich podczas tych świątecznych nawiedzin, okazuje się w całym przepychu. Nie jednéj ubior kosztuje kilka tysięcy rubli. Można się napatrzéć kosztownych chińskich materji, blondyn, sobolów, złota, pereł, kamieni i różnych pięknych futer.

Berezowianki nie celują gustem w ubraniu, mięszają często najsprzeczniejsze kolory i najniezgodniejsze materjały; ale kobiéta z gustem umiałaby wybrać w takiéj ilości pięknych rzeczy.

Zabawa wyłącznie poświęcona świętom Bożego Narodzenia, a która nie ma miejsca w innéj porze roku, którą Berezowianie lubią namiętnie, jest przebieranie się, czyli jak oni nazywają maskarada.

Zacząwszy od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia do Trzech Króli, wszyscy się maskują każdego wieczora inaczéj. Od urzędników, kupców aż do najuboższéj klassy, starzy i młodzi, wszyscy uczestnictwo biorą w téj ulubionéj zabawie.

Bogatsi sprowadzają z Tobolska ubiory umyślnie na ten cel sporządzone i maski, chowając od roku do roku; ubożsi mają także różne ubrania, choć sporządzone mniejszym kosztem, jednak odpowiadające swemu celowi. Komu zaś nie staje na ubior wyłącznie maskowy, pożycza jeden u drugiego odzienia zwyczajnego, a przebrawszy się, zawiesza twarz chustką w niedostatku maski, co nie przeszkadza bawić się z tak dobrą ochotą jak drudzy.

Gdy nadchodzi wieczór, Berezów napełnia się kompanjami masek, które piechotą lub saniami ruszają od domu do domu, bardzo rade, jeżeli znajdą drzwi niezaryglowane, co się często zdarza, i gospodarza gotowego do przyjęcia onych.

Największa część masek wchodzi do pokoju nic nie mówiąc, przechadza się, a po kilku minutach wychodzi jak przyszła, udając się daléj. Znajome tylko, chcąc zaostrzyć ciekawość, robią różne pantomina zabawne, stosujące się niby do przybranéj roli.

Gdy się pozna ściśléj znajomych, zaprasza się do zabawienia dłużéj.

Tym sposobem objechawszy całe miasteczko, każda gromada masek kończy wieczór na zabawie w jakim domu znajomym, gdzie już ją czekają z przyjęciem.

Dziś najokazalsza kompanja masek, składała się z urzędników i piérwszéj arystokracji Berezowa. Sprawnik był przebrany po kozacku, strapczy po huzarsku, kaznaczéj po ułańsku. pocztmejster w przedwiecznym mundurze cywilnego urzędnika. Lekarz ubrany był za kobiétę. Sprawnikowa niby po krakowsku, siostra professora niewiém po jakiemu, pani X. z bratem po turecku.

Ta kompanja przyjechała w towarzystwie jakiegoś

skrzypaka, która to nowość zrobiła tém więcéj efektu. Przyjęłam ich. Skrzypak zagrał od ucha popularnego mazura polskiego, co mi wiele wzniéciło przypomnień. Maski niby tańcowały: lecz że Berezowianie nie mają wyobrażenia o tańcu, każda para kręciła się jak ją Pan Bóg natchnął, a przepędziwszy u mnie część wieczora i zabawiwszy się wesoło, jak się zdawało przynajmniéj, ruszyły daléj.

Istnieje jeden zwyczaj w Berezowie, który mi się bardzo podobał. Każda familja przechowuje religijne suknie ślubne tak swoje jak swych poprzedników. Są to pamiątki, których wszakże pozwalają sobie używać w dnie maskarady. Wtenczas zdaje się, że przeszłe pokolenie z grobu powstało i trzeba przyznać, że te wierne pomniki, lepiéj uprzytomniają przeszłość niż najlepiéj przechowane podania.

Oglądałam je z prawdziwym interesem.

Długie wieczory teraźniejsze, są także sprzężone z pewnémi obrzędami zabobonnémi. Szczególnie dzień dzisiejszy, to jest wigilja nowego roku, ma swoję udzielną siłę, pozwalając w ten dzień przy pewnych warunkach, czytać w przyszłości.

W ogólności Berezowianie mają wiele wiary w nadprzyrodzone objawy, w proroctwa, wróżbiarstwa i wszystkie cudowności. Lubią, aby im przepowiadać przyszłość, słuchają z upodobaniem i wiarą wszystkich baśni, niepozwalając sobie żadnéj krytyki. Sami opowiadają wypadki wychodzące z porządku przyrodzonego z takiém przekonaniem i wiarą, jak gdyby opowiadali rzecz prostą, nieulegającą żadnéj wątpliwości. Przytoczę tu małą próbkę.

Nauczyciel szkółki berezowskiéj, rozpowiadał mi następujące własne wydarzenie,

Przeszłéj zimy wspomniony nauczyciel, P. Kałmyków, przepędzał wieczor w domie znajomym, w liczném towarzystwie. Zabawa przeciągnęła się w noc późną i była już północ czy też więcéj, kiedy P. Kałmyków opuścił towarzystwo, i wracał do domu wraz z kancelarzystą z policji, którego dom był położony w téjże stronie co i dom Kałmykowa.

Przechodząc koło domu policji, ów kancelarzysta zażądał tam wejść i noc przepędzić, mówiąc: że nie chce we własnym domu budzić matki, która musi już spać oddawna, a któréj pewnie bał się upomnień.

Rozeszli się zatém koledzy, a Kałmyków poszedł daléj do swego domu.

W kilka minut ujrzał znów Kałmyków towarzysza obok siebie, który mu powiedział, że niemogąc się dostukać w policji aby mu drzwi otworzono, musi przeciw woli iść do swego domu, wszakże wolałby nie budząc swojéj matki, przepędzić noc na dworze i doczekiwać nim ranne ognie pozapalają. W skutek takiego postanowienia, zaczął prosić Kałmykowa, aby dotrzymał mu towarzystwa i przeszedł się z nim trochę po ulicach Berezowa, obiecując, że ognie po domach prędko zabłysną.

Kałmyków się wymawiał, bo mu się spać chciało, nie mógł także zaprosić towarzysza do siebie, bo mieszkał ciasno z matką i siostrą, wszakże ustąpił wkońcu naleganiom kancelarzysty. A że wiatr był mroźny, otuliwszy dobrze twarz kołnierzem od płaszcza, udał się za towarzyszem w boczną ulicę.

Przeszedłszy parę ulic Kałmyków z ziębnięty, zaczął

nalegać na towarzysza, aby wracać do domu. Ten mu zrobił uwagę, że już są niedaleko i znów szli krokiem przyśpieszonym, bo zimno dokuczało.

Po pewnym przeciągu czasu, gdy Kałmyków sądził, że już musi być koło domu, odsłania twarz i przypatruje się otaczającéj okolicy; wszakże z wielkiém zdziwieniem nie postrzega żadnego przedmiotu ze znajoméj mu miejscowości.

— Gdzież jesteśmy? zapytuje towarzysza.

Żaden głos nie odpowiada na to pytanie. Kałmyków obejrzał się szukając oczyma kolegi koło siebie, ale nie postrzegł nikogo.

Strach go ogarnął, przeżegnał się, spójrzał na otaczające przedmioty, i przy szarości nocy rozpoznał, że jest daleko za miastem, nad pustym brzegiem Wajgułki.

Wówczas przeżegnał się raz jeszcze, strach mu dodał siły, zaczął więc biedz do miasteczka i zadyszany przybiegł do swego domu, gdzie jeszcze wszyscy spali

Dotąd wszystko może się dać wytłumaczyć sposobem naturalnym, ale węzeł zagadki to, że nazajutrz, kiedy spotkał owego kancelarzystę i zapytał, dla czego go opuścił wczorajszéj nocy, ten wysłuchawszy z największém zdziwieniem, zapewnił najuroczyściéj, że rozłączywszy się z Kałmykowem u drzwi policji, został wpuszczonym do tego domu, i tam przenocował nie wracając do towarzysza, a stróże nocni i inni kancelarzyści świadectwem swojém stwierdzili tę prawdę.

W kilka dni po téj rozmowie, zdarzyło mi się widzieć owego kancelarzystę. Zapytywałam o powyższe zdarzenie, a ten mi odpowiedział, że wié tylko tyle, że szedł

z Kałmykowem owego wieczora aż do drzwi policyi, i że tam zanocował.

Jest to mały odrywek z tysiąca bajek będących w obiegu, które Berezowianie powtarzają z największą wiarą i dokładnością.

Wszystkie podobne opowiadania, są oparte na pewnych prawdach zasadniczych, niepodpadających wątpliwości.

Wierzą *np.* że zły duch, pod różnemi postaciami uprzywilejowanémi, płatać zwykł figla nieostróżnym. Raz pod postacią sroki bez ogona, wyjmuje podczas snu płód z kobiét brzemiennych, skoro te nie mają ostróżności zabezpieczyć się osłaniając się ręką mężowską, albo przynajmniéj jego odzieniem. Kilku świadków żywych naocznych, świadczą jako byli przytomni téj operacyi, tylko że strach odjął im siłę, i przeszkodzić jéj nie mogli.

Innego razu zły duch bierze na się postać źwierzęcia, a nęcąc myśliwego łatwą zdobyczą, prowadzi go w miejsca niedostępne, zwodząc jego zmysły. Dopiéro krzyż i modlitwa rozpędzają złudzenie, i wyprowadzają z kłopotu zbłąkanego.

Warjanty podobnych zdarzeń układają się w rozmaitych kształtach.

Wierzą także, że zaczynając od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, można, w pewnym sposobie ustawionych zwierciadłach, widzieć tego, na kogo się zamyśli, choćby ten był o kilkaset mil oddalonym. Szczególnie wigilja Nowego Roku jest przeznaczona na podobne gusła, a wiara w objawienie jest tak niewątpliwa, tak silna, że jedynie bojaźń zadawania się z nieczystémi duchami, i niedowierzanie własnym siłom w obec wywołanego widma, krępuje ciekawość.

Ochota mię wzięła sprobować, co téż dało powód do tych bajek, jakoż ponieważ właśnie był dzień wigilji Nowego Roku, prosiłam uby mi ustawiono zwierciadła wiadomym sposobem.

Zachowując wszystkie żądane warunki, kazano mi czekać północy, a gdy się ta zbliżyła, ustawiono trochę ukośnie zwierciadło na stoliku, o ścianę wierzch jego opiérając. Postawiono przed niém dwie zapalone świéce i dano mi w ręce drugie zwierciadło mniejsze od poprzedzającego, obróciwszy szkłem do piérwszego.

Kazano mi je trzymać tym sposobem, aby twarz była niém zakryta, a tylko oczy były wolne do patrzania przez wierzch trzymanego zwierciadła, w głąb ustawionego na stoliku.

Gdy wszystko było już dobrze urządzone, zostawiono mię jedną w pokoju i drzwi zamknięto, bowiem ten warunek jest nieodbicie potrzebny.

Za piérwszym rzutem oka, ujrzałam zaraz w pomienioném zwiercìedle dwa szeregi świéc zapalonych ginących w dalekiéj perspektywie, a między niémi długi korytarz ciemny nieskończonéj długości, którego koniec ginął w ciemności. Fantastyczna gra płomieni odbijających się na tle ciemném, mordując oczy, przedstawiała wyobraźni niby jakieś kształty nieokréślone, wszakże nigdy nie można było wziąść tych mar za jakie kształty wyraźne.

Po półgodzinnéj próbie wstałam znudzona, naturalnie nic nie widząc. To niepowodzenie, całe towarzystwo złożyło na brak wiary.

Wróciwszy do siebie (doświadczenie bowiem odbywane było w domu obcym), rozpowiedziałam próbę nie-

pomyślną. Gospodyni moja i jéj córka, które były mocno wierzące w niezawodność tego doświadczenia, zaręczały, że zwierciadła musiały być źle ustawione, i dla tego się nie powiodło. Namawiały przytém aby ponowić doświadczenie. Zgodziłam się chętnie, już więcéj w chęci uleczenia mego towarzystwa z zabobonnéj wiary, niż w nadziei zrobienia jakiego odkrycia.

Wszystko urządzono jak przedtém, i zostawiono mię samę w pokoju.

Siedząc długo przed zwierciadłem, i nic nie widząc równie jak przedtém, prócz dwóch rzędów świéc i długiego zawartego między niémi korytarza, byłam znudzona, chciałam zaprzestać doświadczenia, zrobiłam więc ruch, aby wstać od stolika, gdy mała figurka z najwyraźniejszą twarzą ludzką, niby wyskakując z poza rzędu świéc, wbiegła na środek wyż wspomnionego korytarza.

To zjawienie obudziło całą moję uwagę. Usiadłam znów, i zaczęłam się wpatrywać.

Postać objawiona, była w małych bardzo rozmiarach. Prócz rysów twarzy, które były bardzo wyraźne, reszta kibici tak się zlewała z czarném tłem korytarza, że ubioru ani kształtów rozróżnić nie można było.

Po chwili dostrzeżona postać znikła, i znów pusto się zrobiło na korytarzu, wszakże tą razą już nie straciłam cierpliwości, i patrzałam ciągle w zaczarowane zwierciadło. Jakoż po pewnym przeciągu czasu, znów się pokazała nowa maleńka postać, która pozwoliwszy napatrzéć się na siebie, znikła jak piérwsza, ale nie na długo byłam osierocona, bo inne zastępowały jéj miejsce.

To świadectwo własnych zmysłów zaostrzyło bardzo moję ciekawość, lecz niestety nie podziałało nic na wy-

obraźnię. Przywykłszy poddawać wszystko pod krytykę rozumu, zimno zapytywałam go co to wszystko znaczy, lecz nie odbiérając żadnéj odpowiedzi, śledziłam daléj.

Te widziane twarze nie zbliżały się do siebie zupełném podobieństwem. Jedne były długie, drugie krótkie, tamte szérokie, inne owalne, wszakże wszystkie zdawały się mieć jedną manjerę, jeden koloryt i podobny układ włosów.

Ten zauważany charakter jednakowości dał mi powód do myślenia, czy nie moja własna postać odbija się gdzieś we zwierciedle mimo wiedzy mojéj, a odsyłając wielokrotnie odbity obraz od jednego zwierciadła do drugiego ukazuje się nareszcie mym oczom, zmodyfikowana rozmaitém nachyleniem promieni.

Aby się o tém przekonać, położyłam rękę sobie na głowie, a objawiające się poźniéj postacie, zaczęły nosić na głowie białe przepaski.

Posuwając daléj doświadczenie, wstałam i wzięłam czépek na głowę (piérwiéj bowiem byłam tylko we włosach), ale zmieniwszy raz położenie, nie mogłam już natrafić na takie nachylenie względem siebie zwierciadeł, aby otrzymać tenże sam skutek co wprzódy.

Długo, bardzo długo, obracając zwierciadła w różnych kierunkach probowałam, lecz napróżno: nic mi się ukazać nie chciało, oprócz dwóch rzędów świéc. Zniechęcona już miałam porzucić trud niewdzięczny, kiedy pewnym ruchem zrobionym znów, natrafiłam na tenże punkt co wprzódy, i znów zaczęły wybiegać figurki wszystkie w czépeczkach.

Otrzymałam więc dowód niezaprzeczony, że zjawiające się drobne postacie, były odbiciem mojéj własnéj;

została jednak trudność nierozwiązana, jakim sposobem postać moja zakryta zupełnie jak parawanem odwrótną stroną zwierciadła trzymanego w ręku, odbijała się w ustawionėm zwierciedle.

Po długiém zastanowieniu zauważyłam, że brzegi zwierciadła ustawionego na stoliku, które było szlifowane, mając skośne nachylenie, musiały łamać promień odbity od mojéj twarzy, i odsyłać do trzymanego w ręku źwierciadła, i t. d.

Prócz tych drobnych postaci, przedstawiały się w zwierciedle jeszcze inne zjawiska trudne do wytłómaczenia. *Np.* obaczyłam wieżę z galeryjkami w porządnych rozmiarach, i rodzaj ogródka czy też lasku z liści obnażonego.

Badałam pilnie wszystkie przedmioty otaczające, i żaden nie mógł objaśnić widzianego fenomenu. Trudność pomnażała gorliwość w dociekaniu. Nakoniec przekonałam się, że róg rozbity zwierciadła trzymanego w ręku, posklejany na rozkłóciach wąziutkiémi paskami papiéru białego, odbity kilkakrotnie w ustawionych zwierciadłach jak w kalejdoskopie, tworzył figurę regularną podobną do wieży kilkopiątrowéj. Ogródek zaś czyli lasek powstał z odbicia splątanéj nitki, która przyczepiwszy się do ramek trzymanego zwierciadła, mimo wiedzy mojéj, tworzyła kształt zarośli obnażonych z liści.

Zostawało do rozwiązania jeszcze jedno zjawisko, którego wytłómaczenie najwięcéj kosztowało mozołu. Oto po pewnych długich przestankach, w głębi ciemnego korytarza raptownie rozświecało się jakby słońce, którego rozsypane promienie wzrok ćmiły i znikały w mgnieniu oka tak, że rozpatrzyć żadnym sposobem nie można było.

Zjawisko to kilka razy się ponowiło, ale w oddalonych od siebie przéstankach, i wszystkie robione próby wywołać go nie mogły.

Po długich badaniach tak się rzecz wyjaśniła. Na przeciwległéj ścianie téj, na któréj zwierciadło było wsparte, w rogu pokoju wisiał zegar z wagami (*). Wahadło tego zegaru było opatrzone krążkiem mosiężnym, bardzo błyszczącym. Otoż przy wahaniu pomienionego krążka w pewném nachyleniu, promienie świécy padały na ten krążek, a odbite od niego, skupiały się jakby w jedném ognisku, łamiąc się w szkłach zwierciadeł.

Rozwiązawszy zwycięzko wszystkie zjawiska, poszłam naprzeciwek do mojéj gospodyni, aby jéj opowiedzieć widzenie i wytłómaczyć przyczyny onego, spodziewając się, że moje doświadczenie posłuży przynajmniéj do zniszczenia w Berezowianach zabobonnéj wiary w objawianie się nadprzyrodzone w ustawionych zwierciadłach. Stało się przeciwnie. Nikt nie chciał słuchać moich objaśnień, a uwierzyli memu widzeniu, i wszyscy chórem zakrzyczeli, że widziałam własne dzieci, a tylko przez zatwardziałość, wiary dać nie chcę świadectwu własnych oczu. A tak nazajutrz moje doświadczenie rozeszło się po całém Berezowie, i pomnożyło tylko massę bajek będących już w obiegu.

---

1 Stycznia 1840.

Dzwony ogłosiły nadejście Roku Nowego. W ślad za niémi rozpoczęły się wizyty mężczyzn z powinszowaniem.

(*) Pani X. sprowadziła sobie zégar i u nas umieściła.

Forma ta winszowania, kiedy nie ma czego winszować wydobyła mi westchnienie. Oby on skończył się co prędzéj pomyślałam sobie, bo dla siebie czegoż mogłam życzyć więcéj w Berezowie?

Późniéj trochę, rozpoczęły się strojnych dam nawiedziny. Równy przepych strojów jak i na Boże Narodzenie.

Przy powszechném życiu, wesołości, smutniéj mi się jeszcze zrobiło niż zazwyczaj. Rada byłabym zupełnéj samotności, ale za cóż drzwi zamykać przed dobrémi Berezowianami w dniu tak dla nich wesołym?

Wszakże i na mojém niebie się rozjaśniło: poczta przyszła i przyniesiono mi listy. A tak w tym dniu uroczystym i do mnie zaleciał głos moich dzieci, przyjaciół. Nie mogłam w Berezowie przyjemniéj rozpocząć Nowego Roku.

Na wieczór byłam wezwana do sprawnikostwa, gdzie się zebrała cała arystokracya berezowska. Towarzystwo było liczne, przyjęcie jak zwykle sute. Po kawie, herbacie, konfiturach i różnych łakociach, pomyślano o zabawie innéj natury, a ponieważ tańce nie są tam jeszcze wprowadzone w modę, zaczęto grać w gry rozmaite.

Nowy Rok ma dla siebie zabawę wyłącznie przeznaczoną, i od niéj też zaczęto. Tę zabawę nazywają *pieśni podbludne*. Odbywa się ona porządkiem następującym.

Każda z osób do gry wchodzących, powinna dać jaką fraszkę kruszcową przez siebie używaną, jako to: kolczyk, pierścionek, klamerkę, spinkę lub co podobnego. Wszystkie te zebrane rzeczy wkładają się w talerz głęboki.

Gdy wszyscy grający oddawszy swoje fanty zasiędą

wkoło, talerz z fantami oddaje się wybranéj damie umiejącéj najwięcéj z *pieśni podbludnych*. Tą razą wybór padł na panią X., która wziąwszy talerz okryła go serwetą, a zebrawszy ciasno jéj końce pod spodem, zrobiła z owego talerza rodzaj bębenka, w którym zebrane były fanty.

Trzymając zatém w ręku talerz, za pomocą zebranéj pod spodem serwety, rozpoczęła śpiewkę wolnym i uroczystym głosem, wywijając w takt owym talerzem, aby włożone weń fanty ciągle się mięszały. Każdy z towarzystwa kto tylko umiał, łączył głos swój z głosem piérwszéj śpiewaczki, co stanowiło chór bardzo huczny i wesoły, jeżeli nie zawsze harmonijny.

Po prześpiewaniu strofki, z których każda zawiera jakieś proroctwa, jedna osoba z towarzystwa zbliża się do wzmiankowanego talerza, i przez serwetę na niewidziane, chwyta kolczyk czy też pierścionek.

Wszyscy wówczas zbliżają się z ciekawością i zajęciem, wyjmują z pod serwety, rozpatrują do kogo fant należy, a właściciel fantu powinien zastosować do siebie usłyszane proroctwo, złe czy dobre, pochlebne czy też szyderskie.

Po każdéj podobnéj prześpiewanéj strofie następują śmiechy, żarty, alluzje, naciąganie proroctwa do wiadomego wszystkim położenia osoby, dla któréj proroctwo wypadło.

Strofek do *pieśni podbludnych* jest bardzo dużo, widziałam nawet je zebrane w xiążce drukowanéj.

Po skończeniu *pieśni podbludnych*, grano w gry inne. Niektóre z nich są i u nas znajome, jako to: *cenzurowany*, *gotowalnia*, *darowany;* niektóre zaś całkiem naro-

dowe, a témi są: *Car*, *korowody*, *bojary*. Opiszę z nich jednę, inne tejże saméj manjery.

Gra *korowody*, idzie tym sposobem.

Osoby do gry wchodzące robią koło jakby do mazura, a kręcąc się wkoło poważnie, śpiewają chorem strofki umyślnie do téj gry ułożone.

Stosownie do sensu śpiewanéj strofki, wzywa się jedną osobę do środka koła, która zaczyna sie przechadzać otoczona jakby wieńcem ruchomym upatrując sobie pary.

Chór śpiewa zawsze stosowną piosenkę, a za daném przezeń hasłem, że wybór już ukończony, osoba znajdująca się w środku koła, upuszcza chustkę przed osobą przez siebie wybraną. Na ten znak, wybrana wchodzi we środek koła, podnosi chustkę, kładzie na ramieniu wybierającéj i w parze przechadzając się, śpiewają stosowną piosnkę.

Prześpiewawszy wiadome strofki, figurujące osoby całują się serdecznie do woli, bez względu na płeć, poczém piérwsza osoba wraca do koła, a druga pozostała w kole, wybiera nową parę powtarzając z nią wszystko co robiła piérwsza, i tak daléj, póki wszystkich kolei nie obejdzie.

Gra *Cara* równie jak piérwsza, rozpoczyna się kołem przy chóralnym śpiewie piosnki. Po prześpiewaniu piérwszéj części, chór wzywa *Cara* do wybrania sobie *królewny*. *Car* mianuje wybraną *królewnę* i chce ją ująć, ale ta ucieka przed nim za koło. *Car* goni, *królewna* ucieka, wszakże *Car* powinien użyć tyle zręcznosci, aby dogonić koniecznie i pochwycić, co się zwykle staje po mniejszym lub większym oporze *królewny*. Dogoniwszy, *Car* prowadzi do koła *królewnę*, a chór zaczyna śpiewać

wzajemne ich obowiązki. Piérwszą strofką wzywają *królewnę*, aby nie uciekała przed *Carem*, ale go szanowała i jemu się kłaniała. *Królewna* powinna się zaraz ukłonić; potém każą jéj podskoczyć przed *Carem*, i ten drugi rozkaz zostaje dopełnionym. Wreszcie chór obraca się do *Cara* ze swemi piosenkami, napomina go aby dobrze się obchodził z *królewną*, aby jéj nigdy nie łajał, nie bił, ale kochał i całował.

Na to hasło, *Car* zaczyna całować serdecznie swoję *królewnę*, która mu oddaje całusy, i na tém koniec figury.

Druga para zastępuje piérwszą, i powtarza słowo w słowo to samo, nim koléj nie obejdzie wszystkich grających.

Gra *w bojara* jest tejże saméj natury. W ogólności wszystkie gry berezowskie kończyć się zwykły pocałunkami. Wszystkie prawie pokuty za przegrane fanty, redukować się zwykły na pocałunki, służąc niby za monetę zdawkową.

Zabawa ciągnęła się do godziny czwartéj po północy, którą zakończyła suta jak zawsze wieczerza.

Powyższe zabawy przerywane były częstemi nawiedzinami rozmaitych masek, które nie należąc do zebranego towarzystwa, nie żyjąc w jego gronie, produkowały tylko swoje kostiumy, a pochodziwszy trochę po pokoju, wychodziły niepoznane od nikogo.

Na zgromadzeniu dzisiejszém poznałam nową osobę, przybyłą do tutejszego towarzystwa. Jest to podsędek tutejszego sądu powiatowego, nazwiskiem Słobodzki. Polak z nazwiska, wyznający religię rzymską, ale który od lat kilkunastu zostając w służbie, zapomniał zupełnie rodowego języka i obyczajów.

---

11 Stycznia, 1840.

Bogu dzięki, że przecie skończyły się dnie świąteczne, a z niémi maskarada.

Przed wigilją Trzech Króli, to jest czwartego Stycznia, był ostatni dzień dozwolony na tę ulubioną zabawę; jakoż wszyscy przesadzali się dnia tego w przepychu kostiumów. Inni, zdaje się że poszaleli; widziałam bowiem kobiéty sześćdziesięcioletnie skaczące na łopacie, zamiast maski, zawiesiwszy twarz siwemi włosami, co nietylko zdało mi się być zniewagą siwego włosa, ale rodziło wstręt niejaki, przypominając wyobraźni sabat na Łyséj górze.

Widziałam także oddającą się namiętnie téj zabawie matkę, która przed kilką tygodniami straciła dorosłą córkę jedynaczkę, nad któréj śmiercią sama płakałam, wchodząc w boleść matki, którą sądziłam nigdy niezagojoną.

Dziś ta matka, robiąc z siebie widowisko nieodpowiedne wiekowi ani położeniu, wstręt jakiś obudzała.

Wreszcie wszystko się skończyło, w miasteczku zrobiło się cicho. A jakby łącząc szaleństwo z pokutą, dzień następny był postem obchodzony. Była to wigilja Trzech Króli.

Niedość na tém. Nazajutrz rano, to jest 5 Stycznia, weszła gospodyni nasza, skorośmy się przebudziły do pokoju, niosąc w ręku święconą wodę i kropidło.

Zdziwiona, zapytałam co to znaczy. Gospodyni nic nie mówiąc, kropiła wodą na wszystkie strony, schylała się pod łóżka, pod kanapy, wdrapywała się na piec, wciskała się za piec, we wszystkie najciaśniejsze kątecz-

ki i widno, że nie miała żadnéj ochoty zaspokoić naszę ciekawość, póki nie zrobiła swego. Nakoniec skończywszy, zrobiła się rozmówniejsza i powiedziała, że ponieważ przyjmowałyśmy maski, razem z maskami nacisnęło się w dom pełno djabłów, mocą których jedynie maski się kręciły i skakały. Że teraz, gdy się skończyły ich dni ulubione, djabełki nie chcą odrazu opuszczać ludzi z którymi się zbratały, i mają zwyczaj zakradać się w domu po różnych kątach, a potém ztamtąd płatać różne figle. Wszakże upewniała nas, abyśmy były spokojne, bo ona w ciemię nie bita, pokropiła należycie wszystkie kąty niezapominając o żadnéj kryjówce i śmiejąc się z kąpieli, którą sprawiła tym psotnikom.

Następnéj nocy była wielka burza, wiatr trząsł okienicami. Zrana przyszła gospodyni zapytując nas, czyśmy dobrze spały.

Odebrawszy odpowiedź potwierdzającą, bardzo tryumfowała, przypisując naszę spokojność swojéj przezorności. Zapewniała bowiem, że stukanie okienic, któreśmy wszyscy słyszeli, był to szturm duchów nieczystych, które wypędzone przez nią święconą wodą, nazad przez okna wedrzeć się chciały, lecz nie znalazłszy żadnego kąta niepoświęconego, musiały zaniechać przedsięwzięcia i mściły się tylko za zawód trzęsąc okienicami.

Berezowianie chodzą zawsze wśród świata niewidomego, którym ich otacza wyobraźnia pełna wiary. Ktoby chciał mocą rozumowań zabić te dzieci fantazji, zniszczyłby może najpoetyczniejszą część ich życia.

Opowiadał mi jeden młody człowiek, że w roku zeszłym, wyczerpawszy już wszystkie koncepta do maskarady, przyszło mu do głowy, wysmarowawszy się sadzą, włożyć czarny szpencerek, i resztę ubioru takiegoż koloru, i przyszyć do niego ogonek.

W takim ubiorze czekał w swym domu przybycia masek, jakoż zajechała liczna kompanja mieszcząca się na kilku saniach. On się ukrył tymczasem w sieniach, a gdy odjeżdżały, wmięszał się między nich niepostrzeżony i wskoczył na sanie wraz z innymi.

Można sobie wystawić przestrach i wszystkie jego skutki, kiedy owa kompanja zajechawszy do drugiego domu, ujrzała między sobą nowego towarzysza z ogonkiem.

W kilka minut sanie zostały próżne, a maski uciekając w różne strony, rozniosły popłoch do domów, gdzie szukały schronienia. Towarzysz zaś z ogonkiem, bojąc się wyrzutów kompanji przelęknionéj za popsucie zabawy, uciekł do własnego domu, zrzucił kostium i nie przyznawał się do psoty, co utwierdziło przestrach i przekonanie, że mieli między sobą towarzysza z innego świata.

Z wielkiém naszém ukontentowaniem, towarzystwo nasze zostało zwiększone przybyciem lekarza, dawno zapowiedzianego. Lekarz ów nazwiskiem Wakuliński, jest uczniem uniwersytetu wileńskiego, a że brał nauki kosztem rządu, kazano mu odsługiwać w Berezowie.

Rozpoczął się tu tak nazwany jarmark berezowski. Słysząc o nim oddawna, wyobraziłam sobie coś podobnego do naszych jarmarków. Trochę więcéj ruchu na ulicach, trochę więcéj ludzi i życia niż codzień. Bardzom się zawiodła. Kilku kupców z Tobolska i Surgutu wracając z jarmarku obdorskiego zatrzymują się w Berezowie po znajomych domach, ładują i wysyłają do Irbitu futra zdobyte na jarmarku obdorskim, zbywają także resztki pozostałych towarów mieszkańcom Berezowa, któ-

rzy je kupują na handel z Ostjakami, trochę przedają wprost Ostjakom przybywającym z okolic bliższych Berezowa. Wszakże ta operacya handlowa, odbywa się tak cicho w kilku tylko domach, że najmniejszy ruch nie przejawią się w miasteczku.

Jedyną ozdobą tego sławnego jarmarku, są kramikarze suzdalscy, wracający z Obdorska. Mają oni różne osobliwości, jako to: igły grube jak patyki, szpilki tępe i grube jak ćwieczki, które trzymają w pudełkach i przedają na sztuki, tasiemki, kadzidło i inne drobiazgi tym podobnéj wartości.

Desenie kanwowe jakkolwiek szkaradne, największy znajdują odbyt, jeżeli nęci jaskrawość kolorów. Niektórzy amatorowie zdobią niémi ściany swoich domów, są zaś amatorki, które używają je na wzory do robót paciórkowych.

Podczas tego jarmarku, to jest za powrótem z jarmarku obdorskiego, kupcy hurtowi berezowscy skupują od podrzędnych przekupniów wszystkie futra zdobyte od Ostjaków i Samojedów, tak na jarmarku obdorskim jak w pobliżu Berezowa, i ładują na wozy, zkąd prosto trafiają na jarmark irbicki.

Wychodzą ztąd w znacznéj ilości piesaki białe, wiewiórki, gronostaje, lisy, niepluje, pieszki, norniki. Tu wymienione futra, stanowią podstawę handlu, cena ich mało się zniża lub podnosi. Przeciwnie, wartość innych futer zmienia się bardzo w miarę piękności. Do tych należą lisy siwoduszki, których cena stopniuje się od 25 do 120 r. ass. Są to lisy krzyżaki i ich podgatunki, lisy czarne, piesaki tak nazwane błękitne i sobole.

Wszakże według mego zdania, żadne futro niedorównywa pięknością skórze z lisa czarnego. Ma on włos długi, miękki, lśniący, czarny jak węgiel bez żadnéj burości, tylko wązki pasek żółty pod brzuchem i gardłem, formuje niby krzyżyk. Na udach włos srébrny przesypuje się między czarnym, podnosząc jeszcze świetną czarność i połysk innych cześci. Takie lisy, w samym Berezowie płacą się 400 rubli assyg. jedna skóra i wychodzi ich niewiele. Cały jarmark obdorski, dostarczył w tym roku skór takich tylko 28.

Skóry z lisów berezowskich, mają wartość nierównie wyższą od skór z lisów stepowych; mówię już o lisach najordynaryjniejszych, które nazywają białoduszkami. Są one białożółtawe, w małéj bardzo części mające odmiany czarne, wszakże i takie są droższe od lisów stepowych, które choć są zazwyczaj ciemniejsze, jednak mają włos suchy, trochę twardy, który się wykrusza w używaniu, kiedy przeciwnie lisy północne mają włos gęsty, miękki i mocny.

Można także zaliczyć do handlu futrzanego skórki z szyjek kaczek gagarek, które są piękne i bardzo poszukiwane. Kolor mają ciemno-fioletowy i skórę bardzo mocną. Robią z nich czapeczki i pokrycie wierzchnie na szuby.

Wychodzi ztąd także w handel dużo skór łabędzich.

Pomimo że z Berezowa idą w handel futra najbardziéj poszukiwane, trudno tu zdobyć się na dobre futro do użycia, z przyczyny braku kusznierzy. Bogaci kupce zwykli wysyłać futra surowe na jarmarki do Irbitu i Niższego Nowogrodu, sami zaś na swój użytek ztamtąd sprowadzają futra gotowe w błamach, które piękniéj są dobrane, a nawet taniéj kosztują niż uszyte w Berezowie.

Kusznierze bowiem europejscy, robiąc w dużych massach, umieją zużytecznić każdy kawałek, robiąc z nich błamy oddzielne. Przeciwnie, chcąc futra wyprawiać i zszywać w Berezowie, kawałki się marnują i błam robi się źle dobrany.

Futra zebrane w Obdorsku na jesak, przywożą naprzód do kaznaczejstwa berezowskiego, zkąd je odsyłają do Tobolska. Tam podlejsze gatunki spieniężone zostają, kosztowniejsze zaś futra odsyłają się do Petersburga. Między témi bywają bardzo piękne.

Mróz się natęża. Termometr z żywego srébra zamarzł. Na spirytusowym rachują, że doszedł 50 Réaum.

Wychodziłam na przechadzkę dla doświadczenia, jakie działanie taki stopień zimna wywierać będzie na moje płuca i skórę. Nad moje spodziewanie jednak, nie doświadczyłam żadnego przykrego uczucia. Wyziew tylko z oddechu zamienił się zaraz w widoczną kolumnę zgęszczonéj pary. Może być, że ta sama kolumna broniła od bezpośredniego zetknięcia płuc z zimnem zewnętrzném. Ślina nim doleciała do ziemi, ścisnęła się w powietrzu.

Byłam bardzo dobrze odziana, mróz więc nie doszedł aż do skóry, a mała część twarzy odkrytéj, wyszła całą z doświadczenia.

Z Berezowa na zimę odlatują wszystkie ptaki niemogąc wytrzymać tutejszego zimna. Jedna tylko sroka tuląc się koło miasteczka, obejmuje w posiadanie całe królestwo powietrzne. W lesie zostają tylko zwierzęta okryte futrem, jakoż na ten cel zapewne, przyrodzenie je opatruje futrem nierównie gęstszém niż w krajach południowych.

Mój gospodarz nie zważając na mróz, wysłał czeladź swoję za rzekę po siano. Dwie osoby wróciły z przymrożoną twarzą. Przyłożono zaraz wódki na część odmrożoną, powtarzając to póki ból nie przeszedł, a na części uszkodzonéj, zostały tylko czerwone plamy jak po synopizmach.

---

23 Lutego, 1840.

Od przyjazdu lekarza Wakulińskiego, zawiązała się żywa skłonność między nim a towarzyszką moją Józefą, jakoż dziś odebrała jego oświadczenie: a ponieważ jest mu wzajemną, idzie tylko o pozwolenie Cesarza.

Ten wypadek mocno mię ucieszył. Berezów już nie będzie dla niéj tak pustym, samotnym jak dotąd. Miłość wzajemna, zdolna upiększnić każde miejsce pobytu. Mam nadzieję, że jeżeli przeszkody wynikłe z położenia Józi dadzą się uprzątnąć, i to małżeństwo przyjdzie do skutku, oboje będą szczęśliwi. Wakuliński ma serce dobre, uczucia jeszcze młodzieńcze; Józefa zaś ma charakter łagodny i serce żywo przywiązujące się.

Dziś około wieczora siedząc pod oknem u krosienek, posłyszałam dźwięk dzwonków i hałas niezwykły.

Wśród ciszy i jednostajności berezowskiéj, najmniejszy wypadek nabiera wagi. Patrzę w okno, ale gruba mrozu powłoka okrywająca szyby, nic widzieć nie dozwalała. Tymczasem hałas się przybliża. Znalazłam przecie kawałek szyby niedomarzłéj, przez który spójrzawszy, ujrzałam ciżbę ludzi otaczającą wóz niezwykłego kształtu, zaprzężony wielą końmi, ubranemi w dzwonki różnéj wielkości.

Wóz ten, była to długa narta czyli sanie, na których

położone było na płasko duże koło. W dziurę przeznaczoną dla osi, wsadzony był maszt od łódki, a na wierzchu tego masztu, osadzone drugie koło mniejsze od piérwszego. Do wierzchniego koła w okrąg poprzyczepiane były liny, których końce przeciwne przytwierdzone zostały do sani i do koła na nich leżącego, co tworzyło rodzaj ostrosłupa, który po wierzchu został okryty żaglami, i przybrał kształt *czumu*, czyli namiocika ostjackiego.

W téj karecie dziwnego kształtu czyli namiocie ruchomym, mieściło się osób kilkanaście. Na kole umieszczoném na wierzchu masztu, stał człowiek również umaskowany, co robiło szczególny widok i przejmowało obawą.

Ten dziwaczny ekwipaż otoczony tłumem ludzi chciwych jakiejkolwiek nowości, jakiejkolwiek zabawy wśród życia dostatniego i jednotonnego, zatrzymał się przede drzwiami naszego domu.

Weszło do mego mieszkania kilka ludzi zamaskowanych i prosili o pozwolenie zabawienia się.

Przyjęłam.

Weszło całe towarzystwo zamaskowane, a z niémi nacisnęło się widzów tyle, ile mieszkanie objąć mogło.

Stroje były nadzwyczajne, fraki z rohoży czyli cynówki poobszywane galonami, ubrania z wiórów stolarskich i inne tym podobne, dawały widok najdziwaczniejszy.

W tych oryginalnych strojach tańcowano sposobem niemniéj oryginalnym przy dźwięku bałabajki, w obec ucieszonych widzów, a gdy się dostatecznie ubawiono, aktorowie wsiadłszy na powrót do dziwnego ekwipażu, znów otoczeni tłumem zwiększającym się co chwila, pojechali daléj wybierając domy, gdzie jak u mnie zatrzymywali się i bawili.

Objaśniono mi, że powyższa zabawa nazywa się *maślanką*. Jest to niby personifikacya mięsopustu obchodzącego hucznie swoje dnie najuroczystsze. Rozpoczyna się ona we czwartek sérnéj niedzieli, przeciąga się w środ nieustannych huków, hałasów, pociągając za sobą ludność całą aż do soboty, w którym to dniu z wielką uroczystością i liczną assystencyą wywożą wóz za miasto, gdzie go rozbiérają, a jak się wyrażają technicznym wyrazem, *grzebią maślankę*.

Główny obrządek tego pogrzebu, zależy na rzęsistych libacyach. Jakoż następuje wielka pijatyka, póki nie przepiją wszystkich pieniędzy uzbieranych od szczodrobliwych widzów.

Pijaństwo jest jakby w powietrzu téj północnéj okolicy. Rzadkie są wyjątki od téj ogólnéj zarazy. Od Ostjaków do urzędników, wszyscy z małémi wyjątkami najgwałtowniejszą czują skłonność do mocnych trunków; między kobiétami nawet, częste są przykłady pijaństwa.

Ostjak, gdy w nim namiętność już jest rozbudzona, odda ostatniego lisa za kilka kieliszków wódki; jakoż są tacy, którzy nadużywając słabości tych biédnych ludzi, podwożąc im skrycie ten zgubny napój, wydzierają im owoc ich pracy.

Rząd wszakże używa silnych środków do poskromienia tego nadużycia. Zabroniony jest prawem dowoz tego trunku w głąb' kraju. Mieszkańcom Berezowa, oraz innych miejsc gdzie się odbywa sprzedaż wódki, a nawet urzędnikom, ograniczona jest ustawą ilość wódki, jaką

mogą mieć dla własnego użytku oddalając się w głąb' kraju. Mimo to, trudno zapobiedz nadużyciom.

Nawiedził mię dzisiaj han kirgizki, zesłany tu przed kilką tygodniami za to, że horda, któréj był naczelnikiem, bunt podniosła. Nie umiejąc ruskiego języka, miał przy sobie tłómacza tatara, oraz kilku kirgizów na swoje usługi. Jest to człowiek mający lat przeszło sześćdziesiąt, bardzo otyły, jeszcze czerstwy, lubiący mówić bardzo dużo.

Z upodobaniem rozpowiadał o świetności swego domu, o swych dostatkach, o żonach, z których jednę bardzo czule wspominał, i o dzieciach.

Mówił dużo, a kiedy przyszła koléj na tłómacza obowiązanego powtórzyć jego wyrazy, nie ufając zapewne, aby ten powtórzył dokładnie myśl jego, robił pantomina dla nadania expresji jego wyrazom.

Miał łzy w oczach, porównywając swoje położenie przeszłe z teraźniejszém, nadewszystko się uskarżał, że od czasu uwięzienia nie jadł ani razu mięsa ze źrzebięcia, co mu się wydało nadzwyczaj przykrém. Utrzymywał się z 50 kop. as. na dobę, przeznaczonych od rządu.

Z wielkiém uwielbieniem wspomina Cesarza Alexandra, od którego miał w podarunku medal złoty, z wytłoczonym wizerunkiem tego Cesarza, obwiedziony dokoła dwóma rzędami brylantów, z napisem arabskim na odwrótnéj stronie, zawieszony na wstążce niebieskiéj do noszenia na szyi.

Mówił, że ma także pałasz od tego Cesarza z rękojeścią osypaną drogiemi kamieniami, ale nie miał go z sobą.

Odzienie miał z materji jedwabnéj, zrobione w kształcie szlafroka długiego i szérokiego. Głowę okrywał czapką axamitną spiczastą z klapami, po boku podszytą sobolami. Wszakże tę czapkę zdejmował w pokoju zostawiając tylko na głowie czapeczkę krągłą, małą, z axamitu czarnego haftowaną złotem. Ta czapeczka kształtem była podobna do krymki żydowskiéj.

Skarżył się na wielkie wychudnienie, chociażbym się tego nigdy nie domyśliła, widząc potrójny podbródek dobrze na piersi spadający i kilka fałdów otaczających grubą szyję, leżących jak chomont na ramionach. Na poparcie swego twierdzenia pokazał szerokość swego odzienia, dzisiaj w części próżnego, które przed kilką miesiącami jak powiadał, ledwie mogło pomieścić jego objętość.

Widno, że otyłość uważał za największy powab, bo rozpowiadając o piękności żony którą najwięcéj uwielbiał, zachwycał się niepomierną jéj tuszą, pokazując na migi nadzwyczajną objętość.

Widząc, że wyżéj wspomniony medal ze swoją wstążką i brylantami był tak zabrudzony, że nie można było dotknąć go bez obrzydliwości, prosiłam aby go u mnie zostawił, obiecując że mu go każę wyczyścić, co go zdziwiło i ucieszyło, a choć jak uważałam żal mu było z nim się rozstawać, przecież dał mi ten dowód zaufania, że go zostawił.

---

6 Marca, 1840.

Dzień piękny choć mroźny. Promienie słońca które zakréśla już na niebie łuk duży odbijając od skrystalizowanego śniegu, odsyłają do oka blask miljona brylantów rozsypanych po białym kobiercu, którego krańców oko dojrzeć nie może. Powietrze ciche choć mroźne. Chodziłam sama na przechadzkę. Jak miło odetchnąć wolnemi

piersiami w téj pustyni! Jaka majestatyczna cichość wokoło! Jestem sama — zupełnie sama. I myśl moja leci wysoko, buja po przestrzeni i nic nie wstrzymuje jéj lotu. Czuje, że ona jedna króluje na téj pustyni, i czy to rozwinąwszy skrzydła na prawo, szybując niezmierzone przestrzenie, zechce pobujać nad ciaśniną Beringa, czy zmordowana zwróci lot na lewo i zechce poigrać na najeżonym głazami grzbiecie Uralu, zawsze ona jedna na téj wysokości, nie spotka myśli drugiéj coby skrzyżowała jéj drogę.

I przyrodzenie całe spoczywa w głębokiém milczeniu, jakby szanując samotność ducha pustyni. Żaden powiew wiatru nie wstrząśnie gałązką, żadne żywe stworzenie nie zaszeleszcze, żaden ptak nie poruszy powietrza skrzydłami. Jest cóś tak uroczystego w téj zupełnéj, w téj głębokiéj ciszy. Radabym spędzać dnie całe na téj samotnéj przechadzce i nigdy, nigdy nie wracać do domu. Tak ciasno między ludźmi, tak zimno dla duszy!

Prawda, ale na tym obszernym przestworze zimno ciału, i domaganie się ciała bierze górę. Moje europejskie odzienie i obówie, niedługo może się opiérać zimnu berezowskiemu. Trzeba być dzieckiem tutejszego przyrodzenia, niedźwiedziem lub Ostjakiem, albo przynajmniéj pożyczyć ich obyczajów, aby otrzymać uśmiech, a przynajmniéj nie zlodowacieć na łonie téj niepieszczotliwéj matki.

Trzeba wracać, a to z tym większym żalem, że nie zawsze w tych oddalonych przechadzkach można używać zupełnéj samotności jak dzisiaj. Głębokość śniegu nie pozwala zboczyć na bok według fantazji, tylko zmusza trzymać się utartéj drogi, która jedna tylko ciągnie się wstę-

gą od Berezowa do Tobolska. Na téj drodze można często spotykać ludzi; czy to Ostjaka w pożyczonéj u rena skórze zaglądającego ci w oczy ciekawie, czy też Sybiraka, ruskiego plemienia, z siekiérą za pasem i łukoszkiem w ręku, wracającego od więcierzy lub stanków.

Aby sobie wytłómaczyć tę zupełną ciszę, ten sen letargiczny przyrodzenia w około Berezowa, trzeba przypomnieć, że wszystkie ptastwo odlatuje na zimę w cieplejsze kraje, nie mogąc wytrzymać srogości tutejszéj zimy, źwierzęta zaś odziane dobrém futrem, unikając sąsiedztwa ludzi, cofają się w lasy głębokie których nie braknie, i gdzie ich nie tak łatwo wyśledzi człowiek sprzysiężony na ich zagładę.

Mieszkańcami lasów berezowskich są: łosie, niedźwiedzie, rosomaki, lisy, piesaki, wiewiórki, sobole, gronostaje, zające białe. Na te ostatnie nikt z ruskich nie poluje, brzydząc się ich mięsem, skóry zaś są tak tanie, że nie wynagrodzą kosztu przewozu do Tobolska, gdzie je wyprawiają i puszczają w handel. A zatém zając, chyba czasem przypadkiem wpada w połapkę nastawioną na inną źwierzynę.

Wilków nie ma w okolicy Berezowa, równie jak dzików. Zapewne z przyczyny niedostatku dębów, ta ostatnia źwierzyna nie lubi tam gościć.

Ponieważ ptastwo, które jest głównem pożywieniem Sybiraków odlatuje na zimę, przeto mieszkańcy tutejsi muszą się zaopatrywać w żywność na całą tę porę roku. W jesieni polowanie na ptastwo daje plon bardzo obfity, każdy więc mieszkaniec przygotowuje na potrzebę swego domu ilość stosowną, czy to zdobywając źwierzynę własnym przemysłem, czy też nabywając ją od Ostjaków.

Ten zapas, bez żadnych zachodów przechowuje się bardzo dobrze w stanie zmarznienia. Pod wiosnę, gdy powietrze zaczyna się cokolwiek ocieplać, Berezowianie układając pozostały zapas w lodowniach, zasypują go śniegiem. Śnieg ten nie dopuszczając przystępu powietrza, zachowuje go w czerstwości do rozpoczęcia na nowo polowania.

Zimą w czasie tęgich mrozów i za dobréj drogi, przywożą czasem do Berezowa z Tobolska mięso wołowe bardzo tłuste, które w Berezowie nazywają *mięsem kirgizkiém*. Takowe mięso rozkupują mieszkańcy pudami, a zagrzebawszy w śnieg jak wyżéj powiedziałam, zachowują je do Czerwca i Lipca, które nie zmieniając koloru przechowuje się do użycia.

Ostjacy robią równie jak Ruscy, zapas źwierzyny na zimę całą, zamrażając ją; wszakże nie robią zapasów zbyt wielkich, spuszczając się na połów ryb i mięso ze źwierząt odzianych futrem, na które polują. Trafia się jednak, że przy niepomyślnéj rybołówce lub polowaniu zimowém, zrobione zapasy wyczerpują się przedwcześnie, w takim razie niektóre familje ostjackie okropnym zagrożone są głodem.

Rząd zapobiegając podobnym wypadkom, utrzymuje w Berezowie magazyn zaopatrzony w mąkę, każąc przedawać po cenie umiarkowanéj; ale familje tylko bliżéj mieszkające Berezowa, mogą korzystać z tego dobrodziejstwa; dalsze, lub mieszkające za rzekami, w czasie kiedy rzeki są w stanie nieprzebytym, nie mogą w niém brać udziału. Dodać do tego trzeba, że Ostjacy nie mają pieców, nie umieją piec chleba i nie są przyzwyczajeni robić z mąki innego pokarmu, jak podkłócania polewki w któréj zgotowała się ryba.

Następujące zdarzenie da miarę okropności położenia, w jakiém Ostjacy nieraz się znajdują gdy im zabraknie żywności. Miało ono miejsce w berezowskim powiecie na lat kilka przed mojém przybyciem, i sprawa o tém zdarzeniu znajduje się w aktach tutejszych. Prócz tego, mówiłam z wielą świadkami żywymi, i sędziami téj sprawy.

Pewna familja Ostjaków, złożona ze staréj matki i dwóch synów, z których jeden był żonaty i miał dwoje dzieci, a młódszy miał tylko lat dwanaście, z przyczyny, że jeden tylko mężczyzna będąc dostatecznie silnym i dojrzałym, trudnił się wyżywieniem innych członków rodziny, nie przysporzywszy dostatecznéj żywności, była zaskoczona głodem.

Na nieszczęście ryba nie podeszła, ptastwo jeszcze nie przyleciało, polowanie na zwierzęta dla miejscowych okoliczności było bardzo nieszczęśliwe, a zapasy jesienne przy braku innych zasiłków zupełnie się wypotrzebowały, nawet kości rybie, które dostarczają w czasie głodu posilnego buljonu.

Przy takim niedostatku, głód odjął już siłę i energję całéj rodzinie; zostawała tylko jedna koléj, czekać śmierci powolnéj i okropnéj.

W takiéj ostateczności, złożono familijną radę z któréj wypadło, aby lepiéj poświęcić jedną osobę na pokarm dla drugich, niż wszystkim razem ginąć śmiercią nieuchronną i przykrą. Nadchodząca bowiem wiosna wzniecała otuchę, że lada dzień ptastwo powróci ze swéj zimowéj wędrówki i przyniesie pokarm obfity, byle doczekać tych dni pożądanych.

Gdy się wszyscy zgodzili na ten środek ratunku, ura-

dzono aby ciągnąć losy, kto ma służyć ofiarą dla okupu drugich. Ciągniono—i padł los na syna żonatego.

Żal całéj rodziny był wielki. Po krótkiéj chwili, matka zastanowiwszy się jak syn jéj starszy był potrzebnym dla całéj rodziny, przełożyła, że gdyby go ubito, los ich, nawet przy najpomyślniejszych okolicznościach, nie polepszyłby się wcale, bo któżby w takim razie zdobywał pożywienie? A tak zarówno przyszłoby umiérać wszystkim.

Uwaga matki trafiła do przekonania całéj rodziny; ale kto zechce zastąpić miejsce wskazanéj losem ofiary? Wszyscy milczą.—Nakoniec matka przemówiła.

—Zjedzcie mnie lepiéj na miejscu syna. Ja stara, nie zdam się na nic nikomu, i mnie też nie bardzo żal życia, a wam jeszcze żyć tylko na świecie.

Słowa matki przyjęte zostały i uskutecznione; matka została zabitą i zjedzioną, wszakże przynajmniéj ofiara téj ostatniéj nie była daremna: w kilka dni ryba się pojawiła i rodzina uratowaną została.

Jurty ostjackie porozrzucane pojedyńczo po lesie, nie dają przystępu ciekawości niczyjéj; sąsiedzi nie mogą zaglądać w sprawy codzienne współmieszkańców, a zatém i ten wypadek mógłby przejść niedośledzony, gdyby sami sprawcy téj zbrodni nie wyznali jéj dobrowolnie, nie domyślając się jakiéj ulegną odpowiedzialności.

Gdy nadeszła wiosna i odkryła się żegluga, Berezowianin jeden, mający stosunki handlowe z familją o któréj była mowa, zajechał do niéj, a znajdując ją zmniejszoną jednym członkiem, zapytał o starą matkę.

Zjedliśmy z głodu, odpowiedziano po prostu i jak najnaiwniéj rozpowiedziano całe zdarzenie.

Berezowianin zapatrując się na to zdarzenie z punktu

innych wyobrażeń, przyjechawszy do Berezowa rozpowiedział wszystkim ten szczególny wypadek, a gdy on doszedł wiadomości urzędników miejscowych, ci pociągnęli do sądu całą rodzinę, i stosownie do ustaw, osądzono starszego syna w ciężkie roboty do kopalni, młódszy zaś, jako niemający jeszcze lat zupełnych, był skazany na wygnanie do Surgutu, miasteczka leżącego o wiorst 800 od Berezowa, należącego do tegoż powiatu.

---

26 Lutego, 1840.

Dziś poniedziałek zapustny według naszego obrządku, w Berezowie zaś zaczął się już post wielki.

Jest we zwyczaju u mieszkańców tutejszych, że piérwszego dnia postu wszyscy odwiedzają się nawzajem i proszą o win przebaczenie. Młodsi wiekiem lub stopniem pokrewieństwa, muszą z obowiązku oddać tę cześć starszym.

Nie wiedząc o tym zwyczaju, odwiedziłam dnia tego panią Niżegorodców i zastałam ją przyjmującą nawiedziny. Jako starsza wiekiem i znaczeniem, przytém mająca dużo dzieci, wnuków i dalszéj familji, nie wyjeżdżała sama nigdzie, lecz przyjmowała wszystkich we własnym domu.

Urzędnicy, urzędniczki i wszyscy mieszkańcy Berezowa mający stosunki z tym domem, przyjeżdżali postrojeni i prosili kłaniając się pokornie o win przebaczenie. Córki, syny, zięciowie i cała familja w jakimkolwiek stopniu, padali do nóg staruszki i przepraszali z uniżonością. Pani Niżegorodców przyjmowała te hołdy z największą powagą, jako należne jéj z obowiązku.

Przeprosiwszy tym sposobem gospodynię domu, prze-

praszano innych członków familji, ale nie z taką uniżonością, tylko stosownie do stopnia i wieku. Poczém goście przepraszali się między sobą.

Obrządek ten ma w sobie cóś poruszającego, cóś staro-chrześcjańskiego. Nie zmienił on jeszcze w Berezowie całkiem swojéj natury, nie przeszedł w czczy ceremonjał bez znaczenia. Uczucie religijne które go zrodziło, nie straciło jeszcze zupełnie swego wpływu, i często wydaje błogie owoce. Zapewniano mię bowiem, iż trafia się nieraz, że ludzie zwaśnieni na serjo, ulegając obyczajowi połączonemu z wyobrażeniami religijnémi, jakkolwiek on im nie w smak, mają sobie za obowiązek przeprosić siebie nawzajem i winy sobie darować; a jeżeli zwaśnieni sami tego dopełnić nie chcą, przyjaciele zobopólni i krewni, używają swoich wpływów, aby doprowadzić do pojednania.

Kłótnie, niezgody mają tu charakter zupełnie inny niż w naszéj cywilizacyi. Gniew, zemsta objawiają się burzliwiéj, gwałtowniéj. *Np.* jeden z tutejszych mieszkańców we wzajemnéj kłótni odkąsił nosa swemu przeciwnikowi, który dotąd chodzi pozbawiony kawałka nosa; ale takie wybuchy uważane są jako popędy namiętności, zemsta nie jest uorganizowana w systemat jak u nas, człowiek obrażony nie jest zmuszony pod utratą honoru mścić się na pokrzywdzicielu, owszem, przebaczenie urazy w duchu zupełnie chrześcjańskim uważają za udoskonalenie moralne.

Do tego dalekiego świata zakąta, nie przedarł się jeszcze dziki przesąd pojedynków, któremu ulegać musi choć potępia rozumem, stojąca na przodzie przed innémi cywilizacya europejska. Gdy namiętności są wzburzone, idą tu za ich popędem śmieléj może niż u nas: biją się, kaleczą; ale gdy namiętność ucichła, każdy patrzy na swoję sprawę z innego stanowiska, i sądzi według praw rozumu.

Umiarkowanie i przebaczenie uraz, uważa się tu za cnotę przez ludzi wolnych od wpływu namiętności.

Dziś właśnie miałam próbkę sposobu zapatrywania się Berezowian na przedmiot o którym mowa.

Jeden z majętniejszych Berezowian wracając wczoraj spokojnie do swego domu, był napadnięty na ulicy przez syna jednego kupca, który będąc pijanym zwyczajnie jako w dzień zapustny, a mając w takim stanie wielkie usposobienie do kłótni, szukał zaczepki i zbił niemiłosiernie unikającego kłótni Berezowianina.

Tenże sam Berezowianin pokrzywdzony, będąc dziś u mnie zapytywał, czy nie widziałam téj historji, ponieważ się odbywała na ulicy naprzeciw moich okien.

Powiedziałam, że nic nie widziałam. Wówczas pokrzywdzony opowiedział jak się rzecz miała, a kończąc opowiadanie, dodał:

— Mógłbym mu oddać w dziesięcioro, bo byłem trzeźwy i jestem od niego nierównie silniejszy, a tamten pjany i do tego kulawy; ale że to się działo pod oknem pani, wstyd mi było iść z nim w zapasy. Coby pani pomyślała widząc mię tak nieumiarkowanym? Co za sztuka zbić pjanego, do tego kalékę?

Proszę wierzyć, że to umiarkowanie nie pochodziło z tchórzostwa. On był pewnym wyższości swojéj siły. Jednak nie zataję, że ten postępek tak przeciwny przyjętym u nas wyobrażeniom, rozpowiadany przez samego aktora, wydał mi się arcy-dziwnie; wszakże odrzuciw-

szy prędko na bok opinję narzuconą uprzedzeniem, pochwaliłam postępek opowiadającego.

Post u Sybiraków ruskiego obrządku, zachowuje się tu bardzo ściśle, ryby nawet są wyłączone od pokarmów; a że nie mają jarzyn, owoców, grzybów, ziarn olejnych, muszą na bardzo lichém przestawać jadle. Kwas, mąka i krupy przy rzepie i rzodkwi (produktach wydawanych przez ziemię berezowską), stanowią cały zapas spiżarniowy.

Miejsce tłustości roślinnych, zastępuje tłustość rybia, któréj woń jest przykra do nieznieśienia; wszystkie domy ruskie podczas postu są nią zarażone. Zapach oleju lnianego lub konopianego jakkolwiek niemiły, wydaje się bardzo znośnym obok mocnego i przykrego smrodu z rybiéj tłustości; wszakże przywykli do niéj Sybiracy używają jéj ze smakiem.

Tłustość ta otrzymuje się za pomocą skwarzenia w piecu wnętrzności z ryb tłustych. Gdy się tłustość oddzieli, pozostałe skwarki składają się w faski i konserwują pod nazwiskiem *warki*. *Warka* ta zdaje się mieć zapach jeszcze obrzydliwszy od tłustości, a przecież Sybiracy bardzo w niéj gustują.

Sprowadzają czasem z Tobolska do Berezowa olej z orzechów cedrowych, ale ta łakoć pokazuje się tylko na stołach bogatszych Sybiraków, podczas festynów przypadających w dnie postu.

Oliwy Berezowianie nie używają nigdy do stołu, choć ją sprowadzają w dość znacznéj obfitości dla palenia przed obrazami; nawet nie wierzą aby jéj można używać, uważając za obrzydliwą. Ten wstręt Berezowian zakomunikował się do mnie: myślałam, że nieużywając jéj sami na

żywność, może mięszają weń jaką tłustość nieczystą lub ją psują przez nieczyste utrzymywanie.

Najprzyjemniejszą łakocią podczas postu, są jagody *gołubica* i *bruśnica*. Przechowują się one przez całą zimę w stanie zmarznienia, dla użycia zaś rozmrażają się, i czy to się używają w stanie naturalnym, czy też przerabiają na sok, lub konfiturę, z których się robią różne pirogi.

Pirog postny codzienny, na powszednie użycie, robi się najczęściéj z rzepy, podaje się gorąco do stołu i polewa się rybią tłustością. Jest to pokarm bardzo niesmaczny, a jednak lepszy od innych używanych podczas postu.

Berezowianie lubią namiętnie surową rybę. W zimie jedzą ją zmarzłą, nakrajaną w cieniuchne zraziki. Uwijają się koło niéj bardzo żwawo, strzegąc aby nie rozmarzła. Niektórzy posypują pieprzem, ale nigdy solą. Jedzą ją z największém żarłoctwem. Skoro wniosą półmisek, goście czy też domowi rozchwytują natychmiast kawałki, aby nie dać czasu do rozmarznienia, a gospodyni idzie tymczasem przygotowywać drugi półmisek; i to się powtarza nim goście uczują się dostatecznie nasyconymi tą łakocią.

Latem najulubieńszym przysmakiem Berezowian wszystkich bez wyjątku, jest ryba świéżo wyciągnięta z wody. Pociąg do téj surowéj ryby jest tak wielki, że ktokolwiek płynąc wodą, znajomy czy nieznajomy, postrzega rybaków sieć zarzucających, kieruje zaraz łódź w tę stronę, przybija do brzegu, a skoro sieć wyciągniętą zostaje, podziela ucztę z innymi.

Wybierając się na rybołówkę, wszyscy należący do wyprawy opatrują się w noże, a skoro sieć z wody wy-

ciągnięta, przytomni rzucają się zaraz na zdobycz, każdy wybiera sztukę upodobaną, a oskrobawszy trochę z łuski, pożera kawałki ciepłe, jeszcze drgające, bez soli i chleba.

Byłam nieraz przytomna podobnéj uczcie, a nawet widząc, że naród cały smakuje w téj potrawie, łatwo się przekonałam, że wstręt który czułam, był tylko przesądem wychowania, a zatém zwyciężyć go postanowiłam. Z odwagą przystąpiłam do drgających członków ryby. Ale niestety! Próżne usiłowanie! Wola uległa pod miękkością nawyknień. Żadne usiłowanie dokazać nie mogło, aby zgryziona ryba połknąć się dała, tylko wracała nazad mimowolnie. Choć nie mogę powiedzieć aby smak jéj był obrzydliwy, owszem prędzéj dobry, niż zły. Była to tylko sztuczka wyobraźni.

Lepiéj mi się cokolwiek powiodło z rybą zmarzłą. Potrafiłam zjeść jéj kilka kawałków. A choć nie powiém abym zasmakowała w téj potrawie i mogła jéj używać na pokarm, przynajmniéj zwyciężyłam wstręt pochodzący z uprzedzenia, i mogę powiedzieć bezstronnie, że gdyby nie brak zupełny soli, gdyby nie krew spływająca z kawałków w miarę rozmarzania, a nadewszystko, gdyby nie myśl ciągle przytomna, że się ma w ustach surowe mięso, możnaby przyznać temu jadłu smak delikatny.

Berezowianie wyjeżdżający co roku na morze Obskie na rybołówkę, i bawiąc tam kilka miesięcy, twierdzą, że ryba surowa jest jedynym pokarmem zdrowym i nieuprzykrzającym się, kiedy przeciwnie ryba gotowana tak się prędko uprzykrza, że wzbudza wstręt niepokonany. Jakoż przez te kilka miesięcy żyją jedynie rybą surową, sucharami i herbatą.

Nadto Berezowianie twierdzą, że surowa ryba leczy

z wielu chorób chronicznych, a skoro tylko chory doznaje długo dolęgliwości, skutkiem któréj słabnie i niszczeje, i choroba opiéra się lekarstwom, uwożą go z sobą na rybołówkę, tam karmią samą surową rybą i często przywożą nazad ozdrowiałego.

Sama widziałam jak uwieziony jeden człowiek, któremu nikt życia nie obiecywał, nawet lekarz, wrócił po kilku miesiącach w zupełnie dobrém zdrowiu.

Czy to klimat, czy potrzeby miejscowe, czy też przestawanie z Ostjakami, zbliżyły obyczaje wychodźców ruskich do krajowców. Wielu Rossjan jedzą bez wstrętu, nawet nieulegając konieczności, mięso surowe, byle zmarzłe; inni piją ze smakiem krew ciepłą z zabitego rena, a wszyscy prawie lubią jeść bez soli, chociaż nabycie soli nie jest rzeczą trudną ani kosztowną, bowiem rząd sprowadza zapas dostateczny do swoich magazynów, i każe przedawać po cenie umiarkowanéj. Wreszcie cena choćby wyższa, nie zastanowiłaby dostatnich Berezowian, którzy zwykli używać w obfitości rzeczy kosztowniejszych. Pokazuje się zatém, że ich smak czy też organizm, nie potrzebuje téj zaprawy. Jakoż zupy, pieczystego nie zwykli solić zgoła.

Uważałam także jak węch Berezowian nie jest wybredny. Nie tylko że znoszą po domach czad nieustający, ale jedzą mięsiwa śmierdzące najobrzydliwiéj, nie z głodu, ale z wolnego wyboru.

---

14 Kwietnia, 1840.

Skończyły się przecie dni postu, który upłynął dla mnie bardzo tęskno. Nie tęskniłam za mięsném jadłem, tém

mniéj za zabawami, a przecież czułam w duszy dolegliwość nieokréśloną. Musiałam skutkiem pewnych okoliczności wyjść z moich codziennych spokojnych nawyknień, przytém porządek w domu całkiem przewrócony. Dla wygubienia rozplenionych nad wyraz owadów, które Rossjanie nazywają tarakanami a Litwini prusakami, a których nie zna Wołyń, nie było innego sposobu, jak wystawić całe to plemię na działanie mrozu; jakoż, opuszczono naprzód połowę domu, powyjmowano okna, pootwierano piece, po upływie zaś dni kilku tak samo postąpiono z drugą połową. Środek ten podziałał dość skutecznie. Kosztem niewygody dwutygodniowéj, uwolniliśmy się choć niezupełnie od nieznośnego owadu, który jednak potrafił zachować plemię swoje od zupełnéj zagłady, przechowując część pewną w ciepłych kryjówkach, która wyszła na świat Boży skoro w piecach zapalono, jakby urągając człowiekowi sprzysiężonemu na zgubę jego.

Wśród nieporządku wynikłego ze wspomnionéj okoliczności, przyjmowałam uroczyste poselstwo od hana kirgizkiego, o którym wyżéj wspomniałam.

Weszło do mnie trzech kirgizów, z których jeden niósł na głowie arkusz papieru złożonego. Tłómacz, już mi znajomy tatar, należący także do orszaku, oświadczył, że han kirgizki przysyła mi podarunek ręką jego robiony.

Na kilka słów wymówionych przez tłómacza, kirgiz oddał mi ów papier złożony, w którym był zawinięty inny papier wystrzygany w różne wzory. Upewniwszy mię, że to robota samego hana, poselstwo wyszło z pokoju.

Robota hana zalecała się jedynie dobrą chęcią. Wystrzygane owe desenie składały się z pewnych arabesków,

między któremi figurowały palmy. Widno, że tą robotą biédny han rozpędzał tęsknotę swego położenia.

Żaden obrządek szczególny nie odznacza w Berezowie dni przedświątecznych przeznaczonych na pokutę i oczyszczenie od grzechów, nawet spowiedź nie jest warunkiem koniecznie wymaganym. Osoby zkądinąd pobożne, przystępują do niéj koniecznie co roku. Nawet przed ślubem nie jest ona warunkiem niezbędnym. Wszakże ci co przystępują, odbywają ją z pewną uroczystością mniéj więcéj świecką.

W dniu komunji, gotowalnia powinna być jak tylko można najwykwintniejsza. U panien, rozpuszczone warkocze spadają na plecy jak przy obrzędzie ślubnym. Bogate zausznice, suknie jedwabne i różne najwykwintniejsze ozdoby są w użyciu. Komunikująca, nie przystępuje do stołu Bożego w salopie lub jakiémkolwiek ciepłém okryciu, ale w ubiorze zupełnie balowym.

Po komunji jest święto w całym domu. Ani komunikująca, ani też nikt z domowych nie może wziąść się do roboty, tylko prosto z cerkwi pokutnica zaprasza do siebie wszystkich krewnych i znajomych na herbatę do któréj wykwintniejsze niż zwykle przyrządzają przekąski; w bogatszych zaś domach nie ograniczają się poczęstowaniem herbatą, ale zapraszają na wieczór, gdzie występują okazale jakby w dzień uroczysty, po czém oddają się wesołym zabawom.

Ten obchód uroczysty dnia ważnego dla chrześcjanina ma swoję piękną stronę, szkoda że dodatki czysto świeckie zatarły w nim ducha pokuty, któryby głównie powinien panować.

Koniec wielkiego tygodnia zszedł nie na pieczeniu ciast,

i przygotowywaniu innego jadła, ale na skrobaniu nożami podłog. Jest to nieznośnie przykry obrządek, przedwiestnik każdéj uroczystości, wprowadzony w obyczaj duchem ochędóstwa sybirskiego.

Dziś przecię doczekaliśmy się Wielkiéjnocy.

Dawniéj to święto lubiłam nad inne święta w roku. Jak dzieciństwo, tak wiek dojrzały złożył w niém tyle miłych pamiątek. Prócz tego witano u nas zawsze z tém świętém początek wiosny—pora tak miła w roku, jak miła w życiu człowieka. Tu nic nawet nie przypomina naszéj zwykłéj uroczystości: żadnego placka, baby, szynki, prosięcia, słowem nic zgoła, ani nawet święconego jajka. Tylko *szczéj* z mięsem zastąpił postną zupę i pasztet ze źwierzyny zajął miejsce piroga z rzepą. A wiosna!! Gdzie wiosna? Śnieg, lód osnuł w około, pozamrażał grubo szyby w oknach. Gdzie młodziuchna zieloność, gdzie ptaszki wesoło szczebiocące, i jeszcze weseléj młodzież wiejska zbierająca się rojami dla zdobywania u siebie nawzajem kraszanek? Gdzie wy dzieci moje, co z taką wesołością przybywaliście ze szkół do domu używać tylu darów Bożych, śledzić za kwiatkiem rozpukłym, za ptaszkiem ścielącym gniazdo? Gdzie wy, młode moje pomocniczki, coście rozdzielały ze mną według waszéj możności trudy gospodarskie, i zastawiały święconém własny stolik dla ugaszczania braci waszych i przyjaciółek? Wszystko znikło z przeszłością. Tém lepiéj. Niech nic przynajmniéj nie drażni serca.

Obaczyłam przybywające wizyty. Zamknęłam drzwi na zaszczepkę, kazałam powiedzieć żem chora.

Ten sposób jedynie mógł mię uwolnić od wymierzenia każdemu z winszujących trzech pocałunków na cześć

Zbawiciela zmartwychwstałego. Niedopełnienie tego obrzędu, zważanoby za uchybienie, bez względu na różnicę naszych obyczajów. Zamknęłam się więc w domu na trzy dni.

Poczta odeszła jeszcze po lodzie. Choć słońce wielki łuk obiega tak, że mało bardzo nocy, jednak nie grzeje zgoła. Jest to zimny uśmiech zalotnicy. Wielki blask odbity od śniegu, razi tylko oczy, ćmi wzrok. Może ten blask słońca połączony z białością śniegową, przyczyną jest częstego ślepnienia Ostjaków, równie jak blask ogniska świecącego bez przerwy w porze zimowéj tak dla ogrzania, jak dla światła. Zapalenie oczu jest chorobą panującą u Ostjaków, kończącą się najczęściéj ślepotą.

Codzień prawie mamy zjawiska meteoryczne, to słupy ogniste nad słońcem, lub obok słońca, to trzy słońca. Zjawiska te wszakże są tak zwyczajne, tak spowszedniały, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

---

3 Maja 1840.

Doleciał mię głos z podwórza: wrona! wrona!!... Słowo to powtórzone zostało razy kilkanaście przez rozmaite głosy. Nareszcie drzwi do mego pokoju się otworzyły, wetknął głowę czternastoletni chłopiec, krzyknął *wrona przyleciała!*, zamknął drzwi i pobiegł daléj.

—Bóg z niémi! Co się też im stało? powiedziałam sobie. Czy powarjowali? Wszakże rzucam swoje krośna i wychodzę z pokoju, aby się dowiedziéć przyczyny tego harmideru.

Zaledwie wyszłam, pokazują mi palcem powtarzając: wrona! wrona!

—Cóż w niej tak pociesznego? zapytałam.

— Będzie wiosna, odpowiedziano wesoło.

Zrozumiałam więc, że wrona jest skowronkiem berezowskim; ona piérwsza po zimie wraca do Berezowa, uprzedzając inne wędrowne ptastwo, jakoż jéj powrót jest niezawodnym zwiastunem zbliżającéj się wiosny.

W ślad za wroną, pojawiły się *śniegurki* małe ptaszki, z piórkami biało-srokatemi. Przylatują one na wiosnę w bardzo wielkiéj ilości. Skoro pojawią się stada tych ptaszek, małe chłopaki posypują ziarno na śniegu dla ich przywabienia, i rozkładają tamże mnóstwo sidełek z włosieni. Biédne, nieostróżne ptaszki, plączą w nie nóżki i zabierane zostają w niewolę. Tym sposobem łapią ich po kilkaset na dzień. Inni posypują przynętę i nad nią rozpinają siatkę, a skoro dużo nazbiera się śniegurek zwabionych żyrem, za pomocą przytwierdzonego sznurka spuszczają siatkę, która je nakrywa.

Sniegurki są najpiérwszą wiosenną zwierzyną; mięso z nich delikatne i smaczne, a tak są tłuste, że gdy wsadzą je do pieca dla upieczenia, muszą zlewać z naczynia tłustość, którą z siebie wydają, bo mięso w niéj się nurza i więcéj się gotuje niż piecze.

Mimo te oznaki wiosny, głęboki śnieg okrywa całą powierzchnią ziemi. Czasem trochę mróz zelży i słońce zdaje się rozpoczynać walkę ze śniegiem, wszakże zwycięztwo zostaje zawsze przy ziemi. Okna grubo zamarzły, ogurki które hoduję w skrzynce na oknie, liściem do szyb przymarzły. Lód na rzece wzdął się, ale od brzegów nawet nie odstał. Kiedyż, kiedy będzie wiosna?

— Czy przyjdzie poczta jeszcze po lodzie? Jest to wielkie pytanie, które ciągle sobie zadaję—pytanie dla mnie wielkiéj wagi.

Jeżeli poczta zatrzymuje się w niewielkiéj odległości od miasteczka, nie mogąc iść daléj z przyczyny puszczania lodów, przewożą ją czasem psami; wszakże zdarza się to bardzo rzadko. Jazda psami wyszła prawie zupełnie z używania, zastąpiły ją konie do posług domowych. Dalsze zaś podróże szczególnie w stronę północną odbywają się renami. W ubogich tylko domach, gdzie nie mogą utrzymywać konia, używają psów do wożenia wody w porze zimowéj.

Psy berezowskie są cokolwiek większe od naszych podwórzowych kondysów, mają włos długi, gęsty, najczęściéj koloru czarnego z odmianami koło szyi. Charakteru są bardzo łagodnego. Mimo swoję siłę, nie rzucają się na przechodzących, nawet nie straszą szczekaniem, chyba w nocy. Powiedzianoby, iż rozumieją że w Berezowie ich stróżliwość byłaby zbyteczna, i że bezpieczeństwo tak osób jak majątków, silniéj jest zawarowane obyczajami, niż gdzieindziéj czujnością osobistą i prawa surowością.

Promienie słońca choć nie działają dość silnie, aby stopić śnieg przy oddziaływającym mrozie, jednak uweselają bardzo pomieszkanie, oświecając je żywym blaskiem. Ten pozór wiosny, wzbudził w nas ochotę użyć przechadzki i obchodzić dzień Majowy, tak wesoły u nas, inaczéj jak między cztérma ścianami pokoju. Wyszłyśmy przeto na przechadzkę, lecz w krótce pożałowałyśmy tego. Tak było ślizko, że Józia szczególnie ślizgała się bez przestanku i padała. Pomimo że sama nie opierałam się bardzo silnie na własnych nogach, podałam rękę Józi aby ją podtrzymywać, pokazało się jednak, że na nie nazbyt mocnym filarze wsparła się biédna Józia,

bo jakoś jednorazowie obu nam nogi się pośliznęły i obieśmy popadały. Pomiarkowałyśmy, że trzeba zaniechać przechadzki, ale że dom sprawnikowstwa znajdował się niedaleko, zaszłyśmy dla odpoczynku.

Znalazłyśmy sprawnikowę zajętą wysłaniem do nas podarunku.

Kupcy berezowscy wracając z jarmarku Irbickiego, zwykli przywozić dla znajomych jaki mały podarek z płodów europejskich. Sprawnikowa chcąc z nami się podzielić tém co otrzymała, przysłała nam zmarzłe jabłko i takąż cytrynę.

Ma się rozumieć, że za przybyciem, uczęstowano nas tą osobliwością. Zmarzłe jabłko pokrajane w cieniutkie listeczki, ocukrowane, figurowało między konfiturami; przytomni obdzielali się niém zwyczajnie jak osobliwością, cytrynę zaś pokrajaną dawano do herbaty.

Wróciwszy do domu, zastałam podobnyż upominek przysłany od znajomego mi kupca. Według obyczaju berezowskiego pokrajałam jabłko, ocukrowałam, a zaprosiwszy całą rodzinę mego gospodarza, dawałam po kawałeczku, powtarzając z dumą: *to u nas rośnie.*

Jak też próżność ciągnie pokarm lada z czego. Cieszyłam się admiracją Berezowianów dla jabłka, jakby ten hołd był mnie wymierzony, jak gdybym się przyczyniła w jakikolwiek sposób do nadania mu smaku lub zapachu. Cóż za dziw, że ludzie zwykli ciągnąć chlubę z zasług lub znaczenia swoich przodków, lub spowinowaconych w dziesiątym stopniu, kiedy ja pyszniłam się pochwałami oddawanemi jabłku, które najpewniéj nie urodziło się nawet na mojéj ziemi, tylko że wywodziło pochodzenie europejskie.

Dziś syn mego gospodarza, przyniósł gęś dziką przez siebie ubitą. Dowód, że się już rozpoczęło polowanie wiosenne.

---

d. 10 Maja 1840.

Nadchodzi wiosna z całą pompą sobie właściwą. Śniegi przygrzane słońcem topnieją, wlewając z burczeniem, z hałasem do rzeki swe obfite wody. Lód na rzece oderwany od brzegów, wzniósł się na grzbiecie wody o sążni kilka wyżéj od zimowego łożyska, wszakże stoi jeszcze cały, nieporuszony, mimo rozhukane fale széroko rozlanych wybrzeży, które jak taranem biją w jego boki, chcąc go jak najprędzéj zepchnąć ze swego grzbietu. Jest to walka żywiołów w całém rozwinięciu.

Mieszkańcy nadbrzeżni wszakże, mimo tę groźną postać rozbujałéj wody, umieją sobie przyswoić jéj panowanie. Mało zważając na niebezpieczeństwo, młodzi i starzy, rozgrzani zapałem do myślistwa, od którego musieli się umartwić przez zimę, ze strzelbami na plecach lub sieciami w ręku siadają w małe czółenka, przebywają na nich napełnione wodą wybrzeża, a przybywszy do staréj matki, która jeży jeszcze grzbiet lodem nie mogąc płynąć daléj, wyciągają na lód lekkie swe statki, i lub je sunąc po lodzie, lub też przenosząc na plecach, przebywają rzekę i dostają się do przeciwległego wybrzeża, gdzie znów spuszczają czółna na wodę i płyną tam gdzie upatrzyli miejsce najudatniejsze na polowanie.

Polują teraz najwięcéj na łabędzie, gęsi i kaczki.

Polowanie na łabędzie odbywa się tym sposobem.

Nad brzegiem wody, na któréj lubią w największéj obfitości siadać łabędzie, robią budkę dla ukrycia strzelca.

Po niejakim czasie, łabędzie oswajają się z widokiem budki i jéj się nie boją. Wtenczas strzelec zasiada w budkę opatrzony strzelbą, a na przyległą wodę puszcza maniaki, to jest skóry łabędzie wypchane sianem. Wędrujące łabędzie, złudzone pozorem, postrzegając jak im się zdaje towarzyszów, siadają między niémi i dają się ubijać zaczajonemu strzelcowi.

Mięso łabędzie jest twarde i niesmaczne. Wśród obfitości innéj zwierzyny, ruscy nie używają go na pokarm. Polują na nie jedynie dla skór, które idą w handel. Berezowianie używają tych skór na kołdry, które są ciepłe i przyjemne w użyciu. Berezowianie bowiem, nie używają innych kołder, prócz futrzanych. Skóry łabędzie oddają się do wyprawy Ostjakom, którzy posiadają sekret dobréj onych wyprawy. Główna czynność zależy na wysmoktywaniu tłustości narosłéj na skórze, bez oddzielenia któréj, skóra nie może być dobrze wyprawiona.

Mięso gęsi uważa się za mniéj smaczne i jest pospolicie chude. Najgłówniejszém więc pożywieniem Sybiraków są kaczki, na które polują następującym sposobem.

Jako prawy brzeg Soswy jest nizką płaszczyzną, zalaną na wiosnę na kilkadziesiąt werst wodą, która snując się pomiędzy lasem wierzbowym, kształci tysiące wysp; brzeg ten jest ulubioném siedliskiém kaczek.

Mieszkańcy Berezowa świadomi ich obyczajów, upatrują wązki klin ziemi ściśniony między dwiema wodami, porosły wierzbą, i przecinają między témi drzewami drogę széroką na stóp 50, tak aby otworzyć widok z jednéj wody na drugą.

Po obu stronach wzmiankowanéj drogi, umocowują tyczki wysokie na łokci 15, opatrzone w górze widełkami, do których się przytwierdzają kółka mające służyć za windę. Za pomocą tych kółék i prostéj machinerji, rozpina się między owémi żerdziami sieć wiązana z nici, która zajmując całą przestrzeń przeciętą, zamyka niejako przeciętą ulicę jakby wrotami.

Myśliwiec urządziwszy tym sposobem sieć swoję, zbiera do ręki wszystkie sznury utrzymujące w powietrzu sieć owę, a przytwierdziwszy je do kołka, usiada z boku kryjąc się za jaki pień drzewa i trzyma owe sznury zawinięte na kołku w ręku swojém, dając pilną baczność na przelatujące stada kaczek.

W téj porze nie ma nocy w Berezowie, ale jest jeszcze kilka godzin szarości, niby zmroku, i właśnie pora taka jest najdogodniejszą do polowania tego rodzaju.

Owoż gdy się zbliży godzina owa szarości, gęsi, kaczki, łabędzie zaczynają jakby rój pszczół uwijać się w powietrzu. Nieprzeliczone stada tych ptaków okrywają powietrze i wodę wydając gwar niedający się pojąć tym, co nie byli świadkami podobnéj sceny. Każdy rodzaj ptaków inny krzyk wydaje, wabiąc swoich braci. Jest to pieśń dziwnie uroczysta, śpiewana chórem przez tyle stworzeń, nótą któréj sam Twórca ich wyuczył. Cóż są nasze organa, nasze orkiestry w obec tego wielkiego hymnu śpiewanego miljonami głosów, na niescignionéj okiem przestrzeni?

Skoro ptastwo pływające na jednéj wodzie spostrzeże, za pomocą przeciętéj ulicy to, które pływa na drugiéj i posłyszy głosy bratnie, nie widząc napiętéj sieci podnosi się stadami i przelatuje na wodę sąsiednią. Czas tego przelotu, jest najważniejszym dla myśliwca. Wiele stad

przeleci wyżéj sieci lub bokiem ponad lasem; ale skoro które z nich skieruje lot swój prosto w przeciętą ulicę, niebardzo wysoko, i uderza piersiami o sieć rozstawioną, myśliwiec powinien chwytać tę minutę, puścić z rąk sznury, a sieć spadająca na ziemię nakryje owo stado kaczek.

Tym sposobem jeden myśliwy może przez noc nakryć kaczek kilkadziesiąt, sto albo i więcéj, jeżeli się uda polowanie.

Ten rodzaj polowania, udaje się dobrze, tylko do połowy Maja; daléj nocy stają się tak bardzo widne, że kaczki widzą sieć rozpiętą i ją omijają.

Trudno sobie zrobić wyobrażenia ilości nadzwyczajnéj dzikiego ptastwa, które przylatuje gościć przez lato na wodach berezowskich. Kiedy wezwana przez gospodarza mego domu, wyszłam nad brzeg rzeki, dla widzenia piérwszego przelotu ptastwa, stanęłam w osłupieniu. Nie mogę wyrazić zdumienia, w jakie mię wprawił ten niezwykły widok. Ile oko objąć mogło, powietrze okryte było łańcuchami kaczek, gęsi, łabędzi, żurawi, które płynęły jak woda, bez przerwy, zawsze w jednym kierunku, nie zostawując nigdy powietrza czystego. Przestrzeń wody nieścigniona okiem, równie była okryta gęściéj niż się pokrywa sklepienie gwiazdami podczas nocy najpogodniejszéj, nieprzeliczoną liczbą wszelkiego rodzaju ptastwa. W niemém uwielbieniu podziwiałam wszechopatrzną Mądrość, która i dla Berezowa, owego jak się zdawało wydziedziczonego dziecka przyrodzenia, zsyłała żniwa tak bogate.

W podobnych chwilach, dusza potrzebuje podzielić się z kim wrażeniem, wróciłam więc do domu opowiedzieć

co widziałam moim towarzyszom. Jakoż Wakuliński wziął strzelbę, ja z Józią poszłyśmy być świadkami tego szczególnego polowania.

Zdało się, że dość strzelać i pociągnąć ręką po zdobycz, aby obfity plon otrzymać, tak było pełno zwierzyny wszędzie; jednak z wielkiém naszém zdziwieniem okazało się, że zdobycz nie była tak łatwą, jak się zdało Za zbliżeniem strzelca, ptastwo odpływało od brzegu poważnie, bez zdradzenia wielkiéj bojaźni, ni mniéj ni więcéj, tylko jak na strzał, a po jego przejściu znów wracało na miejsce, jakby naigrawając się z chciwości myśliwca: niby żartém stawiąc mu przed oczy bogate łupy, które umykały w miarę jak po nie rękę przeciągał. Nasze polowanie, kompletnie się nie udało. Wróciliśmy zmęczeni i zabłoceni, bo trzeba było przebywać z wielkim trudem potoki wody zewsząd do rzeki spływającéj.

P. X. przeciwnie złapała téj nocy sieciami 37 kaczek.

Jest w Berezowie mnóstwo ptaków, utrzymujących się przy wodach mniejszéj wielkości, jako to: słomek, bekasów, kurek wodnych, kulików i t. d.; wszakże nikt nie poluje na nie, uważając je pewnie za drobiazg niezasługujący na zachody myśliwskie, przy takiéj obfitości większéj zwierzyny.

Berezowianie mają liczne sposoby do zdobywania zwierzyny, ale są źli strzelcy. Nie pojmują, aby można zabić ptaka, albo zwierza w biegu: nie umieją nawet strzelać trafnie, nie wsparłszy wprzód lufy, na jakim punkcie stałym. W braku pnia lub gałęzi do oparcia strzelby, lub widełek, którémi umyślnie na ten cel, strzelby bywają opatrzone, wspierają je na kolanie.

Ostjacy strzelają dobrze z łuków, które u większéj części tego plemienia, są jeszcze w użyciu, a nawet lepiéj od ruskich strzelają z broni ognistéj. I nie dziw. Potrzeba więcéj, niż usiłowanie wydobyte jedynie z działania woli, wyćwicza zdolności. Ostjaków wyżywienie, całkiem spoczywa na ich własnéj zręczności, Ruscy zaś nabywają w większéj części tak przedmioty potrzebne do życia jak i do handlu z rąk Ostjaków. Piérwsi zatém więcéj się ćwiczą w przemyśle handlowym, drudzy więcéj uprawiają zręczność osobistą.

Łuki Ostjaków są wielkie, należyte ich naciągnienie wymaga wielkiéj siły.

---

13 Maja 1840.

Wielka nowina w Berezowie! Lód na Soswie, który mimo wielkie wezbranie wody, i széroko rozlane wybrzeża, stał niewzruszony, opierając się nieprzyjaznym działaniom żywiołów, przerwał się w górze, i całą massą zaczął się posuwać ku północy, unosząc na swym grzbiecie ślady gospodarstwa zimowego, założonego przez ludzi na tym gruncie niestałym.

Pomału zmieniały miejsca, i droga wytknięta gałęziami cedrowémi prowadząca do Tobolska, i wydeptane przez zimę ścieżki, i przerąby na więcierze, i pojła otoczone gałęziami jedliny, wyglądające jak piękne altanki zielone na tle białem, jedném słowem wszystkie przedmioty, do których oko nawykło przez zimę, krokiem cichym, uroczystym rozpoczynały wędrówkę.

Ta migracja w stronę daleką przedmiotów znajomych, których już nigdy oglądać nie ma się nadziei, tęskne obudza uczucie. I one też oddalając się uroczyście, pomału, zdawały się z żalem opuszczać miejsce swego pobytu, mrucząc wieczne pożegnanie. Jak zwykle bywa na świecie, ich miejsce zajął nowy przychodzień, nowa droga, nowe scieżki, nowe jedlinki zasadzone cudzą ręką, wszakże już nie te, do których się nawykło, z któremi się sprzyjaźniło, które będąc zrobione przez nas i dla nas, pozyskały naszę szczególną przychylność.

Jakby dla ostatniego pożegnania, wszystkie te przedmioty o werstę niżéj zatrzymały się w swéj wędrówce, znajdując oporę w krętym brzegu Soswy, i stały na miejscu godzin kilka. Nie wiém dla czego zwróciłam przechadzkę w tę stronę i z pewną radością obaczyłam raz jeszcze przedmioty, którym byłam już powiedziała wieczne pożegnanie.

Po kilku godzinach wypoczynku, massa lodu naciskana z góry, oswobodziwszy sobie przejście, ruszyła w dalszą podróż. Co godzina, dzieło oswobodzenia szło żywszym krokiem. Ku wieczorowi, sina woda Soswy oczyściła się ze swéj twardéj skorupy, i znów wolna, swobodna, nadyma grzbiet i wyrzuca fale wysoko, jakby się ciesząc wolnością, jakby urągając pokonanemu wrogowi, pędząc przed sobą do oceanu kawałki lodu, które oderwane od massy; wystawione na wszelkie igraszki losu, tułały się samotne, rozbite na cząstki.

I mnie też weseléj się zrobiło, bo kiedy nie ma drogi do Berezowa ani lądem, ani wodą i wiém, że poczta nie idzie, wszystkie wzruszenia duszy obumierają. Ani nadziei, ani oczekiwania. Jakbym już przestąpiła próg wieczności, czas idzie, lecz ja się nie przybliżam do żadnego celu.

---

20 Maja, 1840.

Nie uszło doby po oczyszczeniu się lodów, poczta przyszła, która zatrzymana była niedaleko, oczekując odkrycia rzeki. Jaka pociecha po tęsknem oczekiwaniu! Tyle listów!... Serce znów bije gwałtownie i łzy płyną, i duch upada w niemocy, i krzepi się ufnością w Bogu. Dusza się odrodziła wzruszeniom i życiu.

Już wiosna, choć nie taka jak u nas. Niéma ciepła, niéma zieloności, niéma kwiatów jak u nas, ale wody rozlały széroko na werst kilkadziesiąt, łódki zwijają się po tym ruchomym przestworze, polowanie na ptastwo idzie czynnie. Każda noc przasparza zdobyczy, szpichlerze są nią zawalone. Najrozmaitszych gatunków kaczki, gęsi, łabędzie zmięszane razem leżą jak zboże w zasieku, sięgając prawie belek, czekając, póki gospodyni zwykłym sposobem przyrządzi je do użycia na lato.

Przechadzka nieprzyjemna, bo mokro, zimno, a jednak się chciało użyć powietrza wiosennego. Uradziliśmy przeto w naszém towarzystwie pojechać łódką, dla złapania kaczek. Powietrze zimne, zdało mi się zabezpieczać od deszczu.

Wakuliński, Józia, pani X. i ja, oraz ludzi kilku, którymi Wakuliński mógł rozporządzać, składały towarzystwo. Gospodarz nasz pozwolił nam sieci.

Opatrzywszy się zatém we wszystko, co potrzeba było do łapania kaczek, oraz zrobiwszy zapas żywności na jeden wieczór, wyruszyliśmy z Berezowa, mając zamiar wylądować o werst piętnaście, gdzie miało być miejsce najdogodniejsze na ten rodzaj polowania.

Zaledwie ujechaliśmy werst kilka, powstała silna burza. Bałwany rzucały gwałtownie naszą rozkołysaną łódkę, grożąc niebezpieczeństwem; bryzgi bałwanów rozbijając się o boki łodzi, kropiły nas jak deszczem. Stérnik musiał użyć całéj baczności, aby kierując zawsze przód łodzi naprzeciw bałwanom, uniknąć jéj zalania.

Złożono walną radę, z któréj wypadło, aby nie płynąć do miejsca oznaczonego, wylądować na bliższym brzegu, czekając przyjaźniejszéj pory do dalszéj żeglugi.

Przy silnéj burzy, nie było łatwo przybić do brzegu. Trzeba było z największém niebezpieczeństwem przepływać w poprzek głąb', czyli koryto rzeki, na którém bałwany były najbardziéj rozhukane. Jednak, przebywszy prąd z wielkiém usiłowaniem, wpłynęliśmy w zatokę, która osłoniona będąc wierzbami, miała powierzchnię mniéj rozhukaną.

Z wielkiém ukontentowaniem wylądowaliśmy z całym bagażem, i rozłożyliśmy ogień.

Po rozłożeniu ognia, następnym aktem było nastawienie samowaru. Tymczasem pani X. i Wakuliński, poszli strzelać kaczki, obiecując upolować zwierzyny na wieczerzę, i z powiększonym zapasem spiżarniowym, jechać na dalsze stanowisko, gdy wiatr trochę ucichnie.

Wszakże herbata była gotowa, a wiatr nieustawał. Na domiar niepomyślności, kompanja strzelająca wystrzelawszy wszystkie naboje wróciła bez zdobyczy, ale za to, jak zwykle na polowaniu, z zapasem dobrych przyczyn, dla których polowanie się nie powiodło.

Pocieszając się, piliśmy herbatę wyglądając lepszéj pory. Po niejakim czasie, gdy ta lepsza pora nie nadchodziła, zjedliśmy zrazy, któreśmy wzięli z sobą na wieczerzę, a tu wiatr jak huczy tak huczy.

Wreszcie wieczór nadszedł, nie było czasu myślić o

dalszéj wyprawie. Uradzono, aby na témże miejscu noc przepędzić, a zatém i siecie rozwiesić.

Członkowie myśliwskiego towarzystwa rozbiegli się, aby znaleźć stosowne miejsce do rozpięcia sieci, a gdy wrócili ze wzwiadów, zebraliśmy bagaże, usiedliśmy znów na łódkę i wpłynęliśmy daléj w zatokę.

Tam woda była zupełnie cicha, przywiązawszy zatém łódź do wierzby pochylonéj nad wodą, zaczęliśmy rozwieszać sieci.

Z wielką trudnością ta praca dokonać się dała, bo wiatr był bardzo silny, przeto wywracał tyczki, a miotając siecią, nie pozwalał swobodnie ją rozpinać. Jednak gorliwa praca, pokonała trudność, niezapewniwszy wszakże dobrego powodzenia. Kaczek było bardzo dużo, ale że noc była widna jakby w dzień, do tego wiatr silnie nadymając *perewies*, robił go tém widoczniejszém, kaczki nie chciały nań lecieć. Uważaliśmy przeto polowanie za zupełnie chybione.

Straciwszy nadzieję pomyślnego łowu, przejęci zimnem porzuciliśmy sieć rozpiętą na igraszkę wiatrom, sami zaś zasiedliśmy grzać się u ogniska, kiedy niebo zaczęło się czerwienić od wschodu, co znaczyło blizkie wejście słońca na widnokrąg. Tymczasem wiatr nie przestawał huczeć z największą siłą nad naszemi głowami, opuszczony od wszystkich perewies miotał się w powietrzu jak wściekły.

Nakoniec słońce zaczęło wynurzać swą głowę nad ziemię; wyglądaliśmy go dość niecierpliwie, mając nadzieję, że wejście téj gwiazdy wpłynie na uciszenie wiatru. jak to nieraz się trafia.

Próżna nadzieja! Słońce świeci, a wiatr nie przestaje miotać wściekle drzew wierzchołkami. Zaczęliśmy serjo się niepokoić, co będziemy robić daléj.

Brzeg, na którym znajdowaliśmy się wówczas był przeciwległy temu, na którym zbudowany był Berezow, a dla nizkości gruntu, zgoła był niezamieszkany. Gdybyśmy szli werst kilkadziesiąt, nie znaleźlibyśmy mieszkania ludzkiego. Burza mogła potrwać dni kilka, podczas któréj przeprawić się za rzekę w błahéj łódce jak nasza, bez największego niebezpieczeństwa, było niepodobném; tém bardziéj, żeśmy nie mieli biegłego stérnika. Żywności żadnéj nie mieliśmy, proch wszystek był wystrzelany, któryby pomógł do zdobycia żywności. Co robić w tak niepokojącém położeniu?

Cierpliwość i ufność w Bogu, była hasłem nas wszystkich. Nie mogąc nic działać, jedni z nas zasiedli grzać się koło ogniska, inni machinalnie usiedli koło perewiesa, oczy mając zwrócone na stada kaczek, które zrywały się z wody i odlatywały daléj; ja z nudy poszłam błąkać się ponad brzegiem zatoki, a gdy weszłam dość daleko, zachciało mi się dójść aż do Soswy i spójrzeć na pieniące się bałwany téj széroko rozlanéj rzeki. Burza bowiem hucząca w powietrzu, obiecywała wspaniałe widowisko.

Uszłam z werstę. Już széroka tafla wody przegląda przez gałęzie wierzb. Zbliżam się do brzegu, o dziwy!!! Mimo wiatr silny, pochylający ku ziemi drzew wierzchołki, powierzchnia wody na Soswie lekkiémi tylko była okryta marszczkami, kiedy wczoraj, przy mniéj silnéj burzy, bałwany biły wysoko.

Oczom swoim nie wierzę. Myślę czy nie zbłądziłam, czy nie jestem nad jaką inną zatoką, inną wodą. Dla uspokojenia wątpliwości, rozpatruję się w miejscowości i

znajduję szczątki wczoraj nałożonego ogniska, przy którém piliśmy herbatę, porozrzucane papiery i inne ślady naszego chwilowégo koczowania nad tym brzegiem.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem na Soswę, zapewniwszy się, że nie jestem w błędzie, lecę co tchu zwiastować ten cud, tę radośną nowinę moim współtowarzyszom. Jakoż nie tracąc czasu, zbieramy perewies, zabieramy się na łódkę i odbijamy od brzegu.

Na domiar pomyślności, w czasie moich wzwiadów, stado kaczek oślepione zapewne blaskiem wschodzącego słońca wpadło na perewies, i Wakulińskiemu poszczęściło się nakryć ich cztéry.

Przyczyną uciszenia fal na rzece, było jak się zdaje to, że wiatr wczoraj wiejąc z północy, był w sprzeczności z biegiem wody, a zatém dwie siły spierając się sprzecznie, podnosiły silne bałwany. Dziś, obróciwszy się z południa, wiał zgodnie z biegiem wody. Ta więc, nie odpychana wstecz siłą wiatru, płynęła spokojnie.

Z prawdziwą przyjemnością wpłynęliśmy na Soswę, a jakby niedowierzając własnym zmysłom, jakby bojąc się jakiéj zdrady, wszyscy wzięliśmy się silnie do wioseł, aby przepłynąć przynajmniéj co prędzéj rzekę w poprzek i być w stanie w każdym momencie, w złéj chwili szukać schronienia na brzegu przeciwnym, zkąd i piechotą możnaby się dostać do naszego pomieszkania.

Obawa nasza była próżną. Bez żadnego niebezpieczeństwa przypłynęliśmy do Berezowa, i na *bajraku* wylądowaliśmy prawie pod samym domem naszym.

Wielka to prawda, że tylko niepokoje, kłopoty, prywacye mogą oznaczyć cenę przyjemności codziennych,

które powszednieją i prześlizgują się niepostrzeżone wśród codziennego onych używania.

Trzeba je usunąć choć na chwilę, aby uczuć ich wartość. Jakoż nigdy z takiém ukontentowaniem nie wróciłam do mego czystego, dobrze ogrzanego pokoiku, jak po téj ostatniéj przejażdżce.

Wszyscy już w domu powstawali, i według zwyczaju krzątali się około samowaru. Poszliśmy za ich przykładem; a napiwszy się herbaty, kazawszy pozamykać okiennice, z prawdziwą lubością po przeziębieniu, nocy bezsennéj i niespokojności umysłowéj, znalazłyśmy się w ciepłém łóżku.

---

29 Maja, 1840.

Jutro rocznica przybycia mego do Berezowa. Jakąż ten rok przyniósł zmianę w mojém położeniu, czy to w duszy? Jeden rok tęsknoty, cierpienia wygluzowany z życia, oto całe zdobycie.

Jakaż tu wiosna zimna i tęskna! Nie. Tu niéma wiosny. Nie mogę wyrazu *wiosna* rozłączyć z wyobrażeniami ciepła, życia, wdzięku, roskoszy. Możnaż tu przeczuć, domyślić się którego z tych warunków, kiedy się trawa nie zieleni, drzewa nie rozwijają, woda na dworze w kałużkach pozamarzała, w piecu trzeba palić. Prawda, że pączki na drzewach znacznie nabrzmiały, że ptastwo napełnia powietrze świegotaniem, wszakże to tylko przygotowanie do wiosny, zapowiadające przyjazd téj królowéj, oczekiwanéj z taką niecierpliwością.

Statki wyprawione z Tobolska i innych miejsc ku odnodze Obskiéj dla połowu ryb, po drodze już zawinęły do Berezowa. Berezów się ożywił życiem niezwykłém. Stat-

ki owe przywoziły dla Berezowa potrzebne towary. Rzeka więc zamieniła się w targowisko. Każdy mieszkaniec robi zapasy na rok cały; ten kupuje mąkę, ów krupy, inny garnki, jaja, ćwieczki, świéce, mydło, smołę i t. d. Łodzie zwijają się ciągle od brzegów do statków i na powrót, na przemian to próżne, to wyładowane. Przybyli i miejscowi, odwiedzają się nawzajem, wszystko to dawno znajomi, odbywający wraz z kaczkami doroczną wędrówkę ku Północnemu oceanowi.

Prócz tego ruchu zewnętrznego, odbywa się jeszcze drugi ruch wewnętrzny. Wszyscy Berezowianie, którzy są w stanie uekwipować łódź, wybierają się także na rybołówbę na morze Obskie. Ładują zatém swoje łodzie, pieką suchary, opatrują się w potrzebne zapasy, a razem myślą o zaopatrzeniu na kilka miesięcy potrzeb familji zostającéj w domu. Jedni witają przyjeżdżających, drudzy żegnają odjeżdżających. Żony, dzieci, przeprowadzają mężów, ojców odpływających na kilkomiesięczną wędrówkę. Od godziny do godziny słychać wystrzał z palnéj broni, oznajmujący, że jakiś nowy statek zawinął do brzegu, lub że który z miejscowych opuścił Berezów.

Między innemi przyszedł statek tobolskiego kupca Brabina, na którym w roku przeszłym przybyliśmy do Berezowa. *Prykazczyk*, to jest mający główny dozór nad statkiem, przyszedł nas odwiedzić jako znajome. Potém zaprosił abyśmy go odwiedziły na jego statku.

Po obiedzie, w towarzystwie gospodarza naszego pojechałyśmy łódką do statku, który stał na kotwicy na głębszéj wodzie. Uprzejmy *prykazczyk* przyjmował nas herbatą i konfiturami.

Z przyjemnością znalazłam się na statku, który mi

służył za schronienie przez dwa tygodnie, którego każdy kątek był mi tak dobrze znajomy. Też same police na których spałyśmy, tenże stolik, szafka, też same napisy po ścianach. Dla czego umknienie w przeszłość choćby nie bardzo pomyślną, sprawia duszy pewną przyjemność? Odpowiedź na to pytanie rodzi tak wielki szereg myśli, że trudno tu dotknąć tak obszernego przedmiotu.

Miałam dziś nawiedziny równie niespodziewane jak dziwne. Francuz w Berezowie!!! Nieprawdaż, że nadzwyczajne zjawisko? Jakoż trzeba było widzieć natłok ciekawych, którzy się nacisnęli do przedpokoju, a gdy miejsca nie stało, nawet do sypialnego pokoju, aby widzieć choć przeze drzwi Francuza.

Wojna 1812 r. obiła się mniéj więcéj o uszy niektórych i pomięszała się w głowie z bajkami, z niedorzecznościami, z jakiemiś poetycznémi utworami wyobraźni. Można zatém sądzić, jakie wrażenie sprawiło przybycie wcielonego Francuza.

Prawda, że Francuz pełen manjery i żywości francuzkiéj, ubrany w grube odzienie majtka rybołowa, w bótach z prostéj skóry sięgających do pasa, jakie noszą zwykle wszyscy majtkowie rybołowy, wyglądał dość pociesznie. Nie tracił przecie ani swobody myśli, ani pewnego uczucia osobistéj godności, co czyniło tém wydatniejszą sprzeczność.

Aby wytłumaczyć to zjawisko, trzeba rozpowiedzieć całą jego historję, która jest dość nadzwyczajna.

Nim zacznę to opowiadanie, napomknę tu nawiasem, że na Syberji biografje osób pojedyńczych nie tak prozaiczne, jednotonne, jak bywają u nas. Szczególnie życie ledwo nie każdego wygnańca, nie wyjmując mniejszych

i większych zbrodniarzy, przedstawia fakta zajmujące, tak swą rozmaitością, jak że odsłaniają zasłonę głębszą, ukrytszą serca człowieka, nie tę powszednią którą ludzie przedstawiać zwykli towarzystwu, zakochanemu w pewnéj tylko zużytéj formie. Gdyby się tam pojawił jaki Walter-Skott z piórem w ręku, obdarzyłby nas pewnie utworami wcale innéj barwy, niż zwykłe płowe powieści.

Teraz wracam do mego Francuza.

Francuz ów był nazwiskiem *Le Brun*, liczył sobie lat 32, tłumaczył się po francuzku mową lepszego towarzystwa, miał twarz z wyrazem i kibić zręczną, mimo ubior gorzéj niż zaniedbany, gorzéj niż prosty, bo przesiękły błotem i dziegciem.

Historja jego, jak mi ją opowiadał, jest treści następującéj.

Ojciec pomienionego *Le Brun*, był członkiem wielkiéj armji Napoleona. W wyprawie przeciw Rossji w 1812, był wzięty w niewolę, a mały syn będący przy nim, los jego podzielił. Oba byli wysłani do Syberji, gdzie ojciec jego nauczywszy się szewstwa, dla utrzymania życia, po pewnym czasie umarł.

Młody *Le Brun* spędziwszy piérwszą młodość w Syberji, a zatém więcéj już oswojony z życiem tameczném niż ojciec, przy tém nie mając sposobności myśleć o uwolnieniu, miał już swój los za skończony, i doszedłszy lat młodzieńczych, ożenił się z Sybiraczką w Iszymie.

Kiedy już był żonaty od lat kilku, trafia się że jeden z panów rossyjskich, zdaje się że hrabia Tołstoj, mając sobie powierzoną pewną missję od rządu, zwiedzał Syberję. *Le Brun* chwyta tę zręczność, opowiada hrabiemu swoje położenie i prosi o pomoc do wydobycia się z Syberji.

Hrabia zainteresował się cudzoziemcem pokutującym nie za swoję winę, zanotował sobie ten interes, a za powrótem jego do Petersburga, poseł francuzki imieniem swego dworu, prosił o uwolnienie poddanego swego kraju.

Stało się zadość żądaniu posła. *Le Brun* otrzymał pasport na powrót do ojczyzny, a razem hrabia przysłał mu pieniądze potrzebne na podróż.

Le Brun otrzymał więc cel swojéj prośby, wszakże mając żonę i dzieci, chęci jego były rozdwojone. Chcąc pogodzić krzyżujące się uczucia miłości kraju i przywiązania do rodziny, *Le Brun* zdecydował się pojechać do swego kraju najprzód sam jeden, a upatrzywszy dla siebie miejsce, wrócić po żonę i dzieci.

Tu otworzyło się dla Francuza nowe pole życia. Obrócił drogę na Petersburg, nie wiém czy z potrzeby, czy z wolnego wyboru. Tam, gdy się przedstawił protektorowi swemu hrabiemu Tołstoj, ten go zaczął namawiać, aby zamiast wyjazdu do Francyi, umieścił się lepiéj w Petersburgu, przyjmując łatwe obowiązki paplania swoim językiem. *Le Brun* usłuchał rady, i za wstawieniem się hrabiego, dostał miejscę u jednéj xiężnéj dla rozmawiania z jéj dziećmi.

Tym sposobem *Le Brun* wyrwany od życia na wpół-dzikiego, nagle został otoczony dostatkiem, wygodami, a nawet zbytkiem; wszakże po dziesięciu miesiącach, gdy stępiał powab nowości, zechciało się Francuzowi odwiedzić koniecznie swoję ojczyznę, którą znał tylko z opowiadań ojca.

Hrabia odradzał, ale przekonawszy się, że ta podróż

była najgorętszém życzeniem Francuza, postarał się aby mu ułatwić środki do jéj odbycia. Niezadługo stanął wędrowiec na ojczystéj ziemi.

Wszakże ta ziemia, któréj tradycye miał przekazane sobie przez ojca, zmieniła zupełnie fizjonomję. Nie było krewnych, przyjaciół do których dążył, o których oprzeć się zamyślał. Dwadzieścia lat brzemiennych tak wielkiemi zmianami, przeszło przez tę posadę unosząc z sobą osoby, familje, majątki. Wśród Francyi kolebki swego dzieciństwa, *Le Brun* znalazł się bardziéj obcym niż w Syberji. Tam przynajmniéj miał żonę, dzieci, jéj krewnych, wspomnienia młodości, grób ojca.

Wszakże niektóre osoby, chociaż nieznajome, do których się udał, dotknięte osobliwością jego położenia, nieszczęściami które przetrwał, wyjednały mu posadę opatrzoną mierną pensyjką, z któréj mógł się utrzymywać. *Le Brun* poprzestałby na niéj, ale tęsknota za żoną i dziećmi od których nie miał żadnéj wiadomości, codzień go bardziéj zaczęła dojmować. Kto wié czy nawyknienie żyć swobodnie, obszernie, w kraju gdzie wolność osobista nie jest ograniczona na każdym kroku prawami drugiego, nie wpłynęło na stan jego duszy?

Cztéry lata upłynęło od wyjazdu z Syberji, kiedy *Le Brun* wiedziony czy tęsknotą, czy też miłością dla rodziny, postanowił odbyć podróż do Syberji dla zabrania żony i dzieci. Porzucił zatém swoję posadę, a spieniężywszy co miał, do tego opatrzony sumką składkową zebraną przez osoby interesujące się jego losem, wyruszył nazad do Syberji.

Odbywał podróż swoję małym kosztem, to piechotą, to korzystając ze zręczności zabierał się z jakim podróżnym zainteresowanym wyjątkowością jego położenia, i tym sposobem dostał się do Tiumienia, miasteczka powiatowego gubernji Tobolskiéj.

Kto odbywał daleką podróż, wié jak się niecierpliwość wzmaga w miarę przybliżania się do kresu. Tego doświadczył i nasz Francuz. W takiém usposobieniu nadarzyła mu się zręczność zajechania prędzéj do Iszymu, miasteczka równie należącego do Tobolskiéj gubernji, gdzie ojciec żony jego miał dom własny, do którego przyjął córkę z dziećmi po wyjeździe zięcia. Brak tylko funduszu stał na przeszkodzie.

Le Brun i tém się nie zraża. Rachując na uczynność teścia, na przywiązanie żony, zawiera ugodę z furmanem z warunkiem zapłacenia w Iszymie reszty należności. Tymczasem w zakład rzetelności daje swój pasport.

Niezadługo staje w Iszymie. Wchodzi w próg znajomego mu domu, ale go spotyka fizjonomja mu obca.

— Gdzie teść?

— Umarł. Dom sprzedany innemu.

— Gdzie żona?

Wyszła za mąż za innego i wyjechała wraz z dziećmi do Irkucka.

Wszystkie nadzieje znikły. Już nie było po co gonić daléj za żoną o werst sześć tysięcy. Tymczasem inny jeszcze kłopot. Cała ruchomość nie była dostateczna do zaspokojenia furmana, który mu nie chciał oddawać pasportu. Znajomość języka francuzkiego, która w Rossji lub Polsce byłaby dostatecznym warunkiem do wyjednania miejsca lub zasiłku pieniężnego, w Syberji nie miała żadnego popłatu. Zatém po bezskutecznych usiłowaniach aby odzyskać pasport, poradzono mu aby się najął jako

flisak na statek kupiecki na jedne lato, za co dostanie z góry rubli kilkadziesiąt i skończy swój interes.

W niedostatku innego środka, francuz chwycił się tego. Przywykły jak widno nie tracić ducha w złym razie, pocieszał się marząc, że podróż jego jeżeli nie bardzo wygodna, będzie przynajmniéj powabna nowością, zwiedzając kraj tak mało znany, z fizjonomją tak różną od innych krajów.

Gdy przedmioty są oddalone, wyobraźnia zwykła przedstawiać tylko poetyczną ich stronę; lecz proza wlecze się za naszemi stopami, i za zbliżeniem mięszając swoje męty do farb najświetniejszych, zabrudza obraz, psuje go, szpeci, zabija cały urok. Doświadczył tego nasz Francuz. Przy dokuczającém zimnie, złém jadle, niedostateczném odzieniu, ciężkiéj pracy, komarach, grubijańskiém towarzystwie, znikła poetyczność przybiegunowego krajobrazu, wzdychał tylko do prędkiego końca improwizowanéj podróży, a tymczasem do kożucha, któryby ogrzał jego zziębłe członki.

W takiém usposobieniu przyjechał Francuz do Berezowa.

---

1 Czerwca, 1840.

Jakże skok nagły od zimna do upału! Wczoraj zziębłe członki tuliły się pod ciepłe odzienie, w piecu palono; dziś od rana objawił się upał najsilniejszy. Ubior jak można najlżejszy zastąpił miejsce waty, dzbanek wody z lodem stanął na oknie dla odświeżania chłodnym napojem sił zwątlonych zbyteczném gorącém. Okna pootwierane, wszyscy witają powrót lata z niewymówną radością.

Rzeka okryła się łódkami rozmaitéj wielkości, kolorowe chorągiewki zdobiące wierzchołki masztów, migocą przy lekkim powiewie wiatru. Gdzieindziéj błyszczy na środku szérokiéj wody biały żagiel wzdęty wiatrem, unoszący niewielką łódkę. Żagiel ten oświecony jaskrawym blaskiem słońca, wydaje się oślepiającéj białości, płynie poważnie jakby łabędź jaki z rozpostartemi ku słońcu skrzydłami. Sine fale przejmując promienie słońca iskrzą się miljonami świateł ruchomych, które zdają się co moment zapalać i niknąć pogrążone w topieli.

O jak w każdém miejscu przyrodzenie jest cudne, wielkie, zachwycające gdy się uśmiéchnie do człowieka miłością macierzyńską! Jakże nie odpowiedzieć na ten piérwszy uśmiéch duszą pełną wylania i wdzięczności?

Tak było ciasno w mieszkaniu, że mimo skwar słońca, zachciało się odetchnąć pod czystém sklepieniem, chwytać całą piersią ożywcze tchnienie przyrodzenia. Dość już gnuśnieć między cztérma ścianami.

Wyszłyśmy na przechadzkę.

Słońce oddychało trochę zanadto gorącą miłością, karesy jego były prawie do niezniesienia. Dom strapczynéj był niedaleko, zaszłyśmy do niéj odpocząć, schronić się przed doskwierającym upałem.

I tam równie wesoło obchodzono powrót lata. Okna pootwierane, gosposia lekko, strojnie ubrana zdawała się święcić uroczyście miłe przebudzenie natury.

Pijąc zimną wodę, jedząc konfitury, skarżąc się na gorąco, czekaliśmy czy nie ochłodnie powietrze, którego temperatura coraz zdawała się podnosić.

Zabawiłyśmy tam godzin ze dwie; uprzejma gospodyni zatrzymywała nas i namawiała, aby późniéj razem z nią pójść na przechadzkę. Jakoż miałyśmy już wycho-

dzić, kiedy postrzegłam przez otwarte okno małą chmurkę. Ledwie ją dałam zauważyć moim towarzyszkom, kiedy powstał wiatr gwałtowny i zaczął zrzucać różne fanty ze stolików na ziemię. Widząc że się zanosi nie na żarty, wszystkie trzy rzuciłyśmy się do zamykania okien. Próżny pośpiech! Wiatr wyrwał okno z ręki gospodyni i cisnął je o ziemię. Mnie i Józi lepiéj się udało, bo przynajmniéj okna ocalały.

W momencie deszcz ulewny z grzmotem i piorunami, zakończył tę scenę.

O! pomyślałam sobie. Tutejsze przyrodzenie to nie tkliwa kochanka oddychająca równie czułą miłością w każdéj chwili życia, ale kapryśna zalotnica.

Musiałyśmy zostać u strapczynéj nim deszcz przeszedł i strumyki wody pozbiegały do rzeki.

Upłynęło godzin kilka od czasu jakeśmy wyszły z domu. Słońce już było nizko, powietrze ochłodło po deszczu, grzmoty huczały tylko zdala, ziemia była wilgotna, ale po trotuarach przynajmniéj można było przejść mniéj więcéj suchą nogą. Powietrze i ziemia musiały pić wodę z pragnieniem, bo po takiéj ulewie nie zostało widocznych jéj śladów, i słońce jakby tylko się skąpawszy zaświeciło jeszcze piękniéj. I cicho, wesoło jakby nic nie było.

Wracamy do domu. O dziwy!! Trawa zazieleniała, zdaje się, że urosła w okamgnieniu. Czeremcha rozkwitła, pączki rozpękły na modrzewiach, strojąc je w śliczną zieloność i zaprawiając powietrze najmilszą wonią. Jedném słowem, cała postać okolicy zmieniła się w okamgnieniu jakby czarami.

Wróciwszy do domu zajęłam się gospodarstwem. Przesadziłam na urządzony inspekt ogórki wyhodowane

w skrzynce na oknach, które już się zabierały do kwitnienia.

Półkownik Krzyżanowski pokazał tu piérwszy, sposób robienia inspektów. Zastałam więc gotową skrzynię i trzy okna.

Około godziny jedenastéj w wieczór (proszę pamiętać, że tu nie ma w téj porze różnicy dnia od nocy), gospodarz nasz odpływał na całe lato na morze Obskie dla połowu ryb. Jest tu we zwyczaju, że rodzina i znajomi powinni odprowadzać za miasto każdego odjeżdżającego w podróż. Im osoba jest więcéj uważana i ma obszerniejsze stosunki, tém orszak bywa liczniejszy. Zimą towarzyszy odjeżdżającemu liczny szereg sanek, latem, przeprowadzają na łódkach. Ci co są połączeni mniéj ścisłémi stosunkami, odprowadzają tylko do brzegu.

Życie tutejszych mieszkańców jest tak ubogie w wypadki, że każda zmiana w codziennym bycie zamienia się w jakiś akt uroczysty. Imieniny, rocznica urodzin każdego członka rodziny, choćby oddalonego, dzień spowiedzi, rocznica śmierci, przybycie, odjazd, obchodzone są z pewnémi obrzędami.

Oświadczyłyśmy chęć należenia do orszaku odprowadzającego Kozłowa. Kilka łódek mu towarzyszyło, i my między innémi.

Wyjechawszy na pełnią rzeki, trzy wystrzały ze strzelby dały hasło pożegnania miasta. My płynęliśmy jeszcze daléj, nakoniec przeprowadzający wrócili do miasteczka, my zaś ze swoją łódką zawróciliśmy na prawo i wpłynęli na rzekę zwaną *Małą Ostjacką*. Tam przedstawiła się nam ładna jak się zdawało wyspa, na któréj wylądowaliśmy.

Znalazłam na niéj krzak malin jeszcze w liść nierozwiniętych, który wykopałam z korzeniem aby go przesadzić do domowego ogródka. Wakuliński zaś ze strzelbą poszedł uganiać się za kaczkami.

Polowanie się nie udało. Żadnéj kaczki nie zastrzeliwszy wróciliśmy do domu.

---

29 Czerwca, 1840.

Dzień dzisiejszy odznacza się w Berezowie podwójną uroczystością. Szkółka się w ten dzień zamyka i przechadzka publiczna, doroczna, odbywa się ku rzece Wajgułce.

Zwykle rok naukowy kończy się examinem publicznym. Jest to raczéj obrządek, zabawa, niż sprawozdanie uczniów przed publicznością, śledzącą za ich postępami.

Główny warunek, że ciało naukowe złożone z inspektora i dwóch nauczycieli, zaprasza na examin wszystkich urzędników i arystokracyę miasteczka, przed których przywołują się uczniowie i są zapytywani w obec zebranych gości przez nauczycieli.

Szanowne zgromadzenie gości słucha drzémiąc tak zapytań, jak i odpowiedzi, nie rozumiejąc zgoła, ani pojmując nawet do czego podobne banialuki jak grammatyka lub wyższe rachunki mogą się przydać. Przebudzają się tylko wówczas, kiedy po odejściu uczniów zaczną zastawiać stoły obfitém śniadaniem.

Jedno dość zabawne zdarzenie dzisiaj przytrafione, da miarę usposobień naukowych publiczności berezowskiéj.

Wakuliński należący także do ciała urzędników, został wezwany wraz z innémi do assystowania examinom.

Według zwyczaju, nauczyciel obrócił się do gości zapytując, czy nie podoba się komu dać jakie zapytanie któremu z uczniów.

Ponieważ ta ceremonja odbywała się co roku i zawsze była tylko czczą formą, urzędnicy według zwyczaju potrzęśli głową na znak odmówienia, czekając tylko rychło-li się skończy ten usypiający obrządek.

Gdy koléj przyszła na Wakulińskiego, ten, zamiast pokręcenia głową na wzór szanownych kolegów, zadał pytanie z arytmetyki. Rzecz była o ułamkach.

Sproszeni goście, otrzeźwieni ze snu taką nowością, wytrzeszczyli na Wakulińskiego oczy, nie pojmując jak być może, aby jeden profan śmiał się wdzierać w tajemnice dostępne tylko samym poświęconym.

Uroczystość ta examinów, kończy się zwykle zadowoleniem wszystkich stron. Młodzież uwolniona na parę miesięcy od obowiązku ślęczenia nad papierem, biegnie ochoczo do swych domów, ciesząc się swobodą i wesołą myślą; goście zaś pożywają smaczno, przygotowane w obfitości jadła i napoje.

Nim Wakuliński wyszedł ze szkółki, stugębna sława rozniosła po Berezowie, że Wakuliński umié ułamki. Wszyscy udzielali sobie téj wieści z pewném niedowierzaniem.

Gdy Wakuliński nie domyślając się nawet, że jest przedmiotem żywych rozpraw Berezowianów, po śniadaniu wracał do swego domu, kupiec jeden zabiegł mu drogę, zapytując czy prawda co głoszą, że on (Wakuliński) umié ułamki. Uśmiechnął się Wakuliński i dał odpowiedź twierdzącą.

—W takim razie, dodał kupiec, niech mię pan obja-

śni czy to prawda co mówią, że kto umié ułamki może odgadnąć wiele szrocin mieści się w czetwerti?

Nie skończyło się na kupcu, wiele osób spotykało go na ulicy i zadawało mu pytania tegoż rozmiaru.

W dniu dzisiejszym wszędzie w Berezowie stoły są sutsze, wykwintniejsze niż w inne święta, bo kończy się post kilkotygodniowy, który ruskie pospólstwo nazywa *Piotrówką*.

Po posilnym obiedzie, publiczność berezowska, bogaci i ubodzy, starzy i młodzi udali się na przechadzkę należącą do dorocznych obrzędów, na miejsce uprzywilejowane zwane Wajgułką, od rzeki tegoż imienia. Miejsce tak zwane, jest to kawałek łąki przypierającéj do rzeki, nad którą zbudowane skarbowe magazyny na skład mąki i soli. Budowle najokazalsze w Berezowie, wyjąwszy lazaret również przez rząd zbudowany. Brzeg suchy, kawałek łąki otoczonéj lasem i piękna woda, robią to miejsce wcale powabném. W kraju, gdzie cała powierzchnia ziemi okryta jest lasem nieprzerwanym, łąka, do tego sucha, stanowi bardzo miłą rozmaitość.

Wszakże ja co lubię najlepiéj samotną przechadzkę, odłożyłam ją na dzień inny, zamierzając przepędzić dzień cały w domu w zupełnéj ciszy. Jednak stało się inaczéj.

Ostjacy, którzy przybywszy z jurt swoich dla pewnych interesów zajęli gospodę w domu gdzie mieszkam, nie omieszkali, korzystając z łatwości dostania wódki, podochocić, a podochociwszy nabrali ochoty do tańca.

Gospodyni nie rada aby jéj pokój służył im za salę do tańca, wyprosiła wesołych gości za drzwi, wszakże to nie nastąpiło bez pewnego oporu.

Słysząc harmider w przedpokoju, wyszłam zapytać o przyczynę, a dowiedziawszy się o co idzie, zaprosiłam Ostjaków do siebie prosząc aby tańcowali, bo dawno życzyłam sobie widzieć oryginalny taniec Ostjaków.

Ostjacy z wdzięcznością przyjęli zaprosiny, lecz mię zakłopotali proponując czy nie mogę zagrać. Mając pod ręką tylko gitarę zaczęłam brać akorda, wybijając takt kozakowy. Podobała się widno ta muzyka, bo zaraz zaczęli pląsać.

Taniec Ostjaków jest niejako przedstawieniem scenicznem, albo pantominą. Naśladują oni zwykle łowy, albo igraszki źwierząt dzikich między sobą. Wszakże talent ich artystyczny nie dosięga celu. Trudno się z giestów domyślić bez tłómacza co chcą przedstawić. Główną zasadą tańca, są skoki i ruchy nadzwyczaj silne, wprawiające w poruszenie całe ciało.

Moi tancerze we dwóch wystąpili na scenę. Zaczęli skakać, podnosząc się to przysiadając ku ziemi, robiąc koło w pokoju jak gdyby tańcowali walca. Raz wyciągali gwałtownie obie ręce na przemiany ze ściśniętémi pięściami jakby attakując kogo, jakby grożąc, to znów padali na ziemię jakby w ostatniém sił wycieńczeniu, i po chwili zrywali się znowu, a zawsze tak żwawo, z tak gwałtownémi ruchami, że aż przykro było patrzéć.

Tańcowali tak bez odetchnienia z najgwałtowniejszém wysileniem, więcéj półgodziny. Prosiłam aby zaprzestali widząc, że się tak męczą, ale zacietrzewieni słuchać nie chcieli moich przedstawień. Nakoniec jeden z tancerzów upadł na ziemię bez ruchu, drugi zaś nie przestawał tańcować. Zlękłam się. Myślałam, że ruch gwałtowny doprowadził do zemdlenia, a może do apoplexji, i ze zgrozą

widziałam, że kiedy ja całkiem zajęta byłam wypadkiem, żaden z towarzyszów nie myślał o ratunku.

Kiedy się troszczę o nieruchomego tancerza, mniemany omdlały zrywa się nagle z ziemi, i znów z największą gwałtownością rozpoczyna taniec na nowo, jakby nowych sił nabrawszy.

Podczas gdy dwaj tańcowali, inni Ostjacy należący do tegoż towarzystwa usiedli na podłodze zachyliwszy pod siebie nogi po wschodniemu, i przypatrywali się tańcom.

Zmordowani nareszcie tancerze ukończyli taniec, i wszyscy zabierali się wychodzić. Myślałam, że zrobię im przyjemność i wcisnęłam jednemu z tańcujących w rękę trochę monety.

Ostjak przyjął, a nic mi nie powiedziawszy roztwotworzył dłoń i pokazał pieniądze innym Ostjakom, po czém wszyscy zaczęli między sobą rozmawiać swoim językiem, któréj mowy nie rozumiałam.

Po dość długich naradach, jak się zdawało, jeden z nich umiejący trochę po rusku zapytał, na co dałam jego towarzyszowi pieniądze.

— Dla was na wódkę, odpowiedziałam.

— Jeżeli masz wódkę, daj wódki, będzie dobrze, bo my ją lubimy, ale pieniądze brać to brzydko. Pieniędzy nie chcemy.

Ta odpowiedź mię zawstydziła. Odpowiedziałam wszakże, że widząc ich zmordowanych tańcem, a nie mając u siebie wódki, chciałam aby się pokrzepili.

— Nie dla ciebie tańcowaliśmy, odpowiedział Ostjak, ale z własnéj ochoty; tobie zaś dziękujemy żeś pozwoliła tańcować u siebie. Pieniędzy nie trzeba. Jak drugi raz przyjedziemy, to ci przywieziemy świéżych kaczek.

Zdziwiła mię ta instynktowa szlachetność narodu dzikiego i ubogiego w porównaniu z nami. A posuwając się daléj w myślach, zrobiłam sobie zapytanie czy wyższy stopień cywilizacyi, przemysł, rozwinienie potrzeb, wydelikacenie używań, uszlachetnia uczucia czy też przeciwnie?

Nie powiém jaka odpowiedź wywinęła mi się na to pytanie. Boję się obrazić naszéj cywilizacyi tak dumnéj i zarozumiałéj. Wreszcie nie powiedziałabym nic nowego, twierdząc, że ograniczenie żądz jest matką wszelkiéj szlachetności.

Ostjacy nie pojmują nawet hierarchicznego stopniowania w klassach towarzystw ukształconych, ani owéj nauki szczeblowania, tak misternie wprowadzonéj w nasze obyczaje. Oni czczą swego naczelnika jeżeli dzielny, ale to hołd wymuszony na ich szacunku, a nie przywiléj.

Mówiono mi, że przed kilką laty gdy gubernator tobolski zjechał osobiście na jarmark obdorski, mnóstwo Ostjaków nacisnęło się do jego mieszkania dla oglądania zjawiska tak rzadkiego. Gubernator, człowiek ludzki i oświecony, nie kazał bronić im wstępu. Napływ ciekawych był wielki. Niektórzy, gdy im nogi zbolały, nie czyniąc sobie przymusu, zaczęli sadowić się na ziemi, co widząc urzędnicy otaczający gubernatora, zgorszeni taką śmiałością, poczęli spędzać Ostjaków, ostrzegając, że im nie wolno siedzieć w przytomności gubernatora.

— Cóż mu to szkodzi? zapytali Ostjacy ze zdziwieniem, wszak mu całkiem miejsca nie zabieramy. Jeżeli mu także nogi zabolą, zostało jeszcze gdzie usiąść.

Gubernator wyrozumialszy niż jego podwładni, dowiedziawszy się o co rzecz idzie, nie kazał turbować nieznających etykiety Ostjaków.

8 Lipca, 1840.

Wielka uroczystość w Berezowie. Dziś obchodzą święto patrona tutejszego miasta, Ś. Prokopa.

Po nabożeństwie, processja wychodzi z cerkwi z krzyżem i chorągwiami, i okrąża miasto. Cała ludność berezowska assystuje uroczystości. Zaledwie zostanie w domu dla pilnowania ognia jaka podżyła kobiéta, ktoś chory, albo starzec niedołężny. Urzędnicy, kupcy, strojne kobiéty, starcy wiekiem pochyleni, zgrzybiałe staruszki, raźna młodzież, wesoła dziatwa, zrzekają się na moment cech właściwych swego wieku i charakteru, i wchodząc w harmonję z myślą ogólną, w milczeniu i zebraniu ducha, składają uroczysty orszak.

Widok prawdziwie tkliwy, patrzeć na tę massę różnorodną ludzi zebranych pod znakiem krzyża, tworzących na moment jakby jedną rodzinę, ożywionych jednąż wiarą, jednemiż nadziejami, składających na chwilę ze swéj duszy, ze swéj myśli drobne interesa, drobne namiętnostki, aby się wcielić w jedną myśl ożywiającą wszystkich.

Za godzinę, to ciało spojone teraz jedną myślą, rozdrobi się na jednostki. Za postawieniem nogi w próg domu, każdy odzyszcze swą indywidualność. Drobiazgowe interesa, drobne namiętnostki, ten orszak powszedni życia człowieka, natrą ze wszystkich stron, pochwycą go w swe objęcia. Jedność rozpadnie się na tysiące cząstek, działających tylko w swéj drobnéj sferze dla siebie i przez siebie, wszakże myśl wielka, święta, która zaświeciwszy na chwilę, na chwilę też oswobodziła go z pęt powszednich, utkwi w pamięci jakby na świadectwo jego zacności.

Ci, którym zajęcia domowe nie pozwalają brać udziału w téj uroczystości religijnéj, wychodzą na próg domu gdy processja przechodzi koło niego, a gdy się oddali, wdrapują się na miejsca wznioślejsze, i śledzą za poruszeniami orszaku, a skoro przedstawi się ich oczom występująca na wzgórek chorągiew, pływająca w powietrzu, jakkolwiek ona daleko, robią znak krzyża i biją pokłony, aby choć tym sposobem oddać cześć znamieniowi, do którego należą.

Od dni kilku Wakuliński robił projekt sprobować rodzaju polowania którego nie znał, a który mu zalecano. Jest on w użyciu w tych stronach. Nazywają go polowaniem na kaczki *lenne*, to jest te, które wyliniały czyli utraciły pióra. W téj porze kaczki są ciężkie, bez piór, i latać nie mogą, jakoż nie widać już na powietrzu owych łańcuchów kaczek, które wiosną okrywały widnokrąg; kryją się one po trzcinie i wysokiéj trawie.

Aby je dostać w téj fortecy, otacza się sieciami upatrzony kawał wody, gdzie się przypuszcza, że kaczki powinny być ukryte w trzcinie. Wtenczas ludzie, mając psy do pomocy, zachodzą ze strony przeciwnéj względem téj co otoczona siecią i wypędzają kaczki z ich kryjówek, a gdy wypędzą na czystą wodę, siadają na czółna i nie dopuszczając odwrótu, napędzają ku sieciom.

Kaczki płoszone, nie mogąc zerwać się i polecieć, płyną do przeciwnego brzegu, w nadziei, że tam się skryją w trawę, ale skoro przypływają ku brzegowi, sieć myśliwca nakrywa je wszystkie.

Wakuliński życzył sobie, abyśmy z Józią były świadkami tego polowania. My zaś nie mając nie tylko żadnych obowiązków, ale nawet zajęć jakiéjkolwiek wartości, sza-

towałyśmy naszym czasem jak marnotrawnik, nieznający się na cenie skarbów swoich. Przyjęłyśmy chętnie udział w téj wyprawie, która zapowiadała, że będzie bardzo świetną, bo mieliśmy z sobą oprócz naszych osób, sto sążni sieci, psa i dwie łodzie. Na większéj łodzi mieściło się nas troje, sieci, pies i czterech pomocników lekarskich, składających świtę Wakulińskiego; na mniejszéj ostjak, dwoje ostjacząteк i niewód, czyli sieć do łowienia ryby. Nasz przezorny gospodarz, niezupełnie rachując na pomyślność naszego polowania, kazał włożyć niewód, aby w przypadku niepowodzenia, zachody wyprawy nie zmarnowały się zupełnie nadarmo, ale zamiast zwierzyny, abyśmy przywieźli ryby do domu.

Wypłynęliśmy wesoło z wielkiémi nadziejami. Wakulinski naczelnik wyprawy, równie jego pomocnicy nie znali dobrze ani miejscowości, ani sposobu polowania. Ostjak zaś, ponieważ nikt się go nie radził, ze swoją łódką płynął opodal w milczeniu.

Nie mając żadnego zamiaru stale oznaczonego, gdzie wylądować mamy, płynęliśmy na los, mało się troszcząc, gdzie przypłyniemy.

Gdy już zniknęły z oczu brzegi nam znajome, wpłynęliśmy na wielki obszar wody, któréj zalewy tworzyły mnóstwo wysp, podobnych do siebie fizjonomją. Z położenia zdało się wszystkim, że na tych wyspach powinno być mnóstwo kaczek, jednak krążyliśmy koło nich, a żadne stado nie dawało się widzieć.

Snując się bez żadnéj skazówki po tym labiryncie wody i wysp, odpłynęliśmy od Berezowa werst może siedm lub ośm. Płynąc na oślep po fantastycznych rozgałęzieniach iednéjże wody rozlanéj po ogromnéj płaszczyznie, zajechaliśmy nakoniec na odnogę, która klinem wciskała się między dwa lądy. Płynąc nią czas niejaki dopierośmy się spostrzegli, że daléi drogi nie stało, i że trzeba cofnąć się nazad.

Przez czas wałęsania się naszego po tych wodach, żadnéj kaczki aniśmy spostrzegli. Tymczasem słońce zbliżało się do południka, upał był dokuczliwy. Wszyscy byli zeskwarzeni od słońca.

Niewiedząc czy istotnie kaczek nie było w téj okolicy, czy tylko potrafiły ukryć się między ogromnémi trawami zalegającémi wybrzeża, znużeni próżnym trudem, myśliwcy postanowili probować szczęścia i nie płynąc daléj, rozciągnąć siecie na przyległym brzegu.

Gdy to było dopełnione, wypadało wylądować na brzegu przeciwnym, ale że dla płytkości wody łódź nasza nie mogła dopłynąć do samego brzegu, musieliśmy wysiadać po kolana w wodę.

Przy dokuczliwym upale ta półkąpiel nie była bardzo przykra, lecz nierównie przykrzejszą się wydała napaść komarów, skoro tylko dotknęliśmy brzegu. Uzbroiwszy się wszakże przyzwoitém męztwem, wszyscy wedle możności wzięli się do roboty.

Chodziło o to, aby kaczki wytropić i wypędzić z kryjówek, a że trawa brzeg okrywająca była wysoką i gęsta, rozsypało się po niéj towarzystwo myśliwskie, najwięcéj wszakże rachując na pomoc psa, który miał węchem wytropić zwierzynę i spłoszyć.

Próżna nadzieja! Trawa brzeg okrywająca była tak wysoka, że ludzie w niéj się chowali, nie mogąc widzieć jeden drugiego. Puszczono psa, ale i ten zniknął zaraz z oczu myśliwych. Kaczka gdyby i była jaka, w czém

zachodziła wielka wątpliwość, nikłby jéj nie postrzegł, niewidząc nic przed sobą ani za sobą. A komary dokuczały z największą wściekłością najezdnikom ich spokojnego państwa.

Po próżnych pokuszeniach, myśliwcy wrócili do brzegu na którym wylądowali, nie wiedząc co robić daléj. Jedni się w głowę skrobali, drudzy pot z czoła ocierali, inni walczyli z komarami, wszyscy milczeli i jakby zbierali myśli swoje, chcąc odgadnąć dalszy los wyprawy.

Złożono wreszcie walną naradę. Jedni radzili szukać szczęścia daléj, inni byli zatém, aby wrócić do domu, a gdy przez grzeczność zapytano o dam zdanie, zaproponowałam, aby naprzód zjeść obiadek wzięty z domu w mądrém przewidzeniu, a potém radzić o dalszym losie wyprawy.

Mówią pospolicie, że głowy kobiét nic niewarte do rady, a jednak, doświadczenie zadaje często fałsz temu twierdzeniu. Jakoż i dziś na zrobiony wniosek, fizjonomje wszystkich się rozjaśniły; ten się uśmiechnął, ów się oblizał, nikt nie zrobił żadnego zarzutu, owszem, wniosek jednogłośnie został przyjęty.

Mieliśmy z sobą szczupaka faszerowanego po żydowsku na zimno, i półmisek pirogów ze śmietaną, odłożywszy więc na potém ważniejsze interesa, przystąpiliśmy żwawo do dzieła.

Mówią, że żołądek ma ścisłe powinowactwo z mozgiem, co może być prawdą; pokrzepiwszy bowiem żołądek, myśl się rozjaśniła. Każdy wówczas w swéj mądrości zawyrokował, że próżno chcieć koniecznie łapać kaczki tam, gdzie ich nie ma.

Tymczasem ostjak, którego wszyscy stracili z oka

zająwszy się niefortunném polowaniem, dezerterował ze swymi towarzyszami na małéj łódce. Niewiedziano gdzie się podział, a że zabrał z sobą i niewód, domyślano się, że musi gdzieś łapać rybę. Postanowiono zatém zebrawszy sieci rozstawione na kaczki, szukać Ostjaka, a zamiast polowania na kaczki, wydać lepiéj wojnę rybom.

Stało się. Zabrawszy wszystkie myśliwskie rekwizyta, wsiedliśmy do łodzi i odpłynęliśmy na powrót.

Zaledwo wypłynęliśmy z zatoki na obszerniejszą wodę, ujrzeliśmy Ostjaka na jednéj z wysp, wyciągającego sieć z wody; skierowaliśmy tam łódź naszę. Niezadługo przybiliśmy do wyspy, i tam wylądowali. Zarzucano razy kilka sieci, ale z małém szczęściem. Wówczas Ostjak zawsze milczący, zabrawszy sieć do łódki, pojechał daléj. I my też, poświęciwszy się dnia tego na żywot koczujący, ruszyliśmy za naszym niemym towarzyszem, który wylądował około *surowego mysu*, przylądka znakomitego w topografji berezowskiéj, który nieraz był celem ostatecznym przechadzek moich.

Brzeg suchy, piaszczysty, woda niegłęboka, dobrą wszystkim robiły otuchę; jakoż rzucono sieć do wody i po chwili wyciągnięto ją z obfitym plonem: wówczas całe towarzystwo wyjąwszy nas troje, rzuciło się na świeżą rybę, aby ją pożerać drgającą. Tymczasem komary rzuciły się na nas z tymże samym zamiarem.

Mimo najzaciętszy opór, nie mogliśmy dać rady komarom. Liczba pokonywała męztwo. Napróżno nakładaliśmy ognisko aby tulić się od napaści pod ochronę dymu, napróżno usiadłszy na ziemi, probowałyśmy zakryte całkiem chustkami, skryć się od ich natarczywości, przeklęte plemię wszędzie przeniknęło i nie dawało pokoju.

Po bezsilném szamotaniu, przyszła nam z Józią myśl zbawienna, aby się zanurzyć w wodę, przeto okrążyłyśmy przylądek aby się skryć od towarzystwa, i poszłyśmy się kąpać.

Co! za przyjemność!! Od wyjazdu z kraju, jeszcześmy się nie kąpały. Odkryty brzeg Soswy pod miasteczkiem, napełniony zawsze widzami, nie pozwalał nam nigdy zrobić nawet próby. Teraz, użyliśmy do woli. Woda ciepła i czysta pokrzepiła członki znużone upałem, dno piaszczyste przeświecające się w głębi, dawało miłe świadectwo o przezroczystości wody, lekka pochyłość dna wybrzeża pozwalała, stopniując zanurzenie według woli, oddalić się tak daleko, że komary nie zechciały zapuszczać aż ku nam pogoni. Utopiłyśmy zatém w téj przezroczystéj wodzie pęcherze od komarów, któremi skóra była okryta, a razem i pamięć o nich.

Kiedyśmy tak przyjemnie orzeźwiały członki nasze, Wakuliński podstrzelił ogromnego ptaka białego, nazywanego tu *cholewą*. Te ptaki znajdują się w wielkiéj ilości w okolicy Berezowa, karmią się rybą. Skoro postrzegają sieć zarzuconą do wody, zaraz się zlatują gromadnie, i krążą nad siecią, nie bojąc się ani ludzi ani strzałów. Wprawdzie tu nietylko nikt do nich nie strzela, ale przeciwnie rybacy zwykli im wyrzucać małe rybki. Wszakże Wakuliński niepodzielając wraz z krajowcami poszanowania dla tych ptaków, strzelał do nich razy kilkadziesiąt, z bardzo blizkiéj mety. Czasem pierze się posypało, lecz ptaki jakby upiory, o których w bajkach nam prawią, niezważając na napad, nie przestawały krążyć nad głową poważnie urągając się niby bezsilnéj napaści, co w niecierpliwość wprowadzało Wakulińskiego.

Wreszcie po długich, bezskutecznych usiłowaniach, szrót ugodził w skrzydło, w miejscu obnażoném z piérza i ptak upadł skaleczony, którego z tryumfem ujęto w niewolę.

Ciało tego ptaka iest prawie téj wielkości co gęsi dzikiéj, pierze ma zupełnie białe i bardzo gęste, i zdaie się, że gęstość jego i sprężystość sprawia, że szrót odlatuje bez uszkodzenia ciału. Nogi ma żółte, dziób trochę krzywy.

Dowieźliśmy go żywcem do domu, choć nie bez trudu, kąsał bowiem dziobem swoich prześladowców. Wszakże nie dożył dnia drugiego.

Jest także w Berezowie inny gatunek ptaków rybołowów, równie białych jak wyżéj opisany, ale nierównie mniéjszych, nazywają je *martyszkami*. Ulatują nad wodą wielkiemi stadami i gromadzą się także koło rybaków, aby wziąść udział w ich zdobyczy.

---

21 Sierpnia 1840.

Od końca Lipca; zaczęły się przymrózki. Z początkiem Sierpnia, okolica przybrała tęskną postać jesieni. Wybrzeża ogołocone z wody świecą błotnistą powierzchnią, trawa pożółkła, opadłe liście tam i ówdzie błąkają się poddmuchiwane wiatrem. Zimno, pochmurno, wietrzno. Powietrze tak osute wilgotnémi wyziewami, że w dzień jakby zmrok na dworze, kiedy u nas same upały, same żniwa. Od dwóch tygodni w piecu palimy.

A i w domu nie weseléj. Józia smutna, rachuje każdy poświst wiatru, bo Wakuliński od dwóch tygodni z obowiązku swego urzędowania, wyjechał do Obdorska i płynie wodą, a tu, na przekor jéj niespokojności, druga doba

jak burza wyje pod oknami, bałwany biją z szumem o wzniosłe brzegi Soswy, jeżąc swe grzbiety kłębami białéj piany. Okienice trzęsą się u okien, Józia to slęka, to wzdycha, to płacze.

Będąc otoczona tak niewesołemi przedmiotami, myśli chcąc niechcąc muszą wejść z niémi w harmonję. I mnie też smutek i tęsknota dręczyły i nie wiedziałam jak zabić ciężko wlokące się godziny.

Dziś przecie trochę się rozpogodziło, choć zimno ale dészcz nie pada, ulice przeschły mniéj więcéj z błota, trzeba korzystać z chwil odrachowanych skąpą ręką, w których można użyć przechadzki. Pora jesienna najlepiéj ku temu służy, kiedy nie ma błota. Znikły już bowiem zastępy komarów.

Nad wieczór biorę *kacawejkę* z futrem, obwiązuję się chustką i idę chodzić. Józia przeciw zwyczajowi, zachciała mi towarzyszyć; odgadłam powód téj ochoty, i prosto poszłyśmy nad brzeg rzeki.

Słońce na zachodzie tylko co zaczęło nurzać swą tarczę w wodę. Assystowałyśmy jego zniknieniu. Potém jasna łuna zachodu, odbijała się jeszcze w głębi wody, oświecając niepewném światłem przedmioty ginące w szarości. Jeszcze raz zapuściłyśmy wzrok daleko, oko ginęło w oddaleniu — w pustyni — ale przedmiot, za którym goniły oko i dusza Józi nie ukazywał się na powierzchni wody, oświeconéj jeszcze ostatnim dnia odblaskiem. Nie było widno żadnéj łódki, Wakuliński nie wracał.

Józia westchnęła i poszła do domu. Ja zaś oddawna nieużywając przechadzki i wolnego powietrza, zwróciłam drogę ku miasteczku i poszłam ulicą prawie niezamieszkaną.

Gdzieniegdzie tylko sterczący dóm wązki; wysoki, czarny, wskazywał linję, gdzie według planu architekta była zakreślona ulica dla przyszłego miasta. Ta ulica tymczasem porasta gęstą trawą lub opieńkami przyczepionémi do pni drzew pościnanych, albo wychylajacémi główki z pod nadgniłéj kłody.

Cichość, chłód, żółtość trawy, wieczór, samotność otwierały duszę pewnym silnym i tęsknym wrażeniom. Dla czego jesień nawet w dniach pięknych nie usposabia myśli do wesołości, ale do rzewności? Wszak i na wiosnę nierzadko bywają dni posępne, zimne, dżdżyste a jednak zawsze są weselsze. Mniemam, że w jesieni nieobecność nadziei pociąga tęskną barwą całe przyrodzenie i zasępia teraźniejszość.

Chcąc nadać cel jakiś mojéj przechadzce, szukam na téj przyszłéj ulicy miasta, opieńków, lub pieczarek, które czasem znachodziłam w tém miejscu. Szarość wieczorna przymusza jednak odrzec się tego zamiaru.

Idę daléj. Wszędzie głucho, pusto. Wieczorne światła ledwie gdzieniegdzie zaczynają świecić jak samotne gwiazdy, przez okna rzadko od siebie stérczących domów, tylko psów mnóstwo snuje się w milczeniu lub zalega śmieciska. Chciałam uciekać, bo się psów boję, a psy berezowskie są tak rosłe. Wtém kilka z nich jakby odgadując myśl moję, podniosło głowę, a rzuciwszy na mnie wejrzenie spokojne, opuściło ją znów na śmiecie.

Ten giest zdawał się mówić wyraźnie: «Możesz iść spokojnie, nie myślimy o tobie.«

Ośmieliłam się, poszłam daléj. Pomyśliłam tylko, dla czego psy tutejsze tak rosłe, pełne siły, są spokojne, mniéj złośliwe, mniéj napastliwe od naszych? Pochodzi-

łażby ta różnica od organizacji, czy też wychowania, czy też cywilizacja ludzi ich otaczających nie drażniąc ich stróżliwości, wpłynęła na złagodzenie ich natury?

Przebiegłszy szereg podobnych myśli, zatrzymałam się na jednéj. — One są ujarzmione, pomyśliłam sobie. W ich spójrzeniu spokojném, ponurém, obojętném odciśnięte jest piętno niewoli. Tu człowiek je ujarzmił, zaprzągł do woza, przyuczył ich karki do dźwigania ciężarów przechodzących ich siły, a w niewoli cnotami są: spokojność, uległość, rezygnacja, a filozofją obojętność.

Pominęłam koczowisko psów, idę daléj. Otóż cóś miga w oddaleniu. Doprawdy cóś nakształt człowieka. Zbliża się. To ostjak. W *malcy* wytartéj, z twarzą bladą, okopconą, z warkoczami skłaczonémi, niedbale rozpuszczonémi po ramionach, idzie śpiesznie po kładce, skacząc lekko z jednéj na drugą, niosąc w ręku *łukoszko* pełne ryby świéżo ułowionéj. Za nim postępuje chłopiec równie blady, równie okopcony, ale raźny i lekki. Pośpiesza podskakując dla porównania kroku piérwszemu. Oba prowadzą rozmowę ożywioną w języku dla mnie niezrozumiałym, wszakże z twarzy, z giestów, można było odgadnąć, że rozmawiają wesoło.

Ustąpiłam z drogi, unikając spotkania, Ostjacy wymijając spójrzeli na mnie z ciekawością, ale nic nie powiedziawszy poszli w swoję drogę.

Pewnie to ojciec z synem, pomyślałam sobie. Oba muszą wracać z połowu. Pewnie niosą pokarm wieczorny, może jutrzejszy dla rodziny pozostałéj w domu, a za chwilę, zasiadłszy z nią koło ogniska, gotując tę rybę, którą dopiéro ponieśli, nieoskrobaną, bez soli, w brudnym kotle zawieszonym u ogniska, jedząc ją bez chleba, za-

prawną tylko głodem, weselsi będą niż ja wróciwszy do mego mieszkania ocieplonego, oświeconego, przedstawiającego różne wygody przemysłu, gdzie mię czeka na wieczerzę pieczyste i grzybek, do tego łyżka srébrna i obrus biały. Prawda. Ale ich czeka żona, matka, może rodzeństwo stęsknione wyglądając pożywienia z ich ręki, które im przynoszą zdobyte swą pracą; mnie zaś usługa opłacona pieniędzmi. A jednak pieniądze są wyrazem wszystkich prawie używań świata ucywilizowanego, a ja mam ich tyle przynajmniéj, ile wymagają moje nawyknienia ograniczone piérwszémi potrzebami. Dla czegoż nie mam zadowolenia w duszy? Dla czegoż zazdroszczczę prawie temu biédnemu ostjakowi.

Odpowiedź łatwa. Przyjemności, których używam, są wszystkie dziełem cywilizacyi, te zaś, których on używa, są dziełem przyrodzenia, które nie powierza sztuce klucza od swoich skarbnic, pozwalając jéj tylko odtwarzać pozory.

O ludzie, poglądający z litością, więcéj niż z litością, bo prawie z pogardą na biédnego Ostjaka! porównywając wasze wygody, ukształcenie, oświecenie z jego odzieżą zdartą ze zwierza, zimnym i dymnym szałasem, grubym pokarmem, ciężką niewiadomością, dziwacznemi przesądami, czyżeście się zbliżyli więcéj niż ten człowiek wpółdziki do odgadnienia wielkiéj zagadki życia? Czy odkrycia przez was poczynione są wszystkie na korzyść szczęścia, czy też tylko na korzyść próżności?

Czyż nieprawda, że szczęście jest celem wszystkich dążeń, wszystkich zabiegów ludzi; odkrycie doń drogi jedyném logiczném usiłowaniem rozumów, a zbliżenie się lub oddalenie od tego celu, niepowinnoż być miarą tychże rozumów i skalą do ich ocenienia? Filozofowie! Twórcy

wynalazków! Genjusze, przed których potęgą świat zdziwiony uchylił głowę z pokorą! Szczęśliwcy tego świata, którym bogactwa i przemysł uściełają posłanie z najpiękniejszych róż swego wianka! Obrachowaliście kiedy, summę waszych przyjemności, zawodów i cierpień na świetnéj drodze waszego żywota?

Dzieło to wielkie. Ogromny szereg kombinacyi. Wyobraźnia się zdumiewa przed ilością odcieni wprowadzonych w uczucia, za pomocą sztucznego ukształcenia. Myśl się plącze i upada przed zamiarem rozwikłania rachunku. Ale wy matematycy, co przeskoczywszy szranki zaznaczone narzędziem rozumu waszego, wyrachowaliście odległość słońca, odgadliście bieg planet, wydzierając przyszłości jéj tajemnice, odsłoniliście światu obróty ciał niebieskich, przepowiadając wypadki złożone jeszcze w łonie przyszłych wieków, nie możecież zastosować waszéj nauki do przedmiotu bliżéj was obchodzącego? Od czegoż wasza algiebra? Weźcie pióro i piszcie. Szereg ilości umieszczonych po obu stronach jest przestraszający, ale czegoż praca nie pokona? Napisawszy, strąćcie summę przyjemności zdobytych waszym genjuszem, summą przykrych uczuć zasianych tąż drogą, i pokażcie ostatek. To zrobiwszy, nie pogardźcie spisać równie szereg używań i zmartwień biédnego Ostjaka, ten rachunek nie zabierze wam wiele czasu ani papieru. Porównajcie ostatki. Jeżeli wynikłość okaże przewagę na korzyść szczęścia waszego, klękam przed wyższością waszego wykształcenia, oddając cześć dobroczyńcom ludzkości; jeżeli zaś przeciwnie, bądźmy skromniejsi w ocenianiu wartości naszych nabyć.

---

9 Września, 1840.

Zorza północna jest w Berezowie zjawiskiem dość pospolitém. Kilka jéj pojawień mieliśmy już téj jesieni. Rozpoczyna się ona zwykle łuną czerwonawą, która oświeca czasem spokojnie część widnokręgu, rozszerzając się lub zmniejszając. Czasem to światło odznacza się ruchem widocznym, przemieniając kształty to żywo, to poważnie; wszakże równie zachwycającego zjawiska jak dzisiejsze jeszcze nie widziałam, i postaram się, jeżeli będę mogła, dać choć w części jego wyobrażenie.

Dzisiejszego wieczora, o godzinie dziesiątéj w wieczór, dał się słyszeć szum wielki w powietrzu. Jakiś huk oddalony, jakiś łoskot dziwny zdawał się być prologiem do nakazującéj sceny, i zapowiadać dziwne widowisko, mające oczom naszym się objawić.

Mieszkańcy Berezowa zrozumieli co ten huk znaczy, jakoż światło cudowne zalało cały widnokrąg.

Mój gospodarz Kozłow wszedł do mego pokoju, wzywając mię na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro oddać nie potrafi wzniosłéj sceny, która się rozwinęła przed mémi oczyma. Nie mam nadziei dać jéj nawet słabego wyobrażenia.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobielił ziemię, budynki i wszystkie przedmioty. Rzuciwszy okiem w koło siebie, byłam w zachwyceniu, lecz napróżno kusiłabym się oddać wrażenia, jakiego doznałam.

Przy dziwnéj natury blasku odbitym od białości śniegowéj okrywającéj cerkwie, drzewa, budynki, które się rysowały jak czarodziejskie gmachy, w czarodziejskim świecie, Berezów już mi się nie wydał małą mieściną jak

zwykle: była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu stanowić się zdawały jeden gmach, jedną całość, a ten gmach był otoczony ścianami w płomieniu, i takaż kopuła strzelająca wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziéj zachwycającą była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, któréj nie można porównać z żadném światłem znaném w przyrodzeniu. Było to, jakby małżeństwo ogniów bengalskich ze srebrzystą jasnością, odbitą od księżyca w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka, nie już jak zwykle kształt kopułowy, ale jakby głowy cukru. Horyzont został zamknięty w ciaśniejszych ścianach, ale wierzchołek tego ostrosłupa ginął w tak niezwykłéj wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek przebiwszy zwykłe sklepienie zrobił otwór do nieba, i pozwolił w tę godzinę nadzwyczajnéj uroczystości, zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego padołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub że duchy wyższéj natury usunęły przez ciekawość przegrodę dzielącą ich od śmiertelnych, dla przypatrywania się zjawisku, niezwykłemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa tworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych jasności srebrzystéj, które wijąc się w kłęby jakby dym lekki, rzucały światło, o którém mówiłam.

Obłoczki te niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa jakby wychodząc z pod ziemi, i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrąc

zawsze kłębami światła do góry i znikały u wspólnego wierzchołka tak szybko, że oko nie mogło nadążyć w ślad za niémi. To znikanie, nie rodziło jednak żadnéj przerwy w ogólnych ruchach, bo coraz nowe kłęby światła podnosząc się od postawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za piérwszémi, i znikały jak tamte zostawując miejsce innym, które goniły za niémi.

Po za témi ruchomémi ścianami, nie było nic widać błękitnego sklepienia usianego gwiazdami. Może też gwiazdy zbladły w obec tak dziwnego światła. Jedném słowem, stanął świat inny wśród świata codziennego.

Ten dziwny taniec mass światła, pchniętych w ruch siłą niewidomą, odbywał się przy majestatycznym huku muzyki brzmiącéj w powietrzu.

Ten huk, łoskot w powietrzu, miłe światło niemające sobie równego, kształt niezwykły widnokręgu, gra dziwnie ożywiona różnokształtnych obłoczków, które pędząc, ścierając się i znikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u wspólnego wierzchołka, wszystko to dziwnie nastrajało wyobrażenie i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów.

Człowiek chce zbadać prawa przyrodzenia, wykraść tajnię sił pędzących w ruch światy, wiedzą przynajmniéj, jeśli nie potęgą czynu zmierzyć się ze swym Twórcą! Na każdym kroku spotyka nowe dziwy, nowe siły nieznane, nowe tajnie przyrodzenia, nowe dowody nieobjętéj wszechmocności, a jednak nie leczy się z pychy, z zarozumienia. Szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy ten, co w zachwycie duszy upadłszy na kolana, umié czuć sercem dziwy przyrodzenia, i w niemém uwielbieniu, w całéj pokorze ducha oddawać hołd niedościgłéj wszechmocności.

To nadzwyczajne zjawisko, trwało godzin kilka, poczém ruch zaczął się zmniejszać, światło gasnąć częściowo, a o godzinie drugiéj z północy, wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zasłonione czy też zaćmione, zaświeciły nanowo; księżyc zaczął nanowo odbywać chód wolny po czystym nieba błękicie, i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nic nie było, zostawując tylko pamięć niezwykłego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Badałam mieszkańców Berezowa, chcąc wiedzieć jak też oni, nie mający wyobrażenia nauk przyrodzonych, tłumaczą według swego rozumienia zadziwiający fenomen, któregośmy byli świadkami. Mędrsi z nich dali tłumaczenie, że ruch bałwanów oceanu północnego, odbijając światło xiężycowe, był przyczyną zjawiska.

---

1 Grudnia, 1840.

Wielki w Berezowie panuje popłoch i zamięszanie, a to z następującéj przyczyny.

Samojed jeden nazwiskiem Waul, przed dwóma czy trzema laty, będąc naczelnikiem swojéj wataby, gdy taż wataha była przyciśnięta głodem, robił z nią najazdy zbrojne na inne watahy, wymuszał na nich kontrybucye w renach i innych wiktuałach, dopuszczał się gwałtów i grabieży.

Waul jednak nie był prostym rabusiem. Wyobrażenia tutejsze przyznawały mu owszem pewną dzielność, a wkrótce ufność, szacunek dla siły i energji, zgromadziły koło niego liczne bardzo stronnictwo. Jedni przez potrzebę protekcyi, drudzy przez bojaźń prześladowania garnęli się do niego.

W miarę zwiększania się jego wataby i powodzeń jego wypraw, zwiększała się też liczba nieprzyjaciół. Wszyscy zwyciężeni, zmuszeni okupywać się haraczem byli jego naturalnymi przeciwnikami; wszakże Waul, zaufany w swéj sile i przychylności swoich stronników, nie dbał o ich szemranie.

Nakoniec wybiła i dla Waula nieszczęśliwa godzina. Za przyczyną xięcia Obdorskiego, Waul został przez rząd ujętym, dostawionym do Berezowa, a sąd powiatowy berezowski, przewiódłszy proces, skazał go na wygnanie do Surgutu, małéj mieściny należącéj do tutejszego powiatu, odległéj ztąd o werst ośmset.

Waul skoro został odstawionym na miejsce swego przeznaczenia, będąc zręcznym, odważnym i przedsiębierczym, wkrótce umknął z miejsca swego wygnania i udał się napowrót w znajome sobie pustynie, rozciągające się ponad oceanem Lodowatym. Tam się prędko porozumiał z niektórymi ze swych dawnych towarzyszy, a skoro wieść się rozeszła o powtórném pojawieniu Waula już oswobodzonego od wyroku na nim ciążącego, Samojedy znów zaczęli się kupić pod jego dowództwo.

Jednych przyciągnęła ufność w dzielność i osobiste przymioty Waula, na innych działał przez kłamstwa pewnego rodzaju. Powiadał niektórym, że w czasie swoich wędrówek widział się z *Białym Carem* (tak lud prosty na Syberji nazywa Cesarza Rossyjskiego), że odebrał od niego rozgrzeszenie i powrót praw swoich, i że prócz tego wiele poleceń odebrał z ust jego.

Było to więcéj niż trzeba, dla pociągnienia ku niemu licznych stronników.

Prócz tego umysł śmiały, energiczny, awanturniczy

Waula, jegu charakter szamański i posiadanie sekretów przywiązanych do tego stanu, czyniły go w oczach Samojedów jakąś istotą wyższą, a bojaźń obrazy, równie jak zaufanie, zgromadziły kilkaset familij pod jego naczelnictwo.

Kiedy Waul uczuł się dość silnie wspartym, już się nie krył, ale działał otwarcie z miejsca swego. Naprzód rozpoczął działania przeciw *Zasiedatela* (podrzędny członek ziemskiéj policyi) obdorskiego, który mu dokuczył i postanowił zrzucić go z urzędowania. Ów *Zasiedatel*, był to istotnie pijak nałogowy, którego nikt inaczéj nie widział jak w stanie opilstwa, i który bardzo dokuczał podwładnym. Jednak Waul nieobznajomiony z duchem ustawodawstwa, nie wiedział, że mając zamiar, jak mu się zdawało, domierzyć czyn sprawiedliwości i osłonić siebie i swoich od ucisku, gotował sobie straszną odpowiedzialność w oczach prawa.

Piérwszym krokiem téj wojny było, że Waul zabronił swojéj watazie składać *jesak*, nim zasiedatel nie będzie zmieniony. Tym sposobem zamiast wojny z zasiedatelem, stanął w wojnie z rządem i wystawił się na wszystkie następstwa tego niebezpiecznego stanowiska.

Objął też w swéj niechęci i xięcia Obdorskiego, który się przyczynił do jego ujęcia, i postanowił lub się zemścić nad nim za krzywdę osobistą, lub też go złożyć z urzędu.

Waul mniemał się już być tak silnym, że może dyktować prawa swoim przeciwnikom.

Póki Waul koczował po *tundrach* zalegających przestwór przytykający do oceanu Lodowatego, odgłos jego czynności dolatywał kiedy niekiedy do uszu urzędników

i mieszkańców Berezowa, ale ani zbyt przerażał ostatnich przedzielonych znaczną odległością miejsca, ani też zmuszał piérwszych wystąpić koniecznie w zapasy z przeciwnikiem zawarowanym pozycyą prawie niedostępną; ale Waulowi jakby już dokuczyło stanowisko odporne: za zbliżeniem jarmarku obdorskiego, podciągnął on ze swą watahą pod Obdorsk i rozłożył się koczowiskiem o dzień drogi od tego miasteczka.

Czy to zbliżenie się do miejsca, w którém się odbywał jarmark było dopełnione tylko w celu brania w nim uczestnictwa i wymienienia swych towarów na przedmioty potrzebniejsze, czy też w celu rozpoczęcia wojny zaczepnéj, nie wiadomo. Każdy tłómaczył ten krok Waula według swego widzimisię.

Wataha Waula składała się z kilkuset czumów, czyli familij, żyjących każda pod osobnym namiocikiem.

Zatém wielki strach się rozszedł nie tylko po Obdorsku, ale i po Berezowie. Mieszkańcy obu tych miasteczek, uśpieni ciągłém bezpieczeństwem, nawykli myślić tylko o handlu, tylko o pomnażaniu wygód swych i dostatków, raptem się ocknęli na hasło niebezpieczeństwa, które sami sobie zaczęli przesadzać.

Tysiączne wieści rozchodzą się co moment, rodząc się jakby z pod ziemi, pocztą obiegając całe miasteczko od domu do domu. Jedni mówią, że Waul ukaże się lada godzina pod Berezowem, że go zrabuje, podpali, że wytnie w pień mieszkańców nieoszczędzając ani płci, ani wieku, a to przez zemstę, że tu był więziony i osądzony. Inni, że Obdorsk będzie piérwszy wystawiony na cel jego zemsty, będąc mieszkaniem *Zasiedatela* i księcia Obdorskiego.

Wyobraźnia tutejszych mieszkańców zawsze skłonna do przesady, zdaje się, że lubi powiększać niebezpieczeństwo. Jedni rachują w obozie Waula 300, inni 500, inni tysiąc czumów czyli familij uzbrojonych, gotowych na wszystko. A tu ucieczką nawet nie można się ratować od tego straszliwego najezdcy, bo jarmark obdorski, w którym się skupiają wszystkie obróty handlowe, gwałtem ściąga wszystkich mieszkańców okolicznych prawie pod sam obóz Waula, i podsuwa ofiary pod paszczę groźnego potworu.

Policya berezowska przy któréj naczelnictwo siły zbrojnéj, dała rozkaz aby dom każdy był opatrzony w oręż na jaki stanie, oraz, aby na noc wrota domów były jak można zawarowane przed niespodzianą napaścią. Straż nocna została podwojoną i odebrała surowe rozkazy względem potrzebnéj czujności. Jedném słowem, ruch, życie przebudziło się w drzémiącéj od czasów niepamiętnych okolicy. Takiéj fizjonomji wojennéj nikt nie pamiętał z żyjących, trzebaby chyba sięgnąć do dziejów i wspomnieć czasy piérwszego osiedlania się Rossjan nad brzegami Irtyszu i Oby pod wodzą dzielnego Jermaka i jego nieodrodnych towarzyszy, zakładających osady wśród ludu nieprzyjaznego.

Podobne nastrojenie umysłów, dało powód do wydarzenia, które omal że nie miało końca tragicznego.

Jeden kozak tutejszy, widząc ogólne usposobienie do popłochu, chciał się zabawić kosztem swojéj rodziny; a zatém wracając do domu w noc późną, zaczął mocno kołatać do drzwi, rozkazując w języku samojedzkim aby mu otworzono.

Kozak głos zmienił do tego stopnia, że go rodzina

nie poznała, a gdy szturmowanie do drzwi nie ustawało, chłopiec czternastoletni, syn owego kozaka, uzbroił się szablą ojcowską w gotowości uderzyć na napastnika, jeżeliby mu się udało drzwi wysadzić.

Gospodarz domu chcąc posunąć żart do ostateczności, a wiedząc sposób otwierania drzwi własnych, użył tego sposobu. Drzwi się otworzyły, a razem cięcie pałasza spadło — szczęściem że nie na głowę ojca, ale na uszak ode drzwi.

Był to może jedyny czyn odwagi, objawiony w Berezowie w pośród ogólnego popłochu.

Niespokojność mieszkańców jest do nieopisania. Nie tylko drżą o siebie, ale każda prawie familja mając członka ułatwiającego interesa w Obdorsku, drży o niego. A zdaleka niebezpieczeństwo groźniejsze niż zblizka i więcéj dojmuje w drugiéj osobie, jeżeli osoba ta obchodzi, niż w osobie własnéj. A tu poczta nie chodzi. Wiadomości dochodzą zrzadka. W każdym domu nie mówią więcéj o niczém, prócz o wypadkach obdorskich. Niespokojne oczekiwanie jest teraz życiem wszystkich Berezowian.

---

16 Stycznia, 1841.

Zwycięztwo!! Zwycięztwo!! Wielki tryumf! Wielka radość! Waul postrach kraju od Berezowa aż do morza Lodowatego, został ujęty i w okowach przywieziony do tutejszego miasteczka.

Ponieważ ten człowiek tak dziwnie zajmował umysły, szczególnie przez ostatnie dwa miesiące, muszę opisać historję jego ujęcia.

Waul ufny w swą siłę, nie rozumiejąc całéj rozcią-

głości niebezpieczeństwa swego położenia, rozłożył się koczowiskiem jak wyżéj mówiłam, wraz z całą swą watahą w blizkości Obdorska, tak dla ułatwiania wzajemnych zamian jak dla zniesienia się z innémi watahami.

Rachując na siłę i ufność, którą posiadał między wielą watahami, spodziewał się, że będzie mógł dyktować warunki swoim nieprzyjaciołom. Jakoż, porozsyłał rozkazy do watah uległych jemu czy to przez bojaźń, czy też współczucie, zakazując aby żadna z nich nie ważyła się składać jesaku wprzód nim będzie zmieniony *Zasiedatel* i książe Obdorski złożony ze swego urzędu.

Z jednéj strony bojaźń zemsty Waula, z drugiéj niechęć ogólna jaką obudził *Zasiedatel* ciągle pjany i niesprawiedliwy, sprawiły, że pogróżka wzięła skutek. A lubo sprawnik berezowski zjechał jak zwykle do Obdorska dla odebrania jesaku, mała tylko ilość została złożona.

Sprawnik posłał raport o stanie rzeczy do swojéj zwierzchności prosząc o dalsze rozkazy, a tymczasem Waul koczował spokojnie na miejscu które wybrał, a nie widząc żadnych kroków zaczepnych ze strony rządu, tém bardziéj się ubezpieczył i nabył przekonania o swojéj sile.

Z początku przestrach krępował działania jarmarkowe; szerzyły się bowiem rozmaite wieści o zamiarach Waula złowróżbych dla Obdorska, wszakże po niejakim czasie gdy się przekonali mieszkańcy i przyjezdni, że Waul nie zbliża się do miasteczka ani robi żadnych kroków zaczepnych, jarmark zaczął się odbywać jak zwykle.

Nie mogąc z przyczyny odległości miejsca spodziewać się pomocy w sile zbrojnéj, sprawnik postanowił zażyć

podejściem groźnego nieprzyjaciela, i położyć koniec niepokojom.

Na ten cel rozsiano wieść między mieszkańcami Obdorska i ludnością zgromadzoną na jarmark, że Cesarz przysłał ułaskawienie dla Waula, a razem nominacyę na *starszynę*, z zachowaniem tego tytułu dla następców i z dołączeniem bogatego kaftana i innych podarunków.

Tę wieść puszczono zręcznie w obieg między Ostjaków i Samojedów, którzy sami uwierzywszy w dobréj wierze, odnieśli ją do uszu Waula. Te pogłoski jednak nie zdawały się robić wrażenia na Waulu; domyślając się bowiem czy też przeczuwając zdradę miał się na ostróżności, rozstawiał czaty i sam nie zbliżał się do miasteczka.

Widząc, że Waul nie śpieszy na lep rozpuszczonych pogłosek, kupiec obdorski nazwiskiem Neczajew, zniósłszy się ze sprawnikiem, ofiarował swoje pośrednictwo.

Neczajew był oddawna w stosunkach handlowych z Waulem, prócz tego nawzajem gościli u siebie po dni kilka, tak że oddawna w każdéj okoliczności, dom Neczajewa bywał gospodą dla Waula, równie jak czum Waula podejmował zawsze gościnnie Neczajewa, wiele razy przychodziło temu odbywać wędrówkę po koczowiskach samojedzkich. A u narodów dzikich, prawa gościnności są święte.

Jedném słowem, Waul uważał Neczajewa za ścisłego przyjaciela.

Otoż ten Neczajew, jako ścisły przyjaciel, pojechał odwiedzić Waula w jego namiocie. Powtórzył wszystko co w obieg puszczono na rachunek Waula i okazywał swoje zdziwienie, że ten nie śpieszy do Obdorska odebrać reskrypt cesarski i inne upominki. Dodał, że sprawnik

oczekuje tylko przybycia Waula do Obdorska, aby ogłosić publicznie przebaczenie, oraz uwolnienie jego z pod wyroku wygnania, a razem aby wręczyć nominacyę i podarunki. Wszystkie te łaski, dodał, mają warunek, że Waul złoży uprzednio jesak od swojéj watahy.

— Ty kłamiesz, rzekł Waul groźnie z niedowierzaniem. A wiész, że głowa twoja odpowié za zdradę.

Neczajew widząc, że mimo zrobioną pogróżkę Waul już nawpół uwierzył, dodał.

— Gdybym kłamał, czyżbym dobrowolnie lazł w ręce twoje przyjeżdżając do twego czumu? Wiém że straszny gniew Waula, ale nie dla przyjaciół.

Protestacye, zapewnienia Neczajewa zrobiły skutek. Waul zupełnie uwierzył mniemanemu przyjacielowi; chodziło tylko o ułożenie się o warunki z przeciwną stroną. Waul nastawał, że nie wprzód pojedzie do Obdorska z jesakiem, aż oddalą *Zasiedatela* i złożą z dostojności niniejszego księcia Obdorskiego. Neczajew zapewnił, że zadość się stanie tym wszystkim warunkom, byle Waul przyjechał osobiście do Obdorska.

Gdy tym sposobem Neczajew dyplomatyzuje i już widzi się prawie u kresu swych zamiarów, niespodziewany wypadek skomplikował jego działania.

Rozstawione czaty Waula, schwytały w przejeździe księcia Obdorskiego i przyprowadziły go przed oblicze swego naczelnika.

W uniesieniu zemsty, wyrok natychmiast został ferowany. Waul kazał księcia powiesić, a podwładni nie zwlekając dopełnienia rozkazu, wzięli się do roboty.

Nowy ten krok gwałtu mięszał wszystkie plany Neczajewa, dotąd prowadzone szczęśliwie. Po dokonaniu

onego, Waul nie mógłby się mylić względem swego położenia naprzeciw rządu, i nie tak łatwo zaufałby pojednaniu. Neczajew przeto używa całego wpływu na mniemanego przyjaciela, aby wstrzymać jego zapęd; przedstawiając, że krok ten gwałtowny na nowoby zawikłał stosunki jego z rządem w chwili, kiedy ten traktuje go łaskawie puszczając w niepamięć dawne jego przekroczenia.

Czy to gniew Waula zaczął się rozbrajać pokorą księcia, czy też przełożenia Neczajewa wywarły swój skutek, Waul kazał wstrzymać wyrok śmierci na nieprzyjacielu, podając mu ugodne warunki.

Za piérwszy warunek położył, aby książe Obdorski zrzekł się naczelnictwa swojéj watahy przekazując ją swemu bratu; powtóre, aby dał kontrybucyę z kilkuset renów na korzyść watahy Waula.

Książe pokonany strachem przyjął podane warunki, bo mu chodziło o życie, i przyjął je w dobréj wierze. Waul jednak wymagał, aby książe Obdorski stwierdził przysięgą umowę, co też ten uskutecznił według przyjętego u nich obrzędu, liżąc ślinę splunięta przez Waula.

Gdy ugoda była zawartą i przysięga dokonaną, Waul puścił na wolność swego jeńca. Zaś, według zrobionéj umowy, Waul za trzy dni miał przybyć do jurty księcia Obdorskiego, dla odebrania haraczu, który książe miał rozłożyć na podwładną mu watahę, oraz aby być świadkiem złożenia władzy księcia w ręce jego brata.

Neczajew przytomny tym układom, wrócił do Obdorska uwiadamiając sprawnika o wszystkiém, który zwierzywszy się ze swych zamiarów zaufańszym, robił przygotowania potrzebne.

W dzień oznaczony, Waul w towarzystwie nart 120

wyruszył do Obdorska, lecz tak mało przeczuwał niebezpieczeństwo zaufawszy dobréj wierze księcia, że zatrzymawszy się na rzece Pałni o wiorst parę od Obdorska ze swémi nartami, posłał do księcia z uwiadomieniem o swém przybyciu, co się znaczyło, że książe winien mu był cześć zrobić i wyjechać z odpowiednią assystencyą na jego spotkanie.

Oczekiwanie Waula nie było zawiedzione. Książe w liczném towarzystwie wyjechał na spotkanie dumnego Waula, dając mu dowód uszanowania. Ten ostatni zaś, zostawiwszy cały swój orszak na wyż wspomnianéj rzece, w towarzystwie tylko nart ośmiu udał się tryumfalnie, otoczony nowymi sprzymierzeńcami, do domu księcia, gdzie go oczekiwano.

Trzeba wiedzieć, że książe Obdorski zawierał wszystkie układy w dobréj wierze. On nie był przypuszczony do tajemnicy zamiarów osnutych między sprawnikiem, Neczajewem i niektórymi kupcami. Równie z innymi Samojedami i Ostjakami, książe uwierzył rozsianym pogłoskom o łaskach Cesarza dla Waula, co może zrobiło go tém pokorniejszym w układach z tym ostatnim.

Waul przybywszy do jurty księcia Obdorskiego, zastał tam przygotowany suty bankiet i zebraną watahę podwładną temu księciu. Następca nominowany, mający objąć rządy, był także przytomny. Radzono poważnie o interesach, poczém zaczęli krzątać się koło uczty. Waul odbiérał wszystkie oznaki uszanowania; kładziono mu palcami kawałki mięsa w usta, nie dopuszczając aby sam ten trud ponosił, kwapiono się ścierać ślinę z ziemi gdy ją z ust swoich wyrzucił.

Jak często los podoba sobie wprowadzić swą ofiarę

na szczyt najwyższy, aby po strąceniu upadek był tém dobitniejszy.

Skoro Waul przybył do jurty księcia, ci co odebrali tajemne polecenie sprawnika, uzbroili się czém mogli, a że broni było bardzo niewiele, bo oprócz miejscowych kozaków, mało kto z mieszkańców lub przybyłych był opatrzony w strzelbę lub jakikolwiek oręż, więc kije, zęby morsów, kości mamutów, wagi uwiązane na końcu sznurów zastępowały jéj miejsce.

Powodzenie wyprawy najwięcéj przypisują męztwu i przezorności Ziranów przybyłych na jarmark z gubernji Archangielskiéj, którzy głównie dowodzili w téj małéj kampanji.

Z nielicznego orszaku przybyłego z Waulem, pięciu Samojedów zostało na dworze dla pilnowania nart, inni towarzysze weszli ze swym naczelnikiem do jurty księcia.

Gdy już wszystko było przygotowane do zaczepnéj wojny, rozpoczęto atak nie od osoby Waula, ale rzucono się naprzód na narty zaprzężone renami, które stały pod pieczą pięciu samojedów, a to, aby zagrodzić Waulowi wszelki sposób ucieczki. Odcięto reny od nart i odpędzono daleko.

Samojedy strzegący nart tak byli odurzeni napadem, że żadnemu nie przyszło nawet do głowy uwiadomić naczelnika o zaszłém wydarzeniu, który nie domyślając się niczego ucztował spokojnie; ale wszyscy śpieszyli do obozu zostawionego na rzece, aby co prędzéj uwiadomić pozostałych o niebezpieczeństwie, a dopadłszy renów śpieszyć do czumów i uciec póki czas z żonami i dziećmi w swe niedostępne fortece, w pustynie.

Kiedy już zaprzęgi Waula zostały zniszczone, chodzi-

ło o wywabienie go z jurty, gdzie był zmięszany w tłumie i gdzie mogli stronnicy osłonić jego osobę. Dla uniknienia zamięszania, sprawnik postanowił wezwać go do siebie, jakoż posłał do niego w poselstwie *Zasiedatela*, zapraszając na wódkę.

Gdy Waul obaczył zasiedatela wchodzącego do jurty księcia, krew w nim zakipiała gniewem, a gdy ten ułożywszy minę pokorną zapraszał Waula imieniem sprawnika, aby przyszedł do niego, Waul nic nie odpowiedział tylko plunął w oczy zasiedatelowi, który widząc że poselstwo jego nie ten wzięło skutek jaki sobie zamierzał, opuścił jurtę i poszedł zdać sprawę sprawnikowi.

Sprawnik widząc, że nie można inaczéj zwabić Waula, udał się sam do jurty księcia. O ile wszyscy Samojedzi i Ostjacy nie lubili Zasiedatela, o tyle sprawnik był lubiony, bo postępował z niémi łagodnie. Za przybyciem więc do jurty był przyjęty uprzejmie. A gdy wymawiał Waulowi, że nie przyjął jego zaprosin, Waul się tłómaczył, że nie będąc zaopatrzony w przyzwoite podarunki, nie przyjął teraz gościny, ale że za dni kilka będzie u niego.

Mówili pózniéj o interesach. Sprawnik potwierdził odgłosy powszechne mówiąc o łaskach Cesarza dla Waula, ten zaś obiecał za dni kilka przyjechać do Obdorska, z jesakiem od swojéj watahy i z podarunkami dla sprawnika.

Po krótkiéj rozmowie, sprawnik namówił Waula aby nie zważając na to że nie ma podarunków, poszedł wypić u niego kieliszek wódki. Przecież, mimo że Samojedzi bardzo łakomi na ten trunek, Waul może przez przeczucie wahał się jeszcze; ale sprawnik aby zakończyć wahanie, wziął go pod rękę i wyszedł z nim z izby.

Skoro był za drzwiami, sprawnik przemówił głośno:— *Oto Waul.* Na to hasło, kozacy przebrani po ostjacku czatujący na znak umówiony, rzucili się na Waula. Waul postrzegłszy zdradę, zaczął uciekać w stronę w któréj się spodziewał zastać swoje narty zaprzężone, ale ich nie zastawszy zagrzązł w śnieg i został ujęty i związany.

Samojedzi towarzyszący Waulowi, którzy nie pośpieszyli wyjść wraz z naczelnikiem, postrzegłszy podejście dokonane na ich wodzu, zgasili światło w jurcie, a tak pomięszani w tłumie z Ostjakami należącymi do watahy księcia Obdorskiego, po nocy, wyszli wraz z innymi i potrafili dostać się do swoich czumów i ujść w głąb' lasów z rodzinami. Cztérech tylko, którzy nie chcieli opuścić Waula, dostało się w ręce rządu. Ci zostali uwięzieni i odesłani pod strażą do Berezowa. W téj liczbie znajduje się rodzony brat Waula, mówią, że równie jak on odważny.

Choć więźniowie już są w turmie, popłoch jeszcze nie ustaje. Berezowianie boją się pogoni, boją się odsieczy ze strony przyjaciół Waula. Tymczasem, jak to w naturze, że ludzie więcéj się starają przebłagać ofiarami złych bogów niż dobrych, Berezowianie chcąc zakląć zemstę Waula w przypadku oswobodzenia, równie też dopełniając czyn miłości chrześcjańskiéj, posyłają do turmy jadła i napoje dla Waula i jego towarzyszy.

Ujęcie Waula nie przywróciło wcale spokojności w Berezowie. Oprócz wyż wymienionéj obawy ze strony towarzyszy Waula, boją się jeszcze użycia przezeń siły nadprzyrodzonéj, którą jak im się zdaje rozporządza on według woli. Boją się sztuki diabelskiéj.

Dla zrobienia ciężkich kajdan na więźnia i zakucia

w nie, został wezwany kowal; wszakże za przybyciem oświadczył, że byłby to zachod daremny, bo żelazo choćby najgrubsze pęknie przed siłą czarów szamana. Zakłopotanie było ogólne, równie jak przestrach. Nakoniec kowal, widząc że słowa jego zrobiły skutek którego żądał, oświadczył, że posiada pewien sekret, i że może ukuć kajdany z siłą anty-czarodziejską przeciw któréj sam Waul nic nie pocznie.

Kowal był powitany jak wielki człowiek, jak zbawca. Kajdany zostały ukute, a nawet sekret odkryty był niektórym, a ci niektórzy mnie go objawili. Oto mięsza się do żelaza ufnal z końskiéj podkowy, a takie żelazo opiéra się wszelkim działaniom czarów.

---

31 Stycznia, 1841.

Wielki wypadek! Czynownik do osobnych poruczeń przyjechał do tutejszego miasteczka. Będzie on w imieniu gubernatora robił rewizję po sądownictwach, a razem będzie jednym z członków komissji mającéj zjechać dla sądzenia sprawy Waula, który, skutkiem zapewne sekretu użytego przez kowala, nie umknął z kajdan i dotąd jest w więzieniu.

Na wieczór byłam zaproszona na imieniny do protopopowéj Zaborowskiéj. Byłabym odmówiła, bo byłam zmęczona długo doświadczanym reumatyzmem, ale spodziewałam się, że tam poznam nowo-przybyłego czynownika, a chęć dowiedzenia się o nowinach tobolskich wzięła górę.

Małe miasteczko rzucone w pustyni, to więzienie bez murów, i jak w więzieniu, najmniejsza zmiana w codziennym bycie stanowi wypadek zapisujący się w pa-

mięci. Przemógłszy opieszałość, lenistwo, obojętnosć, poszłam na wieczór.

Już piękny świat berezowski był zebrany jak zwykle, i podzielony na dwa obozy. Jeden stanowiła partja grających, drugi niegrających. Piérwsza jak gwiazdy stałe zajmowała miejsca nieruchome przy stolikach oświeconych dwóma świécami. Karty w ręku, lampeczka nalana płynem czerwonym lub żółtym, zamykały sferę względną tych małych świadków: wszystko co było poza sferą zielonego stolika, nie zajmowało wcale.

Druga partja, na wzór komet błąkających się, w swym niepewnym ruchu potrącały się wzajemnie, a potrącając się, odbierając, naciskając jedna drugą, nie oszczędzały gwiazd stałych. Szczęściem, że z tego starcia się nie powstał ani pożar, ani potop.

Przecisnąwszy się między témi ciałami niebieskiémi, poszłam do przyległego pokoju zająć miejsce między kobiétami. Powitano mię zaraz konfiturami. Powinszowałam gospodyni imienin, gospodarzowi solenizantki, każdemu z osób familji blizkiéj czy dalekiéj, powtarzałam też same powinszowanie, obyczaj bowiem berezowski tego wymaga; poczém nastąpiły zwyczajne zapytania o zdrowie każdéj osoby z towarzystwa i następnie całéj jéj rodziny. Nomenklatura imion osób składających rodziny, z dodatkiem imion względnych ojców jest nieodbicie potrzebną nauką. Na nieszczęście byłam w niéj bardzo słabą i zawsze dobre Berezowianki musiały mi same podpowiadać imiona swych krewnych. Wszakże jakoś to poszło.

Zostało już tylko na zabawę gryźć orzechy cedrowe przez resztę wieczora, kiedy przeciw zwyczajowi wszedł do pokoju kobiét nowo-przybyły czynownik.

Ta podwójna nowość wszystkich oczy zwróciła.

Po niajakiéj chwili, przedstawił mi się pan Kazaczyński, młody człowiek z wychowaniem europejskiém, urodzony jak mówił w gubernji Czernichowskiéj. Układ swobodny, rozwinięcie umysłowe, czyniło jego towarzystwo bardzo przyjemném, a co więcéj oddał mi listy od dzieci moich. Gubernator był tak grzeczny, że uprzedzając odejście poczty, która wychodzi z Tobolska do Berezowa tylko co dwa tygodnie, wręczył listy do oddania mnie, wyjeżdżającemu czynownikowi.

Wieczór ten zatém był przyjemniejszym dla mnie niż się spodziewać mogłam; odebrałam bowiem niespodzianie listy od moich drogich dzieci, od mego Szczęsnego z Moskwy i od Julka z Kijowa. A tak poczciwe, tak czułe, że aż się serce krajało. Byłam szczęśliwa i dumna. Zdało mi się, że każdy czyta na mojém czole żem matka szczęśliwa, że w macierzyństwie czerpię pociechy, które zrównoważają cierpienia jakiebykolwiek one były.

Pan Kazaczyński przywiózł mi jeszcze wiadomość o moich przyjaciołach z Tobolska, i umysł mój odświeżył się nieco wspomnieniami życia przeszłego.

Tą razą wieczór nie zdawał mi się tak długim jak zwykle, a wróciwszy do domu, jeszcze odczytywałam odebrane listy, jeszcze dziękowałam Bogu za skarb jaki mi dał w dzieciach moich i prosiłam dla nich o opiekę.

Kiedy wróciwszy do domu, oddawałam jak zwykle mojéj służącéj trochę przyniesionych dla niéj łakoci, ona je przyjęła z obojętnością. Po chwili prosiła, abym jéj lepiéj powiedziała co piszą w tych listach, com odebrała. Musiałam mniéj więcéj zadość uczynić jéj żądaniu.

Przed kilką miesiącami, odprawiłam służącą polkę,

którą mi przysłano z Tobolska, a z którą miałam dość kłopotu, poczém postanowiłam obchodzić się bez sługi, sama sobie usługując; ale kiedym zachorowała obłóżnie potrzeba usługi uczuć się dała i przyjęłam berezowiankę, młodą dziewczynę, która nic nie umié, z tego, co pokojówka umieć powinna, ale która ma wyborną, niezepsutą naturę.

Nie ma ona zgoła manjery sług naszych nieśmiałych, uniżonych, pochlebnych; jest sobie swobodną jak z równémi, choć ma trochę wyobrażenia różnicy stanów: bo kiedy razu jednego uważając, że jéj z wielką trudnością przychodzi uczesać mi włosy, powiedziałam, aby mię zaczesywała tym sposobem jak sama nosi, ona się oparła ledwie że nie z płaczem mówiąc, że żadnym sposobem na to nie przystanie, bo będę wyglądać na chłopkę nie na panią, na co ona nie zezwoli, i tak arbitralnie moją głową rozporządziła, że musiałam chcąc niechcąc wyglądać na *panią;* chociaż téj korzyści zmuszona byłam się dokupywać kosztem garści włosów wyrwanych codzień przy każdém czesaniu.

Dla mnie ma cokolwiek uszanowania jako dla kobiéty w wieku; zaś z moją towarzyszką Rżążewską obchodzi się jak najswobodniéj. Klapie ją po twarzy, po gorsie, kiedy jéj przyjdzie ochota, i plecie wszystko co jéj przyjdzie do głowy.

Całuje mię zawsze w rękę odchodząc, mówi mi dzień dobry, dobra noc, przynosi ukłony od swojéj matki i krewnych.

Jeżeli przy gościach roznosi herbatę, nim wypiją usiada sobie tymczasem na krzesełku. Bawiły mię wszystkie te oryginalności i nic jéj nigdy za to nie mówiłam.

---

6 *Maja 1841.*

Zima teraźniejsza będzie zapewne długo pamiętna w kronice berezowskiéj, bo się odznaczyła niepospolitémi wypadkami:

Postrach rzucony przez Waula, jego ujęcie, będą zapisane w wyobraźniach jak wypadki wojenne niepospolitéj wagi. Te wypadki sprowadziły komissję do Berezowa złożoną z adjutanta jenerał-gubernatora porucznika hrabiego Tołstoj, z sowietnika Sokołowa i Kazaczyńskiego.

Przybycie tych trzech członków komissji, wprowadziło w zamęt urzędników berezowskich, którzy żyjąc zdaleka od wyższych urzędników, odwykli od wszelkiéj karności, a po większéj części nie mając wielkich zatrudnień, oddawali się niektórzy spokojnie nieprzerwanemu pijaństwu.

Z tej okoliczności powstały dość komiczne sceny. Jeden z urzędników za przybyciem hr. Tołstoj, przedstawił mu się z uszanowaniem tylko w bieliźnie i przy szpadzie, inny w surducie z futrem i w berlaczach. Hrabia przywykły do karności wojennéj, nie mógł powściągnąć swego oburzenia, posłał zaraz sztafetę do jenerał-gubernatora z oznajmieniem o dostrzeżonych nieporządkach, i kilku urzędników całkiem opuszczających się w służbie, usunięto od obowiązków.

W Obdorsku, inne jeszcze sceny czekały hrabiego Tołstoj. Wypadło bowiem dla dopełnienia śledztwa, aby komissja zjechała do Obdorska, gdzie był główny teatr działań Waula. Za przybyciem, *zasiedatel* wiecznie pjany, nie chciał uznać komissji, odmawiając jéj wszelkiego współdziałania i dumnie oświadczając, że on jeden jest gospodarzem w Obdorsku, i więcéj nie uznaje nikogo.

Hrabia zrobił przedstawienie do jenerał-gubernatora, a urzędnik pijak, chłosta mieszkańców tamecznych, został nazawsze oddalony od służby.

Oprócz sprawy Waula, Kazaczyński miał missję od gubernatora Ładyżeńskiego miłośnika nauk, aby opatrzył mamuta, którego odkryto w blizkości Obdorska. Mieszkańcy przypadkiem odryli głowę leżącą w wyższéj warstwie ziemi, i z niéj odbili część, która wydała się im przydatna do grubych robót, do których używać zwykli kości mamuta, reszta ciała tego zwierza zamrożona w wiecznie zmarzłéj warstwie przechowała się cało z mięsem i skórą. Tego mamuta gubernator dla przysługi nauk, chciał kazać całkiem odkopać i dostawić do gabinetu. W tym celu dał zlecenie Kazaczyńskiemu zająć się tą robotą. Ale próżne były usiłowania tego ostatniego, aby znaleźć wskazane miejsce: mieszkańcy nie chcieli go ukazać, a pod grubą warstwą śniegu okrywającą całą ziemię, trudno było znaleźć nieświadomemu.

Dowiedziałam się późniéj, że mieszkańcy dla tego nie chcieli pokazać miejsca, aby im nie kazano wydobywać mamuta z zamarzłéj ziemi, coby kosztowało wiele pracy. Pewną jednak jestem, że gubernator nie zrazi się tą przeciwnością i nie zaniedba przysłużyć się naukom ciekawém zdobyciem.

Po zrobioném śledztwie. Waul był odwieziony do Tobolska, gdzie miał być sądzony sądem wojennym. Była wielka ciżba w Berezowie, gdy go wywożono. Widziałam go siedzącego na wozie, otoczonego kozakami; był barczysty, krępy i wejrzenia śmiałego.

Po długich niepewnościach, Wakuliński i Rżążewska otrzymali pozwolenie pojechania do Tobolska dla wzięcia

ślubu. Jakoż odbyli tę podróż w czasie, kiedy ksiądz katolicki przyjechał tam z Tomska dla załatwienia religijnych obrządków, a wziąwszy ślub 15 Marca, wrócili do Berezowa.

Ponieważ Wakulińscy nie życzyli sobie zmieniać pomieszkania, ani też chcieli, abym ja z niego ustąpiła, rozdzieliliśmy się tylko pokojami.

Dzisiaj Wakulińscy dają wieczór dla Berezowa, z okoliczności niby swych zaślubin. A że dom ciasny, muszę wynosić się z mego pokoju, który ma zostać salą bawialną do przyjmowania gości. Pościel, książki, wszystkie drobne manatki, muszą szukać dla siebie kąta i ja z niémi razem.

Nakoniec, wszystko już gotowe czeka na przybycie gości. Konfitury, cukry, nalewki ustawione na stole. Już siódma wybiła, a tu żadnego gościa ani widać. Zaczęliśmy się turbować, sądząc, że posłany człowiek dla ostatecznych zaprosin będąc pijanym, może się zle sprawił, lub że się uchybiło jakiego obrządku przez niewiadomość; ale przecie obawy nasze spełzły na niczem, goście choć trochę późniéj jak zazwyczaj, wszyscy się zebrali i jak zwykle jedli, pili, i w karty grali, a o dwunastéj zjadłszy wieczerzę, damy się rozeszły, a mężczyźni zajęci bostonem, bawili do trzeciéj.

Byłam tak snem znużona, że po odejściu gości, nie czekając nim zrobi się porządek, kazawszy pozamykać okiennice, położyłam się spać pomiędzy szczątkami kremów, galaret, niedojedzonych konfitur, obok stołu niezebranego zarzuconego nożami, talerzami, różnemi okruszynami, ciesząc się myślą, że przecie wrócę już do dawnego porządku, do przyjemności własnego kąta.

---

9 Czerwca, 1841.

Zrobiliśmy przeskok od zimy do lata. Trzeci rok już się zaczął pobytu mego w Berezowie, a żadnéj zmiany w losie moim. Tęsknota dojmowała więcéj niż kiedy, gdyż zaślubiny Cesarzewicza Następcy były obudziły moje nadzieje, które dla mnie spełzły na niczém.

W tém usposobieniu pisałam do moich listy, które miały wyjść dnia jutrzejszego, a kiedy piszę, przyniesiono mi pismo od horodniczego.

Było we zwyczaju, że przy wyprawieniu każdéj poczty, przynoszono mi do podpisania świadectwo, ile listów odebrałam przeszłą pocztą z rąk horodniczego, i takowe świadectwo odsyłano gubernatorowi. W przekonaniu więc, że przyniesione pismo jest tejże saméj treści, biorę do podpisania. Wszakże, ponieważ mam zwyczaj przeczytać każde pismo które podpisuję, czytam i oczom swoim nie wierzę. To uwolnienie moje z Berezowa i przeniesienie do gubernji Saratowskiéj!

Mam więc na powrót przebyć Ural, zbliżyć się blizko pięcią tysiącami werst ku dzieciom moim! Takiemu szczęściu ledwie śmiem wierzyć. Biegnę do towarzyszki mojéj Wakulińskiéj, która równąż łaską była objęta, otrzymując pozwolenie przeniesienia się do Woroneża, ale że wyszła za mąż, nie chciała korzystać z tego ułaskawienia. Udzielam jéj téj wesołéj nowiny, obie śledzimy na mappie odległość, położenie, odgadujemy korzyści, przenosimy się myślą do nowego miejsca pobytu.

Nim słońce spuściło się ku ziemi, obiegłam wszystkie znajome domy z tą wesołą nowiną. Poczciwi Berezowianie, winszowali mi z duszy téj pociechy, i każdy

mi dawał rady, jak przebyć wodną podróż do Tobolska bezpiecznie, a razem jak można najprzyjemniéj.

W téj porze wszystkie statki wypłynęły na morze Obskie, a żaden nie płynął w przeciwną stronę ku Tobolskowi, zatém nie można było płynąć statkiem dużym, jakim płynęłam do Berezowa z Tobolska. chybaby czekać jeszcze półtrzecia miesiąca na powrót statków. Wypadało zatém płynąć łódką pocztową małą, i z tego względu niewygodną, że trzeba było przekładać rzeczy co stacya, albo starać się o własną łódkę, co dla mnie byłoby uciążliwém, bo łódź wygodna, kryta kosztuje dużo, a porzucić ją trzeba w Tobolsku, przesiadając na powóz kołowy.

Kupiec jeden uprzedzając te trudności, ofiarował mi zaraz pożyczyć łódź swoją krytą o cztérech wiosłach; a tak w głównym punkcie załatwiwszy się, poszłam zaraz nad brzeg Soswy obejrzeć swój statek i zrobić przygotowania do odjazdu.

Byłam tak wzruszona doznaną pociechą, że noc całą nie mogłam zmrużyć oka ani też wziąść w usta jakiego bądź pokarmu. Przywykłéj przebiegać i czynem i myślą znaczne przestrzenie, tysiąc kilkaset werst mających mię dzielić od dzieci moich, wydały mi się niczém. Wszak werst tysiąc kilkaset dzieli Berezów od Tobolska, a jednak Tobolsk przywykłam wraz z mieszkańcami Berezowa uważać za najbliższe miasteczko, do którego się udawało o najbłahsze potrzeby. Parę miesięcy podróży, i już jestem jakby na progu domu w pośród dzieci moich. Co za słodkie marzenie po kilkoletniéj tęsknocie bez nadziei!

---

13 Czerwca, 1841.

Trzy dni przeszło na przygotowaniach do podróży, na pisaniu listów do rodziny mojéj z uwiadomieniem o szczęśliwéj zmianie. Poczciwe Berezowianki zaopatrzyły mię, każda zosobna, w zapasy podróżne, także wybornémi ciasteczkami zasypały pół łódki. I konfitur i wina, wszystkiego mi zniosły; jakoż, ten zapas powinien mi był wystarczyć przez dwa tygodnie podróży do Tobolska: w téj bowiem porze ani w Berezowie, ani w kraju przyległym nie można dostać żadnego mięsa, prócz kaczek tak zwanych *kwaśnych*, z któremi nigdy oswoić się nie mogłam.

Między Berezowem a Tobolskiem kraj tak pusty, że nic do jadła dostać nie można, nawet mléka bardzo rzadko: opatrzono mię zatém butelką śmietanki do herbaty, którą przywiązano na sznurku do łódki nurzając w wodę. Tym sposobem można przechować od skwaśnienia śmietankę przez dni kilka.

Wyruszyłam zatem w podróż pod protekcyą Ś. Antoniego, gdyż to był dzień jego święta. Gdy już nadeszła chwila odjazdu, wszyscy znajomi odprowadzili mię do brzegu. Było tak wielkie zebranie ludu jak na jarmarku. Wszyscy mię żegnali i błogosławili z największą serdecznością, i ja też ze wzruszeniem i żalem opuszczałam tych ludzi szczérych, poczciwych, dla których zawsze zachowam najprzychylniejszą pamięć. Niektórzy odprowadzili mię jeszcze łodziami o werst parę, w liczbie których byli i Wakulińscy, z którymi razem tyle chwil przeżyłam. Ostatnim wystrzałem pożegnałam poczciwych mieszkańców miasteczka, którzy jeszcze stali

zebrani nad brzegiem, śledząc łódkę moją oczyma. Mnie się też łzy puściły żegnając Wakulińskich, żegnając gościnnych mieszkańców Berezowa, gdzie przepędziłam więcéj dwóch lat życia.

Odjeżdżając zanosiłam życzenia, aby wśród innéj cywilizacyi, wśród innych okoliczności znaleźć można było dusze tak proste, szczére i życzliwe.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

Niektóre Dzieła

wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego, *w Wilnie.*

ZASADY EKONOMJI POLITYCZNEJ czyli wykład głównych wiadomości téj nauki, przez Józefa Garnier. Z drugiego wydania, znacznie powiększonego, przełożył na język polski A. S. in 8vo. 1852.

PAN DEPUTAT. Powieść Obyczajowa przez Ewę Felińskę, Autorkę Wspomnień z Podróży do Syberji i t. d. in 16, 2 tomy. 1852.

ANNA. Powieść Michała Czajkowskiego. Wydanie nowe poprawne. 2 Tomy w jednym.

HISTORJA REWOLUCYI FRANCUZKIEJ 1789 roku, przez Poujoulat'a. Przełożył z francuzkiego i notami objaśnił Władysław Syrokomla. 2 tomy in 12mo maj., ozdobione 8mią rycinami na stali, 1851.

NOWE WĘDRÓWKI ORYGINAŁA. Z rękopismu Nieznajomego Autora, ogłasza Józef Korzeniowski. 2 tomy.

OBRAZY LITEWSKIE przez Ignacego Chodźkę. Serya druga. Wydanie drugie poprawne. 3 tomy w Jednym. **Brzegi Willi.** 1851.

OBRAZY LITEWSKIE. **Pamiętniki Kwestarza.** Przez Ignacego Chodźkę. Wydanie drugie poprawne. 3 Tomy w jednym. Ozdobione dwoma portretami, na stali i na kamieniu rytemi.

OBRAZY LITEWSKIE przez Ignacego Chodźkę. Serya Czwarta. Wydanie drugie poprawne. 2 tomy w Jednym. **Jubileusz. Duch Opiekuńczy. Autor Swatem. Panna Respektowa.** 1851.

OBRAZY LITEWSKIE przez Ignacego Chodźkę. Serya Piąta i Ostatnia. **Dworki na Antokolu.** 2 tomy.

PRZEKŁADY POETÓW POLSKO-ŁACIŃSKICH Epoki Zygmuntowskiéj; przez Władysława Syrokomlę. Tomik piérwszy zawiéra: Poemata Klemensa Janickiego.

— Tomik drugi zawiéra: Rymy Łacińskie Jana Kochanowskiego.

— Tomik trzeci zawiéra: Ziemie Czerwonéj Rusi (Roxolania). Poemat Sebestjana Klonowicza.

— Tomik czwarty zawiéra: Poezye Księdza Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Dział I. Pienia Liryczne.

— Tomik piąty zawiéra: tegoż X. Sarbiewskiego. Dział II. Pienia Liryczne i Opisowe.

— Tomik szósty zawiéra: Dodatki i Uzupełnienia. 1) Pienia liryczne Mikołaja Smoguleckiego na cześć Zygmunta III. Przekład Wład. Syrokomli.— 2) Korrespondencya Sarbiewskiego ze Stanisławem Łubieńskim Biskupem Płockim. Przekład z łac. tegoż.— 3) Roxolania, poemat Sebastyana Klonowicza, w oryginale łacińskim, z edycji Jędrzeja Piotrkowczyka 1584.— 4) Zamknięcie piérwszéj Serji przekładów Poetów Polsko Łacińskich.